

URSZULA GAJDOWSKA



*Lagunione  
klejnoty*

DWOREK NAD BIEBRZĄ

URSZULA GAJDOWSKA

*Laginione  
klejnoty*

  
DWOREK NAD BIEBRZĄ  


Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie ani w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki i stron tytułowych

Anna Damasiewicz

Zdjęcia na okładce

© Kathryn Servian, Cameron Whitman, Vasya Kobelev, Solentsov Alexander | Depositphotos.com

© Dover Publications Inc.

Redakcja

Agnieszka Luberadzka

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej

Grzegorz Bociek

Korekta

Olga Smolec-Kmoch, Agnieszka Luberadzka

Wydanie I, Katowice 2023

Niniejsza powieść to fikcja literacka. Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydawnictwo Szara Godzina s.c.

[biuro@szaragodzina.pl](mailto:biuro@szaragodzina.pl)

[www.szaragodzina.pl](http://www.szaragodzina.pl)

Dystrybucja wersji drukowanej: LIBER SA

ul. Zorzy 4, 05-080 Klauzyna

tel. 22 663 98 13, fax 22 663 98 12

[dystrybucja@liber.pl](mailto:dystrybucja@liber.pl)

[www.dystrybucja.liber.pl](http://www.dystrybucja.liber.pl)

© Copyright by Wydawnictwo Szara Godzina s.c., 2022

ISBN 978-83-67102-94-0

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[22.](#)

[23.](#)

[24.](#)

[25.](#)

[26.](#)

[27.](#)

[28.](#)

[29.](#)

[30.](#)

## Prolog

Plusk uderzanego o wodę wiosła rozszedł się echem po kotlinie. Mężczyzna w płaszczu z obszernym kapturem przysłaniającym niemal całą jego twarz zatrzymał łódź i odetchnął głęboko. Wielogodzinne wiosłowanie przy mizernej poświacie księżyca wyczerpało go o wiele bardziej, niż mógł przypuszczać, ale cena, jaką oferował kupiec, była zbyt kusząca, by zrezygnować z takiego wysiłku. Treść celtyckich manuskryptów, a raczej wiernych kopii iluminowanych zwojów sprzed wieków, nadal przyciągała wszelkiej maści szaleńców. Świat dawno wkroczył w dziewiętnasty wiek, a ludzie nadal bardziej ufali zapiskom alchemików i szarlatanów niżli nauce. A skoro istniał popyt, to on za odpowiednią opłatą tworzył podaż. Czy dręczyły go wyrzuty sumienia? Czy zdawał sobie sprawę z tego, że do eksperymentów, których formuły zawierały pisma, potrzeba będzie ofiar? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Jego dusza już dawno dławiała się w oparach opium, umysł trawiły zgryzota i poczucie osamotnienia, a żołądek musiał czymś napęlić. Los banity był losem okrutnym i drogim w utrzymaniu.

- To pan? - zapytał przygarbiony człowiek, który wyłonił się z ciemności z bosakiem w ręku.

- Zależy kto pyta - odrzekł.

- Kupiec.

- W takim razie proszę pokazać pieniądze - powiedział mężczyzna w łódce, posługując się elegancką mową, do której był przywykły przed wieloma laty.

- A skąd mam mieć pewność, że dostanę za nie to, po co tu przyszedłem?

W odpowiedzi rzucił zwój przewiązany rzemieniem.

- Proszę zapalić latarnię i samemu się przekonać.

- Tak zrobię - odparł przygarbiony człowiek i wykonał posłusznie polecenie. - Wnioskuje, że to nie wszystko - stwierdził po pobieżnym przejrzeniu zawartości.

- To jedna z siedmiu części. Mam przy sobie pozostałe, proszę się nie obawiać - zapewnił.

- Zaznaczam jedynie, że aby z nich skorzystać, potrzebna będzie instrukcja. Znajdzie ją pan w liście. W tym samym miejscu, w którym znalazł pan ogłoszenie.

- Rozumiem. - Kupiec za pomocą bosaka przyciągnął łódź zakapturzonego mężczyzny i sprawnie dokonali wymiany.

- I proszę uważać - ostrzegł sprzedawca. - Wszystko ma swoją cenę. Zanim pan zacznie, proszę się upewnić, czy jest pan gotów ją ponieść.

# 1.

## *Dwór wicehrabiego Gielczyńskiego, ujście Biebrzy, październik 1823*

– Nie miałaś prawa, Izabelo! – wrzasnęła oburzona ciemnowłosa dziewczyna w koronkowej sukni.

– Miałam, moja droga. Jako twoja przyjaciółka i ktoś, kto ma doświadczenie z takimi naciągaczami.

– On nie jest żadnym naciągaczem! – krzyknęła, po czym dodała ciszej: – Ma rozległy majątek i całkiem sprawnie działający folwark pod Lipskiem.

– Możesz mówić swobodnie. Służba ma małe zebranie w kuchni, a ten twój, pozał się Boże, niedoszły narzeczony ma dług karciany przewyższający całe to jego bogactwo. Niby dlaczego tak nagle zapragnął ożenku? – zakpiła blond piękność o rumianych policzkach. – Z całą pewnością nie chodziło mu o ciebie.

– Tego nie wiesz, Izabelo!

– Wiem – odparła stanowczo. – Okłamał cię.

– Nie mógł. To człowiek honoru. Był w Gwardii Cesarskiej w Pułku Lekkokonnym Szwoleżerów. Walczył pod Samosierrą!

– Całe dziesięć minut<sup>1</sup>. I pewnie sam jeden rozniósł w pył Hiszpanów, a potem opatrzył rannych i powyciągał tych przygniecionych przez konie – zadrwiła.

– Może lubi się tym przechwalać, przyznam, ale nie ujmuje mu to zasług.

– Stare dzieje i wcale nie czynią go świętym. Wiem, co mówię.

– Nie wiesz! – Czarnowłosa dama zacisnęła pięści, a z jej stalowoszarych oczu popłynęły łzy.

– Nie masz po co płakać – prychnęła druga. – Zdradzałby cię na prawo i lewo.

– Wcale by tak nie było!

– Byłoby! A jeśli koniecznie musisz wiedzieć, to oświadczył ci się tylko po to, by zrobić mi na złość.

– Nienawidzę cię! – krzyknęła brunetka, odwracając się na pięcie, i ruszyła do drzwi.

– To stan przejściowy. Jak skończysz histeryzować, to zrozumiesz, że zrobiłam to dla twojego dobra.

– Nigdy ci nie wybaczę! – Nie czekając na kamerdynera, otworzyła sobie drzwi, następnie z impetem zamknęła je za sobą.

– Jakoś to przeżyję. – Izabela przewróciła oczami i rozejrzała się po obszernej sieni w dworze swego wuja, wicehrabiego Gielczyńskiego, po czym zatrzymała wzrok na podpierającym filar wysokim mężczyźnie.

– Będzie ciąg dalszy czy już mam bić pani brawa? – zapytał baron Krzyżewski z ironią w głosie i wyszczerzył rząd białych zębów.

– To znowu pan?! – odparła z wyrzutem. – Nie przypuszczałam, że mamy widownię. Ale widać pan lubi zakradać się i obserwować niewinne niewiasty.

– Proszę sobie nie schlebiać. Czekałem na pani wuja.

– Akurat tutaj?!

– Miejsce dobre jak każde inne.

– Zaraz... – Zamyśliła się, próbując oderwać wzrok od jego idealnie skrojonych warg. – Czym mam sobie nie schlebiać? Nie uważa mnie pan za niewinną istotę?

– Ani trochę – zaśmiał się niskim głosem i ponownie oparł plecami o filar.

– A może po prostu trafił pan na niewłaściwy moment, by dostrzec moją prawdziwą naturę?

– Coś zbyt wiele tych niewłaściwych momentów, panno Wieczorek.

Miała ochotę pokazać mu język i pewnie by to zrobiła, ale w tym przypadku to on miałby większą satysfakcję.

Baron Klemens Krzyżewski od lat przyjaźnił się (choć słowo „przyjaźni” nie jest może najlepszym określeniem ich stosunków) z jej wujem, a zarazem prawnym opiekunem od śmierci rodziców, wicehrabią Benedyktem Gielczyńskim. W każdym razie ten około trzydziestopięcioletni, czterdziestoletni mężczyzna bywał regularnym gościem w jego dworze i zrzędzeniem losu zwykle wtedy, gdy Izabela miała gorszy dzień. Jej dość często zdarzały się gorsze dni. Choć opiekun zatroszczył się o wszelkie jej potrzeby materialne, zapewnił odpowiednie wykształcenie i pokazał kawałek świata, to przy tym haniebnie ją rozpuścił.

Niezależnie od tego, czy Izabela lubiła barona Krzyżewskiego, czy nie, musiała przyznać, że nie spotkała dotąd wielu równie przystojnych i inteligentnych mężczyzn. Niestety w jego przypadku w parze z tymi zacnymi przymiotami szły jeszcze zarozumiałość, arogancja i wrogie w stosunku do niej nastawienie. Cóż z tego, że uzasadnione (co musiała przyznać, przypominając sobie ich poprzednie starcia)? Mógł jednak udawać uprzejmego, jak inni.

– Robi pani wszystko, by zyskać miano najpiękniejszej i zarazem najbardziej złośliwej i wyrachowanej panny w tej części kraju?

– Dziękuję za komplement. Co do urody, nie miałam na nią zbyt wielkiego wpływu. Co do charakteru, zbyt pochopnie mnie pan ocenia, baronie. Równie dobrze mogłabym pana nazywać złośliwym, starym zrzędą albo ponurym, zgryźliwym nudziarzem. Ale przecież tego nie uczynię. – Zatrzepotała niewinnie rękami. – Młodej damie nie wypada mówić takich rzeczy – westchnęła.

– Już to pani uczyniła – odparł powoli, zastanawiając się nad ripostą. – Ale może nie jest pani tak bystra, za jaką chce uchodzić, skoro to pani przeoczyła.

– Nie przeoczyłam – wycedziła. Niestety dała się znów sprowokować. – A pan też nie jest taki święty, skoro podsłuchuje rozmowy młodych kobiet.

– Gdybym chciał posłuchać rozmów, to wybrałbym się gdzieś, gdzie poruszane są ambitniejsze tematy. Kobiety w pani wieku próbują walczyć ze światem nie po to, by wywołać kolejny skandal towarzyski, ale by pomagać niższym klasom, edukować dzieci, kształcić się na uczelniach dostępnych jedynie dla mężczyzn albo dyskutować o polityce i rosnącym ucisku. To, czego byłem świadkiem, było raczej pełnym emocji przedstawieniem.

– Nie nazwałabym tego przedstawieniem, skoro nie miałyśmy publiczności. Skrywających się w cieniu nie liczę. – Odwróciła się i bez pożegnania z uniesioną brodą ruszyła ku drzwiom,

w których akurat pojawił się jej wuj. – Zresztą, co pan może wiedzieć o moich poglądach i ambicjach? Jedne zachowania i zainteresowania nie wykluczają innych – burknęła pod nosem.

– Tu się pan podziewa! – Wicehrabia Giełczyński, utykając, wszedł do sieni i z uwagą przyjrzał się zarówno swojej podopiecznej, jak i stojącemu mężczyźnie.

– Tak jak się umówiliśmy – przypomniał obojętnym tonem baron Krzyżewski.

– Mam nadzieję, że nie znudził się pan tym czekaniem.

– Bynajmniej.

– Widziałem twoją przyjaciółkę – zwrócił się tym razem do Izabeli. – Czy nie miała zostać do kolacji?

– Plany uległy zmianie.

– Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym. – Uśmiechnęła się i zaczęła powoli odwracać się w kierunku schodów.

– W takim razie posiłek zjemy w nieco okrojonym gronie. – Wicehrabia zatrzymał ją wzrokiem, po czym zwrócił się do barona: – Będzie nam pan towarzyszył?

– Och, niech wuj nie zatrzymuje gościa – wtrąciła się Izabela. – Z pewnością ma zbyt wiele obowiązków, by mitrzyć czas na uprzejmości towarzyskie. W końcu to taki filantrop, społecznik i ogólnie zapracowany człowiek.

– Mam swoje obowiązki, to prawda, jednak posiłku w tak doborowym towarzystwie nie odmówię – zapewnił baron z wyraźnym sarkazmem w głosie. – Chyba że pani ma coś przeciwko?

– Skądże – odpowiedziała w tym samym tonie, nawet nie próbując udawać uprzejmej. – A teraz przepraszam panów. Muszę przekazać dyspozycje służbie.

Wolałaby go nie spotkać, a tym bardziej jeść wspólnie posiłku i zabawić uprzejmą rozmową. Tak naprawdę nie zrobił jej nic złego, ale czuła się przy nim niezmiernie skrępowana przez to, w jakich okolicznościach widziała go po raz pierwszy, drugi, trzeci... Właściwie to przy każdym spotkaniu. Chyba miał jakiś magiczny dar zjawiania się akurat wtedy, gdy jej się powijała noga. Ruszyła w głąb domu do części przeznaczony dla służby.

Była pewna, że uważał ją za zbuntowaną smarkulę, ograniczoną swoim położeniem i marnym wykształceniem pustogłową piękność, która co jakiś czas daje upust własnym fanaberiom. Być może częściowo miał rację, ale to tylko jedno z jej oblicz. Może miałyby ambitniejsze plany, może mogłyby bardziej zaangażować się w coś, co przysłuży się nie tylko przyszłości jej najbliższego otoczenia, ale wielu innych potrzebujących osób? Niby dlaczego przyłapał ją ze stajennym? Przecież gdyby nie pomagała wiejskim dzieciom i nie bratała się z tymi, którzy nie mieli szczęścia urodzić się w zamożnej rodzinie, to nie doszłoby do tamtego incydentu. Może to nie najlepszy przykład, pomyślała i ruszyła w kierunku kuchni.

– Przepraszam za nią – odezwał się wicehrabia tonem stroskanego ojca, kiedy Izabela zniknęła z pola widzenia. – Chyba na zbyt wiele jej pozwalałem, chcąc wynagrodzić wczesną stratę rodziców.

– Mam trzy młodsze siostry i wiem, co to znaczy rozkapryszona dziewczę w domu. Proszę się zupełnie nie przejmować – powiedział baron gładko, nie zdradzając żadnych emocji. –

To urocze stworzenie jeszcze najwidoczniej nie trafiło na kogoś, kto by jej utarł nosa, ale z pewnością wkrótce to nastąpi.



- Ma pan na myśli siebie? - zapytał podejrzliwie wicehrabia, a w jego głosie dało się wyczuć nutkę niepokoją.

- Absolutnie nie! Nie mam czasu ani ochoty uczyć życia jakiegoś podlotka, choćby i najurodzawszego w okolicy. Za przeproszeniem, wicehrabio, mnie pańska podopieczna zupełnie nie interesuje.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że wie pan, iż Izabela została oskarżona przed laty o kradzież srebrnych kolczyków, pocięcie nowej sukni przyjaciółce, schadзки ze tajemnym, przyjmowanie pieniężnych zakładów, sekundowanie w pojedynku i udział w wyścigu dwukółek.

- A to jedynie początek długiej listy. I jestem zobowiązany przypomnieć, że w większości nie były to czcze pomówienia, bo sam byłem świadkiem przynajmniej trzech wybryków tej dziewczyny. Ja na pana miejscu pomyślałbym o powrocie do tradycyjnych metod wychowawczych, przełożyłbym smarkułę przez kolano i sprawił porządne lanie. - Mówiąc to, pociął oko i pokręcił z pobłażliwością głową, by wicehrabia zrozumiał, że był to jedynie żart.

Izabela stojąca za rogiem nie mogła widzieć jego miny, ale słowa do jej uszu dotarły. Zacisnęła bezwiednie szczęki i zmrużyła oczy.

- Lanie! Dobrze sobie! - prychnęła cichutko. - Wychowawca się znalazł.

- Dlatego pora, bym wreszcie poszukał jej męża - westchnął wicehrabia. - Powiniennem był wziąć się za to już dawno temu, ale pozwoliłem jej pokazać się na salonach i samej zadecydować, kiedy przyjdzie pora na opuszczenie mego dworu. Rozumie pan, nie chciałem, by pomyślała, że opieka nad nią w jakiś sposób mi ciąży. Zresztą, nie ukrywam, lubię jej towarzystwo, mimo że dziewczyna ma trudny charakter. Wyprawiłem jej bal z okazji piętnastych urodzin, potem jeszcze trzy po dwudziestych urodzinach. Jeśli będzie trzeba, wyprawię i sześć po dwudziestych piątych<sup>2</sup>. Stać mnie na ich organizację i to nie tylko tutaj, ale i w stolicy. Jednakowoż uważam, że nie zdadzą się na zbyt wiele, a to biedne dziewczę dozna kolejnego zawodu. Powiniennem poszukać raczej kogoś odpowiedniego w naszej okolicy.

- Mnie w to proszę nie mieszać.

- Chyba już został pan wmieszany.

- Co pan ma na myśli?

- Zdaje się, że pańska matka upatrzyła sobie Izabelę na przyszłą synową albo synową którejś przyjaciółki, bo od jakiegoś czasu śle nam zaproszenia do swojego pałacyku na te jej spędы zapoznawcze.

- Ciekawie pan to ujął, ale ja w nich nie biorę udziału, więc jeśli już, to chodzi jej o któregoś z moich braci albo jakiegoś innego nieszczęśnika.

- Tak pan sądzi? - Wicehrabia zmrużył oczy, a następnie spojrzął w bok, jakby się nad czymś zastanawiał. - Mnie się jednak wydaje, że mógłby pan mi odrobinę pomóc.

- Nie pojmuję, w jaki sposób, ale proszę mówić. Posłucham.

- Mógłby pan przyjrzeć się z bliska ewentualnym kandydatom, wykluczając tych, którzy niegodni są ręki mojej podopiecznej. Sam przecież niczego wybać nie mogę, bo od razu zwietrzą podstęp.

- Mam być rajkiem, swatką?

- Raczej nie o to pana proszę. Izabela nie potrzebuje nikogo takiego, bo kandydaci sami, bez obstawy, uderzają licznie w konkury.

- W takim razie?

- Mógłby pan wybadać ich intencje.

- A co na to panna Wieczorek? Czy ona w ogóle ma zamiar wyjść za mąż i uszczęśliwić – mówiąc to, odchrząknął i uniósł ironicznie lewą brew – kogoś z okolicznych kawalerów?

- Oczywiście. Niestety biedaczka zawiodła się na kilku i nie chciałbym, by kolejny raz ją to spotkało.

Klemens obiecał dowiedzieć się czegoś więcej o tych nieszczęśnikach, którzy zostaną zwiedzeni słodkim głosikiem i urodą tej małej awanturnicy. Miał okazję spotkać ją wcześniej kilkakrotnie i w żadnej z tych sytuacji nie wyglądała na skrzywdzone biedactwo. Wicehrabia najwyraźniej miał do niej słabość. Owinęła go wokół palca już jako mała dziewczynka i ślepo wierzył w jej niewinność i dobre intencje. Klemensa jednak nie była w stanie nabrać. Ba, nawet nie starała się tego robić. Za każdym razem była dla niego zwyczajnie niemiła. Cóż, może i nie zrobił nic, aby poprawić jej stosunek do siebie, a wprost przeciwnie, zwykle zaostrzał jej wybuchy złości, ale (co tu kryć) całkiem dobrze się przy tych potyczkach słownych bawił. Poza tym była jeszcze jedna sprawa, o której nie miała pojęcia ani panna Wieczorek, ani jej wuj. Klemens częściej pojawiał się w ich dworze, bo było to ostatnie miejsce, w którym widziano zaginionego Gniewomira Guzowskiego, poszukiwanego przez jego rodzinę. Wraz z mężczyzną (co być może było dalece bardziej palącą sprawą dla jego krewnych) przepadł również rodowy pierścień. Bardzo drogi rodowy pierścień. Przekazywano go kolejnym narzeczonym dziedziców. Misternie zdobiony ornamentami winorośli złoty pierścień z różowym diamentem w kształcie poduszki, otoczony małutkimi białymi diamentcikami i z wygrawerowanym herbem rodu wewnątrz. Czy znajdował się teraz w posiadaniu panny Wieczorek?

---

<sup>1</sup> Szarża trzeciego szwadronu 1. Pułku Szwoleżerów Gwardii Cesarskiej przeprowadzona 30 listopada 1808 roku na przełęcz Somosierra w Hiszpanii trwała około dziesięciu minut i zakończyła się zdobyciem wąwozu, co umożliwiło Napoleonowi kontynuację kampanii hiszpańskiej.

<sup>2</sup> Taką częstotliwość wyprawiania bali dla niezameżnej arystokratki zalecano w pierwszej połowie XIX wieku, M. i J. Łozińscy, *Życie codzienne arystokracji*, Warszawa 2013, s. 52.

## 2.

### *Pałacyk hrabiny Modlińskiej nad Biebrzą*

Anthony wszedł do przestronnego gabinetu zajmowanego przez jego matkę, hrabinę Modlińską, kobietę, do której trafiały najbardziej skrywane tajemnice panien, kawalerów, wdowców i wszystkich uczestników rynku matrymonialnego szlachty przebywającej w Kotlinie Biebrzańskiej. Właściwie w całej północno-wschodniej części Królestwa Polskiego, a nawet na terenach leżących na południowym brzegu Biebrzy, włączonych w 1807 roku do Imperium Rosyjskiego.

Hrabina Modlińska, potrójna wdowa, matka trzech synów i trzech córek, za cel swojego jestestwa postawiła sobie ich nieprzyzwoite szczęście w ramionach przyszłych małżonków. Dziewczętom wprawdzie do pełnoletności kilku lat jeszcze brakowało, ale nic nie stało na przeszkodzie, by już teraz zacząć przygotowywać grunt pod przyszłe zabiegi swatania. Synowie, mówiąc delikatnie, nie podzielali zainteresowań matki, jednak nie mieli nic przeciwko jej poczynaniom, póki sprawy nie dotyczyły ich samych. Hrabina jednak nie należała do kobiet mało błyskotliwych, a doskonale pamiętając piekło, jakie przeszła w dwóch pierwszych małżeństwach, powoli i sukcesywnie wdrażała swój plan w życie, wciągając weń swoich męskich potomków. Dlatego właśnie rozbudowała drewniany dwór, czyniąc z niego pałacyk, położony między Goniądzem a Sztabinem, w rozległym nadbiebrzańskim majątku po trzecim małżonku.

- Dzień dobry, Anthony. Co cię do mnie sprowadza o tak barbarzyńskiej porze? Sądziłam, że będziesz odpoczywał przynajmniej do śniadania.

- Dzień dobry, mamo. Przywykłem do porannego wstawania. Jedzenie znalazłem sam. - Na dowód tego wyjął z kieszeni kawałek placka drożdżowego zawiniętego w płócienną szmatkę. - Pomocy lokaja przy ubieraniu się również nie potrzebuję, więc nie fatygowałem nikogo.

- To bardzo rozsądne z twojej strony. Wiesz, że kucharka słowem by się nie odezwała, ale deseru już tak obfitego byś nie dostał.

- Zdaję sobie sprawę. - Uśmiechnął się półgębkiem, unosząc lewy kącik ust.

- Wracając do wczorajszego dnia... - Hrabina odsunęła od siebie dokumenty i jeszcze bardziej się wyprostowała, demonstrując nienaganną postawę. - Zaproszone panny mogły czuć się co najmniej niepocieszone faktem, że nie wpisałeś się w większości karnecików i zniknąłeś w połowie wieczoru.

- Nie chciałem im psuć zabawy.

- Nonsens. Nie chciałeś sobie psuć zabawy.

- Przyszają, ale jedno nie wyklucza drugiego.

Ojciec Anthony'ego zajmował się handlem morskim dla Brytyjskiej Kampanii Wschodnioindyjskiej, podobnie jak cała jego rodzina, której zależało na tym, by mężczyzna poszedł w ich ślady. Niestety, mimo wielu doświadczeń w kontaktach z różnymi ludźmi, walk z żywiołami (zwłaszcza z pogodą na otwartym oceanie) i swoich ponad trzydziestu lat na karku, Anthony nie miał wielkiego pojęcia o stosunkach damsko-męskich. Między innymi dlatego znalazł się o tak wczesnej porze (zważywszy, że położył się grubo po północy) właśnie w tym miejscu.

Hrabina przyjrzała się uważnie synowi. Zgadzała się z jego angielskimi krewnymi, że najwyższa pora, by mężczyzna znalazł sobie żonę. Nie mogła mu tego powiedzieć wprost, ale to właśnie z jego powodu wyprawiała ten zjazd okolicznych pańien. Mało tego. Zaplanowała sobie kilka takich spotkań, aby nie przesadzić z liczbą kandydatek na jeden raz i przy okazji zająć się tym, co lubiła najbardziej: swataniem odpowiednich par i niedopuszczaniem do małżeństw par nieodpowiednich. Zbyt wiele wycierpiała w swoich dwóch małżeństwach, by mogła patrzeć spokojnie na to, co działo się w jej otoczeniu. Kojarzenie zupełnie niedobrych osób, wydawanie niewinnych pańien za bogatych despotów, polowania na posagi, fortuny...

Po to właśnie osiadła tu nad Biebrzą, walcząc z wiosennymi podtopieniami, letnim atakiem komarów, zimowym ślizganiem się po zamrożniętych bagnach i całorocznymi wądołami pozostałymi po zbieraczach bursztynów<sup>4</sup>, mimo że miała do wyboru jeszcze dwór po pierwszym mężu, baronie Krzyżewskim, gdzie mieszkał najstarszy z jej synów, a także rezydencję w stolicy. Rzecz jasna nie było to jedyne jej zajęcie, bo zaangażowała się także w usprawnienie folwarku, finansowanie pomocy ubogim, organizowanej przez miejscową parafię, czy tworzenie siatek powiązań i delikatne badanie gruntu na wypadek spodziewanych ruchów narodowowyzwoleńczych, bo takie panowały nastroje. Jej intuicja i empatia podpowiadały jednak, że z właściwą osobą u boku można przejść przez wszystkie burze i zawirowania i szerzej spojrzeć na otaczającą rzeczywistość. Z niewłaściwą natomiast być obojętnym na całe zło i dobro tego świata, zatracając się we własnym małym piekle.

Pałac hrabiny Modlińskiej położony był na prawym brzegu Biebrzy, na północny wschód od Goniądza leżącego teraz na terytorium Imperium Rosyjskiego i południowy zachód od Sztabina położonego, podobnie jak pałac, w obrębie Królestwa Polskiego. Stanowił rozbudowaną dwukondygnacyjną budowlę, w większości drewnianą, o nieregularnym kształcie, wykonaną z drzewa sosnowego, świerkowego i jodłowego, przykrytą dachem złożonym z kilku mniejszych dwuspadowych, odrębnych dla poszczególnych jego części. Posiadał dużą salę balową, kilka salonów o różnym przeznaczeniu, gabinet, przestronną bibliotekę, pięć sypialni z garderobami i buduarami dla jego domowników oraz mnóstwo pokoi gościnnych, przerobionych z części dla służby, którą przeniesiono do oddzielnego budynku, zostawiwszy im dwa pokoje do odpoczynku dziennego i komórkę na potrzebne sprzęty. Oddzielnie od części pałacowej (w budynku przyległym do pałacyku z dobudowanym przejściem pomiędzy) stała też kuchnia z lodownią, domek stróża przy bramie, drewniany pawilon w ogrodzie, stajnie, wozownie, stodoła, lamus, dwie altanki i kilka innych mniejszych budynków. Do tego kort do tenisa, ogród w stylu angielskim, sad i wszystko, co mogło służyć przyjemnemu spędzaniu czasu przybyłych gości. Oczywiście nie mogło zabraknąć i folwarku, ale ten znajdował się za rozległymi łąkami, polami i zadrzewieniem.

- Nie twierdzą jednak, że nie spędzam tu miło czasu. Mam zamiar pozostać w Królestwie przynajmniej trzy miesiące i nie zmienię zdania tylko dlatego, że stale panuje tu taki harmider - powiedział Anthony.

- Przykro mi, synu, że trafiłeś akurat na okres wzmożonych spotkań towarzyskich, ale wkrótce advent i zapanuje tu wówczas względny spokój aż do Bożego Narodzenia. Niestety zanim on nastąpi, zaplanowałam zaproszenie kilku osób. Nie byłoby w dobrym guście, bym teraz im odmówiła. Sam rozumiesz? - zapytała retorycznie.

- Wiem, mam, i nie chciałbym sprawiać problemu swoją osobą. Może po prostu będę trzymał się od tego zamieszania z daleka albo odwiedzę w tym czasie brata w jego dworze?

- Nonsens. Nie wyglądałoby to dobrze, gdyby mój długo niewidziany syn opuścił mnie tylko dlatego, że w domu pojawili się goście. Ktoś mógłby podejrzewać, że nie panuje między nami zgoda. W dodatku wymagają tego zasady. - Hrabina Modlińska знаła swoje dzieci od podszewki i dobrze wiedziała, jakich użyć argumentów w stosunku do każdego z nich. Maurycemu, najmłodszemu z synów, wspomniła o urodziwych pannach, najstarszemu, że honor rodu wymaga, by pierworodny towarzyszył matce, a Anthony'emu opowiedziała o konwenansach. Był w połowie Anglikiem i tak wychowała go tamtejsza część rodziny, że zasady etykiety miał zwyczajnie we krwi.

- Niech się mama nie martwi, nie zrobię niczego, co w jakikolwiek sposób uchybiłoby pozycji mamy i tego domu.

- Szkoda... - szepnęła. Mógłbyś od czasu do czasu pójść w ślady młodszego brata, pomyślała. Choć i ten mógłby pouczyć się co nieco od ciebie. - Cieszę się - powiedziała głośno.

- Mam tylko nadzieję, że nie będą to jakieś wielkie uroczystości.

- Nie - skłamała lekko. - Zwyczajna wizyta kilku osób połączona z polowaniem, wieczorkiem muzycznym, może potańcówką... Takie tam drobne towarzyskie sprawy, żeby goście nie czuli się zaniedbani i nie nazwali mnie nieudolną gospodynią.

- Ależ skąd! Mam! Nikt by tak mamy nie określił. Radzi sobie mama z towarzystwem i z prowadzeniem tego wielkiego domu po mistrzowsku. Widzę przecież, jak skrupulatnie prowadzone są księgi rachunkowe.

- Sprawy dzieci i ich wychowania, które zajmowały mi większą część dnia do tej pory, wraz z tym, jak po kolei dorastacie, zaczęły schodzić na dalszy plan. Po śmierci hrabiego zwyczajnie przejęłam jego rolę. Zresztą pomagałam mu w tym już wcześniej.

- Wiem i dalece cenię sobie mamy talenty w tej materii. Prowadzenie dokumentacji całego folwarku, do tego rachunki pałacyku, planowanie zakupów, zapasów, zeznania podatkowe, wizyty interesantów, przeglądanie korespondencji urzędowej, społecznej i towarzyskiej. Doprawdy nie mam pojęcia, skąd mama bierze na to czas i siły.

- Ja również. A teraz przygotowuję listę gości. Może masz jakieś sugestie?

- Nie - odparł zbyt szybko.

- Jesteś pewien?

- Hm. - Podrapał się w brodę, jak to czynili wszyscy jej synowie, kiedy chcieli coś ukryć. - Może wicehrabia Gielczyński? Skarżył się na brak towarzystwa w tym swoim wielkim dworze.

- Wicehrabia powiadasz? - Hrabinie aż oczy zaświeciły się na wspomnienie tego nazwiska i nie chodziło jej bynajmniej o sprowadzenie tu jego posiadacza. Anthony'emu, miała nadzieję,

również. – Dobrze. Mogę go dopisać do listy. Oczywiście razem z jego podopieczną – dodała mimochodem.

– Nie wypada inaczej.

W odpowiedzi uśmiechnęła się ciepło do syna. Miły, czarujący, przystojny i można nim łatwo kierować... Jeśli panna Wieczorek okaże się odpowiednią kandydatką, powinno pójść gładko, pomyślała.

---

<sup>3</sup> Rozbudowa, przebudowa i rozkwit pałaców, dworów i zabudowań folwarcznych nad Biebrzą i jej dopływami przypada na drugą połowę XVIII wieku. Według *Encyklopedii staropolskiej ilustrowanej* Zygmunta Glogera (tom II, Wyd. P. Laskauer i W. Babicki, Warszawa 1900–1903, s. 85): „(...) nie było ani jednej wioski lub dworu czy folwarku, żeby nie posiadały starego, omszałego a ozdobnie zbudowanego z drzewa bądź dworku, bądź ganku, spichrza, lamusa lub «męki Pańskiej» za wioską”. Opisany powyżej pałacyk został utworzony na potrzeby tej historii na podstawie planów istniejących budynków, ale w powieści pojawiają się też miejsca autentyczne. Większość z nich niestety nie doczekała czasów obecnych.

<sup>4</sup> Według Antoniego Zagrzejewskiego, autora *Encyklopedii rolnictwa* z 1873 roku, bursztyn poza terenami nadmorskimi można było znaleźć m.in. wzdłuż Biebrzy. Wielu włościan podbudowanych i hojnie wynagradzanych przez spekulantów starozakonnych, zaniedbując własne gospodarki, ulegało „bursztynowej gorączce”. Raporty składane przez nadleśnego do ówczesnej intendencji Dóbr i Lasów Narodowych departamentu łomżyńskiego opisywały ją w taki sposób: „Włościanie wsi okolicznych podbudowani i hojnie wynagradzani przez spekulantów starozakonnych gromadnie i z zaniedbaniem własnej gospodarki wychodzili do kopania bursztynu, nie zasypując nawet wądołów, czemu przy nielicznej straży leśnej niepodobna było zapobiec”. Aby zapobiec „dziękiemu wydobyciu”, ogłoszono licytację na dzierżawę. Pierwszy kontrakt na trzyletnią dzierżawę podpisano w 1816 roku. Źródło: [historialomzy.pl/bursztyn-w-lesnictwach-nadbiebrzanskich-w-latach-20-tych-xix-wieku/](http://historialomzy.pl/bursztyn-w-lesnictwach-nadbiebrzanskich-w-latach-20-tych-xix-wieku/) (data dostępu: 12.09.2022).

### 3.

#### *Dwór wicehrabiego Gięczyńskiego*

Od jedenastego roku życia, czyli od śmierci ojca, Izabela Wieczorek mieszkała w dworze wuja, przybranego brata swojej matki (nie licząc epizodu z pensją, gdzie spędziła prawie cały rok). Tak zadecydowała, mając do wyboru wiecznie zajętego pracą brata i zaślubioną wówczas pewnemu niesympatycznemu dżentelmenowi siostrę, którzy mieszkali w Warszawie. Ona co prawda również po śmierci matki przeprowadziła się z ojcem do stolicy, ale pozwalano jej każde wolne od nauki chwile spędzać w majątku wuja, którego określiła sobie na tyle wokół palca, że spełniał jej każdą zachciankę.

Odkąd skończyła lat dwadzieścia, coś zaczęło się w ich relacji zmieniać. Z początku starała się nie zwracać uwagi na drobne niuanse w zachowaniu wicehrabiego, choć szczerze powiedziawszy, to jej wrodzona duma nie pozwoliła, by takie drobnostki zauważać. Od najmłodszych lat szczyliła się tym, że mimo stosowania określonych zasad mogła w wielu kwestiach decydować o samej sobie i, stosując odpowiednie sztuczki, osiągać zwykle to, na co akurat miała ochotę.

Kiedy jej starsza siostra Natalia wyszła za mąż i dała sobie wejść na głowę apodyktycznej teściowej, Izabela nie tylko krytykowała jej uległość, wprost, czego zaczynała się powoli wstydzić, naśmiewała się z jej braku asertywności, zupełnie nie rozumiejąc, jak dorosła kobieta może dać się tak zmanipulować i stłamsić przez niegroźną starszą panią. Podkreślała oczywiście przy tym, że ona nigdy nie dałaby się wmanewrować w taki układ i nigdy nie stałaby się ofiarą jakiegś despotki. Co prawda było to dawno temu i Natalia jest teraz żoną innego mężczyzny, jednak niesmak pozostał i Izabela nie mogła, lub raczej nie chciała, przyznać się, że sama być może nie jest tak do końca wolna i samodzielna, za jaką zawsze chciała uchodzić. Może nie była ubezwłasnowolniona, ale zaczynała dostrzegać mankamenty bycia podopieczną, zwłaszcza gdy w grę wchodziło znalezienie męża. A tego znaleźć chciała. Bardzo!

Wuj, od kiedy tylko zjawiła się w jego dworze, starał się ją rozpieszczać i psuć jej charakter pobłażliwością w stosunku do wybryków. Pozwalał jej też poznawać wiele rzeczy, których panny poznawać nie powinny. Zapewnił jej dobre wykształcenie, dopuścił do wszystkich książek znajdujących się w jego bibliotece (a miał w niej spory zbiór lektur o treści z pewnością nieprzeznaczonej dla młodych dziewcząt) i nie ograniczał wydatków. Z biegiem lat jednak za podszeptem osób postronnych zaczął baczniej zwracać uwagę na jej zachowanie i dokładniej przyglądać każdemu jej posunięciu. Odniosła wrażenie, że starał się również trzymać się bardzo blisko niej, co sprawiało, że nie czuła się komfortowo. Może wynikało to z braku bliskich przyjaciół, żony i własnych dzieci, ale stawało się coraz bardziej uciążliwe.

Co do zaistnienia zmian w zachowaniu wicehrabiego nie miała najmniejszej wątpliwości, natomiast nie była w stanie odnaleźć ich intencji. Czy martwił się o dobry wybór jej przyszłego

małżonka (co by tłumaczyło jego podejście do zainteresowanych nią mężczyzn), czy może o coś zupełnie innego? W każdym razie odnosiła wrażenie, jakby próbował ją na coś przygotować. Nie miała jednak pojęcia na co.

Oczywiście równie dobrze mogła to być jej imaginacja. Zaczynała nudzić się w dworze, a wybujała wyobraźnia, jaką mogła się poszczycić, odkąd zaczęła składać pierwsze zdania, podsuwała jej przerażające wizje i kazała błędnie interpretować poczynania wuja. Regularnie przedstawiał jej zamożnych mężczyzn, których w żaden sposób nie mogła wyobrazić sobie u swego boku, ale równocześnie zapewniał, że nie musi spieszyć się z zamążpójściem. Poza tym ostatnio zaczynał działać jej na nerwy jedynie dlatego, że był mężczyzną, a oni wszyscy (tego była pewna) mieli coś na sumieniu i uważali się za lepszych od płci pięknej. No i zwyczajnie lubiła się z nim przekomarzać.

Dobiegał sześćdziesiątki, ale starał się trzymać w dobrej formie mimo dawnej kontuzji. Nie siedział całymi dniami w pałacyku. Jeździł konno, kontrolując stan swojego majątku, spacerował, ćwiczył w specjalnie przygotowanej do tego komnacie szermierkę i boks i raz na jakiś czas dobierał sobie i utrzymywał na boku kochankę (o czym wiedziała od plotkującej służby). Nigdy się nie ożenił, co dziwiło jego znajomych, a przez wiele lat przyprawiało szacowne matrony z okolicy o palpacje i rozstrój nerwowy. Wicehrabia niczego sobie jednak z tego nie robił, a z niezamężnymi kobietami postępował niezwykle ostrożnie i nigdy nie dał się przyłapać na choćby najmniejszej dwuznaczności.

Jeśli chodziło o jego powierzchowność, to nie była ona nieprzyjemna. Miał szpakowate, całkiem bujne włosy, które zaczesywał gładko na prawą stronę, gęste brwi, dość wydatny nos, ładnie przyszyrzyżony zarost, wąskie usta i ciemne, niemal granatowe oczy. Był mężczyzną raczej wysokim i dość postawnym, choć nieco się garbił. Potrafił ubrać się stosownie do sytuacji, a zachowaniem, nienagannymi manierami i władcym, niskim tembrem głosu był w stanie uwieść niejedną starszą i młodszą damę.

Nie to, że Izabela go nie lubiła. Zawdzięczała wujowi bardzo wiele i doceniała go jako opiekuna. Wiedziała również, że przeznaczył dla niej naprawdę okazały posąg i nie zmuszał do wyjścia za mąż za pierwszego lepszego szlachcica, jaki starał się o jej względy. Właściwie to nigdy wcześniej nie oceniała go tak krytycznie i nie dostrzegała w nim tylu irytujących cech, co przez ostatnie miesiące. Może dlatego, że wcześniej nie spędzała z nim tak wiele czasu, a może dlatego, że przyłapał ją latem w ogrodzie z tamtym uroczym młodzieńcem i po raz pierwszy w życiu naprawdę się na nią zezłościł, wyzywając od lekkomyślnych niewdzięcznic.

Ciekawa była, co stało się z tamtym młodym szlachcicem, ale wolała unikać tematu. Podejrzewała, że dostał porządną reprimendę i zakaz zbliżania się do majątku wicehrabiego na kilka kilometrów, co najwyraźniej było mu na rękę, bo nie odezwał się później ani słowem. Żadnego liściku, żadnej przekazanej przez służącą róży. Nic. Widać nie zależało mu tak bardzo, jak to jej szeptął, próbując skraść kolejne pocałunki. Zresztą nie dziwiła mu się... Gdyby wicehrabia chciał, to tego samego dnia stawiliby się wraz z rajkiem, a następnego dawał na zapowiedzi w najbliższej parafii. Nie był to zresztą pierwszy przypadek, kiedy niby zakochany w niej do szaleństwa młodzieniec nagle wycofał się z zalotów i zapadł pod ziemię. Ostatnio też jeden z nich nie stawiał się na umówione spotkanie, mimo że zapewnił o punktualności w liście. Zaczynała zastanawiać się nawet, czy to przypadkiem nie w niej tkwił problem.



Izabela skończyła latem dwadzieścia trzy lata, choć wcale na tyle nie wyglądała, kiedy brało się pod uwagę zarówno jej figurę, twarz, jak i sposób bycia. Miała okrągłe, rumiane policzki, mały, nieco zadarty nosek, niewielkie, ale pełne usta i szare, niemal srebrne tęczęwki z ciemną otoczką. Kiedy spoglądało się w jej oczy w jasny, słoneczny dzień, wokół źrenic można było dostrzec białe i srebrne niteczki niczym promienie. Jej włosy przypominały złote loczki amorków ze starych malowideł, a krótka, podkreślona grzywka i wypuszczone z luznego upięcia loczki nadawały twarzy uroku i dziewczęcości. Jej figura natomiast w niczym nie przypominała pulchniutkiego dzieciątka. Co prawda była nieco zaokrąglona, miała gładkie, różowe ramiona i drobne dłonie, ale całkiem pokaźnej wielkości biust, długie nogi, szerokie biodra i wcięcie w talii. Poruszała się płynnie, z gracją, akcentując kolejne kroki. Jej postawa i wyraz twarzy wskazywały na dużą pewność siebie. Takie połączenie krnąbrnego, acz słodkiego dziecka z elegancką, piękną damą.

\*

– Mówiłem ci już, moje dziecko, że nie mam zbyt dobrego słuchu i wolałbym, byś podczas kolacji wybierała miejsce bliżej mojego krzesła – powiedział wicehrabia Gięczyński, starając się zachować obojętny ton.

– A ja powtarzałam wujowi za każdym razem, że zasad należy się trzymać niezależnie od panujących warunków. Powinniśmy zajmować przeciwległe krańce stołu, jak to czyniliśmy przez ostatnie lata, i nie zmieniać naszych przyzwyczajęń – odparła z udawaną uprzejmością Izabela Wieczorek.

– Chyba nie chcesz, bym musiał krzyczeć przez całą długość stołu, zdzierając sobie do reszty struny głosowe? – Wicehrabia zaczął odwoływać się do jej sumienia.

– Naturalnie, że nie chcę. Dlatego proponuję, byśmy szybko zjedli te pyszności i udali się do swoich komnat, nie przeciągając wieczerzy i tym samym nie narażając wuja na ból gardła.

– Posłała mu perfekcyjnie opanowany uśmiech niewiniątka.

– Wiesz, że nie miewam tu wiele rozrywek poza naszymi pogawędkami. Zwłaszcza podczas posiłków. Chyba nie chcesz odmówić mi choćby takiej przyjemności? Zdaje się, że ja starałem się zawsze spełniać twoje zachcianki.

– To prawda, wuju, ale sam wuj widzi, że ciężko tu znaleźć kompromis.

– Dlatego z racji wieku powinnaś mi nieco ustąpić i przestać chować się za tymi wszystkimi wazami, świecznikami i flakonami kwiatów.

– Wyraziłam już opinię na ten temat – rzekła, starając się zachować spokój.

– W takim razie nie pozostawiasz mi wyboru.

Podniósł się z miejsca i skinął na lokaja, by przeniósł jego krzesło bliżej krańca stołu, który zajmowała Izabela. Sam wyprostował się na tyle, na ile pozwoliły mu bolące plecy, wciągnął nieco wystający brzuszek i uniósł dumnie podbródek, prezentując swoją modnie wystrzyżoną siwiejącą bródkę.

Nie miała innego wyjścia. Pospiesznie jadła posiłek, by jak najszybciej udać się do salonu. Układ mebli w tamtym pomieszczeniu nie pozwalał na tak bliskie usadowienie się wuja.

Wicehrabia, zajmwszy miejsce bliżej jej krańca stołu, spokojnie począł konsumować posiłek.

– Wiesz, że nie unikniesz tej rozmowy – powiedział, kończąc przeżuwać mięso.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale mogę ją odłożyć nieco w czasie. - Uśmiechnęła się nieznacznie.

- W końcu jednak ten dzień nastąpi. Nie chcę na ciebie naciskać, ale nie stajesz się młodszą, a jako twój opiekun mam pewne obowiązki.

- Rozumiem, wuju. Ale może nie dzisiaj. Strasznie mnie boli głowa.

- Dobrze - odparł niechętnie i skinął na lokaja, by dolał mu wina. - Zjedzmy zatem w milczeniu i przejdziemy do salonu. Każę zaparzyć ziółek.

Izabela kiwnięciem głowy przytaknęła na propozycję i po niespełna półgodzinie krzywiła się, siedząc na inkrustowanej mahoniowej sofie i popijając skomponowaną przez wuja gorzką miksturę.

- O czym tak rozmyślasz, moja dziecinko?

- O niczym szczególnym, wuju.

Wzruszył ramionami i zajął się przeglądaniem poczty.

- Coś ciekawego? - zapytała, zmieniając temat po tym, jak wicehrabia wyciągnął zdobiony papier zalakowany pieczęcią ze stemplem, który zasłonił dłonią.

- Hrabina Modlińska zaprasza nas tym razem na dłuższy pobyt w swoim dworze. Ma zorganizować dwa tygodnie ostatekowe, zakończone andrzejkami, byśmy mogli wybawić się przed adwentem. Możemy wybrać któryś z nich albo nawet obydwą.

- Andrzejki? To dobre dla naiwnych panienek. - Starła się nie okazywać entuzjazmu, choć z niecierpliwością czekała na to zaproszenie.

- Masz rację, jednak zdaje się, że pochopnie wyraziłem zgodę, gdy podpuściła mnie przy poprzedniej wizycie.

- Możemy wymówić się słabym zdrowiem wuja - zaproponowała prowokacyjnie Izabela. Dobrze wiedziała, że wiek i siły vitalne to pięta achillesowa jej opiekuna. Bardzo chciała wyrwać się choć na chwilę z tego tonącego w ciszy budynku i pobyc w towarzystwie córek hrabiny Modlińskiej. Były od niej trochę młodsze, ale naprawdę dały się lubić. W dodatku mieli zjawić się również jej synowie. Poznała już najmłodszego z nich, przesłodkiego, wesołego młodego hrabiego Maurycego Modlińskiego (po trzecim mężu hrabiny). Szeptano, że to straszny kobieciarz i bezgranicznie rozpieszczony nicpoń, ale mimo to pozostawała pod jego urokiem. Nie ona jedna. Nie dało się przejść obojętnie obok wysportowanego, wysokiego młodzieńca o urodzie Hermesa z obrazu Rubensa „Awantura o piękno”. Poznała również środkowego z braci, w połowie Anglika, inteligentnego, przystojnego i niezwykle uprzejmego, choć nieco roztargnionego hrabiego Anthony'ego Athertona (po drugim mężu hrabiny) i szczerze powiedziawszy, ten spodobał się jej jeszcze bardziej. Równie wysoki i ładnie zbudowany, ale o ostrzejszych rysach i ciemniejszych włosach. Ten skojarzył się jej ze Świętym Sebastianem z obrazu Botticellego. W dodatku miał się zjawić również najstarszy z braci. Jego niestety nie udało się jej wcześniej poznać, ale słyszała o nim jak najlepsze opinie.

- Bez przesady. Nikt nie uwierzy, że nie jestem w stanie sprostać wiejskim rozrywkom hrabiny.

- Ma wuj całkowitą rację. Niezbyt mnie to cieszy - skłamała - ale nie możemy pozwolić, żeby ktoś w ten sposób pomyślał. Poświęcę się i pojedę tam, jeśli wuj sobie tego życzy.

- Ależ mo...

– Już idę się pakować! – przerwała mu w pół słowa. – Nie musi mnie wuj dwa razy prosić. Tyle przecież mogę dla wuja zrobić. – Wstała i obróciwszy się na pięcie, pognąła na górę do swoich pokoi. Wiedziała, że nie może zostać tam ani chwili dłużej, bo wicehrabia także potrafił przekierować rozmowę i osiągnąć to, czego chciał. To od niego nauczyła się tej sztuki.

Wpadła do swojej sypialni i sprawdziwszy, czy wszystkie drzwi ma pozamykane, opadła szczęśliwa na szezlong.

Podczas poprzedniej wizyty w dworze hrabiny Modlińskiej miała okazję spędzić nieco więcej czasu ze średnim synem hrabiny i musiała przed sobą przyznać, że wywarł na niej jak najlepsze wrażenie. Nie mogła powiedzieć, że nie czekała także na spotkanie z pozostałymi synami hrabiny. Panny Modlińskie zachwalały najstarszego z braci. Podziwiała jego nienaganne maniery i ze wszech miar elegancki sposób bycia. Baron był bohaterem wojennym, człowiekiem prawym i inteligentnym. Była bardzo ciekawa, jak ten cud przy tyłu zaletach wygląda. Najmłodszy z synów hrabiny również się jej spodobał. Sympatyczny, dowcipny, rozgadany i... niestety zbyt pochłonięty liczbą flirtów, jakimi się aktualnie zajmował, by jakoś ją specjalnie wyróżnić.

Izabela nie szukała męża za wszelką cenę, ale czuła, że moment ten musi niedługo nastąpić, a nie miała zamiaru wiązać życia z jakimś nudziarzem, hulaką, despotą czy kobieciarzem. Chciała sobie zapewnić znośne życie z kimś, kogo nie będzie starała się do późnej starości unikać. Czy w takiej roli zobaczyła Anthony'ego Athertona? Skłamałyby, przecząc temu stwierdzeniu. Zwłaszcza że Anthony miał tę dodatkową przewagę nad innymi potencjalnymi kandydatami do jej ręki, że posiadał majątek w Anglii, podróżował do Indii i nie miał nic przeciwko temu, by jego małżonka również wędrowała po świecie. Może nawet niekoniecznie z nim.

Miała już przykre doświadczenia z konkurentami, którzy albo zupełnie nie nadawali się do roli przyszłego męża, albo właśnie nadawali, ale mimo zapewnień zainteresowania jej osobą, kiedy już przychodziło co do czego, znikali bez śladu. Wstydziła się kogoś o nich pytać i opowiadać o tym komukolwiek, bo każda taka sytuacja bardzo mocno godziła w jej honor i zmniejszała poczucie wartości. Ostatnim razem przecież zgodziła się na spotkanie w ogrodzie z młodym szlachcicem z okolicy dopiero po piątym jego liście z błaganiami. I co? Czekala jak głupia przez pół godziny, moknąc w deszczu, bo ten wcale się nie zjawił. Miała nadzieję, że dopadło go jakieś choróbsko albo stado wilków po drodze, ale nawet wyjaśnienia żadnego nie dostała. Tylko jakąś błyskotkę z przeprosinami. To wszystko.

Poza tym mieszkanie pod jednym dachem z wujem zaczynało jej zwyczajnie ciążyć. Może kiedyś myślała, by nie wychodzić za mąż i żyć u jego boku spokojnie, będąc jego opiekunką, a po śmierci przycupnąć u kogoś innego z rodziny. Ostatnio jednak stała się wobec niego podejrzliwa i zaczynała czuć się w jego towarzystwie mniej swobodnie niż przedtem. Na pewno nie miała zamiaru tracić czasu, a wyjście za mąż było najlepszym rozwiązaniem na zmianę miejsca zamieszkania.

– Panienko Izabelo – usłyszała zza drzwi cienki głos pokojówki.

– Słucham, Adelo?

– Mamy gościa i wicehrabia pyta, czy nie zechciałyby panienka zejść i wypić jeszcze trochę herbaty.

– A któż to taki?

- Baron Krzyżewski, panienko.

- Wejdz, Adelo. - Otworzyła drzwi, wpuszczając służącą. - Nie za bardzo chce mi się tam schodzić - wyznała.

- Wiem, ale wicehrabia nalegał. Będzie na mnie zły, że panienki nie przyprowadziłam.

- Wybronię cię, nie musisz się nim przejmować.

- Niby wiem, ale wie panienka, że to jakoś nieswojo.

- Naprawdę nie mam ochoty. - Westchnęła. - Po cóż jestem im tam potrzebna? - dopytała, widząc niezadowoloną minę pokojówki.

- I o to samo zapytał baron.

- Po cóż im jestem potrzebna? - upewniła się.

- No, tak.

- W takim razie chętnie zejdę. - Zacisnęła pięści. - Pomóż mi włożyć coś odpowiedniego.

W tym czasie mężczyźni wspominali jedne z poprzednich odwiedzin barona.

- Co się stało z tym napadniętym szlachcicem, którego wtedy uratowaliśmy?

Wicehrabia z Krzyżewskim wybrali się wówczas na objazd włości tego pierwszego i nad samą Biebrzą w jednej z zacumowanych łódek dostrzegli związanego młodego mężczyznę. Miał szczęście, że wicehrabiemu zachciało się tamtędy akurat jechać. Baron upierał się przy twardszym gruncie, by konie nie powykręcały nóg na miękkim podłożu przy rzece.

Mężczyzna czymś otumaniony, na wółprzymny, ze związanymi rękoma i nogami siedział w łódce. Majaczył coś o jakiejś obietnicy i spotkaniu w ogrodzie. Odwieźli go wówczas do domu i przekazali pod opiekę rodzinie.

- Odwiedziłem go niedawno i ma się bardzo dobrze. Obiecał nie włożyć się więcej samotnie po ciemku.

- Powiedział, co mu się stało?

- Niestety. Nie pamiętał niczego. Widać ktoś go zaszedł od tyłu i uderzył w głowę, a następnie pozbawił sakiewki i zostawił na pastwę dzikich zwierząt. Miał szczęście, że go znaleźliśmy.

- To prawda.

- Przepraszam najmocniej, mości panie. - Nagle, nie wiadomo skąd, wyrósł obok nich zarządca wicehrabiego. - Przyjechał kupiec do tych jałówek. Spieszy się, by zdążyć przed zmrokiem, i nie chce zachodzić do dworu. Już poszedł do jałownika i jeśli się pan nie pośpieszy, to powybiera najlepsze sztuki, a nie te, cośmy planowali.

- Obawiam się - wicehrabia, pomijając zarządcę, zwrócił się do barona - że muszę pana na chwilę zostawić. Proszę skorzystać z mojej biblioteki albo obejrzyć trofea myśliwskie w jadalni.

- Zbytek ambarasu. Zwyczajnie tu sobie poczekam. Chętnie posiedzę sobie bez zajęcia, jeśli pan pozwoli.

- Proszę się nie krępować. Powiem, by doniesiono ciasta.

Wicehrabia niechętnie, ale pospiesznie wstał i wyszedł za służącym, zostawiając Klemensa samego w salonie. Niestety nie było mu dane posiedzieć tam w samotności, bo po kilku minutach ciszy rozległo się stukanie pantofelków i głośne fuknięcie zapowiadające z pewnością uczucie zgoła odmienne od euforii spowodowanej jego widokiem.

- Dzień dobry, panno Wieczorek. Mnie też jest przyjemnie panią widzieć.

- Dzień dobry. - Zatrzymała się, lustrując położone na sekretarzyku książki. Sama je tam zostawiła, jak to miały w zwyczaju inne prowadzące dwory panie, by pokazać przybyłym gościom, że oddają się w wolnym czasie poważniejszej lekturze.

- Skończyła się wreszcie pani na mnie dąsać?

- Nie.

- A istnieje szansa, aby się tak stało? - Nie wiedział dlaczego, ale nie chciał jej zignorować, zresztą musiał przyznać, że wyglądała naprawdę uroczo w tej... raczej niecodziennej sukni. Czyżby wybrała coś szykowniejszego ze względu na jego osobę?

- Wątpię.

- A czy mógłbym wiedzieć, czym tak naprawdę naraziłem się pani osobie?

- Może.

- Nie to, żeby mi jakoś szczególnie zależało na poprawieniu naszych stosunków. - Zależało mu w zasadzie, bo chciał wydobyć od niej informacje na temat zaginionego szlachcica i pierścienia wysadzanego diamentami, ale tego zdradzać nie mógł. Dodatkowo musiał, choć niechętnie, przyznać, że wbrew niezbyt zachęcającemu charakterowi pannę Wieczorek cechowała niezwykle interesująca aparycja. Musiałby być martwy lub niespełna rozumu, by nie zwrócić uwagi na linię jej talii, gęste, miękkie loki, wielkie szaroniebieskie oczy i zaróżowione usteczka. Poruszała się także z niewymuszoną gracją i jeśli chciała, potrafiła być naprawdę słodka. - Bywam jednak dość częstym gościem pani wuja, a na dłuższą metę męczące jest toczenie zupełnie bezsensownej wojny.

- Czyżby?

- Może pani lubi się ze wszystkimi sprzeczać, panno Wieczorek. Ja jednak należę do ludzi ceniących sobie spokój. - Zaczynała go powoli mierzić jej nonszalancja w stosunku do obowiązków gospodyni. Bądź co bądź to on był tutaj gościem i to jego powinno się zabawiać rozmową.

- Może.

Raczyła w końcu na niego spojrzeć, ale zrobiła to bardzo szybko. Raczej pobieżnie zlustrowała jego buty, kolana, a na końcu włosy. Poczuł się nieswojo. Zwykle kobiety zatrzymywały się przy jego ustach lub wyrzeźbionych przedramionach, ale kolana i włosy? Na litość boską!

- Nie mamy świadków, pani stryj wróci nieprędko. Może pani czuć się swobodnie.

Do głowy przysłała mu irracjonalna myśl, że może zawstydziła się tym, że są sami. W zasadzie po takim czasie przebywania na osobności z niezamężną damą, gdyby dowiedziała się o tym jakaś szacowna matrona, choćby któraś z jego licznych ciotek, to jak nic musiałby podpisywać wkrótce stosowne dokumenty nakładające łańcuch małżeński na oboje nieszczęśników. Towarzystwo nie lubiło odstępstw od panujących konwenansów, zwłaszcza jeśli dotyczyły się one relacji intymnych (a za takie brane były zarówno zbyt przytulenie w walcu, zbyt długa wymiana zdań podczas przyjęcia, a już na pewno przebywanie, nawet najbardziej niezdrożne, w jednym pomieszczeniu bez żadnej przyzwoitki dłużej niż pięć minut).

- Jeśli pani chce, możemy pootwierać na oścież wszystkie drzwi dla przyzwoitości.

- Tak?

- Jeśli to panią kępuje, choć nie wydaje mi się, żeby była pani zdolna do takich przyziemnych emocji. - Zaczynał już go denerwować ten jawny brak zainteresowania. - O cóż pani chodzi? - zapytał, starając się zachować spokój. - Do licha ciężkiego - burknął ciszej.

- O nic.

- Zapomniała pani, jak się mówi pełnymi zdaniami?!

Jeśli taki miała cel, to się jej udało. Wyprowadziła go z równowagi. Jego, mistrza subordynacji, króla samokontroli. Diablica jedna!

Najwyraźniej właśnie taki był jej plan, bo zauważył, jak zacisnęła wargi, by kąciki ust nie uniosły się machinalnie, ale jej zadarty podbródek i wypięta pierś świadczyły o zadowoleniu z odniesionego zwycięstwa.

On jednak nie zamierzał się poddać. To tylko krótka potyczka. Niech panna Wieczorek ponapawa się przez chwilę, a on skrętnie to wykorzysta.

- W zasadzie to i lepiej, że postanowiła pani milczeć. Kiedy nie otwiera pani zbyt często ust, wydaje się znacznie atrakcyjniejsza. Mogłaby się mi pani nawet spodobać. - Prześlizgnął wzrokiem ostantacyjnie i bardzo powoli, poczynając od stóp, aż po czubek głowy, po całym jej zgrabnym ciele. Udało się. Fuknęła niezadowolona i odwróciła się tyłem. W zasadzie równie interesującym co jej profil... Do licha! Sam się zaraz zarumieni, jeśli nie przestanie się wpatrywać w jej kształtny kuperek. Nic dziwnego, że wiele jej wybaczano i miała zapewniony stały kordon absztyfikantów. Była naprawdę pociągająca. Czy chciał, czy nie chciał, musiał to jednak przyznać.

## 4.

### *Pałac hrabiny Modlińskiej*

Izabela cieszyła się z tej wizyty niczym małe dziecko. W końcu mogła spędzić ponad tydzień w towarzystwie więcej niż kilku osób. Zaplanowano wiele ciekawych atrakcji, a pobyt miał zakończyć się balem maskowym z okazji andrzejek. Dziewczyna miała świadomość, że życie nie składa się jedynie z samych rozrywek, a te zarezerwowane są wyłącznie dla wybranych, ale skoro nadarzała się okazja, to głupotą byłoby z niej nie skorzystać.

Wuj nie przejawiał wielkiego entuzjazmu, ale nie wyglądał też na szczególnie cierpiącego, zwłaszcza że tereny należące do hrabiny obfitowały w zwierzynę łowną, a on potrzebował koniecznie kolejnego poroża jelenia do swojej i tak (zdaniem Izabeli) zbyt dużej kolekcji martwych głów. Nie to, żeby była ona przeciwniczką zabijania zwierząt. Uwielbiała dziczyznę, zwłaszcza odpowiednio przyprawioną, wiedziała również, że do jej kołnierzy zwierzęta się nie rozbierają, a trzeba je z ich futra obedrzeć. Co innego jednak polowanie służące zaspokojeniu potrzeb żywieniowych czy dla pięknych futer, a co innego eksponowanie ich na ścianach salonu. Jakoś nigdy nie przepadała za tym procederem. Kiedy była małą dziewczynką, brat nastraszył ją wypchanym dzikiem i od tamtej pory nie potrafiła się z tego do końca otrząsnąć.

Ich powóz podjechał pod piękny, w większości drewniany budynek z licznymi wieżyczkami i dobudówkami, otoczony wspaniałym parkiem, ogrodem i sadem. Część folwarczna, jak jej powiedziano, znajdowała się w pewnym oddaleniu od części dworskiej i rzeki. Tereny nad wodą nie były najłatwiejszymi do upraw, przynajmniej do czasu, gdy nie zaczęto korzystać z wiedzy Anglików i Szkotów sprowadzanych na północno-wschodnie tereny Kongresówki po ogłoszeniu amnestii z 1815 roku i zwrocie zarekwirowanych przez władze carskie dóbr. Hrabina za namową swego średniego syna, Anthony'ego Athertona, i jego przyjaciela hrabiego Ludwika Michała Paca<sup>2</sup> zaczęła stosować w swoim majątku płodozmian, uprawę rzadko spotykanych na tych ziemiach roślin, takich jak: orkisz, rzepak, rzepa szkocka czy ziemniaki. Postanowiła również uprawiać chmiel i wybudować niewielki browar ku uciesze głównie męskiej części gości. Oczywiście to jej najmłodszy syn figurował na dokumentach, ale wszyscy znający jego usposobienie wiedzieli, że to matka pociąga za sznurki.

– Gotowa? – zapytał wuj, kiedy zatrzymali się na utwardzonym podjeździe.

– Naturalnie – odparła bez okazywania większych emocji, choć w duchu krzyczała: „Jeszcze jak!”.

Nie mogła doczekać się, kiedy pozna barona. Maurycy, najmłodszy z synów hrabiny Modlińskiej, był czarującym młodym człowiekiem, ale zbyt lubił kobiety, by skupić uwagę tylko na niej jednej. Potrafiła wyczuć takich mężczyzn z daleka. Owszem, obsypywał ją komplementami i obdarzał zalotnym, zawadiackim uśmiechem. Puścił do niej oko, a to, jak całował dłonie na powitanie, mogło rozbudzić nawet litą skałę. Anthony był natomiast nieco nieśmiały, jeśli chodzi o flirt, raczej zachowawczy, za to niesamowicie uprzejmy i serdeczny.

Sama słodczy, można by rzec, co trochę ją przerażało, bo nie wiedziała, czy będzie w stanie sprostać zadaniu bycia równie miłą i uprzejmą co on. Ciekawa była ich najstarszego brata. Słyszała, że walczył w wojnach napoleońskich, gdzie wykazał się heroiczną odwagą. Skoro potrafił się bić i posługiwać bronią nie tylko przy strzeleniu do rzutek, to z całą pewnością musiał mieć w sobie coś dzikiego, mrocznego, coś, co ją zawsze pociągało u mężczyzn. Nie słyszała, by brał udział w jakimś skandalu ani prowadził się szczególnie lekkomyślnie, choć to wcale nie musiało oznaczać, że był nudny. Samodzielnie zarządzał sporym majątkiem odziedziczonym po ojcu i jedyne, czego mu brakowało, to odpowiednia małżonka. Jeśli do tego był choć w połowie tak przystojny, jak jego bracia, to z całą pewnością powinna mu się pokazać z jak najlepszej strony.

Wybrała lekką żółtą suknię z krótkimi rękawkami, związaną pod biustem wzorem najmodniejszych sukien epoki napoleońskiej. W końcu tego wieczoru panie miały ubrać się właśnie w wypieranym obecnie przez zdobniejsze suknie stylu empire i nie mogło jej nie przemknąć przez głowę, że dzięki temu zyska nad pozostałymi sporą przewagę. Suknie te, choć bardzo romantyczne, dobrze wyglądały jedynie na posagowych figurach. Pozostałe panie nie prezentowały się w nich już tak atrakcyjnie. Jej spory, ale nieprzesadnie wielki biust, szczupłe ramiona i niewielki obwód wokół żeber sprawiały, że ten krój stworzony był wprost dla jej osoby.

Sala balowa w pałacyku hrabiny Modlińskiej wyposażona była w podwieszane u sufitu i zamocowane pod specjalnymi lustrami w ścian kandelabry z taką liczbą świec, że jej blond pukle z wplecionymi sznureczkami migoczących koralików, upięte wysoko na karku z wypuszczonymi po bokach loczkami prezentowały się również wyjątkowo korzystnie. Do tego wygodne pantofelki, przytwierdzony do nadgarstka karnecik i wachlarz, długie białe rękawiczki oraz półprzezroczysty szal narzucony niedbale na ramiona.

Ostatni raz zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Nie ma takiej możliwości, by najstarszy syn hrabiny przeszedł obok niej obojętnie. Musiałby zupełnie nie interesować się kobietami, ale to już zdążyła wykluczyć, zasięgając języka u kilku starszych plotkarek.

Lista gości przebywających w pałacyku (co sprawdzała, zanim tu przybyli) nie zawierała żadnego nazwiska mogącego zagrozić jej pozycji. Nie było na niej żadnej dziewczyny z pensji, na której przebywała przed laty, żadnej koleżanki, którą uratowała przed nieudanym małżeństwem, ani bezpośredniego świadka jej licznych skandalików. Było wprawdzie kilku jej dawnych konkurentów, ale żaden, z którym miałyby jakąkolwiek schadzkę. Mogła spokojnie zaprezentować się wszystkim od jak najlepszej strony. Ba, ona chciała zaprezentować się z jak najlepszej strony. Wiedziała, że w niektórych kręgach mogła uchodzić swego czasu za skandalistkę i jeśli wcześniej nic sobie z tego nie robiła, to teraz musiała przyznać, że wołałaby o tamtych zdarzeniach nie wspominać. Może i chciała być nowoczesna i niezależna, ale dobrze wiedziała, że świat jest skonstruowany, tak jak jest i bez mężczyzny skazana jest albo na staropanieństwo w dworze wuja i pełnienie tam funkcji ubogiej krewnej, póki nie odziedziczy po nim majątku ktoś inny i się jej nie pozbędzie (a mogło i tak się zdarzyć), albo znalezienie posady jako guwernantka, co w jej przypadku graniczyło z cudem i nie chodziło wcale o brak cierpliwości w podejściu do dzieci. Zdawała sobie sprawę, że jest zbyt atrakcyjna, by jakkolwiek pani domu zatrudniła ją na pokuszenie męża. Jako damę do towarzystwa dla jakiejś bogatej, samotnej arystokratki też nie za bardzo siebie widziała. Nie lubiła schlebiać



(zbyt długo) zgorzkniałym staruszkom i być całkowicie zależna od widzimisię innej kobiety. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem było zamążpójście. Wystarczyło tylko znaleźć odpowiednio zamożnego i dającego się ułożyć kandydata. Takiego, który nie straciłby dla niej całkowicie głowy w taki sposób, że nie odstępowałby jej na krok (choć to byłoby dość dziwne, zważywszy, że małżeństwa zazwyczaj prowadziły raczej oddzielne życia towarzyskie), takiego, który byłby w stanie dać jej odrobinę wolności w decydowaniu o samej sobie i dostęp do sakiewki, by mogła odpowiednio prowadzić dom i życie poza nim. Oczywiście chciała założyć rodzinę i dobrze byłoby, gdyby małżonek był dobrym przykładem dla dzieci, prowadził się w miarę przyzwoicie i wyglądał jako tako przystojnie. Chciała też przynajmniej go lubić. Nie wyobrażała sobie spędzania nocy u boku mężczyzny, którego by nie lubiła.

Tradycja nakazywała, by każda przybyła dama miała opiekuna. Jeśli mężatka nie mogła liczyć na towarzystwo małżonka, to był z nią jej brat, stryj bądź przyjaciółka z mężem. Jeśli chodziło o pannę, to towarzyszyć mogła jej matka, ojciec lub opiekun, który następnie przekazywał ją odpowiedniej damie. Wicehrabia Giełczyński pieczę nad Izabelą przekazał hrabinie Modlińskiej, a ta z kolei swojej przygłuchej ciotce, i pognała przywitać innych gości.

– Mam nadzieję, że to będzie udany wieczór. – Izabela uśmiechnęła się do starszej damy, na co ta wybałuszyła oczy i odpowiedziała:

– Może będzie padać. W zasadzie nie musimy jechać tak szybko przez te bagna.

Izabela zrozumiała, że raczej sobie z nią nie pogawędzi.

– Witaj, ciociu. – Nie zdążyła się jeszcze dobrze rozejrzeć, gdy u jej boku pojawił się Anthony Atherton i, jak nakazywał obyczaj, głęboko uklonił się starszej damie, obok której stała. – Miło mi panią widzieć, panno Wieczorek. – Uśmiechnął się do niej i skłonił mniej wydatnie. – Ośmielam się zapytać, czy mogłaby pani zarezerwować dla mnie pierwszego kontredansa?

– Naturalnie, hrabio Athertonie. Będzie mi bardzo miło.

– Ja natomiast zadowolę się każdym kolejnym, do którego mnie pani zapisze. – Obok niego wyrósł jego młodszy brat, hrabia Maurycy Modliński, który wszedł w rolę gospodarza tak bardzo, że chciał przetańczyć bal oczywiście z jak największą liczbą partnerek. Tradycja nakazywała, że nikomu nie można odmówić, i Izabela wcale tego czynić nie chciała. Nie pochwalała zachowania mężczyzn, którzy próbują uwieść każdą napotkaną kobietę (co słyszała z krążących po pałacyku plotkach), ale najmłodszy syn hrabiny robił to z takim wdziękiem, że nie sposób było nie przymknąć na to oka.

– Pana starszy brat się nie pojawi? – zapytała niby od niechcienia, wpisując jego nazwisko w karneciku.

– Powinien się zjawić lada moment. – Zerknął, do którego tańca go przypisała. – Obiecał matce, że tym razem przybędzie, a on nie łamie danego słowa, jeśli nie ma ku temu poważnego powodu. A póki go jeszcze nie ma, mam nadzieję, że nasze towarzystwo pani jakoś wystarczy. – Uśmiechnął się łobuzersko, czym wprawił w zakłopotanie i ją, i Anthony'ego.

– Och, absolutnie tak. Pytałam z czystej ciekawości. – Powachlowała się niespiesznie, choć wcale nie było duszno.

– Cieszę się, bo już miałem obawy, że wyszedłem z formy. Zresztą – rozejrzał się niedyskretnie – jest jeszcze całkiem spory tłumek innych wielbicieli pani zalet. Nie musi pani czekać na naszego brata.

- Miarkuj się, Maurycy. - Anthony trącił go łokciem, na co ten puścił oko pannie Wieczorek całkowicie z siebie zadowolony.

- A ty wyjmij wreszcie ten kij od szczotki z... - Maurycy uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Panna Wieczorek ma zdecydowanie więcej poczucia humoru i wcale się na mnie nie gniewa. Prawda? - zwrócił się tym razem bezpośrednio do niej.

- Przyszynaję - zapewniła. - Ale jest mi miło, że się pan o mnie troszczy - odpowiedziała Anthony'emu.

- A oto i on. - Maurycy wskazał dłonią na zbliżającą się potężną postać ubraną w elegancki czarny frak i koszulę z wysokim kołnierzem, ale widząc minę najstarszego brata, zapytał go, pomijając Izabelę: - Czy coś się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Wszystko w porządku?

- Owszem - odchrząknął mężczyzna. - Po prostu nie lubię takich spotkań. Wiesz przecież.

- Rozumiem. Chciałbym cię komuś przedstawić. - Spojrzał na pannę Wieczorek.

- Dobry wieczór. - Mężczyzna skłonił się, świdrując Izabelę uważnym spojrzeniem. - Jak się miewa pani wuj, panno Wieczorek?

- Czyżbyście się znali? - zdziwił się Anthony.

- Niestety - burknął cicho Klemens Krzyżewski, ale dodał pospiesznie: - Muszę przyznać, bo lubię poznawać nowe osoby.

- Ja również - odparła Izabela, tak by obaj panowie usłyszeli i zrozumieli dokładnie to, co ona chciała.

I tyle, jeśli chodziło o nadzieje związane z osobą najstarszego z braci, pomyślała. A tak chciała, by to ucieleśnienie wszelkich cnót było przystojnym i sympatycznym człowiekiem.... Cóż, przystojności baronowi Krzyżewskiemu nie mogła odmówić. Nawet kiedy wyzywała go w myślach od najgorszych, to lubiła sobie popatrzeć na jego bujne ciemne włosy, kwadratową szczękę z podbródkiem o małym dołeczku na środku, pięknie zarysowane usta, duży, prosty nos, srebrne, groźnie wyglądające oczy, osadzone pod gęstymi, prostymi brwiami. Figurze również niczego nie można było zarzucić. Był wysoki, postawny, ale nie miał wystającego brzuszka ani czegokolwiek, co by ujmowało uroku. Gdyby nie znała go osobiście, z pewnością byłaby nim zachwycona. Zresztą kiedy szedł, zerknęła w jego stronę i łączące spojrzenia obecnych na sali kobiet potwierdzały jej opinię.

Niestety znała go osobiście, a co gorsza, on znał osobiście ją. To wcale dobrze nie wróżyło. Chciała pokazać się w towarzystwie z jak najlepszej strony, a on mógł to wszystko zniszczyć, zanim się jeszcze na dobre rozpoczęło. Mało tego, on miał wszelkie powody, by chcieć to uczynić. Wiedział o jej wybrykach i gorszej stronie jej natury. Liczyła jednak, że szybko wyjedzie lub zwyczajnie nikomu nie przyjdzie do głowy, by spytać go o opinię na jej temat. W środku jednak czuła niepokój i musiała bardzo się postarać, aby nikt tego nie zauważył.

- Raczylesz się wreszcie pojawić, drogi synu. - Tuż obok pojawiła się hrabina Modlińska w pięknej sukni w kolorze wina i zerknęła porozumiewawczo na pannę Wieczorek.

- Przepraszam, że nie czuвам cały czas nad tobą, moja droga, ale obowiązki gospodyni... - Spojrzała na nią i pokręciła głową. - Moi synowie wpisali się już w pani karneciku, jak mniemam.

- Nie, i... - zaczął Klemens.

- To z całą pewnością niedopatrzenie. Jesteś taki roztargniony, kochanie. - Dotknęła z matczyną czułością ramienia swego pierworodnego. - Masz to po cioci Stefanii. Wiesz, że przygotowałam karneciki dla wszystkich wchodzących pań i naszym - co podkreśliła z naciskiem - wspólnym obowiązkiem jest zapewnienie im partnerów do tańca. Nie chciałabym, by jakkolwiek dama stała samotnie pod ścianą. Rozumiecie? - zwróciła się do Klemensa i Anthony'ego.

- Jesteś cudowna, mamo, ale sam Hermes mógłby się od mamy uczyć sprytu i przebiegłości - powiedział najstarszy z mężczyzn bez cienia złośliwości.

- Dziękuję, synu. - Pacnęła go lekko złożonym wachlarzem.

- A jak mamy zdrowie? - zapytał uprzejmie.

- Jak zwykle świetne.

- A moich drogich sióstr?

- Tak samo.

- A wuja Henryka i ciotki Stefanii? - zapytał, bo starsza dama odsunęła się na taką odległość, że nawet gdyby do niej krzyczał, nic by nie usłyszała.

- Są zdrowi jak rydze. Oboje! - dodała z naciskiem.

- A...

- Wszyscy goście, domownicy, służba, sąsiedzi i nawet ksiądz w naszej parafii. Każdy, kogo znam, mój drogi, miewa się dzisiaj doskonale. Nie zmieniaj tematu.

Izabela przyglądała się ich relacji i coś ścisnęło ją przez chwilę za gardło. Zbyt wcześnie straciła rodziców, a jej relacje z rodzeństwem nie były szczególnie bliskie.

- Panno Wieczorek - zwrócił się Klemens tym razem do niej - czy zechciałaby pani wpisać mnie do swego karneciku przy jednym z menuetów? Jeżeli oczywiście ma pani jeszcze wolny jakiś taniec - dodał z nadzieją w głosie.

Izabela знаła ten ton. Nie miał najmniejszej ochoty, by z nią tańczyć, i powinna była zwyczajnie powiedzieć, że wszystko ma zajęte, ale coś ją podkusiło, żeby mu tej przyjemności nie wyświadcząć.

- Naturalnie, baronie Krzyżewski. Ostało się jedno wolne miejsce. Akurat dla pana. To musiało być przeznaczenie, a tego nie powinniśmy lekceważyć.

Spojrzał na nią tak, jakby zobaczył ją po raz pierwszy, ale szybko odzyskał rezon i zmarszczył groźnie brwi.

- W takim razie będzie to dla mnie zaszczyt. - Skłonił się i odwrócił, odchodząc w najdalszy kąt sali balowej.

Anthony i Maurycy po tym, jak obaj wpisali się w karnecie Izabeli, poszli w ślad za bratem i ta została jedynie w towarzystwie ich matki.

- Jak się bawisz, moja droga? - zwróciła się do niej hrabina.

- Wyśmienicie.

- Mam nadzieję, że Klemens nie obraził cię tym brakiem zainteresowania tańcem. Nigdy tego nie lubił i od lat konsekwentnie starał się unikać.

- Nie potrafi tańczyć?

- Raczej robi to całkiem znośnie, poza tym, że jest sztywny, jakby ktoś go na siłę wyprostował i zapomniał naoliwić mu stawy. - Zasłoniwszy twarz wachlarzem, zachichotała

niczym podłotek. – Cała męska część jego rodziny ma ten sam problem.

– Jak większość mężczyzn.

– Ma jednak również szereg zalet. – Hrabina uniosła prawy kącik ust, ukazując dołeczek, taki jak u Anthony'ego po przeciwnej stronie. – Jak wszyscy moi synowie. Niestety – zbliżyła się do Izabeli, rozejrzawszy się, czy nikt ich nie podsłuchuje – żadnemu nie spieszo z małżeństwem, a to mnie zaczyna niepokoić. Wiem, że nie powinnam pani tego mówić, ale wydaje się pani szczerą osobą. Słyszałam, jak wczoraj zwróciła pani uwagę jednemu z panów, że jego żarty na temat staropanieństwa i zbyt wyedukowanych małżonek wcale nie są takie zabawne, podczas gdy inni nie odważyli się go powstrzymać.

– Nie wytrzymałam. Przepraszam. Staram się zachowywać poprawnie, ale czasami nawet mnie się zdarza – odparła sprytnie. Zdawała sobie sprawę, że nie może podpaść tej kobiecie, jeśli miałyby mieć jakieś plany w związku z którymś z jej synów.

– Doceniam pani wyznanie i ja też coś pani wyznam.

– Tak?

– Pani wuj poprosił mnie, bym rozejrzała się za odpowiednim kandydatem do pani ręki.

– Uważa, że żaden nie zgłosi się dobrowolnie. – Dziewczyna się skrzywiła. – A podał jakieś wytyczne? – zakpiła, unosząc brwi.

– Naturalnie. – Hrabina odpląciła jej szczerością. – Nie odda cię byle komu, kochanie – powiedziała matczynym tonem.

– Przynajmniej to dobre. Choć jak pomyślę o kandydatach, których mi do tej pory wskazał, to mam pewne wątpliwości. – Nie wiedziała dlaczego, ale ton głosu i serdeczny uśmiech hrabiny sprawiał, że nie potrafiła przed nią niczego ukryć.

Kobieta przyjrzała się jej badawczo.

– Nie chciałam być arogancka – usprawiedliwiła się Izabela. – Wuj zwyczajnie nie ma dobrego gustu, jeśli chodzi o wybór mężczyzny.

– W takim razie zwrócił się do odpowiedniej osoby. – Uśmiechnęła się. – Bo masz chyba zamiar wyjść za mąż? Nie jesteś jedną z tych nowoczesnych młodych kobiet, które trzeba do tego przekonywać?

– Nie jestem – przyznała. – Wiem, jakie to ważne znaleźć odpowiedniego męża.

Izabela poczuła się nieco nieswojo. Może nie chciała nazywać rzeczy po imieniu, ale wybieranie małżonka spośród wskazanych kandydatów skojarzyło się jej z zakupem ogiera na aukcji. Nie było w tym nic romantycznego i wzniosłego. Ot, wymiana handlowa. Ceną była ona sama, a to nie było mało, więc towar powinien być w jak najlepszym gatunku. Nie mogła jednak powiedzieć tego głośno. Czy było tak w każdym przypadku? Chyba nie. Niektóre panny mogły pomarzyć sobie o miłości i innych romantycznych bzdurach. Inne miały jednak zazwyczaj rodziców, którzy dbali o tę bardziej przyziemną część transakcji, jaką stanowiło małżeństwo. Izabela nie ufała wujowi w kwestii tej nieznośnie praktycznej strony poszukiwań męża. Musiała zadbać sama o swoje interesy, biorąc pod uwagę kwestie finansowe, towarzyskie, rodzinne i wiele, wiele innych. Nie było to wcale takie łatwe.

Nie chciała o tym myśleć podczas przyjęcia. Lubiła zabawę i tańce. Nawet polonez sprawiał jej radość, mimo że nie było w nim miejsca na interpretację.

W tym czasie młodszy syn hrabiny Modlińskiej zatrzymali się przy drzwiach prowadzących do pokoju dla panów, spoglądając tęskno w jego kierunku. Matka wyraźnie dała

im do zrozumienia, że nie powinni zaszywać się w tej jaskini przeznaczonej raczej dla zajętych mężczyzn i dzielnie służyć przybyłym na przyjęcie paniom, a tych było naprawdę wiele, bo zaproszenia hrabina rozesała po całej okolicy.

- Wpadła ci w oko? - zapytał bez ogródek Maurycy, opierając się niedbale o ścianę.

- Kto?

- Nie udawaj głupiego. Panna Wieczorek, rzecz jasna. - Mówiąc to, zlustrował dekolt przechodzącej w pobliżu damy.

- Maurycy! - Anthony starał się przywołać go do porządku. - Obiecałeś zachowywać się przyzwoicie.

- I zachowuję - przyznał lekceważąco. - Gdybym tego nie robił i dał upust wszystkim swoim skłonnościom, dopiero byłoby zabawnie. Ale pytałem o pannę Izabelę.

- Tak?

Maurycy odsunął się od ściany i zbliżył twarz do ucha brata.

- Widzę, jak wzrokiem błędzisz po jej zgrabnych krągłościach.

- Mam co do niej jak najbardziej uczciwe zamiary - bronił się Anthony, czerwieniąc się przy tym niczym podłotek.

- A ja niezbyt.

- Słucham? - Anthony omal się nie zakrztusił, co tylko rozochociło Maurycego. Uwielbiał dokuczać braciom.

- Niezbyt uczciwe - powtórzył. - Rzekłbym nawet, że bardzo nieuczciwe, i wiem, że tego nie pochwalisz.

- Owszem.

- Ale i tak będę próbował. To najbardziej interesująca młoda dama z całej tej hordy zebranej przez naszą matkę.

- Czyżbyś coś o niej słyszał?

- Nie - zaprzeczył, choć nie było to zgodne z prawdą. - To z pewnością porządna dziewczyna, ale ja potrafię wyczuć potencjał.

Izabela obiecaną Maurycemu Modlińskiemu polkę zatańczyła z wielkim entuzjazmem. Co prawda szybkość i żywiołowość tego tańca nie pozwalała na pozbieranie myśli, ale partner okazał się oddany jej osobie i naprawdę (wbrew wcześniejszym plotkom) skupiony był wyłącznie na niej. Nawet gdy kolejne figury oddalały ich nieco od siebie. Po wszystkim szarmancko ucałował jej dłoń i zaproponował coś zimnego do picia. A ten jego wzrok? Boże, uchowaj niewiasty przed spojrzaniem takich oczu! A opuścił ją dopiero wówczas, gdy o taniec upominał się jakiś młody dżentelmen, którego nazwiska nie potrafiła sobie przypomnieć.

Taniec z Anthonym wcale nie był tak nudny i przewidywalny, jak sobie założyła. „Prawie Anglik”, jak go tytułował Maurycy, nie okazał się być tak sztywny, jak go opisywał, i całkiem sprawnie radził sobie w menuecie, a na koniec energicznie chwycił jej dłoń i przytrzymał nieco dłużej, niż było to konieczne. W dodatku naprawdę dobrze się prezentował na tle pozostałych panów, nie licząc jego braci. Był wysoki, elegancki i cholernie przystojny. Aż język świerzbil ją, by mu nie posłać komplementu, ale wiedziała, że może to odebrać niewłaściwie.

Nadeszła też i chwila, na którą najbardziej czekała i której się jednocześnie obawiała. Taniec z baronem Krzyżewskim. Ten dzisiaj przeszedł samego siebie. Zwykle widywała go

w codziennym stroju ze zmierzwioną przez wiatr fryzurą. Dzisiaj w czarnym fraku, z wywiązanym białym fularem i z uczesanymi gładko do tyłu włosami prezentował się naprawdę dobrze. Zbyt dobrze, przeszło jej przez głowę. Gotowa była stwierdzić, że dokładnie tak, jak sobie wyobrażała idealnego mężczyznę. Gdyby nie to, że widział ją chłostaną słownie przez wuja i nie liczył się zupełnie z jej zdaniem, co dyskredytowało go w roli potencjalnego kandydata na męża. Czasu na znajomości nie miała i mieć zwyczajnie nie mogła. Zresztą nie powinna jej w ogóle pojawiać się w głowie myśl o innej roli. Była panną, nie wdową. Oficjalnie nie wypadało jej znać takich pojęć. A jednak słowo „kochanek” dudniło jej w uszach, gdy obserwowała jego kocie ruchy, kiedy zmierzał w jej kierunku.

– Można? – Podszedł do niej zwykłym, niespiesznym krokiem i elegancko podał dłoń. Jedynie oczy zdradzały, że wcale mu się to nie podoba. Jej też, jeśli już miała być szczerą. Był jedynym człowiekiem w pałacyku, który mógłby zaprzepaścić nadzieje, jakie wiązała z tym przyjazdem.

Tradycja nakazywała, by partnerzy nie utrzymywali ze sobą zbytniego kontaktu wzrokowego, a nie daj Bóg śmiali się w tańcu, więc przynajmniej pod tym względem czuła się bezpiecznie, bo jego najmłodszy brat starał się ją rozśmieszyć przynajmniej trzy razy, co mu się niemal udało, za co mogłaby być zła, gdyby nie to, że zrobił to w przeuroczy sposób.

– Jak się pani zapatruje na działalność organizacyjną mojej matki?

– Jest mistrzynią w tej materii, a pan chyba czegoś mi nie powiedział, baronie Krzyżewski.

– Czego, panno Wieczorek?

– Tę, że jest synem hrabiny Modlińskiej i zamierza pojawić się tutaj, by mi uprzykrzyć życie.

– Nie robiłem z tego żadnej tajemnicy. Proszę zapytać wuja – odparł nieco niegrzecznie.

– Nie omieszkał – mruknęła. – Gdybym wiedziała, że pan też tu będzie, to dwa razy bym się zastanowiła.

– Ale moi bracia chyba przypadli pani do gustu? Nie wyglądała pani na szczególnie znudzoną ich towarzystwem.

– To bardzo mili młodzi dżentelmeni. Aż dziw bierze, że jesteście ze sobą spokrewnieni – zakpiła.

– Mamy innych ojców.

– To wiele wyjaśnia. – Nadepnęła mu specjalnie na palec.

Na stopach miała jedynie pończochy i miękkie atlasowe pantofelki (takie, które przy wielu tańcach z pewnością zedrze do połowy przyjęcia i zastąpi nowymi), więc z pewnością nie zadała mu wielkiego bólu.

– Być może. – Odpłacił jej tym samym. Tyle że był prawie dwukrotnie cięższy i miał buty z twardą podeszwą, więc ją zabolalo bardziej. – Nie powinna pani zadzierać z przeciwnikiem większym od siebie.

– A pana nie powinno tu w ogóle być – syknęła.

Klemens nie miał zbyt wielu przyjaciół. Oczywiście znajomych miał całe mnóstwo, ale podejrzewał, że większość schlebiała jego tytułowi, koneksjom rodzinnym i zasobnemu portfelowi niż jemu samemu. Lubił wicehrabiego Gielczyńskiego nie dla niego samego, bo ten szczególnie sympatyczny nie był, ale mieli podobne zapatrywanie na życie i wspólne interesy, a poza tym jego drażliwość i irytacja (które starał się bezskutecznie ukryć) zachowaniem

krnąbrnej podopiecznej wydawały mu się naprawdę zabawne. W dodatku obaj byli nieżonaci, i to, jak się wyraziła matka Klemensa, posuniętymi wiekiem, i obaj zaczęli fakt ten w końcu dostrzegać. Między innymi dlatego (poza zbliżeniem się na nieco innym gruncie do panny Wieczerek i zdobyciu informacji na temat zaginionego pierścienia) zgodził się uczestniczyć w tym spędzie towarzyskim organizowanym w wiadomym celu: skojarzenia jak największej liczby par.

– To dom mojej matki. Panią toleruję jedynie przez wzgląd na jej wuja.

Odczekała chwilę, po czym zapytała niewinnie:

– Dlaczego mnie pan tak nienawidzi?

– Nie nienawidzę pani – odparł spokojnym tonem.

– Nie?

– Nie. Nienawiść to jednak uczucie, a pani osoba jest mi całkowicie obojętna.

Warknęła obrażona i nie odezwała się już do niego ani słowem. Nie chciała go bardziej prowokować, bo nie wiedziała, do czego może być zdolny. Oczywiście zdawała sobie sprawę z tego, że skłamała. Nie mogła być mu obojętna. Nie lubił jej i nie potrafił tego ukryć.

Cóż. Z wzajemnością, baronie Krzyżewski. Z wzajemnością, pomyślała.

Bał zaczął się dość wcześnie, wbrew wszelkim tradycjom, bo zaraz po ósmej, ale i tak potrwał niemal do rana. Serwowano obfite posiłki i zasiadały do nich jedynie panie, podczas gdy panowie udawali się na suto zakrapiane męskie pogawędki, a wszyscy goście mogli korzystać z bufetu i z napełnionymi talerzami zajmować miejsca w salonie, pokoiku dla pań, sali gier dla panów lub stać zwyczajnie w jego pobliżu. Miła odmiana po ostatnich przyjęciach ze ściśle określonym protokołem, w jakich przyszło jej wziąć udział.

---

5 M. Sidor, *Ludwik Michał hrabia Pac – polski ziemianin w angielskim stylu*, „Rocznik Augustowsko-Suwalski” 2011, t. 11, s. 79–92.

## 5.

Izabela obawiała się, że Klemens Krzyżewski opowie braciom i reszcie towarzystwa o jej wybrkach z przeszłości. Wiedziała, że część zebranych gości i tak co nieco słyszała, ale zachowywała dyskrecję, bo jej małe skandaliki dawno zostały zastąpione świeższymi i dotyczącymi bardziej wpływowych osób. Wystarczyło nie popaść w kolejne tarapaty i wszyscy mogliby uznać ją za idealną kandydatkę na żonę. Czas leciał. Nie stawała się młodsza, jak to określił jej wuj, piękniejsza też już raczej nie będzie. Miała wszelkie argumenty do tego, by zwrócić na siebie uwagę odpowiedniego konkurenta, i zamierzała to wykorzystać. Poprosiła Adele, by wypytała służbę o zalety i wady poszczególnych kawalerów przybyłych do pałacyku hrabiny Modlińskiej i wstępnie wybrała kilku, na czele z środkowym z braci. To na nim postanowiła skupić swoje działania. Wystarczyło tylko dowiedzieć się, w jaki sposób może uwieść hrabiego Athertona i użyć wszelkich sposobności, aby się tak stało.

Od służby dowiedziała się, że młody mężczyzna to typ bohatera, który uwielbia służyć pomocą, a od jego siostr, że jest wspaniałym jeźdźcem i uwielbia instruować je, jak powinny jeździć konno, bo żadna z nich nie przejawia zdolności amazońskich. Wystarczyło tylko udać się do stajni i zaaranżować małe przedstawienie...

– Pomocy! – do uszu Anthony'ego dobiegło wzywanie z oddali. Ktoś najwyraźniej znalazł się w tarapatach, a on (jak zawsze zresztą) gotów był tę osobę z nich wyciągnąć. Dżentelmen nie mógłby inaczej. Tak został wychowany, zarówno przez matkę, jak i rodzinę nieżyjącego już ojca. Hrabinę serce bolało, kiedy wyjeżdżał przynajmniej raz w roku do Anglii, ale nigdy nie próbowała odwiedzić jego krewnych od tego pomysłu. Wiedziała, że jest jedynym dziedzicem hrabiego Athertona i, jeżeli ma przejąć jego dobra, musi zdobyć odpowiednie doświadczenie, nawet jeśli oznaczało to długie miesiące rozłąki.

– Pomocy! – dobiegło go po raz wtóry. Rozejrzał się na boki, próbując ustalić źródło wołania. Z oddali wypatrzył kolorowy punkt. Panna Wieczorek musiała dosiąść kogoś z narowistych rumaków ze stajni jego matki. Biedaczka nie zdawała pewnie sobie sprawy, że poza ułożonymi klaczami i starymi, wysłużonymi ogierami w stajni hrabiny Modlińskiej można znaleźć też nieułożone, młode konie, które niestety mają swoje boksy obok tamtych albo i pomiędzy nimi.

– Pewnie jest przerażona – szepnęła do siebie.

Analizując wszystkie możliwe drogi pomocy dziewczynie, doszedł do wniosku, że najlepiej będzie dogonić ją, zrównać się z jej koniem i instruować ją, co powinna robić. Na szczęście miał pod sobą jednego z najszybszych wierzchowców matki, a panna Wieczorek zbliżała się do niego od zachodu, więc bez większego problemu powinien przeciąć jej drogę i zrobić wszystko, by nie stała się jej krzywdą.

Cmoknął, zacisnął łydki i klepnął lekko Gniewka po zadzie, by wiedział, czego od niego wymaga. Koń jak na zawołanie ruszył z miejsca i pognął przez łąkę w kierunku zbliżającej się



dziewczyny. Nie minęło dużo czasu, nim zrównał się z nią i głośno, ale łagodnie zaczął podpowiadać, jak powinna się zachować, nie stresując dodatkowo konia.

– Proszę skrócić jedną wodzę jak najbliżej pyska. Może lewą, bo po prawej ma pani rzekę.

Izabela niezgrabnie pociągnęła za wodzę, ale ta wyslizgnęła się jej z dłoni.

– Spokojnie, panno Wieczorek. Proszę spróbować raz jeszcze – powiedział łagodnie.

Dziewczyna tym razem pewniej pociągnęła za skórzany element i koń zaczął skręcać w lewo.

– Niech pani wytrzyma. Powinien zacząć robić koła. Zmęczy się i zwolni.

Wykonała wszystko tak, jak jej powiedział, ale oddychała przy tym głośno i wyglądała na naprawdę przerażoną. Miał ochotę przeskoczyć na jej konia i ją pocieszyć, ale widział, że daje sobie radę. Poza tym jej falujące piersi, których zarys dostrzegał pod miękką peleryną, zsunięty z głowy kaptur, który odsłonił rozmierzwiłone loki, i zaróżowiona cera podziały na niego w zupełnie niespodziewany sposób. Nie mógł dać po sobie poznać, ale widok panny Wieczorek w takim wydaniu naprawdę mu się spodobał. Nie było to stwierdzenie godne dżentelmena, ale nic na to poradzić nie mógł.

Z oddali, oparty plecami o pień drzewa, obserwował scenę jego starszy brat, Klemens. Sam w pierwszym odruchu chciał dosiąść swego rumaka i pognać ku damie w potrzebie. Zorientował się jednak, że ona nie wymaga pomocy, bo była nią panna Wieczorek, a ta jeździ równie dobrze jak on i potrafi uspokoić raczej spokojnego na co dzień ogiera (rozpoznał po maści Kartuza), a w dodatku już pędził jej z pomocą ktoś inny. Anthony z pewnością sobie poradzi.

Konie zaczęły zataczać coraz mniejsze okręgi, przeszły do kłusa i stępa, aż w końcu zatrzymały się, a Anthony pomógł zsiąść pannie Wieczorek i przytrzymał jej dłoń, dodając otuchy. Chciał ją co prawda przytulić, ale wiedział, że nie będzie to stosowne, zapewnił jednak, że odprowadzi ją do dworu i posiedzi z nią chwilę przy gorącej herbatce, aż się uspokoi.

Uważał ją za odważną i pewną siebie młodą kobietę, ale – jak widać – bywała także krucha i bezbronna, co wcale nie ujmowało jej uroku. Zaróżowione policzki i unosząca się, swoją drogą bardzo zgrabna, klatka piersiowa, rozwiane loki, które próbowała upchnąć pod kapelusikiem, i drżące dłonie. Naprawdę wyglądała przepięknie. Kusiło go, by podziękować losowi za to, że coś spłoszyło jej konia.

– Jestem panu niewymownie wdzięczna. W zasadzie uratował mi pan życie, hrabio Athertonie. Zachował się pan niezwykle odważnie. Niewielu ludzi stać na taki heroiczny czyn.

– Przesadza pani, panno Wieczorek. Zwyczajnie podpowiedziałem pani, co ma uczynić. Resztę dokonała pani sama.

– Och, bez pana nic bym nie dokonała. Coś spłoszyło konia i nie byłam w stanie zupełnie sobie z nim poradzić, mimo że przecież jeżdżę od dzieciństwa. Zazwyczaj jednak miałam do czynienia ze spokojnymi klaczami.

– Przykro mi, że była pani narażona na takie przeżycia. Mam nadzieję, że więcej się to nie powtórzy. Upomnę chłopców stajennych, by na przyszłość przydzielali pani spokojniejsze konie.

– Proszę ich za to nie karcić. To ja dokonałam wyboru.

– Jest pani naprawdę wspaniałomyślna. – Zapatrzył się w jej szarobłękitne oczy. – I bardzo skromna – dodał.

Zaimponowała mu, broniąc stajennych. To naprawdę dobrze o niej świadczyło.

– Odprowadzimy konie i pojedziemy napić się spokojnie herbaty. Może do salonu?

– Pewnie siedzi tam teraz mnóstwo osób. Nie chciałabym opowiadać im, co zaszło.

Izabela bała się, że ktoś ją zdemaskuje. Była doskonałą amazonką, a narowiste rumaki ze stajni wicehrabiego Giełczyńskiego już nie raz osobiście oswajała. Wuj nie miał świadomości tego stanu rzeczy, to prawda, mógłby jednak wściec się za to, że ryzykowała zdrowiem i życiem, i zabronić jej codziennych przejażdżek.

– Och. Naturalnie. Jeśli pani woli, możemy zupełnie im o tym nie wspominać. – Dał się wmanewrować, zupełnie nieświadomy sztuczek panny Wieczorek.

– Ale wówczas nie dowiedzą się o pana bohaterstwie – dodała, by upewnić się, czy osiągnęła sukces.

– Ważne, że pani wie. Niech to pozostanie naszą tajemnicą. – Anthony uśmiechnął się do niej nieco skrępowany tą nagłą niemal bliskością.

– Wracajmy lepiej. Nie chcę, aby się o mnie martwiono.

– Oczywiście.

– Ale – zawahała się, jakby skrępowana tym, co zaraz powie – może lepiej chodźmy pieszo.

– Naturalnie – zgodził się. – Nie widzę w tym nic niestosownego, zwłaszcza po takim przeżyciu.

– Jest pan naprawdę wspaniałomyślny, hrabio Athertonie.

Zdaje się, że rybka połknęła haczyk, pomyślała Izabela, uśmiechając się w duchu, a potem szczerzej otuliła się peleryną i jak przystało na skromną młodą damę, wolnym krokiem, w odpowiedniej odległości odbyła długi spacer do dworu hrabiny Modlińskiej, przeklinając w myślach tego, kto podsunął jej pomysł wybrania tej podmokłej trasy, przez którą jej skórzane buciki zaczynały nabierać coraz więcej wody. Jak nic to całe polowanie na męża przyplaci zapaleniem płuc.

– Całkiem niezłe, panno Wieczorek. Całkiem niezłe. – Klemens wyłonił się niczym szpieg zza rogu i zastąpił jej drogę, upewniwszy się, że nikt ich nie słyszy. Było to jakieś pół godziny po tym, jak pożegnała się z Anthonyem, by udać się do swojej sypialni i zdjąć przemoczone buty. – Ma pani prawdziwy talent aktorski.

– To znowu pan? W zasadzie mnie to nie dziwi. Gdybym nie wiedziała, że jestem panu zupełnie obojętna, to pomyślałabym, że mnie pan śledzi.

– Raczej pojawiaam się w niewłaściwym czasie we właściwych miejscach.

– Jak zwał, tak zwał, baronie Krzyżewski. – Posłała mu delikatny uśmiech, choć oczy zdradzały, że miałyby ochotę go udusić. – Ciekawa jestem, co powiedziałyby pana brat, wiedząc, że był pan w pobliżu i nie starał się mi pomóc?

– Ciekawe, co by powiedział, gdyby wiedział, że nie potrzebowała pani pomocy?

– Tego akurat nie może pan być pewien.

– Założymy się?

– Nie uznaję hazardu.

– Słyszałem co innego, panno Wieczorek.

- I nie potrafi pan odróżnić plotek od faktów. Biedactwo – zakpiła z niego.

- Zmieniłem zdanie. Zaczynam pani nie lubić.

- Z wzajemnością – wycedziła przez zaciśnięte usta. – Tego może być pan pewien.

- Ale nie popsuję pani planów. Póki co.

- A skąd ta wspaniałomyślność? Nie pojmuję. – Podsunęła się o krok, a on zamiast się cofnąć, ruszył prosto na nią, zatrzymując się tuż przed jej twarzą. Po czym pochylił się tak, że wyczuła zapach jego wody kolońskiej. Nawiasem mówiąc, bardzo ponętny zapach.

- Zabawnie jest obserwować, jak mój brat robi z siebie idiotę. – Spojrzał na nią z góry i dodał szeptem: – Nie on jeden zresztą. Doprawdy, nie wiem, jak oni dają się nabrać na pani sztuczki.

Przez ostatnie dwa dni obserwował jej poczynania z dżentelmenami obecnymi w dworze matki. Panna Wieczorek miała prawdziwy dar zjednywania sobie męskiej części towarzystwa. Aż dziwił, że do tej pory nie upolowała męża.

- Może nie jestem taka zła, baronie Krzyżewski. – Nie odwróciła wzroku. Uniosła jeszcze wyżej podbródek i dodała śmiało: – A może to moja uroda i czar osobisty?

- Przyznaję, potrafi pani być czarująca. – Zerknął na odsłonięty fragment jej szyi i wymykające się spod kapelusika włosy. – I jest pani całkiem ładna, ale nie w moim guście.

- Nie w pana guście? – Uniosła jedną brew i zmarszczyła nosek. – Nie potrafi pan kłamać.

Przełknęła głośno ślinę, ale szybko przywołał się do porządku.

- Do zobaczenia jutro, panno Wieczorek.

- Nie będzie pana na kolacji?

Albo mu się wydało, albo usłyszał zawód w jej głosie.

- Wyjeżdżam do Sztabina. Dokładniej do dworku mojego znajomego w Cisowie. Moja matka zapewne już o nim pani wspominała jako niezłej partii. Choć może i nie. – Zamyślił się.

- Hrabia Karol Brzostowski<sup>4</sup> to bardzo zaradny młody człowiek, ale obywa się bez luksusów mimo arystokratycznego pochodzenia i koligacji z Chreptowiczami i Radziwiłłami. Raczej nie dla pani.

- Chce pan przez to powiedzieć, że jestem interesowna i próżna?

- Nie. Raczej jest pani realistką i wie, jak ważne są pieniądze i że nie ma pani aż tyle czasu, by czekać, aż ten podniesie na nogi zadłużony majątek ojca i dogada się z wierzycielami.

- Nie jestem taka stara – obruszyła się. – Zresztą pan jest prawie dwukrotnie starszy.

- Co najwyżej półtora – poprawił ją. – Ale o pani rękę nie proszę, więc nie ma to żadnego znaczenia, prawda?

- Prawda – przyznała.

- Czy pani się ze mną zgodziła? – udał zaskoczonego, wręcz wstrząśniętego odpowiedzią.

- Proszę nie drwić.

- Nie drwię. Jestem zdumiony.

- Ale niech pan to zachowa dla siebie. Bo jeszcze inni pomyślą, że spokorniałam.

Tym razem zaskoczyła go naprawdę.

Przyjrzał się jej uważnie. Chyba nie była jedynie złośliwą pięknoscią... Musiał docenić jej inteligencję i konsekwencję w budowaniu wizerunku. Przynajmniej tego na potrzeby niektórych osób. Dla jego młodszego brata, Anthony'ego, była nad wyraz uprzejma i miła.

Okręciła go sobie wokół palca w mgnieniu oka. Zaczynał rozumieć, jak mogło do tego dojść. Sam, mimo że jej nie ufał za grosz i nie akceptował większości jej poczynań, byłby kłamcą, gdyby stwierdził, że mu w pewnym sensie nie imponowała. Miała swoje zdanie i nie chowała głowy w piasek, choć uciekała się jednocześnie do tanich sztuczek i niekiedy nie liczyła się z uczuciami innych.

– A po co pan wybiera się do wspomnianego znajomego?

– Naprawdę panią to interesuje czy tylko chce być pani miła?

– Naprawdę interesuje.

– Chcę go podpytać o nowoczesny sprzęt używany w rolnictwie i o budowę Kanału Augustowskiego łączącego dorzecze Niemna i Narwi, aby ominąć pruską blokadę celną. A co może ciekawsze, obejrzeć jego huty i zamówić u niego prezenty bożonarodzeniowe dla wszystkich pań w rodzinie.

– Sprytnie – przyznała. – Dwie pieczenie na jednym ogniu i to bez wysiłku.

– Nie lubię tracić czasu bez powodu, panno Wieczorek.

– Słusznie.

– Pani, jak widzę – zerknął na jej wyjątkowo dobrze dopasowany strój jeździecki – również nie mitrzęży czasu.

– Czy ma pan coś przeciwko?

– Ja?

– Czy to panu przeszkadza? – dopytała.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Panie Krzyżewski – nabrała powietrza – czy zamierza pan mnie skompromitować? Powiedzieć o plotkach, które pan o mnie słyszał, i nie dopuścić, bym starała się dobrze wypaść przed pana bliskimi? – Postawiła wszystko na jedną kartę. Nie mogła znieść tej niepewności.

– Nie. Po co? Prędzej czy później sama się pani odkryje, a ja chętnie to sobie obejrzę.

– Jest pan okropny – fuknęła, ale uśmiechnęła się wbrew sobie.

– Pani również bywa, ale nie będę jej w tym przeszkadzał. Czy taka odpowiedź panią satysfakcjonuje?

– Jak najbardziej – przyznała i zatrzepotała rzęsami.

– To mogła sobie pani darować. – Wskazał na jej oczy, krzywiąc się nieznacznie. – Poza tym wyznam – pochylił się nieco – jak wspominałem już, uwielbiam patrzeć, jak moi bracia robią z siebie błaznów.

– Powiedziałaam, że jest pan okropny? – zapytała. – To było niedopowiedzenie. Pan jest potworem, baronie Krzyżewski. Po-two-rem. – Zaśmiała się i odwróciła czym prędzej.

– Do zobaczenia po powrocie – powiedział do jej pleców, choć wcale nie musiał tego robić.

---

<sup>6</sup> Karol Brzostowski (1796–1854) – reformator społeczny, właściciel ziemski, twórca Rzeczypospolitej Sztabińskiej, producent maszyn rolniczych, konstruktor mechanicznej dojarki pedałowej oraz młocarni-sieczkarni.

## 6.

Dwa dni później Izabela, Anthony, Klemens, ciotka Stefania i jej mąż Henryk spacerowali wolnym krokiem trasą wybraną przez pannę Wieczorek (mimo wyraźnych sprzeciwów Klemensa).

Izabela sprawdziła dokładnie, jak wyglądają ścieżki, i miała świadomość, że w pewnym momencie trafią na błotnisty kawałek. Klemens powinien zająć się wujostwem, a Anthony zaopiekuje się nią i znów będzie miała okazję, by mu podziękować i spędzić chwilę razem. Może nie był to szczególnie skomplikowany ani specjalnie mądry plan, ale wykoncyrowała sobie, że w przypadku hrabiego Athertona powinna działać schematycznie. Będzie damą w opresji, a on jej szlachetnym rycerzem. To go podbuduje, wzmocni i ośmieli, bo zainteresowanie w jego oczach dostrzegła już przy pierwszym spotkaniu. Gdyby tak nie było, nie wygłupiałaby się w ten sposób. Czasem jednak niektórym mężczyznom potrzeba odrobinę zachęty. Ten tu właśnie takim był.

W pewnym momencie jednak sprawy zaczęły obierać zupełnie niezamierzony kierunek. Ciotka Stefania, odzyskawszy nagle siły, przypomniała sobie, że gdzieś niedaleko znajduje się uroczą polanka, gdzie mogliby urządzić kiedyś ognisko, i koniecznie musiały to sprawdzić. Miała wrócić za chwileczkę i prosiła, by nikt jej nie przeszkadzał. Oczywiście wszyscy domyślili się, że starsza dama chce po prostu udać się za potrzebą gdzieś w ustronne miejsce i nie mieli nic przeciwko. Niestety chwileczka przeciągnęła się, więc za zagubioną damą podreptał jej małżonek i ten, rzecz jasna, również gdzieś zagał. Anthony niecierpliwił się coraz bardziej, mimo że Klemens i Izabela zapewniali, że może to potrwać nieco dłużej, niż mogłoby się wydawać. W końcu nie wytrzymał i sam ruszył w poszukiwaniu wujostwa.

- Zdaje się, że pani plan się nie powiódł - z kpiącym uśmiechem zwrócił się Klemens do Izabeli, kiedy brat zniknął za drzewami.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi, baronie Krzyżewski.

- Ależ rozumie pani i to doskonale - stwierdził, po czym spokojnie przeszedł przez błoto na suche miejsce, zostawiając ją kilka metrów za sobą. Starał się przy tym wyglądać niczym żuraw brodzący długimi nogami w wodzie, ale wyszło trochę pokracznie z uwagi na grząskie podłoże. Nie przejął się tym jednak, dumnie utrzymując postawę godną dżentelmena. Dotarł na koniec kałuży i kontynuował powolny marsz, stukając mocno butami, by strząsnąć z nich nadmiar błota. Efekt nie był wystarczający, więc zatrzymał się i zerkając na Izabelę, zastanawiał się, czy nie powinien poszukać czegoś do czyszczenia butów.

- Pomoże mi pan czy będzie tak stał i się patrzył? - nieomal krzyknęła, gdy zatrzymał się i zerknął na jej desperackie podrygiwania w miejscu.

- Specjalnie wybrała pani tę ścieżkę, by mój naiwny braciszek niczym rycerz rzucił się pani do stóp i pozwolił przespacerować się po swoich plecach?

- Niezupełnie.

- Miał rzucić pod pani nogi swój płaszcz czy raczej wziąć ją na ręce i przenieść na suchy ład?

- Mniej więcej – powiedziała.

- Następnym razem proszę to lepiej zaplanować. Na spacerzy nie warto zabierać ciotki Stefanii. Wiadomo, że się prędzej czy później oddali i Anthony pobiegnie, by jej szukać.

- Musiałam mieć przyzwoitkę, przecież pan wie, jakie są zasady.

- Owszem, ale można było wybrać kogoś innego. Kogokolwiek, jeśli mam być szczerą.

- A pan poszedł z nami zupełnie przypadkowo? – zapytała i ujęła się pod boki, przyjmując atakującą postawę.

- Nie – przyznał bez zająknięcia. – Mówiłem już, że bawią mnie pani sztuczki i to, jak reaguje na nie mój braciszek. Nie chciałem przegapić kolejnej z nich.

Klemens nie był z nią zupełnie szczerą. Sam do końca nie wiedział, dlaczego go do niej ciągnie. Może to sprawa zaginionego pierścienia, może prośba jej wuja, a może zwyczajnie lubił się z nią przekomarzać.

- Ale teraz zostaliśmy sami w środku lasu, a w pobliżu spaceruje przynajmniej tuzin gości pana matki. Jeśli ktoś się na nas natknie, to oboje będziemy mieli kłopoty.

- To prawda, jednak, jakby pani nie zauważyła, pomiędzy nami jest całkiem spora błotnista kałuża, a żadne z nas nie ma ochoty przez nią przechodzić. W dodatku ja już sobie idę. Zaraz powinien wrócić mój brat w towarzystwie wujostwa.

- Zostawi mnie pan tu samą?! – oburzyła się.

- Sama pani mówiła, że nie chce powodu do plotek. Nie powinniśmy ryzykować. Prawda? Ja pójdę w tym kierunku – wskazał dłonią – a pani zawróci. Przecież nie jest pani w stanie przebrnąć przez to błoto – zadrwił.

- Prawda, ale jeśli zawrócę, to będę musiała nadłożyć spory kawałek drogi i mogę nie zdążyć przed zmierzchem.

- Pani wybór – odrzekł i ruszył, nasłuchując, co ona na to.

Jasne było, że nie zostawiły jej w lesie samej. Nawet jeśli by jej nie lubił, to nie mógł postąpić w ten sposób. Szedł wolnym krokiem, czekając, co dziewczyna zrobi.

Izabela rozejrzała się, szukając jakiegoś rozwiązania, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Wokół bagnisty teren. Być może jeszcze bardziej rozmokły niż ścieżka w tym miejscu. Chciała czy nie, sapnęła głośno i ruszyła do przodu.

- Jednak się pani zdecydowała? – Klemens się zatrzymał i obejrzał za siebie.

- Nie mam innego... – Nie dokończyła, bo jeden z jej butów utknął w błocie i nie była w stanie wyjąć nogi.

- Coś się stało?

- Chyba ugrzęzłam – przyznała.

- I dobrze.

- Słucham?

- Ma pani nauczkę.

- Ale nie zostawi mnie pan teraz na pastwę losu?

- To bardzo kusząca myśl, panno Wieczorek. Bardzo kusząca.

- Nie może pan!

- Mogę - stwierdził.

Warknęła na niego groźnie.

- Mogę - powtórzył - ale nie zrobię tego, bo... - Nie skończył. Wymamrotał coś jeszcze pod nosem, westchnął głośno i ruszył w jej stronę.

Staął przed nią, schylił się i sprawdził, co z butem.

- Ugrzązł.

- Trafne spostrzeżenie - zakpiła.

- Chce pani, żeby jej pomóc, czy nie?! - ostrzegł zgięty wpool z uniesioną głową.

- Chcę. Już nic nie mówię.

Schylił się, ujął jej nogę pod kolanem i zaczął powoli wyciągać.

- Proszę się mnie chwycić.

Niewiele myśląc, złapała go za głowę chronioną przez kaszkiet - najnowszy krzyk mody, co nie uszło jej uwadze. Niestety starając się nie wpatrywać w niego zbyt uważnie, dłonie położyła na jego oczach tak, że do jednego z nich prawie włożyła palec.

- Chce mnie pani pozbawić wzroku?! - zapytał, krzywiąc się z bólu.

- Oj. Przepraszam. - Naprawdę nie chciała mu zrobić krzywdy. Nie w tym momencie... Przecież ratował ją z opresji.

Przełożyła dłonie niżej i objęła go za szyję, co w niewytłumaczalny sposób wywołało w niej zupełnie niepasującą do sytuacji reakcję. Zerknęła na wystające spod kaszkietu kruczocharne, miękko falujące włosy, które nawet w zacienionym miejscu wyglądały tak, jakby ktoś je wypolerował jeden po drugim.

- Proszę się mocno trzymać. Spróbuję ją wyciągnąć na trzy.

- Dobrze.

- Jeden... dwa... - Pociągnął mocno, ale noga nadal tkwiła w błocie.

- Miało być na trzy.

- Trzy. - Ujął jej nogę nieco niżej, tak że jedną z dłoni włożył w błoto, szarpnął drugi raz, tym razem jeszcze mocniej, ale z większym wyczuciem, i noga powoli zaczęła wychodzić z mułu. Na szczęście razem z butem. - Nie będziemy ryzykować, że znów pani utknie.

- Aha? - Nie była pewna, co chciał przez to powiedzieć.

Ubłoconą dłoń w rękawicze wytarł bez większych skrupułów w jej suknię, kiedy obejmował ją wyżej. Zdawał sobie sprawę, że część warstw jej spódnicy przesunęła się do góry i wystają spod nich ubłocone nogi dziewczyny. Wprawdzie nie były nagie, ale przez pończochy można było obejrzeć dokładnie kształt zgrabnych łydek. Nie byłby mężczyzną, gdyby z takiej okazji nie skorzystał.

- Czy pan się gapi na moje nogi, baronie?! - zapytała z oburzeniem.

- Owszem - odparł. - Woli pani, bym zamknął oczy i się przewrócił? Nie jest pani taka znowu lekka, a grunt się zapada.

- A co to ma do moich nóg?

- Zwisają akurat tam, gdzie muszę stawiać kroki. A sądziła pani, że co?

Nie odpowiedziała.

Gdyby jej nie znał, to starałby się speszyć ją komplementem, ale poznał już trochę jej charakter i wiedział, że to by mogło dać jej w tej chwili przewagę.

- Nie ważę tak znowu dużo. Może to panu brakuje kondycji – próbowała się odgrzyźć.
- Być może – przyznał tylko po to, by nie miała powodów do kolejnego przytyku.

Odstawił ją niezbyt delikatnie na ziemię i zatrzymał się za nią, pozwalając na poprawienie garderoby. Natychmiast straciła resztkę pewności siebie, gdy zdała sobie sprawę, że ją obserwuje. Niemał czuła jego palące spojrzenie, sunące od góry do dołu po jej ciele. On nie patrzył. On przewiercał ją wzrokiem! Najgorsze było to, że nie wiedziała, co sobie wówczas wyobraża. A może wiedziała, i to zaczynało ją powoli przerażać.

Miała za zadanie znaleźć sobie odpowiedniego męża, by wyprowadzić się z majątku wuja. Takiego męża, który pozwoliłby jej na swobodę i akceptował jej trudny charakter. Nie takiego, który przełoży ją przez kolano i wytknie najmniejszą pomyłkę. Dlaczego więc w ogóle zastanawia się nad sposobem, w jaki na nią patrzy? Co za różnica, skoro ona go wcale nie chce? Szkoda tylko, że jej ciało nie potrafi dostosować się do woli rozsądku.

Jakby na przekór samej sobie wygładziła nieistniejące fałdy materiału z tyłu płaszczka, przesuując wolno dłońmi wzdłuż pleców po same pośladki.

Klemens nie potrafił się oprzeć. Powinien odwrócić wzrok, ale ta mała diablica miała w sobie coś, co nie pozwalało jego członkom wykonać rozkazu zadanego w myślach. Nawet piekące oko nie przymknęło się, a śledziło każdy ruch jej dłoni, jakby nie należało do niego samego. Panna Wieczorek niewątpliwie potrafiła wzbudzić zainteresowanie. Jeśli jej wuj miał co do tego jakiegokolwiek wątpliwości, to musiał być ślepy. Choć on raczej prosił go o sprawdzenie konkurentów, a nie o ich poszukiwania, przypomniał sobie.

Z jakiegoś irracjonalnego powodu przystąpił o krok w jej kierunku, a ona odruchowo cofnęła się i skórzany, ubłocony bucik ześlizgnął się z bezpiecznego gruntu, tak że zaczęła tracić równowagę. Klemens instynktownie rzucił się, by złapać ją i powstrzymać przed upadkiem, przez co sam wyładował jednym kolaniem w błocie.

- Cóż za poświęcenie, baronie Krzyżewski – powiedziała z ironią w głosie tylko po to, by ukryć wrazenie, jakie wywarł ten akt heroizmu. A dokładniej rzecz ujmując, aby ukryć własne zmieszanie spowodowane tym, że obejmował ją ciasno w talii, bo podnosząc się, nadal nie zwalniał uścisku.

- To był zwykły odruch, panno Wieczorek. Nie tylko mój brat ratuje damy z opresji.

- I pan pospieszył mi z odsieczą niczym rycerz na białym rumaku? A tak się pan z tego naigrawał.

- A już zaczynałem zmieniać o pani zdanie – wymruczał w jej policzek. - Musiałem chyba postradać rozum.

- O, to niewiele miał pan do stracenia – powiedziała z przekąsem i zacisnęła usta, by nie zacząć śmiać się z własnego dowcipu.

- Pani to robi specjalnie, prawda? – zapytał i odsunął się od niej.

- Trochę tak – odpowiedziała i otrzepała suknię. – Ale pan to lubi?

- Trochę tak – odparł i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Musiał przyznać, że w gruncie rzeczy panna Wieczorek była sympatyczna. Oryginalna, irytująca, ale i sympatyczna. Trudno nie docenić jej sarkastycznych, ale i błyskotliwych uwag.

- O. Tu się podziewacie, gołąbeczki – rzucił Maurycy, zbliżając się od strony błotnistej kałuży i przerywając im tę niezręczną sytuację.



Całe szczęście. Klemens nie potrafiłby wytłumaczyć tego, że się na nią zwyczajnie gapił, a ona, że specjalnie wystawiała go na pokuszenie. Izabela zrozumiała, że najstarszy z braci jest zdecydowanie groźniejszy, niż to założyła na początku. Nie tylko może zdradzić innym to, co wie o jej przeszłości, ale swoją osobą zmącić jej poukładane myśli i plany. Pociągał ją wbrew jej samej, co czyniło go zaiste niebezpiecznym.

– Jak zwykle zjawiasz się poniewczasie, braciszku – warknął Klemens, by ukryć swoje zmieszanie.

– Oj, ja bym obstawiał raczej, że przed czasem – zaśmiał się Maurycy i bezpardonowo wkroczył w błoto, starając się poruszać bez wysiłku. Niestety nie było to łatwe, więc nie wyglądał przy tym tak dostojnie, jak zamierzał. – Czyżbym wam w czymś przeszkodził?

Nie odpowiedzieli.

– A gdzie reszta waszego towarzystwa? – zapytał hrabia Modliński.

– Powinni już wrócić. Poszli szukać ciotki Stefanii – powiedział Klemens.

– To może trochę potrwać – dodała Izabela.

– Może zatem pójdziemy ich poszukać? – zaproponował Maurycy.

– To bardzo rozsądne – odparła Izabela. – Poszli na jakąś polankę.

– Lokaj będzie niezadowolony – jęknął Maurycy, kiedy obejrzał swoje ubłocone buty, dotarłszy do końca kałuży. – Ale poświęciłbym się raz jeszcze, gdyby pani chciała być niesiona przez kogoś zdecydowanie delikatniejszego niż mój brat. Mam nadzieję, że nie zarzucił sobie pani na plecy niczym kłodę drewna. – Puścił oko do Izabeli.

– Nie, ale następnym razem tak uczynię, żeby mi nie wydrapała oczu. – Klemens nie wychwycił aluzji.

– Wystraszysz pannę Wieczorek, jeśli nie będziesz zważał na to, co mówisz, bracie.

– Nie sądzę, by była tak lękliwa, jak ci się wydaje.

W odpowiedzi Maurycy wyszczerzył się w jasnym uśmiechu i zawadiacko uniósł brew, lustrując Izabelę od stóp po czubek kapelusza i z powrotem. Następnie podszedł do niej i podał swoje ramię.

– Może dla odmiany pobędzie pani w nieco bardziej okrzesanym towarzystwie? – rzucił, zerkając na pozostawionego w tyle brata. – A my – zwrócił się do Izabeli – utniemy sobie małą pogawędkę.

Uśmiechnęła się mimowolnie. Skreśliła go ze swojej listy kandydatów na męża, ale nie mogła oprzeć się jego urokowi. Nawet nie odczekał, kiedy znajdą się sami, by zacząć z nią flirtować. I robił to tak naturalnie, jakby się z tą umiejętnością urodził. Mógłby co nieco podszkolić swoich braci, pomyślała.

Kiedy już wszyscy dotarli do pałacyku, Maurycy zatrzymał Izabelę przed wejściem i zaproponował, że pokaże jej oranżerię swojej matki. Wiedział, że tego dnia nawieziono ziemi, by nazajutrz wykonać niezbędne jesienne prace przy roślinach, lecz i tak mieli ubłocone buty, więc nie stanowiło to szczególnego problemu.

Przeszedł wraz z nią swobodnym krokiem pod przeszkłony budynek, dobudowany do południowej ściany pałacyku, a kiedy przepuścił ją w wejściu i zamknął za sobą drzwi, jego dłoń nie powróciła na miejsce, a objęła ją ściśle w tali.

– Och, proszę uważać na ten krzak, panno Wieczorek. Nie chcemy, by się pani pokłuła – powiedział zmysłowym, niskim głosem.

Izabela poczuła się nieco nieswojo. Nie nieprzyjemnie, a po prostu dziwnie.

– Pana matka – zaczęła, by pozbyć się tego uczucia – ma prawdziwy talent do zatrudnianych ludzi. Wszystko wygląda prześlicznie.

– Zgadzam się – odparł, cały czas wpatrując się w jej profil.

– Zresztą nie tylko oranżeria...

Maurycy pochylił się i delikatnie pocałował kącik jej ust.

– Panie Modliński! – Nieomal się zarumieniła.

Pierwszy raz zdarzyło się, by jakakolwiek niewiasta nie uległa jego urokowi. Maurycy nie potrafił wytłumaczyć sobie zachowania panny Wieczorek. Coś musiało się za tym kryć i zaczynał domyślać się co, a raczej kto. Widać pannie Wieczorek już ktoś inny zawrócił w głowie. Pewnie któryś z jego braci. Pytanie tylko który.

– Przepraszam, jeśli panią uraziłem. Nie to było moim zamiarem. – Odsunął się, ale jego dłoń nadal spoczywała na jej talii.

– Wiem i nie mam panu za złe. – Uśmiechnęła się, widząc szczerą skruchę.

– Jest pani niezwykle ciekawą osobą, panno Wieczorek. Widzę jednak, że pani serce jest już przez kogoś zajęte, a ja potrafię pogodzić się z porażką. – Ukłonił się, a dłoń spoczywająca na jej talii opadła nieznacznie, badając wypukłość lewego pośladka.

Izabela głośno przełknęła ślinę. Skłamałaby, twierdząc, że się jej to nie spodobało. Tyle że ona nie szukała zabawy.

– Nicpoń z pana! – pisnęła, ale zamiast oburzyć się, zaśmiała się serdecznie na widok jego wybałuszonych błękitnych oczu. – Spodziewałam się po panu czegoś innego.

– Nieprawda. Spodziewała się pani dokładnie tego, co zrobiłem. – Zabrał dłoń i obie ręce skrzyżował na piersi. – Nie obiecuję też, że to się nie powtórzy. Mam słabość do pięknych kobiet i nic na to poradzić nie mogę.

– Pan niczego nie traktuje poważnie, hrabio Modliński! – udała oburzenie.

– Staram się.

Zgromiła go wzrokiem i z westchnieniem pokręciła głową.

– Gdybym zaczął być poważny jak wszyscy, to chyba zanudziłbym się na śmierć albo popadł w melancholię, dumając nad problemami tego świata. Póki mogę, wolę bez troską zabawę. Przynajmniej będę miał co wspominać. Ale mogę pani pomóc w poszukiwaniu męża.

– Słucham?!

– Wiem o pani planach od matki. To znaczy – pokiwał głową i podrapał się w brodę – nie powiedziała mi tego wprost, ale niechcący podsłuchałem jej rozmowę z pani wujem.

– Z wujem?

– Martwił się, że zanadto pani wybrzydza, być może dlatego, że wcale nie chce pani wyjść za mąż. Matka zapewniła go, że wcale tak nie jest, bo sama pani przyznała, że rozgląda się za odpowiednim kandydatem.

– A jak pan mógłby mi w tym pomóc? – zapytała ze szczerym zainteresowaniem.

– Jeśli chciałaby pani, mogę szepnąć słówko tu i ówdzie albo zachęcić nieco pewnych kandydatów do działania (miał na myśli nikogo innego jak jednego ze swoich braci). Mogę

także wzbudzać ich zazdrość, nie odstępując pani na krok, co sprawiłoby mi naprawdę ogromną przyjemność. Jeśli tylko pani powie słowo.

- Nie wiem, czy taka obstawa skutecznie nie odstraszyłaby potencjalnych wielbicieli. Nie uważa pan?

- Nie wyglądam groźnie.

- Nie powiedziałabym.

- W takim razie zostają podszepty – westchnął teatralnie.

- Niestety.

- Mogę jeszcze przysłużyć się w inny sposób.

- Hrabio! – ostrzegła.

- Nie to chciałem zaproponować, ale podoba mi się tok pani myślenia. – Uniósł zawadiacko lewą brew.

- Jest pan niepoprawny.

- Robię, co mogę – przyznał. – Poprawność jest cholernie nużąca.

Spojrzała na niego groźnie.

- Nie powie mi pani, że nie używa takiego słownictwa, bo i tak nie uwierzę.

- Odchodzimy od meritum.

- A tak – przyznał. – Jako mężczyzna poruszający się swobodnie między ewentualnymi kandydatami mogę sprawdzić ich intencję i wartość na rynku matrymonialnym. Nie chce pani chyba trafić na śmierdzące jajo, panno Wieczorek?

- Nie chcę – przyznała.

- W takim razie postaram się być czujny. A teraz proszę zmykać, zanim ktoś panią zauważy. Niestety nie mam najlepszej reputacji – dodał z ironicznym uśmiechem. – Kiedy ktoś widzi w moim towarzystwie jakąś damę, od razu podejrzewa najgorsze. Dalibóg, nie mam pojęcia dlaczego!

Jak mogła się na niego gniewać? To było niewykonalne.

- Dlaczego zatem mnie pan tu zaciągnął?

- To było nietaktowne i nieuczciwe, przynajmniej. – Uniósł lewą brew, a następnie dwukrotnie nią poruszył. – Ale czy mógłbym postąpić inaczej, mając choć cień szansy, że skradnę pani pocałunek?

Pokręciła głową.

- Obiecuję, że do jutra moi bracia... a przynajmniej jeden z nich – poprawił się – będzie jadł pani z ręki. Choć muszę przyznać, że nie jestem pewien, czy w pełni docenią pani zalety.

- Tak pan sądzi?

- Może nie będziemy ograniczać się jedynie do nich. Z pani aparycją, inteligencją i wrodzonym wdziękiem...

- Posagiem i koneksjami – dokończyła za niego. – Bądźmy szczerzy. To równie istotne. Nie mówiąc o mojej reputacji.

Zerknął na nią z ironicznym uśmiechem.

- Może z tą reputacją... ale nic naprawdę złego nie można mi zarzucić.

- Właśnie. A odrobina plotek może działać nawet na pani korzyść.

- Jak to? – zapytała zdziwiona.

- Znam wielu mężczyzn – pochylił się nad nią i poprawił wstążkę jej kapelusza – którzy wolą mieć za żonę kogoś z temperamentem niż nudną i miałą damę, z którą nie wiadomo co zrobić w sypialni.

- Hrabio Modliński!

- Chciała pani, bym był z nią szczery.

- To prawda – przyznała z westchnieniem.

- Nie będę podsycał plotek ani rujnował pani ciężko budowanego nowego wizerunku, choć ten stary bardziej mi się podobał...

- Nie znał mnie pan.

- Ale wiele słyszałem.

- Boże! – jęknęła.

- Nic, co mogłoby panią przekreślać w oczach towarzystwa, raczej same leżące na granicy przyzwoitości anegdoki.

- Na granicy przyzwoitości? – dopytała, marszcząc brwi.

- Nie wchodźmy w szczegóły. Potrafię wszystkie niedomówienia wykorzystać na pani korzyść.

- Dobrze. Ale czego pan oczekuje w zamian?

- Absolutnie niczego. To, że jestem, jaki jestem, nie oznacza, że pragnę wykorzystać każdą piękną damę. Panią lubię, a zeswatanie pani z którymś z moich braci ostudzi zapędy mojej matki co do mojej osoby.

- Sprytne – przyznała. – Uciekam – powiedziała z uśmiechem na ustach i zniknęła za przeszkłonymi drzwiami.

Maurycy planował odczekać chwilę, by nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Miał spore doświadczenie w tej materii, dlatego spokojnie przysiadł na ławeczce i wydobyl z kieszeni płaszczą płaską buteleczkę miejscowego bimbrow. Nosił taką przy sobie na wszelki wypadek. A wszelki wypadek, jego zdaniem, mógł jak najbardziej być w tym momencie.

Niestety nie dane było mu skosztować trunku, bo tępe uderzenie w tył głowy pozbawiło go przytomności, a obudził się dopiero wieczorem, w karczmie w Marcinopolu<sup>7</sup>, jakieś trzydzieści kilometrów na południowy zachód od oranżerii, w której być powinien.

- Gdzie, do jasnej cholery... – wymamrotał, trzymając się za obolałą głowę, obudziwszy się w ciasnej izbie na wąskim łóżku obok ponętnie wyglądającej młodej dziewczyny. Może przeciętnej urody, ale ubranej tak skąpo i patrzącej na niego tak lubieżnie, że żal było nie skorzystać.

- Witaj, słodziutka – szepnął, zapominając o złym samopoczuciu. – Czyżbyś czekała, aż się obudzę?

- Ani chybi, przystojniaku – odparła z uroczym wschodnim akcentem dziewczyna i uśmiechnęła się do niego zalotnie. – Jużem się bała, że zgłodnieję, zanim otworzysz oczy.

- Zaraz poradzę coś na to, byś zapomniała o tej niedogodności. – Odzyskawszy całkowicie siły, przysunął się do niej jeszcze bliżej. Później zastanowił się nad tym, jak się tu, u licha ciężkiego, znalazł.

---

<sup>7</sup> Osowiec (obecnie woj. podlaskie) w 1743 roku został przekształcony w prywatne miasteczko o nazwie Marcinopol. W 1827 roku utracił prawa miejskie.

## 7.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o męską pomoc – powiedziała Izabela.

- A na co panienka liczyła? – zapytała Adela znudzona obserwowaniem krążącej po sypialni dziewczyny.

- Na to, że mój wuj solidarnie ze mną będzie wspierał tych kandydatów, którzy mi się podobają, a Maurycy Modliński zachęci jakoś Anthony'ego do działania. Tymczasem hrabia Atherton wygląda, jakby już stracił zainteresowanie moją osobą, a Maurycy przepadł jak kamień w wodę. A tak obiecywał pomoc. Uwodziciel!

- Przecież hrabia Atherton obsypuje panienkę komplementami, jest uprzejmy i naprawdę miły.

- Jak dla wszystkich – sapnęła Izabela, opadając na łóżko.

- A jego młodszy brat mógł zrobić to dyskretnie, zanim zniknął.

- Zniknął?

- Nikt nie wie, gdzie się podział. Nikomu nic nie powiedział. Ale nie widzę, żeby kogoś to szczególnie obeszło. Pewnie już nie raz wyjeżdżał bez słowa. A jeśli chodzi o panienki wuja, to już mówiłam, że nie mam co do niego dobrych przeczuć.

- Dlatego potrzebuję męża. Muszę się od niego uwolnić, zanim całkiem zdziwaczeje.

- Mówiłam paniencie o tamtej podsłuchanej rozmowie?

- Której? – Izabela spojrzała na służącą. Adela była jej pokojówką, od kiedy zjawiała się w dworze wuja. Zatrudniono ją właśnie do tej roli i jako że sama nie miała dzieci, a instynkt macierzyński działał u niej jak najbardziej prawidłowo, to traktowała Izabelę niemal jak własną córkę. Poza, rzecz jasna, faktem, że musiała wykonywać jej polecenia. Czy wykonywała? Różnie z tym bywało. Izabela jednak nigdy nie skarżyła się na nią ani do wuja, ani do nikogo innego. Sama potrzebowała kogoś bliskiego, kto służy radą, a i potrafi dać wyraz niezadowoleniu.

- Tej o skompromitowaniu panienki.

- To akurat musiało znaczyć coś zupełnie innego.

- A mnie się widzi, że panienka za bardzo ufa temu staremu zrzędzie.

- Adelo! – upomniała ją.

- Pewnie już upatrzył jakiegoś bogatego kolegę od polowań w wieku co najmniej zasłużonym i tylko czeka, aż paniencie się noga powinie. On wie, że z panienki dobra partia. Do tej pory może trochę pechowa, ale dobra. Jak do reszty panienka sobie narobi kłopotów. A pewnie... – dodała ciszej.

- Nie dosłyszałam.

- Nic. W gardle mi zaschło. – Pokojówka machnęła dłonią. – Musi panienka dobrze to rozegrać, bo w naszej okolicy ani u panienki siostry pod Ostrołęką raczej łatwo nie pójdzie.

- Tak?

- Tak. Bo tam już panienkę znają. I niech tak nie wybałusza oczu. Sama sobie winna.

Izabela jedynie pokiwała głową. Niestety służąca miała całkowitą rację.

- Do stolicy wuj panienci też pewnie nie zechce puścić. A lata lecą... - Adela pokręciła głową. - Może nie widać, ale lecą. Ja też kiedyś byłam młoda i ładna. Przegapiłam jednak swoją szansę, a potem dostał mi się chorowity opijus i tyle z tego miałam. Czas nie stoi w miejscu dla nikogo.

- Wiem, wiem. - Izabela ziewnęła.

- Wiem, że panienka wie. Przypominam tylko, że...

Rozmowę przerwało głośnie pojedyncze stuknięcie do drzwi. Adela, nie czekając na polecenie, podeszła, by sprawdzić, któż to postanowił niepokoić jej panią o tak późnej porze.

- Baron Krzyżewski? - Zdębiała. - Przepraszam. - Ukłoniła się. Był w końcu synem hrabiny Modlińskiej, więc w jakimś stopniu to też jego dom. Ale przychodzić do sypialni niezamężnej damy?! To bardzo niestosowne.

- Proszę wybaczyć to najście, ale muszę porozmawiać z panną Wieczorek.

- To porządna dziewczyna. - Służąca ujęła się pod boki. - Nie wpuszczę pana do jej pokoju.

- Nie mam zamiaru tam wchodzić - odparł obojętnym tonem. - Proszę ją poprosić do gabinetu mojej matki. I niech pani też przyjdzie. Jako przyzwoitka - dodał i pokręcił głową.

Już po dziesięciu minutach Izabela zapukała do drzwi gabinetu i nie czekając na zaproszenie, otworzyła je z impetem. Klemens siedział w głębi pomieszczenia za biurkiem swojej matki z kieliszkiem jakiegoś trunku w dłoni.

- Proszę usiąść. - Wskazał dłonią krzesła naprzeciwko.

- Nie wypada, bym siadała tak razem z państwem - odparła służąca i nie czekając na odpowiedź, wybrała sobie miękką taboret obok kominka.

Izabela podeszła różnym krokiem, ale nie zajęła miejsca. Czuła się z jednej strony bezpiecznie, mając za sobą Adelę, ale też mniej komfortowo, bo nie mogła rozmawiać tak swobodnie, jakby sobie tego życzyła.

- Proszę usiąść. Krzesło jest całkiem wygodne, nawet dla tak delikatnego stworzenia - powiedział z przekąsem baron Krzyżewski, zerkając na pokojówkę Izabeli. Nie chciał narazić się tej kobiecie, bo mogłaby udzielić mu pewnych informacji, gdyby udało się zdobyć jej zaufanie. Na szczęście ta uśmiechnęła się, słysząc te słowa, i sięgnęła do kieszeni fartucha po szydełko i niedokończoną serwetkę i zajęła się pracą.

- Najpierw chciałabym wiedzieć, po co mnie pan wezwał.

- To delikatna sprawa i wygodniej byłoby omawiać ją na siedząco. Niech mnie pani nie zmusza do wstawania - dodał zrezygnowanym tonem. - Nie wypada, bym siedział, kiedy pani stoi, a miałem naprawdę ciężki dzień.

Najwyraźniej nie miał dziś ochoty na przepychanki słowne. To coś zupełnie nowego, przyszło jej do głowy. Izabela nie byłaby jednak sobą, gdyby nie zapytała:

- A cóż takiego pan dzisiaj ciężkiego robił, baronie? Chyba nie pracował pan z czeladnikami w folwarku?

- Musiałem taszczyć wielkie, wierzące się ciężary przez bagna.

- Nie jestem taka znowu ciężka! - oburzyła się.

– Dlaczego pani sądzi, że mówię akurat o niej? – burknął, zmrużył oczy i mieląc w ustach jakieś przekleństwo, dodał łagodniej: – Niechże pani siada.

Baron zaczął czekać, aż Izabela zajmie miejsce, a sam sięgnął po stojącą na biurku karafkę.

– Napije się pani ze mną?

– Nie, dziękuję – powiedziała rzeczowo i poprawiła suknię.

– W takim razie pozwoli pani, że sobie doleję. – Zrobił to oczywiście, zanim zdołała przytaknąć, a następnie zbliżył kieliszek do ust, zastanawiając się, jak zacząć tę rozmowę. Bezwiednie dotknął wargami brzegu naczynia i wysunął język.

Izabela zrobiło się nagle gorąco. Nie potrafiła wytłumaczyć dlaczego, ale coś dziwnego działo się z jej ciałem, kiedy wpatrywała się w jego idealnie skrojone wargi. A to spojrzenie! Hipnotyzujące, jawnie zmysłowe, badawcze, paraliżujące... Zakręciło się jej w głowie, bo zapomniała nabrać powietrza. Klemens był mężczyzną, którego nie mogła brać pod uwagę w wyborze małżonka i nie miała czasu i możliwości, by w ogóle o nim myśleć. Ba, ona nie chciała o nim myśleć, bo go nie lubiła. Nic jednak nie mogła poradzić na to, że największą jej uwagę przykuwał ten najmniej właściwy z braci.

– Pan mi się przygląda – stwierdziła nieco zmieszana, by nie zobaczył, że to ona przyglądała się jemu.

– Tak? – zapytał z autentycznym zdumieniem. – To zwyczajny odruch. Zauważyła chyba pani, że jest całkiem ładną kobietą?

– Jeśli potwierdzę, wyjdę na chełpliwą, jeśli zaprzeczę, na idiotkę.

– Ale poznałem też pani charakter, więc... – Odwrócił wzrok i wymamrotał coś niezrozumiałe.

– Niech pan lepiej przejdzie do rzeczy.

– Słusznie. – Odchrząknął. – Otóż zaginał mój brat. Nie żebym się jakoś szczególnie tym przejmował, bo tego można się akurat po nim spodziewać, ale moja matka bardzo się martwi.

– Który?

Rzucił jej wymowne, krótkie spojrzenie.

– Ma pani wiele wad, ale nie jest głupia. Prawda?

– Nie skomentuję tego. – Zerknęła na pokojówkę, która udawała skupienie na robótce, a i tak co chwila zasłaniała usta, by nie wybuchnąć śmiechem. Gdzie się podziały lojalność i oddanie służby?

– Maurycego nikt nie widział od rana i nie zjawił się na żadnym z posiłków. Nie darowałby sobie tuszonej sarniny, będąc gdzieś w pobliżu.

– Hrabia Modliński nie wygląda na łakomczucha.

– Pozory – powiedział spokojnym, niezdradzającym żadnych emocji głosem. – Skądś musi brać energię do życia, jakie prowadzi. – Ponownie głośno odchrząknął, przywołując się do porządku. – Czarna owca wśród potomstwa hrabiny Modlińskiej.

– A to nie panu przysługuje takie miano? – udała zdziwienie.

– Jestem przedostatni w kolejce – odparł, świdrując ją wzrokiem.

Nie mogła się nie zarumienić i nie zauważyć, jak cudownie błyszczą jego szare oczy w blasku płomieni z kominka. Nie! Nie będzie już o nim myśleć, postanowiła. Skupi się na Anthonym i innych, odpowiednich dżentelmenach.

- Maurycy zwyczajnie zniknął.

- Może gdzieś wyjechał, nie informując o tym nikogo? To niezbyt taktowne, ale nie niemożliwe. Sam pan przyznał.

- Owszem. I nie przejąłbym się tym zbytnio, ale wraz z nim nie zniknął żaden powóz, koń ani nawet osioł. Żaden z gości też nie zgłaszał zaginięcia ani zwierzęcia, ani niczego. - Niemcierpliwili się. - A przecież nie wybrałyby się nigdzie pieszo.

- Niektórzy tak robią - odparła bez zainteresowania.

- Niektórzy tak, ale nie on. Tego akurat jestem pewien. Na wszelki wypadek sprawdziliśmy okolicę - ani śladu.

- To może jest w pałacyku? Albo w folwarku?

Zerknął na nią pobłaźliwie.

- Rozumiem, że przeszukaliście wszystko.

- Tak, a ostatnią osobą, która go widziała, jest pani.

Teraz to ona spojrzała na niego w milczeniu.

- Pamiętam przecież, że zostaliście chwilę dłużej po spacerze na zewnątrz.

- Doprawdy? - Poczula się nieswojo i żeby zająć czymś ręce, sięgnęła po leżący na biurku kamienny przycisk do papieru w kształcie jakiegoś kwiatu.

- Nie wspominał przypadkiem, że się gdzieś wybiera?

- Wprost przeciwnie - odparła. - Zapewniał, że będzie mi... że zostanie tutaj.

- Interesujące.

- Cóż niby? - zdenerwowała się, bo doskonale wiedziała, co insynuuje.

- To, że pani coś obiecał, a potem zapadł się pod ziemię. Nie powiedziała mu pani czegoś w oranżerii?

- Słucham?

- Wiem, że się tam razem udaliście.

- Śledził nas pan?

- Nie, ale ślady waszych butów mówią same za siebie. Świeżo nawieziona ziemia umożliwiła mi szybko wyciągnąć wnioski.

- Jak zwykle błędne.

- To pani zdanie.

- Wiem, że myśli pan o mnie jak najgorzej.

- Akurat dziś miałem ochotę panią całkowicie wybielić. Dlatego zwróciłem się do pani, a nie do jej wuja czy mojej matki. Nie chciałem wywołać skandalu.

- Ale może pan to uczynić?

- Gdybym miał taki zamiar, nie zacierałbym śladów w oranżerii.

- Cóż za wspaniałomyślność - zakpiła. - Ciekawa jestem, ile mnie będzie ona w przyszłości kosztować.

Spojrzał na nią tak, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. Izabela nie była pewna, czy dobrze odczytała wyraz jego twarzy, ale przybrał coś na kształt podziwu. Doprawdy zastanawiające, pomyślała.

Klemens nie był pewien, czy powinien zacząć dyskretnie wypytywać ją o zaginionego szlachcica i jego rodowy pierścień. Od jakiegoś czasu docierało do niego, że panna Wieczorek



to nie tylko rozkapryszona, wiecznie popadająca w tarapaty zołza, ale i niezwykle inteligentna osoba. Jeżeli była w coś zamieszana z własnej woli, to łatwo ją spłoszy, a jeśli nie ma z tym nic wspólnego, mógłby ją niepotrzebnie obrazić. Dziwne, ale zaczynał tracić ochotę na uprzykrzanie jej życia. Nie miał jednak wyjścia. Jeśli chciał się czegokolwiek dowiedzieć, musiał zapytać:

– Jest pani absolutnie pewna, że nic nie wie na temat zaginięcia Maurycego?

– Jestem i zupełnie nie rozumiem pana spojrzenia – powiedziała, widząc jego przymrużone oczy.

– Nie byłby to pierwszy mężczyzna, który zniknął po schadzce z panią.

– Jak pan śmie?! – krzyknęła i odruchowo cisnęła w niego przyciskiem do papieru.

Ten odbił się i uderzając w pustą karafkę, rozbił ją na kawałki.

Udał, że go nie zabolalo, ale uderzenie ciężkim przedmiotem w brzuch musiało być nieprzyjemne. W dodatku będzie musiał posprzątać i odkupić matce naczynie.

Pokojówka odruchowo poderwała się z miejsca, chcąc mu jakoś pomóc, ale zatrzymał ją wzrokiem, wyprostował się dumnie i rzekł nieco przydławionym głosem:

– Rozumiem, że niczego się od pani nie dowiem. Dobranoc, panno Wieczorek.

Kwadrans po oddaleniu się Izabeli w towarzystwie pokojówki do gabinetu wpadł zdyszany lokaj.

– Właśnie wrócił powóz wicehrabiego Giełczyńskiego, jaśnie panie – oznajmił zaraz po zamknięciu za sobą drzwi.

– Jesteś pewien?

– Tak. Wcześniej z pewnością go nie było. Sprawdzaliśmy dwa razy.

– Hm. Wicehrabia nie zgłosił zaginięcia, nie wspomniał też nic o tym, że zamierza kogoś posyłać poza majątek. – Klemens podrapał się w brodę i chwilę pomyślał. – Biegnij i dowiedz się, po co i dokąd wyjeżdżał. I zrób to w miarę dyskretnie – dodał.

– Ma się rozumieć – odmeldował się chłopak i już go nie było.

Wrócił po kilku minutach.

– Wicehrabia wysłał nim kogoś po sprawunki dzisiaj rano i zupełnie o tym zapomniał. Może hrabia Modliński zabrał się razem z nimi.

– A konkretnie dokąd po te sprawunki wysłał powóz?

– Woźnica mówi, że do Sztabina, ale coś mi się wydaje, że trochę drogi musiał nadłożyć, że tak mu długo zeszło.

– W porządku – stwierdził Klemens i ponownie się zamyślił. – Dobrze się spisales. To wszystko na dzisiaj. Jutro zdecyduję, co z tym dalej robić. Możesz odejść.

Chłopak skłonił się i zadowolony z siebie skierował się do wyjścia. Nie uszedł daleko, bo drogę zagroził mu nie kto inny, jak zaginiony hrabia.

– Moja matka jeszcze u siebie? – zapytał ni z tego, ni z owego.

– Nie. To baron Krzyżewski – odparł cicho chłopak, zerknąwszy na smugę światła wydobywającego się spod drzwi gabinetu hrabiny Modlińskiej.

– Cóż – rzucił nonszalancko Maurycy i wzruszywszy ramionami, skierował się ku schodom.

– Jeśli mogę – nieśmiało wydukał służący.

– Tak?

- Hm.  
- Mów wreszcie – Maurycy się uśmiechnął – nie gryzę.  
- Baron cały dzień wypytuje o pana zniknięcie – wyszeptał chłopak.  
- Zdenerwował się?  
- Próbuje tego nie okazywać.  
- W takim razie najpierw zajrzą do niego.  
- Czy będzie pan czegoś potem potrzebował?  
- Nie. Możesz spokojnie odejść.  
- Dziękuję i dobrej nocy. – Służący się skłonił i czym prędzej się oddalił, by móc pójść do domku dla służby.

Maurycy powstał chwilę, poprawił ubranie i przecesał dłonią potargane włosy.

- Nie czaj się – padło zza drzwi gabinetu. – Słyszałem cię przecież.  
- Witaj, braciszku. – Najmłodszy z braci wszedł w miarę prostym krokiem i rozsiadł się na ustawionym pod ścianą szeslongu.

- Możesz mi wyjaśnić, dlaczego znikasz na cały dzień, nikogo nie informując o swoim zamiarze? Bo nie spytam cię nawet, gdzie się podziewałeś. – Zlustrował ostentacyjnie jego pogniecione ubranie.

- Czyżybys się o mnie martwił? – zapytał rozbawiony Maurycy.

- Nie ja. Matka – odparł lodowatym tonem Klemens. – Nikt ci nie każe zdawać relacji z twoich rozlicznych podbojów, ale mógłbyś, na Boga, wspomnieć słówko, zanim przepadniesz na cały dzień, mając pewne zobowiązania na miejscu.

- Nie planowałem tego.

- Nie wątpię – rzucił twardo Klemens.

- Nie planowałem i nie zrobiłem z własnej woli – dodał tajemniczo Maurycy, a potem oparł się o wezłowie szeslonga i z rozbawieniem obserwował zmieniający się wyraz twarzy brata.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Jakaś... jakaś dama zaciągnęła cię siłą?

- Jeśli tak, to miała cholernie ciężką rękę i siłę konia, bo oberwałem porządnie w tył głowy i obudziłem się w jednej z karczm w Marcinopolu.

- Mówisz poważnie?

- Tym razem tak – zapewnił Maurycy. – Wiem, że to do mnie podobne, ale naprawdę nie chciałem znikać. Miałem nawet pewne zobowiązania w stosunku do... – uciał.

- Do panny Wieczorek – dokończył Klemens. – Wiem. Rozmawiałem z nią niedawno.

- Stał to rozbite szkło? – Maurycy nie mógł darować sobie żartu. – Temperamentna dziewczyna – wyszeptał do siebie. – Ale to nie ona – stwierdził. – Pasowałoby do niej, ale nie mogła tego zrobić.

- Skąd wiesz?

- Widziałem, jak odchodzi przez przeszklone drzwi oranżerii, kiedy obrywałem. Chyba nie sądzisz, że potrafiłaby się rozdwoić? – zapytał, strojąc sobie żarty.

- Bądź poważny. Ktoś cię dzieli w łeb i wlece kilkadziesiąt kilometrów, a ty zupełnie się tym nie przejmujesz?! Nic ci się nie stało?

- Oj – rozmarzył się Maurycy. – Gdyby nic mi się nie stało, to wróciłbym z pewnością znacznie wcześniej. Miałem jednak dość wypełniony terminarz.

- I nie zastanowiło cię wcale - Klemens pominął temat treści, jaką ten terminarz wypełnił - po cóż ktoś zadawał sobie trud, by się ciebie stąd pozbyć?

- Przez chwilę, ale szybko doszedłem do wniosku, że wcale się na niego nie gniewam. Swoje zobowiązania ureguluję jutro, a wy sobie z pewnością sami świetnie poradziliście. Gdyby mnie porzucił na moście albo przy komorze celnej, wówczas bym się zastanowił, jak się zemścić, a że wybrał karczmę...

- Jakoś nie widzi mi się, bym to szybko zlekceważył.

- Oj. - Maurycy machnął ręką i przeciągnął się ostentacyjnie, demonstrując znudzenie rozmową. - Pewnie któryś z moich kolegów spletał mi tego figla. Po cóż to analizować?

- Być może. Jednak jeśli to nie twój kolega, a ktoś, kto pozbył się ciebie w konkretnym celu, to warto by wiedzieć o tej sprawie nieco więcej.

- Jesteś strasznie nudny - parsknął Maurycy - ale jeśli cię to zadowoli, to popytam trochę. Jutro - dodał szybko, by brat nie kazał mu jeszcze tej nocy szukać informacji.

- Trafisz do sypialni? - zapytał Klemens. - Czy przynieść ci tutaj jakiś koc?

- Trafie - odparł młodszy baron i odetchnął głęboko. - Matka specjalnie kazała postawić tu tak niewygodny szezlong. Nie chciała, bym korzystał z jej gabinetu po ostatnim razie.

- Nie zapytam.

- Nie musisz. Powiem tylko, że pomyliłem nocnik z jej drogocennym flakonem. Ale dało się go doczyścić. Nie będzie zadowolona z rozbitej karafki. - Czknął i zaczął się podnosić.

- Może cię odprowadzę - westchnął Klemens i podszedł do brata, by mu podać ramię.

## 8.

– Czy Izabela Wieczorek byłaby zdolna uczynić to specjalnie?! – wrzasnął dwa dni później Klemens do brata tłumaczącego podopieczną wicehrabiego Giełczyńskiego. – Złamanego grosza bym nie postawił na to, że nie. Oczywiście, że byłaby do tego zdolna!

Naprawdę odczuwał teraz chęć... nie chęć, raczej przemożną potrzebę uduszenia jej gołymi rękoma.

– Chyba zbyt surowo ją oceniasz – próbował delikatnie uspokoić brata Anthony, kiedy do pokoju wszedł, a raczej wpadł Maurycy.

– Nieźle cię urządziła! – zaśmiał się serdecznie, zerkając na obnażony pośladek najstarszego brata. – Wiedziałem, że jest temperamentna, ale nie sądziłem, że posunie się do czegoś takiego. I to przy świadkach! Koniecznie muszę ją bliżej poznać. – Postanowił wbrew ustaleniu z panną Wieczorek trochę podziałać braciom na nerwy i wzbudzić w nich zazdrość. Jego zdaniem był to najlepszy sposób na zwrócenie uwagi na jakąś damę.

– Nie radziłbym – burknął Klemens, a Anthony spojrział na niego spodę łba.

– Czyżbym powiedział coś nie tak? – zapytał Maurycy, zawiadacko unosząc brwi i wkładając dłonie do kieszeni. – Zaraz przyjdzie lekarz. Mogę chyba tu zostać i sobie popatrzyć?

Nikt mu nie odpowiedział, ale zupełnie się tym nie przejął. Maurycy był najmłodszym z braci i niestety odrobinę rozpieszczonym zarówno w dzieciństwie, jak i później tylko dlatego, że jego uśmiechowi nie mogły oprzeć się wszystkie kobiety, od podlotków, przez niańki, guwernantki, pokojówki, po babcię i ciotki, i kuzynki wszelkiej maści. Na mężczyzn jego urok osobisty nie działał. Maurycy jednak nie robił sobie z tego absolutnie nic i zwyczajnie ignorował wszelki sprzeciw, robiąc dokładnie to, na co miał akurat ochotę.

– To mogę czy nie? – zapytał tylko dla przyzwoitości.

– I tak zostaniesz, więc co za różnica? – odparł Klemens i jęknął, próbując zmienić pozycję.

Jego tylna część ciała (ta, która stanowi uwięzienie pleców) piekła po postrzale z wiatrówki. Był żołnierzem i wiele razy oberwał. Jego ciało pokryte było licznymi bliznami zdobytymi na polach bitewnych w ferworze walki. Wówczas jednak był zaaferowany wojną i chęcią pokonania wroga i nie odczuwał tego tak jak teraz, kiedy zniecacka oberwał w pośladek.

Po cóż się z nią znowu pokłócił? Sam nie wiedział. Chciał tylko podejść i grzecznie się przywitać, ale kiedy ujrzał, jak popisuje się swoimi umiejętnościami strzeleckimi, zwyczajnie nie wytrzymał.

Czy zrobiła to w afekcie? Czy już wcześniej zamierzała zranić go i ośmieszyć przed wszystkimi?

Nie wyglądało to dobrze. On dostojny, zawsze chłodno odnoszący się do wszystkich, człowiek uchodzący za ponurego i raczej sztywnego, bohater wojenny, szanowany mężczyzna, twardy negocjator, opanowany i mało mówny, raczej rozsądny i przewidywalny... Obrywa nagle strzał w tyłek i piszczy przy tym jak dziecko. Reakcja była spontaniczna i zupełnie jej nie

planował, a że poprzedniego dnia zgrzany wypił ze studni cały kubek zimnej wody, to gardło odmówiło mu posłuszeństwa i jego naturalny głos zmienił się w jakieś dziwne cienkie skrzeczenie. Cóż za upokorzenie! Miał ochotę rozszarpać tę małą złośnicę.

\*

Izabela krążyła w kółko po sypialni, którą zajmowała w pałacyku hrabiny Modlińskiej.

Jak mogło do tego dojść?! Próbowwała poukładać sobie w głowie zdarzenia z tego poranka.

Dziś po śniadaniu wszyscy chętni miłośnicy polowań, którzy byli w stanie obudzić się i wyszykować do wyjścia, umówili się stawić na zbiórkę w celu polowania na zające.

Zarządca folwarku hrabiny zebrał kilku czeladników i młodych chłopców z pobliskiej wsi, obiecawszy im zapłatę w postaci wędzonej słoniny, kilku groszy i barylki miodu. Omówił z nimi dokładnie warunki pędzenia, miejsca rozpoczęcia i kierunku naganiania. Zaplanował cztery trasy. Rozdał wszystkim kołatki i nakazał czekać na sygnał.

Tymczasem ona i kilkanaście innych osób ustawili się na stanowiskach z bronią w rękę. Ta pochodziła ze zbiorów nieżyjącego już hrabiego Modlińskiego i zdaniem Izabeli przynajmniej częściowo była nieco zaniedbana. W każdym razie jej przypadł w udziale jakiś wykrzywiony egzemplarz.

Ubrani w ciepłe stroje, bo w nocy temperatura spadła poniżej zera i trawę pokrywał szron, czekali cierpliwie, nasłuchując odgłosów nagonki. Stali pod wiatr, więc dźwięki były dobrze słyszalne. Kiedy tylko na horyzoncie pojawiły się pierwsze szaraki, dowodzący wszystkim nieco przygłuchy wuj zmarłego hrabiego Modlińskiego, Henryk Hryniewicki, dał znak, żeby powstrzymać się od wystrzału. Tradycja nakazywała, by pierwszemu zającowi darować życie, więc wszyscy zgodnie uszanowali jego decyzję. Niestety guzdrał się z odwołaniem wydanego polecenia tak długo, że większość zwierząt zdążyła uciec, a jedynie baron Krzyżewski i wuj Izabeli zdołali oddać celne strzały. Ona oczywiście też wystrzeliła, jednak chybiła okrutnie, a na dźwięk parsknięcia barona zwyczajnie puścili jej nerwy. Zaczęła tłumaczyć przesadnie głośno jego matce, że jest doskonałym strzelcem i zazwyczaj nie chybia, więc z pewnością jej syn, który odpowiedzialny był za przydzielanie broni, dał jej zepsuta. Być może określiła go przy tym niezbyt uprzejmie. Teraz już nie była pewna. W każdym razie rozłożył się, co zauważyła po jego jeszcze bardziej niż zwykle zmarszczonym czole, ale zlekceważył jej uwagi.

Przy drugim podejściu, zdecydowanie bliżej rzeki, omal nie ugrzęzła w przymarzniętym błocie, bo w takie ją pokierował, twierdząc, że to najlepsza pozycja do oddania strzału, gdyż uciekające przed nagonką zające będą zmierzać w kierunku Biebrzy. Ignorant!

Sam, podobnie jak wielu starszych dżentelmenów i niektóre damy, siedział sobie wygodnie cały czas w tym samym miejscu na przyniesionym rozkładanym stołku i czekał spokojnie, wypatrując, z której strony poderwie się zając. Reszta nerwowo rozglądała się na boki bądź przechodziła cichutko z miejsca na miejsce.

Niemal wszystkim udało się coś upolować, tylko ona pozostała z pustymi rękoma. Zaczynała wątpić w swoje umiejętności, ale winą obarczała sprzęt i tego, który go jej przydzielił. Kiedy Anthony chciał się z nią zamienić na strzelby, wdzięcznie odmówiła i dopiero po namowie jego matki się zgodziła. Niestety nie wpłynęło to na jej wyniki. Była już wytracona z równowagi, ale tym razem starała się zachować spokojnie i rozważnie, by nie zniechęcić do siebie hrabiego Athertona. Wydawał się taki sympatyczny i chętny do pomocy.

Nawet poinstruował ją, nie wymądrzając się. Chciała mu zaimponować. Niestety i tym razem nie wyszło. Chybiła całkowicie, a gdy Anthony odszedł, zawołany przez jakąś starszą damę, nie wytrzymała, odwróciła się do barona Krzyżewskiego i zerknąwszy, czy nikt na nią nie patrzy, pokazała mu język.

Zrobił taką minę, jakby chciał jej spuścić lanie, a potem parsknął lekceważąco, co ją jeszcze bardziej rozsierdziło. Dlatego, niewiele myśląc, ruszyła w jego kierunku i zażądała przydzielenia jej innej, tym razem sprawnej broni, twierdząc, że baron nie potrafi odpowiednio dbać i o gości, i o broń, i o nic zupełnie. Znalazł dla niej jakąś lichą wiatrówkę, z której mogłaby upolować co najwyżej mysz, ale wzięła ją, niemal wyrwijając mu z rąk, i przeszła z powrotem na swoje miejsce, by tam cierpliwie czekać na odgłosy kolejnego nawoływania i stukot kółatek.

Niektórzy z czekających zmienili swoje pozycje, bo tym razem nagonka miała iść z innej strony. Baron Krzyżewski ustawił się kilkanaście metrów przed nią, prawie na linii strzału. Próbowana dać mu do zrozumienia, wymachując rękoma, żeby się nieco przesunął. Ale nawet jeśli zrozumiał jej sygnały, to nie miał zamiaru się im podporządkować. Owszem, przekleła go w myślach wielokrotnie, pokazała mu także ponownie język i wymierzyła kilka razy w jego stronę, ale nie przyszło jej do głowy, by do niego strzelić. No dobrze, może i przyszło, ale nie byłaby zdolna do takiego czynu. Prawdę powiedziawszy, byłaby zdolna do takiego czynu, ale z pewnością by tego nie zrobiła naumyślnie.

Naprawdę!

Zwyczajnie chciała się odsunąć i zahaczyła rąbkiem sukni o jakiś wystający korzeń, potknęła się i odruchowo zacisnęła palce, tym samym oddając strzał. To on ustawił się na jego linii!

– Sam jest sobie winien – szepnęła, ale było jej naprawdę wstyd, że większość zebranych uznała, że jednak zrobiła to celowo, mimo że nikt (poza nim samym) nie powiedział jej tego wprost.

Oczywiście wszyscy bronili jej i współczuli wypadku, ale wiedziała dobrze, że plotki szybko nie ucichną. Całe szczęście, że nie trzymała w dłoni czegoś innego. Wiatrówka miała naprawdę mizerne naboje, więc zapewne jedynie go lekko zraniła. Na pewno!, powtarzała w myślach.

\*

– Proszę się nie wiercić – powiedział lekarz, przypatrując się dziurze po naboju. – To mała dziurka, ale będę musiał zrobić nacięcie, bo inaczej nie wyjmę śrutu. Niestety utknął bardzo głęboko.

– To może poda mi pan coś znieczulającego? Na wojnie dostawaliśmy morfinę.

– To nie wojna, baronie Krzyżewski, a rana nie jest aż tak poważna.

– Może i nie, ale piecze naprawdę poważnie, proszę mi wierzyć – jęknął Klemens.

– Poważnie, jak na tak niepoważne miejsce – zażartował Maurycy, ale zgromiony wzrokiem brata nie dodał nic więcej, tylko nonszalancko oparł się o framugę drzwi z ugiętą nogą w kolanie.

– Może podam ci jednak trochę opium – zaproponował Anthony, zerkając na lekarza.

- Wytrzymam – odparł Klemens. – Wyobrażę sobie, że jej odpłacam tym samym, i jakoś dam radę.

- Nie mów tak, proszę. To był wypadek. Panna Wieczorek bardzo się przejęła tym, co się stało. Potknęła się biedaczka i broń sama wystrzeliła.

- I ty jej wierzysz, mimo że tego nie widziałeś?

- Owszem. Nie mam żadnego powodu, by jej nie wierzyć.

- A moje słowo się nie liczy?

- Stałeś tyłem – wtrącił się Maurycy, nadal oparty o ścianę. Wolał stać z daleka. Mimo że scena była naprawdę komiczna i za nic nie odmówiłby sobie wzięcia udziału w tej hecy, to nie lubił widoku krwi i moment wydobycia kuli wolał przeczekać w bezpiecznej odległości.

- Tak?

- Oberwałeś po tyłku, więc...

- Prze... Auć.

- Już po wszystkim. Założę jeszcze małe szwy i może pan sobie odpocząć. Tylko nie radzę siadać, nawet w miękkim fotelu. – Lekarz także nie mógł się powstrzymać, żeby z niego nie zakpić, mimo podwójnej zapłaty z prośbą niedzielenia się tą sensacją z nikim spoza tego domu.

- Musicie się temu przyglądać? – zwrócił się do swoich braci Klemens. – To i tak żenujące, że leżę tu z gołym tyłkiem i daję się dotykać obcemu mężczyźnie. Wasza uważna obserwacja wcale nie pomaga.

- Nie zobaczymy już niczego więcej, czegośmy nie widzieli do tej pory – odparł spokojnie Maurycy, a Anthony odwrócił się posłusznie i zaczął się wpatrywać w obraz wiszący na ścianie.

- Zsyte – oznajmił lekarz i zaczął sprzątać z grubsza otoczenie wokół pacjenta. – Wrócę tu jutro, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku, i zmienić opatrunek. Do tego czasu radzę nie wykonywać gwałtownych ruchów, a najlepiej nie wychodzić z pokoju. Podejrzewam, że będzie pan miał zapewnioną należytą opiekę, i proszę z niej korzystać. – Wstał, podszedł do toaletki, nalał świeżej wody do miski i dokładnie umył w niej swoje przybory, następnie wytarł w czysty ręcznik i spakował do torby. – Już u siebie zrobię to porządniej – usprawiedliwił się, widząc zaciekawione spojrzenia. – Do zobaczenia, panowie. – Ukłonił się i wyszedł.

- Może podać ci jakieś spodnie? – zapytał nieśmiało Anthony. – Czy wolisz poczekać na lokaja? Tak na niego warknąłeś, że może szybko nie wróci. Chyba że chcesz, żeby matka zobaczyła cię w takim stanie.

- Może po prostu go czymś przykryjemy – zasugerował Maurycy.

- Ja tu cały czas leżę – przypomniał Klemens. – Nie chcę spodni, ale moglibyście mnie okryć. Strasznie zmarzłem w... – Nie wytrzymał i sam się zaśmiał ze swojego położenia.

Żenujące, ale zarazem zabawne położenie, pomyślał. Może teraz kobiety nie będą mu się tak łakomie przyglądać? We własnej ocenie spadł z piedestału i stracił tytuł niezdobytej dobrej partii. Teraz będą skupiać się na tym wydarzeniu i jego tylnej części ciała.

- Może dzięki tej całej przygodzie stracę kilka polujących na mnie dam – stwierdził. – I nie będę musiał brać w tym spędzie już dłuższej udziału. Jeśli hrabina uzna, że nikt się mną nie interesuje, to może da mi spokój.

- Niby dlaczego? – zapytał zdziwiony Anthony. – Myślisz, że panie będą rozpamiętywały ten drobny incydent?

- Nie nazwałbym tego ani incydem, ani tym bardziej drobnym – warknął Klemens. – To nie ty leżysz z podziurawionym tyłkiem. Ciekawe, jak będę teraz jeździł konno?

- Hm. A mama tak szybko cię stąd nie wypuści.

- Ale może odpuści mi udział w potańcówkach.

- Myślę, że może odpuści – powiedział ostrożnie Anthony. – Zresztą panie nie będą chciały nadwyręzać twego zdrowia w takiej sytuacji, więc nawet gdybyś prosił je do tańca, to powinny się wymigać wbrew tradycji i zasadom dobrego wychowania.

- A ja – wtrącił się Maurycy – nie cieszyłbym się na zapas spadkiem popularności. Jeśli młodsze, a już tym bardziej starsze damy zaczną przyglądać się twoim czterem literom, to możesz nawet zyskać kilka dodatkowych wielbicielek.

Klemens skrzywił się na te słowa. Wiedział, że jest przystojny. Jego bracia też byli przystojni. W ogóle całe potomstwo hrabiny Modlińskiej było atrakcyjne, bo i ona sama należała do bardzo pięknych kobiet. Majątki, koneksje i pozycja społeczna też nie były bez znaczenia, w związku z czym nie mógł nigdy narzekać na brak zainteresowania.

Izabela krążyła po pokoju prawie do kolacji. Obiad poprosiła podać sobie do sypialni, bo była zbyt roztrzęsiona, by odeprzeć ewentualne ataki przy wspólnym stole. Wolała przeczekać chwilę, aż zamieszanie przycichnie, a ona sama nabierze do sprawy dystansu. Nie mogła jednak siedzieć w swoim pokoju w nieskończoność, bo tym sposobem uznano by ją za winną. Powinna wyjść i stawić czoła wszystkim, nawet jeśli w środku trzęsła się niczym galareta.

Zdawała sobie sprawę, że planowane rozrywki odwołano i większość gości pozostała w pałacyku, by dowiedzieć się jak najwięcej o stanie zdrowia barona. Nawet ci, którzy mieli w planach spaceru i wizyty w okolicznych miejscowościach, zrezygnowali ze wszystkiego na tę okoliczność.

Poprawiła włosy, narzuciła na ramiona gruby szal i zerknąwszy ostatni raz na swoje odbicie, nacisnęła klamkę, by udać się – zgodnie z tym, czego powinno się oczekiwać od sprawcy wypadku – dowiedzieć czegoś o stanie zdrowia swojej ofiary.

Na korytarzu nie było widać żadnej z dam. Pewnie zebrały się w saloniku, pomyślała. Stał tam natomiast przynajmniej z tuzin mężczyzn. Na jej widok wszyscy nagle zamilkli.

- Cóż to za przerażająca cisza? Dobrze wiem, że mnie panowie obgadywali. Proszę się nie przejmować zatem i kontynuować. Zaraz sobie pójde – powiedziała od niechcienia Izabela, przechodząc z uniesioną głową przez korytarz prowadzący do sypialni zajmowanej przez zranionego przez nią barona Krzyżewskiego.

Mężczyźni zebrani w mniejszych grupkach rozeszli się, całkowicie zbici z tropu. Jedynie Anthony i jego przyszywany, przygluchy dziadek pozostali na straży.

- Przykro mi, że musiała to pani słyszeć, panno Wieczorek. Próbowałem im tłumaczyć, że jest pani całkowicie niewinna, ale wolą tworzyć jakieś dziwne teorie, zamiast uznać to za zwykły pech.

- Przywykłam, hrabio Athertonie. I nie robi to na mnie żadnego wrażenia – wyraźnie kłamała, co można było wyczuć w tonie jej głosu. – Chciałabym przeprosić pana brata za ten niefortunny wypadek.



- Obawiam się, że to niemożliwe. Po pierwsze nie może tam pani wejść zupełnie sama. Tego chyba nie muszę tłumaczyć - dodał na wszelki wypadek. - Po drugie - odchrząknął, by nabrać odwagi - mój brat wyraźnie powiedział, że nie chce pani widzieć.

- Rozumiem - odparła przez zaciśnięte zęby, ale po chwili dodała łagodniej: - Oczywiście ma do tego prawo, a ja uszanuję jego decyzję. - Dygnęła bardziej przed starszym dżentelmenem, który wpatrywał się w jej usta, próbując czytać z ich ruchu, i spokojnie odeszła.

Cóż za skomplikowana osoba, pomyślał Klemens, który wszystko dokładnie słyszał zza niedomkniętych drzwi swego pokoju. Widział już wybuchy jej temperamentu i zdawał sobie sprawę, że mogłaby wywołać porządną awanturę, gdyby tylko chciała. Tym razem jednak pokazała mu kolejne, fascynujące oblicze i nie mógł zaprzeczyć - bardzo mu tym zaimponowała.

- Panno Wieczerek - niemal krzyknął Anthony do pleców dziewczyny, gdy ta docierała już do schodów. - Niechże pani zaczeka.

- Tak? - zapytała słodkim tonem, który miał maskować podenerwowanie.

- Mam nadzieję, że się pani nie gniewa na mojego brata?

- Ja? Na niego? - zdziwiła się zupełnie szczerze, a zaraz potem ucieszyła, że mimo podszeptów otoczenia hrabia Atherton opowiedział się po jej stronie.

- Musi pani go zrozumieć. Jest zły nie tyle na panią, co na całą sytuację i własną słabość. Klemens nie lubi okazywać słabości, a przy postrzale... Sama pani słyszała.

- Zareagował zupełnie naturalnie. Chyba nikt na jego miejscu nie zachowałby w takim wypadku spokoju.

- Być może. On jednak traktuje to jako powód do wstydu.

- Przykro mi to słyszeć - powiedziała głośno, a w myślach dodała: Może dzięki temu przestanie się tak puszyć. W sumie wszystkim wyjdzie to na dobre.

## 9.

Klemens z książką w dłoni pozostał w swoim pokoju i nie wypadało, by w obliczu jego nieszczęścia pozostali goście urządzali wieczorki z tańcami, jednak nalegał tak długo, że jego matka zgodziła się na występy zaproszonych gości i odrobinę zabawy. Nie chciała sprawiać przykrości pierworodnemu, który zdecydowanie naciskał, by nie zmieniała planów tylko ze względu na tę niedogodność. Nie chciała również odwoływać w ostatniej chwili zaproszeń, a trochę ich po okolicy wcześniej w tajemnicy przed synami rozesłała.

Hrabina była zbyt inteligentną kobietą, by nie wyczuć podstępu, i dobrze wiedziała, że synowi sprawi radość fakt organizowanego przez nią wydarzenia bez jego udziału. Kochała Klemensa, jak wszystkie swoje dzieci, i wiedziała, że sprawi mu tym przyjemność w bólu, jaki z pewnością musi wycierpieć, i upokorzeniu, które niewątpliwie przeżył, leżąc z obnażonym tyłkiem wystawionym przed swoimi braćmi.

Oczywiście nie oznaczało to, że zamierzała odpuścić w temacie znalezienia synowi małżonki, mogła jednak trochę odsunąć to w czasie.

Zorganizowany przez nią pobyt gości wypadł póki co całkiem dobrze. Nie wątpiła, że panna Wieczorek postrzeliła jej syna nieumyślnie. Nie dostrzegła w tej dziewczynie, mimo ostrzeżeń jej wuja, niczego szczególnie złego. Owszem, miała gorący temperament i chwilami widać było, że zaciska usta, by nie powiedzieć czegoś gorszącego towarzystwo, ale z pewnością nie robiła wszystkiego z czystej złośliwości. Do służby zwracała się z szacunkiem, bez wywyższania się i poniżania, co naprawdę jej się podobało. W zasadzie nie miała pojęcia, dlaczego do tej pory nie znalazła sobie męża, ale może zwyczajnie miała pecha do kandydatów. Ona sama wyszła za mąż bardzo młodo i niemal od dnia ślubu żałowała, że nie wymyśliła czegoś, by do tego nie doszło. Zresztą nie nauczyła się na własnych błędach i drugi raz wpakowała się w jeszcze większe bagno.

Nadal pamiętała sny, jakie nawiedzały ją, kiedy urodził się Anthony.

Śniła wówczas, że przekazuje swojemu małeńkiemu synkowi, że jego ojciec nie żyje. Budziła się później złana potem nie dlatego, że sen ten był koszmarem, a dlatego, że wracała do rzeczywistości, w której hrabia Atherton żył i miał się świetnie...

To jednak miała już za sobą i po to, by inni uniknęli jej błędów (tu na myśli miała przede wszystkim własne potomstwo), właśnie zajmowała się kojarzeniem i sprawdzaniem par.

Tylko najbliżsi jej służący wiedzieli, w jaki sposób hrabina zdobywa potrzebne informacje. Osób sprawdzających uczciwość ewentualnych przyszłych małżonków nie interesowało to, w jaki sposób hrabina pozyskuje wiedzę na ich temat. Ważne, że unikali błędnych decyzji.

Pannę Wieczorek obrała sobie za punkt obserwacyjny nie tylko dlatego, że jej wuj poprosił ją, by poszukała dla niej odpowiedniego kawalera. Już przy poprzednich wizytach zwróciła uwagę na tę dziewczynę i coś jej podpowiadało, że idealnie pasowałaby do jednego z jej synów. Nie chciała nikomu zdradzać, którego z nich miała na myśli. Zresztą mogła się przecież mylić. Los często już ją zaskakiwał.

Teraz postanowiła przeczekać i nie wychodzić jej z pomocą, by sprawdzić, jak dziewczyna oraz jej synowie sobie poradzą.

– Można zarezerwować u pani jakieś dwa wesołe tańce, panno Wieczorek? – zapytał Anthony, kłaniając się elegancko przed Izabelą, gdy ta stała obserwowana przez wszystkich zebranych w sali balowej hrabiny.

– Jak najbardziej, hrabio Athertonie. Obawiam się, że jak tak dalej pójdzie, to będę najmniej rozchwytywaną damą dzisiejszego wieczoru. Wszyscy postanowili trzymać się ode mnie z daleka.

– Może obawiają się, że ich pani postrzeli – rzucił Maurycy, wyłaniając się zza pleców brata, i filuternie przecesał dłonią swoje gęste jasne loki, tak że miękko opadły po bokach głowy. – Jeśli są aż tak tchórzliwi, to ja chętnie na tym skorzystam. Panno Wieczorek. – Odchrząknął i dodał bardzo głośno: – Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zatańczy ze mną walca?

– Nie wiem, czy powinnam. Po tym wszystkim – szepnęła nieco nieśmiało. – Nie chcę wzbudzać niepotrzebnych sensacji, a walc... sam pan wie, że to dość ryzykowne.

– Wie pani, że nie powinna odmówić – rzucił prowokacyjnie.

– Mam tego świadomość.

– A skruszona skandalistka nie powinna łamać konwenansów...

Spojrzała na niego, marszcząc groźnie brwi.

– Mówię o postrzale Klemensa, bo niby o czym? – Posłał jej dyskretny łobuzerski uśmiech.

– To całkiem poważne argumenty, hrabio Modliński.

– W takim razie ustaliliśmy. Anthony – spojrzał na brata – także zatańczy z panią walca. To najlepszy sposób, aby uciąć plotki o polowaniu. Zgodzisz się ze mną?

– Owszem – odparł ostrożnie Anthony. – Jeżeli panna Wieczorek chce ze mną tańczyć walca – dodał speszony.

– Chce – odpowiedział za nią Maurycy. – Prawda, panno Wieczorek? – Puścił do niej oko i począł się wycofywać. – Pozwolicie, że teraz was zostawię? Przypilnuj – szepnęła do brata – by jej nie rozszarpano.

Anthony skrzywił się, odprowadzając go wzrokiem, i zerknął na pannę Wieczorek. Szczyściem Izabela zdążyła uszczypnąć się dyskretnie w policzki i zaróżowiona wyglądała niezwykle niewinnie i uroczo.

– Mam nadzieję, że nie poczuła się pani osaczona przez mojego brata?

– Tylko odrobinę – przyznała. – Ale uważam – dodała szybko, by Anthony nie wycofał się z walca – że hrabia Modliński ma rację. To dobry plan na zakończenie tych wszystkich podszeptów.

– Skoro pani tak uważa, to z największą przyjemnością będę częścią tego planu. – Uśmiechnęła się uroczo. – A żeby nie prowokować niepotrzebnych plotek, podejźmiemy do wujostwa Hryniewickich. Oboje są bardzo dyskretni – powiedział swoim eleganckim tonem. – W dodatku niemal głusi – dodał ciszej – więc możemy przy nich swobodnie porozmawiać.

Anthony Atherton ma także drugie, mniej sztywne oblicze, pomyślała Izabela i uśmiechnęła się do siebie. Jeśli tego nie popsuje, to za kilka dni na swoim palcu powinna

urzeć pierścione. Wystarczy, że będzie trzymała się z daleka od jego starszego brata, a pośród gości hrabiny Modlińskiej nie pojawi się ktoś, komu zalazła za skórę.

Izabela obejrzała się odruchowo za siebie w poszukiwaniu nowych twarzy, ale jej wzrok zatrzymał się na wicehrabim Giełczyńskim. Stał w kilkuosobowej grupce i z miną strażnika więziennego zerkał w jej kierunku. Trzeba przyznać, że prezentował się wyjątkowo dobrze. Lepiej niż przed kilkoma dniami. Najwyraźniej, mimo że nie lubił tego typu spędów, one miały na niego dobroczynny wpływ.

– Zaraz do pana dołączę – powiedziała, choć wolałaby nie zostawiać go na pastwę kręcących się wokół młodych kobiet – ale powinnam porozmawiać z wujem.

– Naturalnie, panno Wieczorek. Będę tu na panią czekał.

Dygnęła w podziękowaniu i z uśmiechem przyklejonym do twarzy ruszyła na drugi koniec sali.

– Jak się wuj dzisiaj miewa? – zapytała, gdy ten odsunął się od grupki i skupił uwagę na jej osobie.

– Miło mi, że sobie o mnie przypomniłaś – odparł z przekąsem.

– Przepraszam. Jestem trochę rozedrgana po tym zdarzeniu ze strzelbą.

– Wyjaśniłem w twoim imieniu wszystkim, że to był nieszczęśliwy wypadek.

– Wiem. I jestem wujowi wdzięczna.

– Co nie znaczy, że mi uwierzyli – dokończył. – Ja sam miałem pewne wątpliwości. Nie lubisz barona Krzyżewskiego, ale żeby do niego strzelać?

– Naprawdę wuj sądzi, że byłabym do tego zdolna?

Spojrzał na nią pobłaźliwie.

– Byłabym. Przyznaję, Ale tym razem to był wypadek.

– Wiem, bo widziałem.

– Tak? – zdziwiła się. – To dlaczego od razu wuj się nie przyznał?

– Chciałem, byś sama postarała się tym razem wybrnąć. Nie mogę wiecznie ratować ci skóry. I tak kilka osób zarzuciło mi, że jestem wobec ciebie nazbyt pobłaźliwy.

– Rzeczywiście – odparła. – Jestem wujowi wdzięczna za tę lekcję wychowania.

– Wiem, że poniewczasie, ale nic już na to nie poradzę.

– Och – jęknęła Izabela. – Byłam ostatnio okropna. Przepraszam.

– Nie gniewam się. Wiele w tym mojej winy. Znadto cię rozpieszczałem i nie wyciągałem żadnych konsekwencji z twoich poprzednich wybryków. Wierz mi jednak, że chciałem dla ciebie jak najlepiej.

– Tak, wiem. Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszego opiekuna – powiedziała, choć sama nie wierzyła w te słowa. Wolała jednak mieć wuja po swojej stronie. W końcu to do niego najpierw uda się kandydat proszący o jej rękę. – A teraz idę łagodzić sytuację i studzić plotki.

– Słusznie. A czy któryś z synów hrabiny Modlińskiej przypadł ci szczególnie do gustu?

– Owszem. Czy ma coś wuj przeciwko temu?

– Absolutnie nie. Wiesz przecież, że chcę, abyś dobrze wyszła za mąż. Pragnę tylko zauważyć, że najmłodszy z nich nie wygląda na takiego, co byłby wierny swojej żonie. Zawsze rozmawiałem z tobą znacznie mniej uważnie, niż powinienem, i z pewnością nie oburzają cię moje słowa.

- Tak?

- Słyszałem, że ostatnie jego zaginięcie spowodowane było schadzka z pewną karczmarką z Marcinopola. Nie chciałbym, by wzięto cię na języki jako żonę takiego kobieciarza. Wszyscy przymykają oko na posiadanie kochanki czy dwóch, ale w tym przypadku może być znacznie gorzej.

- Dziękuję, że mnie wuj przestrzegł. A jeśli chodzi o drugiego z braci?

- O hrabiego Athertona? Nie sprawdziłem go jeszcze wystarczająco. Ostatnie lata spędził w Anglii i na statkach pływających do Indii. Trudno prześledzić, jak się tam zachowywał. Ale jeśli chcesz, to postaram się dyskretnie to uczynić. Tylko czy nie jest on dla ciebie nazbyt... flegmatyczny?

- Być może, ale dzięki temu może i ja nieco zwolnię tempo?

- Skoro tak uważasz. A teraz przeproszę cię i wrócę do swego towarzystwa. Muszę pobyc chwilę wśród panów, nim panie wymuszą na mnie prośby do tańca i towarzyszenie im podczas posiłku.

Izabela uśmiechnęła się na to stwierdzenie. Rzeczywiście wuj mógł być obiektem uwagi części obecnych dam. Zwłaszcza wdów i znudzonych mężatek. Odwróciła się i przeszła z dumnie uniesionym podbródkiem, zdając sobie sprawę z tego, że przynajmniej połowa gości ją skrycie obserwuje.

- Już jestem. - Uśmiechnęła się do Anthony'ego.

- Bardzo jestem rad, że pani do mnie wróciła. - Odpowiedział podobnym uśmiechem. - Bałem się, że wuj zechce panią stąd zabrać.

- Może nie byłoby to najgorszym pomysłem - odparła prowokacyjnie. - Wiele osób odetchnęłoby z ulgą, a pan nie musiałby troszczyć się o naprawienie atmosfery po wypadku z bronią.

- Niech pani nawet tak nie myśli - powiedział szybko. - Jest pani jedyną interesującą osobą na tym przyjęciu i gdyby pani zabrakło, umarlibyśmy z nudów.

- Nie wydaje mi się. Wielu gości świetnie by się bawiło beze mnie.

- Tego nie wiem. Wiem natomiast, że ja bym się wcale nie bawił, panno Wieczorek. Jest pan jak promyk słońca rozjaśniający to zaciemnione miejsce.

Zaczyna mówić jak nieudolny poeta, czyli albo ma coś z głową, albo znajduje się pod moim urokiem, pomyślała Izabela i posłała mu uprzejmy, czarujący uśmiech. Ten, który wytrenowała na potrzeby łagodzenia swoich wybryków. Anthony zeszywniał nieco i odchrząknął dwukrotnie, by nabrać animuszu.

Był naprawdę uroczy. Przystojny, bogaty, kulturalny i naprawdę uroczy. Czego można chcieć więcej? Jeśli dobrze to rozegra, to zyska idealnego męża i wyprowadzi się wreszcie od wuja.

Ich miła pogawędka nie uszła uwadze otoczenia i już wkrótce zaczęli zjawiać się inni kawalerowie.

- Widzę, że przywłaszczył pan sobie najładniejszą spośród dam, hrabio - powiedział młody dżentelmen, który pojawił się w pałacyku dziś rano, ale zrządzeniem losu nie został Izabeli przedstawiony.

- Musiałem się bardzo spieszyć, ale było warto - odparł Anthony. - To mój daleki kuzyn ze strony matki, Eugeniusz Poleski - zwrócił się do Izabeli. - A to - teraz spojrzał na młodego

mężczyznę, swoją drogą całkiem przystojnego – panna Izabela Wieczorek, podopieczna wicehrabiego Giełczyńskiego.

– Miło mi pana poznać. – Izabela uśmiechnęła się i dała pocałować powietrze nad swoją dłonią.

– Mnie o wiele bardziej. Proszę mi wierzyć – odparł mężczyzna. – Czy zarezerwowałyby pani dla mnie drugiego kontredansa?

– Zerknę do karneciku – powiedziała Izabela, choć dobrze wiedziała, że poza synami hrabiny Modlińskiej nikt się jej do tej pory nie wpisał. Goście dopiero się zbierali, więc mogła sobie to tłumaczyć zbyt krótkim odcinkiem czasu, od kiedy mistrz ceremonii ogłosił początek balu.

– Zaczekam cierpliwie. A jeśli już ktoś zdołał mnie ubiec – zerknął przy tym na Anthony'ego – to proszę mnie wpisać gdziekolwiek. Przy takiej partnerce nawet najwolniejszy taniec nabiera życia.

– To prawda – poparł go Anthony. – A ciebie, drogi kuzynie, zaprosiła moja matka czy pojawiłeś się tu dziś przypadkiem? – zapytał.

– Gościnność to kardynalna cecha każdego polskiego dworu. Nie wiem, jakie macie zwyczaje w Anglii, ale tutaj bramy są otwarte dla wszystkich.

Anthony nie odpowiedział. Zmierzył go jedynie wzrokiem, co Izabela uznała za dobry omen. A dzięki tej krótkiej wymianie zdań podeszło do nich jeszcze dwóch dzentelmenów. Jednego znała od dawna, drugiego poznała w pałacyku przed kilkoma dniami. Baron Oskar Kamiński był kuzynem męża jednej z jej koleżanek spod Ostrołęki. Ignacy Firlejow, dziedzic sporego majątku spod Elku, przybył tu na zaproszenie hrabiny, być może ze względu na nią. Choć tego sprawdzić nie mogła.

Zaraz za nimi pojawili się kolejni panowie i w ten sposób Izabela miała zapewnioną zabawę do białego rana.

Najwięcej uwagi poświęcała jednak tym trzem panom, jeśli nie liczyć Anthony'ego, na którego uwadze zależała jej najbardziej.

Kiedy przyszła kolej na walc właśnie z nim, Izabela była w pełni przygotowana.

Anthony ujął jej wąską talię i z pewną nieśmiałością przyciągnął ku sobie.

Pachniała cudownie. Musiała używać jakiejś specjalnej mieszanki perfum, bo zapach zdecydowanie różnił się od tych, którymi pachniały pozostałe damy, myślał. Zresztą sama Izabela różniła się znacznie od pozostałych dam i zaczął to coraz bardziej doceniać.

Nawet Maurycy zaczął zwracać na nią uwagę. Może nie był to jakiś szczególny wyznacznik, bo mężczyzna zwracał uwagę na wszystkie piękne kobiety, jednak w przypadku panny Wieczorek dało się u niego wyczuć coś na kształt sympatii, a to samo w sobie było czymś zupełnie nowym w jego zachowaniu. Z początku obudziło to w Anthonym czujność, ale z czasem przekonał się, że Maurycy niczego nie udaje. Polubił podopieczną wicehrabiego Giełczyńskiego, i to z wzajemnością. Atherton musiał więc działać trochę szybciej, jeśli dziewczyna i bratu przypadła do gustu. Nie miał w planach poszukiwania sobie żony, ale czy życie musi zawsze przebiegać zgodnie z założeniami? Nawet on mógł czasami zrobić coś nieplanowanego, coś zupełnie do niego niepodobnego.

– Pięknie pani pachnie – odważył się wreszcie szepnąć nad jej głową. Wiedział, że nie powinien patrzeć jej w oczy.

- Dziękuję – odparła nieco spłoszona, spoglądając w bok.

- Nie chciałem, by to zabrzmiało dwuznacznie. Mam nadzieję, że nie poczuła się pani urażona.

- Ani trochę – odpowiedziała cicho i jeszcze bardziej odwróciła głowę. – Miło mi, że pan zauważył – dodała szybko.

Anthony nie odpowiedział. Ucieszył się, że trafił z komplementem. Nie był tak biegły w sztuce flirtowania z kobietami, jak jego młodszy brat, ale – jak widać – co nieco potrafił.

Skupił się na prowadzeniu panny Wieczorek, a że naprawdę dobrze się mu z nią tańczyło, nie musiał wysilać się przy liczeniu kroków i analizowaniu kolejnych ruchów. Taniec wychodził im płynnie i mógł z niego czerpać przyjemność, z czego skrupulatnie skorzystał. Być może nawet za bardzo.

- Taka moja rola – dobiegł do uszu Anthony'ego donośny głos wicehrabiego Gielczyńskiego, kiedy odprowadził Izabelę do wujostwa Hryniewickich i przyniósł wszystkim napoje.

Wicehrabia stał kilka metrów za nim i rozmawiał z grupką starszych panów.

- Jeśli nie będę strzegł jej, jak należy, to szybko wpadnie w ręce jakiegoś hultaja. A takich nie brakuje.

- Ma pan świętą rację, wicehrabio – odparł jakiś mężczyzna.

- Ja bym nie przesadzał z tą opieką. Obracamy się przecież w kręgu zaufanych osób.

- Tak? A pamięta pan bajkę o Czerwonym Kapturku?

- Owszem.

- Tamto dziewczę też zaufało znajomo wyglądającemu wilkowi napotkanemu w lesie, a wszyscy wiedzą, do czego to doprowadziło.

- Nie wszyscy – odpowiedział inny męski głos.

- To chętnie przytoczę jedną z wersji – odparł wicehrabia.

Anthony zerknął na Izabelę. Ona najwyraźniej też słyszała wypowiedź wicehrabiego, ale udawała, że zajmuje ją zacięty wachlarz.

- Coś się chyba popsło – odezwała się, gdy zmierzył ją wzrokiem.

- Proszę pokazać. Powinienem to szybko naprawić.

Wyciągnęła dłoń i podała mu wachlarz, przy czym cały czas usilnie starała się udawać, że nie słucha wywodów swego wuja. Mężczyzna najwyraźniej pozwolił sobie tego wieczoru wypić odrobinę za dużo tutejszego bimbrowa, bo jego opowieść zaczynała nabierać rumieńców. A to i tak delikatne określenia.

- Biedne dziewczę z kompleksem Edypa, zafascynowane siłą drzemiącą w bestii daje się przez nią zaciągnąć do chaty babci, którą tamten wcześniej bez skrupułów zamordował...

Anthony szarpnął za jedno z piór wachlarza typu brise i udało mu się bez uszkodzenia całości go otworzyć na całą szerokość.

- Musiało się zahaczyć o sąsiadujące z nim piórko – wyjaśnił i oddał dziewczynie wachlarz. Przyjęła go i dyskretnie zerknęła w stronę wuja.

- Karmi ją mięsem babci, a ta mimo podszeptów duchów zajada się nim i patrzy mu głęboko w oczy... – ciągnął wicehrabia ku ucieście swoich towarzyszy.

- Może przejdziemy się coś zjeść? Mamy tu naprawdę bogaty bufet. Nie jest pani głodna? - zapytał Anthony, bo jedynie to przyszło mu do głowy, choć skojarzenie z wypowiedzianym przez wicehrabiego zdaniem nie było najbardziej udane.

- Bardzo chętnie - odparła z ulgą Izabela, kiedy podał jej ramię.

- I zaczyna sobie z nią chędożyć, związawszy jej wcześniej nadgarstki... - dobiegło jeszcze.

- Jestem głodna jak wilk - dodała z miną wyrażającą zgorznienie.

- Jest mi bardzo przykro, że musiała pani tego słuchać - szepnął Anthony. - Ja naprawdę nie mam względem pani złych zamiarów.

- Nigdy by mi to nie przyszło do głowy - odparła.

Klemens tymczasem wylegiwał się w najlepsze w swoim pokoju i zastanawiał się, jakie kroki powinien powziąć, by w końcu dowiedzieć się czegoś o zaginionym szlachcicu i pierścieniu rodowym z brylantem. Nie było to jakieś zlecenie, bo nie był zawodowym inwastygatozem. Zwyczajnie zadeklarował się pomóc, kiedy usłyszał o zaginięciu młodego mężczyzny i cennego drobiazgu, kiedy jego rodzina opowiadała, że umówiony był z panną Wieczorek.

- List do pana, baronie! - powiedział stary sługa Jan po tym, jak wszedł do sypialni Klemensa, nie czekając na zaproszenie, i przerwał mu rozmyślenia.

- Połóż na stoliku i podaj mi tamtą lampkę. - Wskazał dłonią. - Jak przyjęcie na dole? Słyszę, że cały czas gra muzyka. Czy moje siostry dostały pozwolenie na tańce?

- A więcej pytań jaśnie pan nie ma? Nie zapamiętam tyle jednocześnie w moim wieku - odgryzł się stary sługa.

Klemens nie zareagował na jego komentarz. Od lat starsuszek wiernie służył jego matce, a ta mimo jego zgrzytliwości miała do niego słabość.

- Goście nie narzekają na rozrywki, za darmo dostali cały stół z wiktuałami, beczkę bimbru, mnóstwo wina i jakichś słabszych trunków. Co mają narzekać? Ja bym sobie też chętnie pociągnął co nieco, ale nie mogę. Służba, wie pan.

- A muzyka?

- Muzykanci radzą sobie jako tako, choć ja wolę inne przygrywki, tu wszystko na jedno kopyto. Bez krzty fantazji.

- A siostry?

- Nie mają pozwolenia, ale mogą patrzeć i siedzieć w drugim salonie. Hrabina nie dała im ani numerków, ani karnetów, to każdy widzi, że nie tańczą. Dobrze, że im na czołach nie napisała, że nie do tknięcia, bo mogła.

- Janie!

- Prawdę samą mówię. - Wzruszył ramionami. - Najstarsza już w wieku takim, że powinna sama ją wypychać do tańca. Ale ona uparła się, żeby z nich zrobić stare panny.

- Janie! - upomniał go powtórnie.

- Przecie nie kłamie.

- Przyznaję. Może i trochę racji masz.

- A sam jaśnie pan widzi.

- Ale to nie twój problem, więc możesz się tym nie zajmować.



- A no trochę mój - odparł. - Widzi jaśnie pan, jak one coraz starsze będą i bez chłopca, to im się w głowach całkiem poprzewraca, a na kim zaczną te swoje frustracje wyładowywać? No na kim? - dopytywał. - Na służbie - odpowiedział sobie. - Te wszystkie pokojóweczki puciekają, a mnie staremu się najbardziej dostanie.

- Daj tę lampkę w końcu - uciął Klemens. Dobrze wiedział, że dyskusja nie pomoże, a staruszka pouczać nie miał zamiaru. Raz, że nie przyniesie to pożądanego skutku, a dwa, że miał on trochę racji.

- Daj tę lampkę, daj tę lampkę. Bez szacunku do starszego człowieka - mruknął służący pod nosem i podreptał na koniec pokoju, by przynieść ciężką lampę. - Proszę - powiedział po co najmniej pięciu minutach, bo tyle zajęła mu droga w tę i z powrotem.

- Możesz odejść.

- Mogę, ale jest coś, o czym chyba powinien pan wiedzieć.

- Cóż takiego? - zapytał Klemens bez większego zainteresowania.

- Zaginęła bransoletka pana siostry. Bardzo cenna.

- Jesteś pewien?

- Przeszukano wszystko. Nie zapodziała jej nigdzie poza pałacykiem, bo nie zakładała jej od dożynek. Dziś rano zauważyła, że nie ma jej w szkatułce.

- Hm. A pozostałe nic o tym nie wiedzą?

- Zarzekają się, że nie, ale ja bym tam za nie nie ręczył. Hrabina też nie podnosiła alarmu. Kazala dalej szukać i nie wspominać nikomu.

- To dłaczego mi o tym mówisz, Janie?

- Bo pan nie jest nikim, baronie - stwierdził całkiem sprytnie. Klemens nie mógł mieć pretensji w obliczu takiego argumentu.

- Ale nie pomogę. Nie mam ostatnio jak dyskretnie szperać po pokojach gości. Ledwo się przewracam na bok.

- Oj tam. Podejrzewam, że ta mała dziurka, co ją panienska Wieczorek panu zafundowała, to nic w porównaniu do mojego reumatyzmu.

Klemens zmierzył go tylko wzrokiem i nic nie powiedział. Rzeczywiście trochę udawał z tym bólem po postrzale. Na początku piekło, ale teraz nie jest wcale tak kiepsko, jak to wszystkim wmawiał. Staruszek najwyraźniej (z uwagi na własne doświadczenie w stękananiu na wyrost) szybko go zdemaskował.

- Może i tak, ale sam powiesz, czy nie przyjemniej sobie tu poleżeć, zamiast uśmiechać się tam do wszystkich na dole?

- Ano lepiej - odparł i z zaciekawieniem zerknął na list.

- Możesz zatem odejść. Jeśli to już wszystko.

- A wszystko - westchnął sługa i wolnym krokiem podszedł do drzwi.

Klemens sięgnął po list. Rodzina zaginionego szlachcica zawiadamiła go, że młodzieniec odnalazł się, niestety bez pierścienia. Ostatni raz widział go, jadąc do majątku hrabiego Giełczyńskiego, potem sam nie jest pewien, gdzie był i co robił. Nie są do końca przekonani o szczerości jego wypowiedzi, ale rodowej błyskotki nadal nie ma, w związku z czym proszą barona o przyjrzenie się panie Wieczorek i dyskretnie wybadanie, czy nie wie ona nic o pierścieniu.

## 10.

- Zna mama bajkę o Czerwonym Kapturku? - zapytał Anthony po tym, jak wszedł następnego dnia do gabinetu hrabiny Modlińskiej i skłonił się jej uprzejmie.

- Owszem. Jednak wolałabym rozmawiać z tobą na zupełnie inny temat.

- Wiem, że zawezwała mnie mama, by mi wreszcie znaleźć odpowiednią narzeczoną, ale to zbyteczny i całkowicie pozbawiony sensu wysiłek, bo ja takowej nie potrzebuję - powiedział, choć tonem niezbyt pewnym siebie. - Zresztą nie jestem najstarszy. Jego jakoś mama nie napastuje... choć może jednak. - Przyjrzał się jej uważnie. - To dlatego tak rzadko tu ostatnio zaglądał?

- Nie podejmę tego wątku. - Hrabina przymrużyła powieki, obserwując uważnie, jak syn zajmuje miejsce naprzeciwko niej. - A ciebie nie mam zamiaru swatać. Zresztą czy nie zauważyłeś, że nie zaprosiłam nikogo, kto mógłby cię zainteresować w ten sposób? - zapytała, uważnie obserwując mimikę jego twarzy. - Dobrze wiesz, że nigdy żadnego z was nie ponaglałam do ożenku. Owszem, chciałabym, abyście znaleźli sobie odpowiednie żony, ale wcale nie musicie się spieszyć. - Co jak co, ale kłamstwo przychodziło jej ostatnio zdecydowanie zbyt łatwo. - O co chodziło z tą bajką?

- Poznała mama tę nieugładzoną jej wersję?

- Tę oryginalną?

W głosie kobiety dało się wyczuć nutkę pobłażliwości.

- Tak. Tę, w której zły wilk w bestialski sposób morduje i pożera babcię, a potem gwałci jej biedną, bezbronną wnuczkę. - Anthony nie odpuszczał.

Hrabina uniosła brwi ze zdziwieniem. Takie słowa w ustach jej średniego syna? Spodziewałaby się ich po Klemensie i Maurycym, ale Anthony! Coś musiało go naprawdę zaintrygować.

- Tę najbrutalniejszą wersję?

- Dokładnie. - Anthony uniósł prawą brew, demonstrując część podłużnej blizny przecinającej powiekę i chowającej się za pofalowaną grzywką.

- Wiesz, że wychowałam się na wsi. Znam wszystkie wersje. Nawet te niespisane. Zapewne słyszałeś przemówienie wicehrabiego Giełczyńskiego. - Posłała mu nieco ironiczny uśmiech. - Nie przejmuj się. On często przytacza takie opowieści.

- Wielu mężczyzn przytacza takie i gorsze opowieści, ale raczej we własnym gronie, a dałbym sobie uciąć rękę, że doskonale zdawał sobie sprawę, że panna Izabela stoi tuż za jego plecami.

- Nie martw się. Wicehrabia lubi straszyć tę biedną dziewczynę, by ją w ten sposób chronić. Kiedy zmarli jej rodzice, trafiła pod jego opiekę i zdaje się, że jako podłotek nieźle mu się dała we znaki.

- Panienska Izabela?!

- Nawet służba w dworze wicehrabiego narzekła na jej młodzieńcze wybryki, nie mówiąc o guwernantkach i nauczycielkach z pensji. Dziewczyna dała swego czasu wszystkim popalić.

- Jakoś mnie to nie przekonuje - wymamrotał Anthony. - Wszyscy zaczęli szeptać o niej jak najgorzej po tym wypadku na polowaniu. A ona zwyczajnie miała pecha.

- Spójrz na to tak - matka się uśmiechnęła, pomijając temat postrzału - wicehrabia broni swej młodziutkiej podopiecznej niczym dzielny myśliwy przed zakusami wilków.

- Tylko czy aby na pewno pełni on rolę myśliwego?

- Co masz na myśli? - zainteresowała się wreszcie kobieta, a nabyty z doświadczeniem instynkt śledczy uruchomił w jej głowie część odpowiadającą za analizowanie zasłyszanych przypadków.

- Nie zauważyła mama, w jaki sposób na nią patrzył?

- Jakoś nie zwracałam na to uwagi. - Podniosła się z krzesła i pochyliła, mówiąc ciszej: - Zauważyłam natomiast, że zatańczyłaś z nią dwa razy podczas wczorajszego przyjęcia, a wcześniej wyciągnęłaś na spacer po ogrodzie. Mało tego - dodała nieco głośniejszym głosem - wszyscy chyba spostrzegli, jak wpatrywałeś się w nią podczas kolacji i z jaką chęcią osobiście pobiegłeś do piwnicy, by przynieść jej ulubione jabłka. Czyżby wicehrabia próbował studzić twoje kielkujące zainteresowanie Izabelą i dlatego zniknąłeś na resztę wieczoru?

- Być może wspomniał coś o tym przy okazji - przyznał z niechęcią Anthony. - I rzeczywiście, panna Wieczorek zainteresowała mnie swoją osobą. Jest bardzo ładna, zgrabna, inteligentna, dobrze wychowana, a w dodatku mimo słodkiego sposobu bycia można u niej dostrzec takie... zadziorne iskierki - rozmarzył się.

- I tu jest pies pogrzebany!

- Jaki pies?

- To powiedzenie.

- Rozumiem. To znaczy nie rozumiem... mama nie rozumie. Może i wicehrabia broni jej przed zakusami mężczyzn, ale nie w tym jest problem. Nie traktuję jej jako obiekt swoich westchnień. Mówiłem już, że nie interesuje mnie szukanie narzeczonej. Muszę teraz skupić się na interesach w Anglii.

- Z czym zatem masz problem? Możesz mówić jaśniej?

- Jakby to ująć?

- Może tak, że ci się ta złościca po prostu podoba i nie wiesz, jak przekonać do siebie jej wuj - odezwał się niskim, spokojnym głosem wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, wyłaniając się niczym cień zza bocznych drzwi gabinetu.

- Klemens! Omal mnie nie przyprawiłeś o zawał, synu. - Hrabina Modlińska złapała się prawą dłonią za materiał chusty w okolicach serca. - Skąd się u licha tu wzięłeś? Miałeś odpoczywać u siebie na górze. Mówiłeś, że nie będziesz się stamtąd ruszał do końca tygodnia.

- Mówiłem, owszem. Jednak mam kilka spraw do wicehrabiego Giełczyńskiego.

- A może zmieniłeś zdanie i zamierzasz jednak mimo niedogodności wziąć udział w dalszej zabawie? - zapytał Anthony, podchodząc do brata i czule klepiąc go po ramieniu na powitanie.

- Poza tym dlaczego nas podsłuchujesz?

- Nie podsłuchuję. Zwyczajnie nie chciałem robić zamieszania i fatygować starego Jana. Bo chyba nadal pełni nieformalną rolę marszałka - rzucił z ironią w stronę matki.

– Nie mam serca go odprawić – westchnęła. – Zresztą czasami jego sposób bycia się przydaje. Nawet Cyganie omijają nas z daleka. – Uśmiechnęła się do siebie. – Dobrze cię widzieć w zdrowiu, synu. – Podniosła się z fotela, dając się wyściskać swemu pierworodnemu. – Mam nadzieję, że nie zamierzasz wyjeżdżać? – zapytała podejrzliwie.

– Nie zdecydowałem jeszcze, choć przyznam, że chyba dałbym radę wysiedzieć w karecie. Wiecie, że mam mnóstwo obowiązków we własnym dworze. Ale widzę, że dzieją się tu dość interesujące rzeczy. – Odchrząknął znacząco. – Co mówiłeś o wicehrabim Giełczyńskim, Anthony?

– Sam już nie wiem. Coś mi się w jego zachowaniu nie podoba. W stosunku do panienki Izabeli – uściślił.

Anthony podrapał się w głowę, odrzucając na bok swoją przydługą grzywkę. Nosił ją po to, by ukryć bliznę pozostałą po linie, która uderzyła go w twarz podczas pierwszego sztormu, z jakim przyszło mu się zmierzyć.

– Możesz mówić jaśniej?

– Wydaje mi się – Anthony starał się dobrać odpowiednie słowa – że wicehrabia nie jest wcale takim krytycznym obserwatorem jej potencjalnych konkurentów. Raczej hoduje ją i lepi niczym stwórca z gliny, czekając, aż będzie odpowiednia dla niego samego.

– To przecież jej wuj i opiekun! – krzyknęła hrabina Modlińska. – Anthony!

– Słyszałem... – Ciszej dodał: – Choć może to tylko plotki... Że chorobliwie kochał się niegdyś w jej matce.

– Być może... – szepnęła hrabina, starając się coś sobie przypomnieć.

– Ponoć miał na jej punkcie tak wielką obsesję, że omal nie zabił w walce wręcz jednego z jej konkurentów.

– A może bronił jej, jak na starszego brata przystało? Nie pomyślałeś o tym? – odparł sarkastycznie Klemens.

– Pomyślałem, ale i tak coś mi w nim nie pasuje.

– Chcesz powiedzieć, że to on jest wilkiem?

– Dokładnie. – Anthony uniósł prawą brew i zacisnął wargi.

– I powiesz jeszcze, że zamierza ją pożreć?

– Może nie aż tak, ale...

– Ale żeby przypadkiem sobie nie połamał zębów – burknął Klemens. – Panna Wieczorek nie należy do kobiet, które łatwo pożreć.

– W dodatku – wtrąciła się hrabina Modlińska – gdyby jej tak pilnował, to nie zostawiłby jej dziś na cały dzień i nie pojechał w jakiejś ważnej sprawie do swego majątku.

Godzinę później Klemens miał okazję potwierdzić te słowa.

Po tym, jak porozmawiał sobie z wicehrabią na temat nieszczęśliwego postrzału i dał się przekonać do rozmowy z jego podopieczną, siedział (tak, był w stanie już całkiem wygodnie siedzieć) i czekał sobie na nią w oranżerii. Wybrał to miejsce specjalnie, dlatego że byli tam cały czas widoczni przez licznych gapiów, którzy spacerowali po ogrodach przyległych do pałacyku, a jednocześnie nikt nie mógł usłyszeć, o czym rozmawiają, i zarzucić jakiegokolwiek niestosowności tejże pogawędce.

- Dziękuję, że zgodził się pan ze mną w końcu porozmawiać – zaczęła po kilku minutach krępującej ciszy, zerknąwszy najpierw, czy aby na pewno są odpowiednio widoczni dla obserwujących. Ustawiła się naprzeciwko niego w odległości około dwóch metrów, by nie było żadnych wątpliwości, jakiego charakteru jest ta rozmowa.

- Niech pani nie udaje pruderyjnej, panno Wieczerek. Oboje wiemy, że do tej pory nie traktowała pani zbyt poważnie własnej reputacji.

- Traktowałam, może pan być pewien – zaczęła podnosić głos, ale przypomniała sobie, po co tutaj przyszła i dodała łagodniej: – Zwyczajnie pewne zasady uważam za przestarzałe, a do tego chyba mogę mieć prawo? Jakoś panów za wyścigi i obstawianie zakładów nikt nie krytykuje.

- Nie krytykuje, bo to męskie zajęcia. Ot co.

- A ktoś o tym zdecydował?! Czy nie mężczyźni właśnie?

- Być może. Ale tak jest ten świat skonstruowany. – Pokręcił z rezygnacją głową. – A jeśli już koniecznie chce pani przejąć męskie sprawy, to może lepiej zacząć od tych bardziej chlubnych.

- Od nauki? Na uniwersytet mnie nie wpuszczą. Od polityki? Ostatnie obrady sejmu odbyły się trzy lata temu, ale nawet gdybym była mężczyzną, to mogłabym sobie co najwyżej podyskutować o tym, co i tak postanowi car. Od organizacji buntu? Któż pójdzie za kobietą? – zapytała z ironią. – A może od edukacji biedoty?

- Na tym polu chyba mogłaby się pani wykazać.

- A skąd przypuszczenie, że się nie zajęłam? – odparła zaczepnie.

- A zajęła się pani?

- Na bardzo małą skalę, ale jednak. Całe potomstwo naszej służby i pracowników folwarcznych, a nawet kilkoro chętnych chłopskich dzieci potrafi pisać, czytać i zna podstawy arytmetyki.

Zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu. Tego się nie spodziewał. Choć w sumie... Ale czy na pewno byłaby gotowa do takiego poświęcenia?

- Nie zrobiłam wszystkiego sama. Pouczyłam córki naszej kucharki, a te pociągnęły sprawę dalej. Czasem jednak i ja daję dzieciom kilka lekcji. Oczywiście nieoficjalnie. Nieważne. – Machnęła ręką. – Nie chcę z panem o tym dyskutować. Nie jest pan kobietą i nie rozumiem, jak bardzo jesteścieśmy ograniczone przez płęć.

- Byłem głupi, że poruszyłem ten temat – burknął cicho. – Mój błąd. Zresztą nie to miałem na myśli, ale przemilczę tę kwestię. – Westchnął. – Dlaczegoż to od kilku dni usiłuje mi pani przerwać spokój i koniecznie przedstawić swoją wersję wydarzeń z polowania na zajęce? Czy niewystarczająco mnie już pani upokorzyła?

- Nie miałam takiego zamiaru, baronie Krzyżewski – powiedziała, dokładnie ważąc słowa. – To był niefortunny splot wydarzeń i pan dobrze o tym wie. Nie rozumiem, czemu więc zachowuje się pan jak dziecko i udaje wielce pokrzywdzonego. – Niby szeptała, ale z całą pewnością nie brzmiało to łagodnie.

- Udaję?

- I ja to nawet rozumiem – kontynuowała, przestępując z nogi na nogę. – Z pewnością pana bolało i jest mi z tego powodu naprawdę przykro.

- Czyżby? – zdziwił się, obserwując jej niewinną minkę. Może rzeczywiście nie chciała go postrzelić? W zasadzie to od początku to podejrzewał, ale był na nią tak wściekły, że nie chciał tego przyznać. To nie jej wina, że zareagował tak gwałtownie, robiąc z siebie pośmiewisko.

- Musiał się pan również czuć niezręcznie – powiedziała słodkim głosem, przechylając główkę niczym skruszone dziecko – zwłaszcza kiedy zaczął pan piszczeć niczym myszka...

- A już chciałem dać wiarę pani przeprosinom!

- Oj. Niech pan nie będzie taki sztywny – rzuciła. – Nie może się pan na mnie dąsać przez cały pobyt.

- Bo to zepsuje pani plany?

- Także – przyznała. – Ale i panu to zepsuje humor. Nie wspomnę o pańskiej matce. Mógłby pan mi w końcu odpuścić. Zupełnie nie rozumiem tej jawnej niechęci.

- Całkowicie, jak dotąd, odwzajemnionej. Bo dobrze wiem, że jest pani miła na potrzebę chwili.

- Pan też mógłby być. Wszystkim wyszłoby to na dobre. Nie znudziło już pana bycie takim...

- Niech pani lepiej nie kończy – ostrzegł.

- Jak pan sobie życzy, baronie. – Dygnęła, ale nie wyglądało na to, że zamierza odejść.

- Potrafię być jeszcze bardziej niemiły, kiedy ktoś mi zajdzie za skórę – powiedział chłodnym tonem. – Ale potrafię też być wspaniałomyślny, kiedy widzę, że ktoś zasługuje na moją przychyłność.

- Ciekawe.

- Czy muszę przypominać, że to ja panią, a nie pani mnie przyłapała w dwuznacznych sytuacjach i to pani mnie, a nie ja panią zaatakowałem już kilkakrotnie? Jakoś nikt inny nie ma ze mną problemu. I nikt mnie nie oskarża o żadne skandale. Mnie można polubić – stwierdził pewnym tonem.

- Nie musi pan próbować mnie do siebie przekonywać, baronie Krzyżewski – przerwała mu, nie czekając na dalsze wywody.

- Bo już panią przekonałem?

- Bo to niemożliwe! A teraz proszę udać, że przyjął pan moje przeprosiny i zwyczajnie schodzić mi z drogi. – Uniosła brzeg spódnicy i z przywdzianym słodkim uśmiechem wyszła z oranżerii.

Wpatrywał się za nią w zdumieniu jeszcze dobrych kilka minut.

Jeśli jego brat miał zamiar pchać się w jej ręce z własnej woli, to tylko i wyłącznie jego sprawa. Nic mu już do tego.

## 11.

- Co takiego wymyśliła?! - raczej wykrzyzczała, niż zapytała hrabina Modlińska.

- Poszła popływać łódką - ze spokojem doniósł Jan, marszałek dworu i stróż w jednej osobie, zacierając ręce.

Starszy mężczyzna niezbyt przepadał za panienką Izabelą, bo przerwała mu kilkakrotnie w pół słowa i nie pozwalała wygłaszać ulubionych monologów, prosząc, by przechodził do rzeczy.

- Czy ta dziewczyna oszalała do reszty?!

- Możliwe. Znałem kilka podlotków, którym Bóg odbierał rozum, jak tylko nabierały kobiecych krągłości.

- Janie! - Hrabina spojrzała groźnie na staruszkę, ale szybko przeszła do poprzedniego tonu: - Wiesz, że panna Izabela nie jest już podlotkiem. Dawno uzyskała pełnoletność. Na dobrą sprawę to można byłoby podpowiedzieć wicehrabiemu, by szybciej rozejrzał się dla niej za odpowiednim mężem.

- Święta racja - przytaknął staruszek - mąż by ją trochę odciągnął od głupich pomysłów.

Hrabina rzuciła mu tylko krótkie, ostre spojrzenie. Dobrze wiedziała, że upominanie starego zrzędy nie ma najmniejszego sensu. Podobnie zresztą jak odsyłanie go na zasłużony odpoczynek (i nie miała na myśli skazania go na życie żebraka, jak to bywało często ze starszymi ludźmi, a zapewnienie dożywocia w godnych warunkach na terenie folwarku). Była jednak tak zżyta z tym specyficznym człowiekiem, że znosiła jego dziwactwa i jawny brak szacunku do chlebobodawców i ich gości. Zresztą nie mogła wyjść z roli. To jej przyjaciółkę charakteryzowały nowoczesne poglądy. Ona miała być na wskroś staroświecka. O tym, że co do Izabeli już dawno miała plany, również nie wspominała Janowi. Wiedziała, że zamiast pomóc, mógłby wszystko zepsuć.

- A może posłać po wicehrabiego Giełczyńskiego? - zasugerował staruszek.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. Nie chcę dokładać mu zmartwień - wyjaśniła nieszczercze. - Zdaje się, że dopiero co wrócił. Ma jakieś problemy we dworze.

- To może po pani syna?

- Którego?

- Tego, który wodzi za nią wzrokiem.

- Chcesz posłać po Anthony'ego?

- On kawaler, ona do wzięcia...

Staruszek wykrzywił się na bok i podparł ostentacyjnie na kiju, demonstrując, że sam nie ma najmniejszego zamiaru ruszyć się z miejsca, po czym uniósł głowę i cmoknął dwukrotnie.

- Dwie pieczenie na jednym ogniu, rozumie jaśnie pani?

- Nic nie umknie twojej uwadze, Janie. - Musiała przyznać, że nie był głupi. Ale lepiej, by myślał, że to jego pomysł.

- A żeby jaśnie pani wiedziała.

- I ja mam po niego pójść?

- Nie wypada – jęknął. – Ja pójdę, ale ostrzegam, że to zajmie kawał czasu. Biodro mi strasznie dokucza, a nalewki nic na to nie pomagają.

- Bo może za bardzo rozcieńczasz je w bimbrze? – zasugerowała.

- Akurat dobry bimberek nikomu jeszcze nie zaszkodził.

Jan podparł się ponownie na kiju i chwycił za lewy bok, udając napad bólu.

- Odpocznij sobie lepiej. Ja po niego pójdę. – Hrabina pokręciła głową i niespiesznym krokiem udała się w stronę dworu, gdzie Anthony omawiał coś z zarządcą.

- Znalazłbyś teraz chwilkę? – zapytała, przerywając mężczyznom.

- Oczywiście, matko. O co chodzi?

- Doniesiono mi, że jedna z dam wybrała się samotnie, by popływać łódką po Biebrzy. Znosi się na deszcz i zaczyna wiać coraz mocniej. Nie chciałabym, żeby się przeziębiła albo utknęła gdzieś daleko od dworu, jeśli zacznie padać.

- Rozumiem. Ale jak mam ją niby odnaleźć?

- Możesz wejść na ambonę i zobaczyć, gdzie się mniej więcej znajduje, a potem wziąć drugą łódkę i do niej popłynąć.

- Ambonę? – powtórzył nieco zdezorientowany Anthony.

- To ta drewniana wieża obserwacyjna między drzewami za pastwiskiem. Pokazywałam ci ją przed kilkoma dniami.

- Tak, oczywiście.

- Tylko weź ze sobą porządny płaszcz i buty.

- Tak zrobię.

- Zdaje się, że nasza poszukiwaczka przygód popłynęła zgodnie z prądem rzeki, zatem od razu kieruj się na zachód.

Anthony rozejrzał się nieco zmieszany po przestronnym salonie.

- Idź po płaszcz, a ja podeślę ci zaraz kogoś z porządnymi butami. I pospiesz się – dodała – zaczyna się chmurzyć.

- A jeśli nie zdążę przed deszczem?

Hrabina spojrzała błagalnie ku górze.

- Pod prąd płynie się znacznie dłużej – wyjaśnił.

- Słuszna uwaga – przyznała. – Możecie nie zdążyć. Co prawda lekkomyślność powinna być ukarana, a zimna woda ostudziłaby zapał do poszukiwania tarapatów, jednak nie możemy narażać niczyjego zdrowia i życia.

- To co mam zrobić? Wyciągnąć jej łódkę na brzeg i się pod nią skryć?

- Nie będzie takiej potrzeby – powiedziała hrabina. – Jeśli nie uda się wam wrócić, to przeczekajcie po prostu we wsi. Z pewnością nikt nie odmówi wam schronienia.

- W porządku.

- Nie daj się namówić na wdrapywanie na kolejną ambonę – ostrzegła. – Wiesz, że potrafiały one ściągać pioruny – dodała łagodnie.

- Pioruny? W listopadzie? – zdziwił się Anthony.



– Owszem. Jesienią też się zdarzają – odparła jego matka. – Jeśli nie będziesz w stanie wrócić z nią przed deszczem, schroń się w domku myśliwskim, rybackim albo u zielarki. Wiesz mniej więcej, gdzie się każdy znajduje?

– Tak. Ale czy nie będzie to nieestosowne, jeżeli skryjemy się gdzie sami przed deszczem?

– Nie martw się. Zadbam o to, by nikt się nie dowiedział. – Uśmiechnęła się łagodnie.

– Mamo – jęknął.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że zdrowie i życie tej dziewczyny cenisz mniej niż jej i swoją reputację?

– Och, nie – powiedział niezbyt pewnie.

– Pospiesz się – rzuciła hrabina Modlińska w stronę Anthony'ego, a sama podeszła do dzwonka, by wyprawić kogoś po buty. – I wyciągnij ją na właściwą stronę Biebrzy. Wiesz chyba, że jej linia stanowi granicę między Królestwem Polskim a Imperium Rosyjskim<sup>2</sup>.

– Dobrze, matko – odparł posłusznie i poszedł po angielski płaszcz z wielowarstwowym pelerynowym kołnierzem.

– Niepotrzebnie go ostrzegasz, kochana – odezwała się jej przyjaciółka, która od dłuższej chwili przysłuchiwała się rozmowie z korytarza. – Może małe tête-à-tête z kobietą wcale by mu nie zaszkodziło. Nie może przecież wiecznie pozostawać w stanie kawalerskim.

Kobiety wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

– Wiesz przecież, kochana, że to nie tego syna chciałam swatać z panną Wieczorek.

– Wiem, ale życie płata różne figle. Zresztą czy ma to dla ciebie jakieś znaczenie, jeśli młodzi naprawdę by do siebie pasowali?

– Absolutnie. Nie chcę nikomu niczego narzucać. Zwyczajnie wydawało mi się, że Izabela pasuje do kogoś innego.

– Planowałaś ożenić syna. Czy to ważne którego?

– Nie aż tak bardzo – szepnęła hrabina, zamknawszy drzwi gabinetu po tym, jak wpuściła do niego swoją przyjaciółkę.

– W takim razie zdaje się, że wszystko idzie po naszej myśli. Powiem więcej, idzie nawet lepiej, bo nie jeden z twoich synów pozostaje pod wrażeniem tej dziewczyny, ale co najmniej dwóch.

Hrabina Modlińska Marysię poznała przed dwudziestoma pięcioma laty, kiedy ta zakrwawiona i zmarznięta błąkała się po biebrzańskich bagnach. Nie zastanawiała się długo, nie dopytywała, co było przyczyną jej stanu. Zwyczajnie wyciągnęła do niej rękę i przyjęła do swojego domu. Nie żałowała tego ani przez moment.

– Też tak sędzę, choć zdawało mi się, że wczoraj wieczorem mogła się z jednym z nich pokłócić.

– Nie szkodzi. Jeśli potrafią się ze sobą sprzeczać, to znak, że nie ukrywają i swej ciemniejszej natury. Sama wiesz, jakie to ważne.

– Obie wiemy. Niestety.

Zza drugich drzwi gabinetu rozmowę słyszał ktoś jeszcze, ale nie miał zamiaru zdradzić nikomu tego faktu.

Po półgodzinie Anthony wdrapał się po cienkiej drabinie do wysokiej na około sześć metrów ambony myśliwskiej, usytuowanej wśród maskujących ją drzew nieopodal brzegu

rzeki. Wszedł do zadaszzonego małego pomieszczenia przypominającego budkę i rozejrzął się po okolicy.

W dali na zachodzie dostrzegł niewielką drewnianą łódkę z siedzącą w niej postacią. Pewnie nie zdawała sobie sprawy z nadciągającej burzy, bo wiośła trzymała wsunięte do środka i płynęła wolno unoszona nurtem.

– Panno Wieczorek! – krzyknął, ile sił w płucach.

Najwyraźniej go nie słyszała.

– Panienko Izabelo! Panienko Izabelo! – wołał, schodząc z ambony.

Dziewczyna jednak nie patrzyła w jego kierunku. Może w ogóle w żadnym nie patrzyła? Głowę odchyliła do tyłu i prawdopodobnie zamknęła oczy. Może spała?

Anthony zeskoczył z kilku ostatnich szczebelków i pognał, ile sił w nogach, w kierunku niewielkiej łódki.

– Panno Wieczorek! Panno Wieczorek! – krzyczał, pędząc brzegiem rzeki. – Na litość boską! Niech się pani wreszcie odwróci!

Niestety dziewczyna najwidoczniej albo zasnęła, albo kompletnie ogłuchła, a teren przy brzegu rzeki wcale nie był równy i łatwy do pokonania. Trawa i trzcina nie całkiem zostały wykoszone latem, a zwisające nad brzegami kępy, wybite przez bobry dziury i leżące gdzieś dole glazy w końcu pokonały Anthony'ego, który runął jak długi. Noga utknęła w jakimś dole i skręcił sobie kostkę.

– Nic ci nie jest? – usłyszał nad sobą głos starszego brata.

– Raczej nie. – Anthony podał mu rękę i boleśnie się wykrzywił, stając na skręconej nodze.

– Chyba jej nie dogonisz.

– Chyba nie. Wstyd mi – przyznał.

– Nie masz powodu. Dasz radę dojść do zielarki?

Anthony rozejrzął się, szukając wzrokiem chatki starej kobiety.

– Powiniem. Ale co z panną Wieczorek? Zaczyna padać.

– Ja się zajmę tą pannicą, a ty idź ostrożnie i podpieraj się tym. – Oddał mu kij, który trzymał w ręku. – Jak już ją dogonię, to przyjdę po ciebie. I uważnie patrz pod nogi – dodał. – Poszukiwacze bursztyków chyba nie dają za wygraną.

– Nie rozumiem.

– Nieistotne.

– Zdażysz? – Anthony spojrzał w niebo, które naraz pociemniało jeszcze bardziej.

– Jeśli nie, to schronię się z nią gdzieś indziej i wrócę po ciebie po deszczu.

– Tylko – zawahał się – postaraj się być dla niej miły.

– Tego nie mogę obiecać.

– Ale zaopiekujesz się nią, prawda?

– Na tyle, na ile to konieczne. Tyle mogę zrobić – dodał Klemens, widząc przerażone spojrzenie brata. – Idź już.

– Dobrze – zgodził się Anthony i opierając się na kiju, podreptał w stronę chatki należącej do zielarki.

Klemens ocenił sytuację. Odbiegł od brzegu rzeki i pognał prosto przez łąkę. Wiedział, że niedaleko Biebrza tworzy duży meander i spokojnie dogoni dziewczynę zaraz za nim.

Dobiegł dokładnie wtedy, gdy jej łódka znalazła się za zakolem.

- Panno Wieczorek! - krzyknął.

Nie usłyszała.

- Księżniczko!

Dziewczyna otrząsnęła się z zadumy, co poznał po zachwianiu łódki, i rozejrzała się naokoło. Chyba zorientowała się, że nadciąga burza, bo raptownie chwyciła za wiosła. Niestety zrobiła to w bardzo niezręczny sposób i jedno z nich z pluskiem wpadło do wody.

- Psia krew! - zmięła w ustach przekleństwo i spojrzała za siebie. - Baron Krzyżewski?! Po cóż się pan tak drze? Przez pana zgubiłam wiosło!

- Przepraszam, że próbuję panią ratować! - zachnął się i zatrzymał, łapiąc oddech. - Może lepiej zawrócę, a pani sobie spokojnie dobieje do brzegu i poszuka schronienia przed deszczem.

- Niech pan nie będzie dzieckiem! - Pokręciła głową. - Skoro pan pędził przez te wszystkie chaszcze, to może się pan przynajmniej do czegoś przyda.

- Tak?! A do czegoż to, skoro pani tak świetnie sobie radzi? - zapytał z ironią.

- Mógłby pan chwycić przód łódki, jak podpłynę bliżej, i pomóc mi wysiąść. - Starła się zatrzeć pierwsze wrażenie.

- Po to właśnie biegłem, nie zważając na ból pośládka - szepnął do siebie i przysunął się jeszcze bliżej wody.

- Cóż pan tam mruczy? - zapytała i zaczęła przekładać wiosło raz z jednej, raz z drugiej strony, by dobić do brzegu.

- Żeby się pani pospieszyła, bo zaczyna padać.

Na te słowa naraz zawiął silny wiatr, a z nieba lunął gwałtowny, nieprzyjemnie zimny deszcz z kawałkami lodu. Łódka zakołysała się, a panna Wieczorek z przerażoną miną próbowała walczyć z płaczącym się w zaroślach wiosłem.

- Niech pan coś zrobi! - krzyknęła po minucie bezsensownej szamotaniny. Łódka ani o centymetr nie zbliżyła się do brzegu, za to nadal płynęła niesiona nurtem i kołysała się na boki, nabierając wody z deszczu.

- Przecież nie będę skakać! - Klemens biegł równo z nią i przyglądał się jej niepewnym poczynaniom. - Sama jest pani winna mojej niedyspozycji.

- To niech mi pan coś rzuci.

- Tym razem nie wziąłem liny, którą zwykle wszędzie ze sobą noszę. Proszę mi wybaczyć - zakpił.

- Niech pan nie będzie gburem! Chciał mnie pan uratować, to proszę to uczynić.

- Nie sądziłem, że zgubi pani wiosło.

- To chyba nie jest dla pana przeszkoda - próbowała zmienić ton na słodszy, bo deszcz zaczął coraz bardziej i zaczęła zdawać sobie sprawę, że szybko nie przestanie.

- Jest, ale sobie poradzę.

- Nie wątpię.

- Niedaleko jest niewielki pomost. Pobiegnę tam i spróbuję chwycić za wiosło. Proszę się przygotować.

- Dobrze - odparła posłusznie i spojrzała przed siebie, szukając wzrokiem pomostu.

Klemens przyspieszył, dobiegł do kładki i przygotował się na złapanie wiosła.

Udało się je chwycić bez większych trudności i przyciągnąć dziewczynę wraz z łódką do pomostu, a następnie pomóc wyjść zmokniętej damie i wspólnie wyciągnąć łódkę na brzeg.

- Co teraz? - zapytała Izabela, trzęsąc się z zimna. Płaszcz i suknia przemokły doszczętnie, a lodowaty deszcz smagał całe jej ciało.

- Musimy się gdzieś ukryć. - Baron rozejrzał się na boki. Próbował sobie przypomnieć, o czym mówiła hrabina. - Gdzieś tu powinien być domek rybacki trzeciego męża mojej matki.

- W takim razie chodźmy tam jak najprędzej - zakomenderowała Izabela, chwytając go za ramię.

Spojrzał na nią zdziwiony, ale nie oponował.

Zostawili zabezpieczoną łódkę, a sami ruszyli w głąb zakrzaczonej łąki. Co prawda nie dostrzegli domostw, ale zauważyli niewielki barak.

- To, zdaje się, chatka, w której hrabia Modliński trzymał kiedyś swój sprzęt rybacki. Powinna mieć kominek, a jeśli mój młodszy brat z niej czasami korzysta, to i zapas drewna.

- Czyżby Maurycy Modliński pasjonował się łowieniem ryb?

- Można to i tak nazwać - zakpił Klemens, przypominając sobie, jak jego młodszy brat opowiadał mu o schadzce z pewną niewiastą.

- Ma pan klucze?

- Nie, ale wiem, jak ją otworzyć.

- W takim razie pospieszmy się. - Wyminęła go i pobiegła pod niewielki drewniany budynek.

Specjalnie nie udał się za nią, pozwalając jej jeszcze trochę pomoknąć. Sam był zziębnięty do szpiku kości, ale nie miał zamiaru okazywać słabości. Nie po tym, jak go ostatnio potraktowała.

Spokojnie podszedł pod niewielkie, ale solidne drzwiczki domku, następnie wzięł do ręki kłódkę szyfrową.

- A cóż to? - zapytała zdziwiona Izabela, przyglądając się kłódcze w kształcie walca, złożonej z kilku rzeźbionych pierścieni.

- Moja matka lubi takie zabawki - odparł i przystąpił do przekręcania kolejnych elementów, aby ustawić odpowiednie hasło.

Po chwili kłódka ustąpiła i mógł przepuścić w drzwiach zmokniętą damę.

---

<sup>8</sup> W 1807 roku, kiedy powstało Księstwo Warszawskie, jego granica z Cesarstwem Rosyjskim biegła po linii Biebrzy i zachowana została po Kongresie Wiedeńskim z 1815 roku.

## 12.

Klemens wytrzepta płaszcz i zamknął dokładnie drzwi, rzuciwszy najpierw okiem, czy w środku jest zapas drewna. Kominek w ich przypadku był prawdziwym wybawieniem. Nie wiadomo, ile potrwa ulewa, a powinni ogrzać się i wysuszyć.

Izabela weszła ostrożnie do środka, rozglądając się niepewnie po skromnym wnętrzu chaty. Nie było najgorzej. Pod jednym z dwóch okien stał drewniany stół, wiklinowy fotel i cztery niewielkie zydunki z rzeźbionymi oparciami. Obok niego komoda z misą i dzbanem, a nad nią niewielkie lustro. Na wprost wejścia znajdował się niewielki kominek, a właściwie wcale nieskromny słupek kaflowy. Widać, że właściciel domku zadbał o jego ogrzanie i funkcjonalność (pewnie do obróbki złowionych ryb). Pod drugim z okien znajdowały się dwa drewniane łóżka przypominające kształtem łodzie. Na jednym z nich spał zwinięty w kłębek kocur. Pomiedzy łózkami stała szafa. Nie było widać żadnych koców, ręczników, choćby niewielkiej ścierki, którą mogłaby osuszyć włosy lub na chwilę się przykryć. Zziębła i zmokła na wylot i jedyne, czego teraz potrzebowała, by nie nabawić się zapalenia płuc, to zdjęcie z siebie mokrych rzeczy i założenie czegokolwiek suchego, choćby zwykłego prześcieradła. Może szafa kryła cokolwiek takiego?

Klemens zauważył jej rozbiegany wzrok i z pełną premedytacją go zignorował, kierując się do niewielkich drzwiczek (których Izabela nie zauważyła), a które prowadziły do komórki na drewno i czegoś na kształt stajni czy raczej noclegowni dla koni. Znalazł tam w miarę czystą derkę i wytarł się w nią pobieżnie, po czym schylił się i zaczął zbierać potrzebne do rozpalenia ognia szczapy. Jemu też było przeraźliwie zimno, ale to z jej winy oboje wpakowali się w tę niepotrzebną kabałę i uznał, że może trochę pocierpieć, jeżeli w ten sposób choć trochę uprzykrzy jej życie.

– Wygarnie mi pani wreszcie, że się nią nie zajmuję?

– Ani mi się śni! – Zadarła nos i drżąc na całym ciele, przysiadła na skraju jednego z łóżek. Tego niezajętego przez kota.

– To było pytanie retoryczne. – Uniósł lewy kącik ust, uwydatniając tym samym uroczy dołeczek w policzku. Zupełnie niepasujący do jego podłego charakteru, pomyślała, ale mimo to nie mogła oprzeć się przyjrzeniu mu się uważnie.

– Podejrzewam, że i tak świetnie się pan bawi moim kosztem i nie mam zamiaru w tym panu pomagać.

– Hm. To coś zupełnie nowego, panno Wieczorek. Nie znałem pani od tej strony. – Sięgnął po wbitą w pień siekierę i jednym szarpnięciem wydobył jej głowicę z drewna.

Przez moment znieruchomiała, ale znów zaczęła dygotać.

– Nie zabiję pani – stwierdził i burknął coś niewyraźnie pod nosem.

– Słucham?

– Nic. Mówię czasem do siebie.

Ustawił sporej wielkości szczapę na pieńku i wziął potężny zamach. Lubił rąbać drewno. Mógł w ten sposób rozładować napięcie, ukoić nerwy, rozluźnić się i poćwiczyć jednocześnie. Służba w jego dworze wiedziała doskonale, że to zadanie dla niego, co wcale jej nie martwiło.

Szybko uporał się z pracą i nazbierawszy sporej wielkości kopczyk, zaniósł go pod kominek, po czym ułożył odpowiednio na palenisku, przekładając połupanymi kawałkami dobrze wysuszonego drzewa brzozonego, i za pomocą krzesiwa wzniecił oczekiwany ogień.

Izabela odetchnęła głośno, podejrzewając, że wreszcie jej męki dobiegną końca lub złagodnieją na tyle, by mogła znieść towarzystwo barona, póki nie przestanie padać. Niestety on ani myślał zajmować się swoim gościem. Spokojnie odczekał, aż ogień obejmie szczapy, dorzucił jeszcze kilka, po czym najwyczejniej w świecie zaczął rozbierać się i rozkładać swoje rzeczy. Najpierw podsunął dwa zydelki, na których rozwiesił płaszcz, potem spokojnie zdjął kubrak, zawiesił go na sznurze nad kominkiem, następnie rozpiął dwa guziki koszuli...

Izabela na zmianę bladła i krasniała ze złości. Irytował ją coraz bardziej, a jednocześnie sprawiał, że nie mogła oprzeć się oglądaniu tego spektaklu w oczekiwaniu na coś, o czym nie powinna myśleć.

Dotarł do trzeciego guzika koszuli, ale w ostatniej chwili zrezygnował ze zdjęcia jej i podszedł do stołu, by przyciągnąć pod palenisko fotel. Gdy już ustawił go naprzeciwko ognia, spokojnie zabrał się za zdejmowanie butów.

– Długo będzie się pan nade mną pastwił? – nie wytrzymała.

– Och. Zapomniałem, że pani tu siedzi.

– A gdzie, według pana, miałam pójść? Na deszcz?

– W zasadzie... wcale bym się nie zdziwił – odpowiedział zupełnie obojętnie, po czym ustawił buty obok kominka, oparł się w fotelu, położył głowę na jego oparciu i zamknął oczy.

– Chyba nie zamierza pan teraz spać?!

– A ma pani jakiś ciekawszy pomysł, panno Wieczorek? – Spojrzał na nią przez ramię tak, że pokrasniała niczym dojrzały pomidor.

– No wie pan?!

– Oj! – zakpił. – Proszę nie udawać niewiniątka.

– Nienawidzę pana! – Przypomniała sobie sytuację, w jakiej ją nakrył przed dwoma laty.

Nie jej wina, że na schadzkę wybrała sobie wtedy stajnię, a rzenie koni zagłuszyło odgłosy zbliżających się kroków i baron Krzyżewski zastał ją w dwuznacznej pozycji z potarganymi włosami. Zresztą krew nie woda. A stajenny był wyjątkowo przystojnym młodzieńcem...

– I sądzi pani, że się tym przejmę? – zapytał z przekąsem.

– Powinien pan. Może zostaniemy rodziną – dodała łagodnie.

– Niech Bóg broni – jęknął. Po czym zamknął oczy i odchylił głowę w tył.

– Jest pan naprawdę okropny!

– Dziękuję.

– I zupełnie nieempatyczny.

– Ja nieempatyczny?

– Pan – potwierdziła. – Już ten kot wykazuje więcej zrozumienia niż pan.

– Bo zerką od czasu do czasu? Kot, panno Wieczorek, ma panią w nosie dokładnie tak samo jak ja.

Miała najszczerzą ochotę wziąć cokolwiek ciężkiego i dzielić go porządnie po głowie. Powstrzymała się ostatkiem woli, a właściwie... nie powstrzymała. Chwyliła za jedyną ruchomą i dającą się podnieść rzecz w zasięgu ręki, zacisnęła obie dłonie na jej uchu i cichutko podniosła się z łóżka.

– Widzę panią – ostrzegł.

Ciekawe jak, skoro ma pan zamknięte oczy?, pomyślała, ale nie skomentowała.

– To niegodne damy, by próbować zabić swojego wybawcę. Prawdę mówiąc – zastanowił się chwilę – by zabić kogokolwiek. – Odwrócił się i omal nie parsknął śmiechem. – W dodatku nocnikiem? Panno Wieczorek?! Sądziłem, że stać panią na więcej.

– Zamorduję pana, przysięgam!

– Po cóż tracić cenną energię. Już dawno mogła się pani rozebrać, powiesić ubranie do wyschnięcia i wytrzeć.

– Niby czym?

– Wystarczyło zapytać. – Wstał, jak gdyby nigdy nic, ominął ją i podszedł do szafy, z której wyciągnął czysty ręcznik. – Proszę – powiedział łagodniej, widząc jej szklące się oczy.

Chciał się z nią podroczyć, chciał jej zrobić na złość, dać nauczkę, chciał, żeby trochę pocierpiała, ale kobiecie łzy niezmiennie działały na niego odruchem opiekuńczym. Nie potrafił patrzeć obojętnie. Nieważne, czy były szczerze, czy nie do końca. Panna Wieczorek najwyraźniej miała naprawdę dość tej lekcji dobrego wychowania. Może rzeczywiście przesadził.

Poczuł lekkie ukłucie wyrzutów sumienia. Przynął się do niej, bo nie wyciągnęła dłoni po ręcznik, stojąc niczym bezradna, mała dziewczynka.

Przypominała jego własną matkę sprzed lat, po tym, jak kolejny raz doznała upokorzenia od męża. Nie chciał być takim mężczyzną.

– Proszę – powiedział łagodnie, a kiedy nadal nie poruszyła się ani o centymetr, sam zaczął zdejmować z jej ramion przemoczony płaszcz i rozwiązywać zasupłane tasiemki od kapelusika wyściełanego jedwabną podszewką (teraz zupełnie przemoczoną). – Dlaczego zachowuje się pani w ten sposób? – zapytał, zaskoczywszy samego siebie.

– Nie wiem – odparła szczerze i odstawiła nocnik.

– Nie jest już pani dzieckiem. Potrafi pani chyba o siebie zadbać? Już dawno mogła to pani z siebie ściągnąć.

– Nie dałam rady – przyznała. – Palce mi zdrętwiały i splątałam tasiemki, nie znalazłam też niczego, czym mogłabym się wytrzeć lub okryć.

Czyżby zaczynała odgrywać rolę poszkodowanej, by wzbudzić w nim większe wyrzuty sumienia? Najwyraźniej. A już zaczynał jej współczuć...

Sięgnął po nożyk, który nosił przytwierdzony do paska, i szybko rozprawił się z supłem. Następnie pomógł jej zdjąć ciężki od wody płaszcz i rozwiesił go obok swojego.

– Teraz już sobie pani poradzi – stwierdził i spokojnie wrócił na fotel.

– Poradzę – odparła dumnie, ale bez złośliwości.

Podeszła do ognia, zdjęła krótką narzutkę i powiesiła na sznurze obok jego kubraka. Potem wyjęła spinki z upiętego koka, wycisnęła w ręcznik mokre włosy i rozczesła je palcami, a ręcznik rozwiesiła na sznurze.

Przyglądał się jej, przymrużywszy powieki, i czekał, co nastąpi po tym.

Dziewczyna rozejrzała się po wnętrzu domku, po czym, nie mówiąc nic, ruszyła w stronę stołu, skąd przyciągnęła sobie zydel, a następnie szafy, w której znalazła dwa koce. Jeden podała Klemensowi, drugim okręciła się szczerlnie i zaczęła się wiercić, ściągając skórzane buciki i pończochy, które następnie rozłożyła na podłodze obok jego butów, cały czas zakrywając stopy. Usadowiła się na zydelku i zapatrzyła w ogień.

Przez dobre pół godziny siedzieli w milczeniu i naprawdę ani jedno, ani drugie nie odczuwało presji rozpoczęcia wymuszonej, grzecznościowej pogawędki. Nie lubili się od dawna, choć trzeba przyznać, że żadne z nich nie wyrządziło drugiemu krzywdy. Zwyczajnie spotkali się w niesprzyjających polubieniu się okolicznościach.

- Wyszła pani trochę? - zapytał w końcu Klemens.

- Szczerze?

- Innej odpowiedzi nie przyjmę. Znamy się trochę i nie musi pani przy mnie udawać dobrze wychowanej damy.

- Nie skomentuję - odparła. - A szczerze, to czuję się, jakbym siedziała w kałuży. Przód sukni trochę wysychł, ale z tyłu cała woda spłynęła w zagłębienie siedziska.

- To czemu pani nic nie mówi?

W odpowiedzi spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Rzeczywiście - zreflektował się. - Głupio pytam. Ale nabawi się pani jakiejś choroby, zanim stąd wyjdziemy, a nie wiem, czy nie czeka nas nocleg.

- Nocleg?!

- Robi się coraz później, a deszcz nie ustaje. Nie będziemy wracać przez bagna po ciemku, bo to zbyt niebezpieczne. Jeżeli utkniemy, to zamrzniemy na śmierć. Rozumie to pani?

- Rozumiem, ale nie mam zamiaru spędzić tu nocy z panem.

- Ma pani obawy co do moich manier?

- Nie, ale nikt nie uwierzy, że... - Zabrakło jej słów.

- Że do niczego między nami nie doszło? - pomógł jej wybrnąć z zakłopotania.

- Nawet nie będą pytać. Zwyczajnie każą się nam pobrać. Zdaje pan sobie z tego sprawę?!

- Niestety tak - odparł, choć lekko go dotknęła jej obawa przed związaniem się akurat z nim. Nie byłby w końcu takim najgorszym mężem.

Najwyraźniej i ona poczuła się dotknięta, o czym świadczyła pionowa zmarszczka między brwiami i zaciśnięta szczęka.

- Poradzę sobie z tym - powiedział chłodnym tonem.

- Niby jak? - zapytała, dąsając się.

- Przekupię zielarkę, żeby potwierdziła, że nocowaliśmy wszyscy u niej.

- Wszyscy?

- Nie wspominałem pani? To Anthony rzucił się za panią w pogoń, ale skręcił nogę i kazałem mu iść do zielarki. Na szczęście byłem w pobliżu.

- Nic mu nie jest? - Zmartwiła się.

- Będzie żył - zakpił. - To tylko drobny uraz.

- Mam nadzieję, że nie cierpi zbyttnio. Biedaczek.

- Naprawdę pani na nim zależy? - zapytał podejrzliwie.



- Lubię go. Jest miły, szarmancki, nie ocenia ludzi po pozorach.

- Wie pani, że nie o to pytam.

- Jest też przystojny. Temu pan nie zaprzeczy. Może się podobać?

- Pewnie może. Nie znam się na tym. Znam się natomiast na udawanej atencji, a taką z pani strony wyczuwam. Nie powie mi pani, że jest nim zauroczona?

- Nie powiem – przyznała. – Ale lubię go, a to już coś. Poza tym – dodała – on przynajmniej stara się mnie poznać, a nie od razu wyskakuje z oświadczeniami, jak ta zgraja pochlebców, których przedstawia mi wuj.

- Bardzo chłodno pani podchodzi do instytucji małżeństwa – stwierdził. – Gdzieś podział się dziewczęcy romantyzm?

- Nie będę z panem o tym rozmawiać – obruszyła się. – Zresztą pan również nie wygląda na takiego, który wdychałby do kobiety.

- Może dlatego, że odkryłem już, że nic dobrego z tego nie wynika – odparł szczerze.

- Może ja również.

- Pomóc pani z tą kałużą? – zmienił temat, bo zaczynało się robić niebezpiecznie. Nie lubił wracać do przeszłości i odkrywać się przed kimkolwiek. Zaufał kiedyś niewłaściwej kobiecie i zapłacił za to naprawdę wysoką cenę.

- Umie pan rozsznurowywać gors bez używania nożyka? – Uśmiechnęła się zupełnie naturalnie.

- Postaram się.

Wstała. Zsunęła lekko koc z ramion i odwróciła się do niego plecami, by mógł sięgnąć sznurka.

Podniósł się. Pochylił się i bardzo delikatnie dotknął wiązania sukienki. Gdyby nie okoliczności, mógłby określić ten moment mianem intymnego. Pociągnął za odpowiednie końcówki i rozluźnił sznurowanie, po czym odwrócił się, dyskretnie zerkając na jej odbicie w niewielkim lusterku nad komodą.

Izabela powoli wyplątała się ze stanika sukni i zgrabnie zsunęła z siebie wierzchnią warstwę materiału, która opadła, tworząc wokół jej kostek krąg pomiętego materiału. Za nią zsunęła się halka. Wyciągnęła dłoń i podtrzymując drugą koc, rozwiesiła sukienkę i halkę na sznurze nad kominkiem, odsunawszy uprzednio kubrak, ręcznik i narzutkę, które już niemal wyschły. Następnie przesunęła koc jego mokrą stroną do przodu i schyliła się, by wytrzeć mokre siedzisko zydlu.

- W szafie powinien być jeszcze jakiś suchy ręcznik. Może nawet koc. Zdaje się, że Maurycy miał uzupełnić wszystko po swojej ostatniej wizycie. W komodzie znajdzie pani kubki i wino. Wody raczej tu nie uświadczymy, ale nałapiemy deszczówki – powiedział bardziej do siebie. – Nie zapowiada się, żebyśmy mogli wrócić przed zmrokiem. Jest pani głodna?

- Tak, ale podejrzewam, że nie ma tu ukrytej spiżarni.

- Niestety. – Skrzywił się. – Za domkiem rośnie jabłonka. Lubi pani pieczone jabłka, panno Wieczorek?

- Lubię. – Uśmiechnęła się znów mimowolnie i zabrała za przeszukiwanie szafy.

Klemens wziął wiadro stojące w rogu chatki i wystawił je na zewnątrz, by nałapać wody. Następnie chwycił szeroką miednicę i używając jej jako osłony przed deszczem, wybiegł na

podwórko.

Z tyłu chatki znalazł niewielką starą jabłoni. Szybko nazbierał owoców, używając koszuli niczym fartuszka, i wbiegł z powrotem do środka, gdzie zastał staranniej porozwieszane ubrania i pannę Wieczorek otuloną nowym kocem i z kotem na kolanach. Na stole stały kubki, butelka wina i zapalona niewielka świeca.

Zaskoczony widokiem położył jabłka obok kubków i poszedł do komórki po kociołek.

– Zrobimy grzane wino – powiedział niepytany, po czym przelał do kociołka zawartość butelki, a z komody wyjął gliniane naczynko wypełnione miodem. – Od zaprzyjaźnionego bartnika – wyjaśnił i przy pomocy łyżki wydobyl trochę słodkiego przysmaku, by dodać do wina. Następnie zawiesił kociołek nad paleniskiem i wrócił po jabłka, które w równym rzędzie poukładał na kaflach wyłożonych przed paleniskiem. – Widzę, że zaczyna się pani zadomawiać, panno Wieczorek.

– Gdyby nie fakt, że grozi mi utrata resztek reputacji, panu przymuszenie do oświadczyń, albo nawet pojedynek, a nam obojgu skandal i ostracyzm społeczny.

– Nie dramatyzujemy – odparł – i cieszymy się chwilą spokoju. Jeśli odwiesimy na bok topór wojenny, to może być całkiem przyjemnie. – Mówiąc to, poczuł się nieco skrępowany myślą, która przebiegła mu niczym złoczyńca przez głowę.

Izabela oblała się ponownie pąsem, więc żeby ukryć zmieszanie wywołane słowem „przyjemnie” i niskim tembrem głosu barona, pochyliła się bardziej nad kotem, udając, że wyszukuje czegoś w jego futerku.

Klemens odchrząknął dla odzyskania równowagi i zamieszał wino w kociołku. Robiło się dziwnie niebezpiecznie. Nie miał zamiaru uwodzić tej małej awanturnicy, ale gdzieś w zakamarkach podświadomości coraz bardziej tego pragnął. Miał o niej dotąd jak najgorszą opinię, jak wielu innych, ale w jego przypadku było to naprawdę uzasadnione. Nie lubił się mylić, ale najwyraźniej tym razem mógł popełnić błąd. Panna Wieczorek nie była na wskroś przesiąknięta wszystkim, co najgorsze zsyła los istotom jej pokroju. Możliwe, że posiadała całą gamę zarówno wad, jak i zalet. Zwyczajnie te pierwsze łatwiej przyszło mu zauważyć.

– Mogłaby pani przynieść kubki? – zapytał, sięgając po kociołek, zabezpieczywszy przedtem dłoń jednym ze schnących ręczników.

– Oczywiście – odparła machinalnie i odłożyła kocura na bok, po czym drobnymi kroczkami, z uwagi na to, że nadal była bosa, podreptała do stołu, skąd zabrała kubki, drugą dłonią podtrzymując koc, w który była zawinięta. – Proszę. – Wyciągnęła je w jego stronę.

– Sam sobie nie poradzę – wyznał. – Musi je pani mocno trzymać, a ja przechylę kociołek. Jest ciężki i jedną ręką tego zrobić nie mogę, a nie wiem, gdzie się podziała warząchew.

– Dobrze.

– Ale każdy w osobnej dłoni. Bo inaczej się pani poparzy.

– W porządku. – Wypuściła koc z dłoni i pochyliła się tak, by jej nie spadł z pleców, kiedy będzie trzymała kubki.

Klemens ostrożnie przechylił żeliwny kociołek i zaczął wlewać parującą, aromatyczną zawartość do pierwszego z kubków, następnie zatrzymał się i to samo powtórzył z drugim. Panna Izabela dzielnie trzymała gorące naczynia i czekała, aż jeden od niej odbierze, ale kiedy odstawił kociołek na wyłożonej kamiennymi płytkami w okolicy kominka posadzce, ta zapomniała o kocu i się wyprostowała.

Materiał zsunął się błyskawicznie z jej ramion i wylądował na podłodze, ukazując jej półprzezroczystą bieliznę. Na szczęście nie podskoczyła niczym pensjonarka, a dzielnie, z kubkami wina w dłoniach, wytrzymała zdziwiony wzrok barona.

– Czy mógłby przestać się pan na mnie gapić i pomóc mi z tymi kubkami?

– Chciałbym. Naprawdę chciałbym, ale nie potrafię się oprzeć. Wygląda pani... – zawiesił na chwilę głos, a potem wychrypiął tylko: – Pięknie.

Nie wyczuła w jego głosie ani odrobiny sarkazmu. Mówił zupełnie szczerze, a myśl, że tak bardzo urzekł go widok, jej samej spodobała się na tyle, że powinna była uciec w najdalszy kątek chatki i się schować. Powinna, ale nie chciała tego zrobić. Dlaczego?

Dobrze wiedziała, że nie powinna o nim myśleć, że nie powinna wiązać z nim żadnych planów, nadziei, czegokolwiek. Powinna myśleć racjonalnie i postępować, jak na przyzwoitą panienkę przystało. Powinna... Ale czy naprawdę byłoby to dla niej dobre? Czy naprawdę nie mogłaby zapomnieć na chwilę o swoich postanowieniach i znów dać się porwać namiętnościom? Baron niczego jej przecież nie obiecywał, niczego nie wyznawał. Powiedział tylko, że wygląda pięknie...

Klemens nie mógł odzyskać głosu. Nie chodziło jedynie o jej idealnie zarysowaną figurę, zupełnie nieosłoniętą przez cienki materiał koszuli.

Była podopieczną wicehrabiego Giełczyńskiego. Znali się od lat i pamiętał, jak ten mówił o niej, jak o słodkim, kapryśnym dzieciątku. Nie powinien był w ogóle jej tu ciągnąć. Zdawał sobie sprawę, że odcięci od świata mogą... Od dawna mu się podobała, co musiał w końcu przed sobą przyznać. W zasadzie podziwiał jej krnąbrność i niezależność. Nie lubił uległych, pogodzonych z losem, całkowicie nieambitnych kobiet. Takich jak ona się bał. Wiedział o jej poczynaniach, nie tylko tych skandalicznych. Wicehrabia opowiadał o tym, jak bratała się z chłopstwem, jak oddawała swoje rzeczy ubogim, jak dalece wtrącała się w aranżowanie małżeństw okolicznych panien i usprawnianie prac w ich majątku. Może dlatego zawsze ją atakował. Może w ten sposób bronił się przed jej urokiem?

– Wezmę to – wychrypiął w końcu. – Choć przyznam szczerze, że z żalem – próbował zażartować, by nie odkryć się przed nią zupełnie.

– Proszę. – Wyciągnęła ku niemu jeden z parujących kubków, odsłaniając tym samym dekolt.

Odcchrząknął, próbując skupić się na czymś innym, dlatego też pochylił się i pomógł jej opatulić się ponownie kocem. Być może nieco zbyt długo przytrzymał dłoń na jej ramieniu, ale przełknął ślinę i wskazał jej wygodny fotel, a sam zajął miejsce na zydelku obok i przysunął się bliżej paleniska, by poprzewracać jabłka.

– Smaczne – szepnęła, upiwszy łyk wina. Oparła się plecami o fotel i bez zastanowienia wyciągnęła gołe stopy ku ogniu. – Przepraszam – zreflektowała się i ponownie ukryła je pod kocem.

– Proszę się nie krępować. – Wstał, przyniósł kilka większych polan i położył na nich zwinięty ręcznik.

Zrozumiała jego intencje. Z lekką obawą, ale wyciągnęła ponownie nogi i położyła je na przygotowanym podnóżku. Przyjrzał się jej, a potem sobie zrobił podobny i przysunął się jeszcze bliżej.

- Przyjemnie, prawda? - zapytał, odzyskawszy już równowagę, ale jego podenerwowanie zdradzało bębnienie palcami o kubek.

- Owszem, baronie Krzyżewski. Muszę przyznać, że potrafi się pan zająć damą w potrzebie.

- Nie bez przyjemności - dodał i cały jego animusz szlag jasny trafił. Cholera, zaklął w myślach i pochylił się, by sprawdzić, czy jabłka są już gotowe.

Były. Odstawił kubek z winem, wziął ostrożnie jedno z jabłek i odłożył na bok, by nieco przestygło. To samo zrobił z kolejnym, a resztę odsunął od ognia na tyle, by trzymały ciepło.

- Niech pani pierwsza spróbuje.

- W razie, gdyby były zatrute?

- Nie. Zwyczajnie chcę zatrzeć pierwsze niedobre wrażenie. W końcu już się pogodziliśmy.

- W porządku. - Sięgnęła po mięciutki owoc i skosztowała odrobinę. - Ależ to dobre. Wyborne!

- Nikt mi nie zarzuci, że morzę panią głodem. - Zaśmiał się i sięgnął po jabłko dla siebie. - W rzeczy samej. Smaczne. - Pochłonął je szybko i sięgnął po następne.

- Nie znałam pana od tej strony, baronie.

- Od jakiej?

- Zwierzęcej - zaśmiała się. - Pałaszuje pan te jabłka niczym wygłodzona bestia. Przyznam, że uważałam pana dotąd za sztywnego i opanowanego do granic możliwości.

- Tytuł i rodzinne koneksje zobowiązują. Jednak jestem jeszcze człowiekiem. W tej chwili głodnym człowiekiem - uściślił i zjadł, tym razem nieco wolniej, jeszcze jedno jabłko, a następnie podniósł kubek i popił sporą ilością grzanego wina. - To też wyszło mi całkiem nieźle. Może powinienem częściej zaglądać do kuchni.

- Już sobie pana wyobrażam w fartuchu z walkiem w dłoni. - Odchyliła się, odłożyła ogryzek i upiła nieco z kubka. - Rzeczywiście. Trudno się z panem nie zgodzić.

- Może jeszcze odrobinę? - zapytał niskim głosem, pochylając się w jej stronę.

Izabela poczuła się nieco skrępowana. Ton głosu i mina wydały się... A może to tylko jej wyobraźnia. Atmosfera jednak zaczynała być niemal intymna. Za oknem ciemność i odgłosy deszczu, wewnątrz przyjemne ciepło, blask tańczących płomieni, mruczenie kota, który wrócił na swoje legowisko, i zapach pieczonych jabłek i wina. W dodatku mężczyzna, który nie powinien, a coraz bardziej zaczynał się jej podobać. Gdyby była ze sobą szczerą, to przyznałaby, że nie zaczynał, a dawno zaczął, a jedynie resztki rozsądku i zwykły kobiecy foch nie pozwalały jej się do tego przyznać.

- Poproszę - odparła łamiącym się głosem. Musiała odchrząknąć.

Powoli i ostrożnie dolał jej gorącego napoju, po czym odwiesił kociołek, wziął jej kubek i odstawił na podłogę. To samo zrobił ze swoim.

- Dziękuję - powiedziała z niezwykłą dla niej pokorą. Klemens odniósł wrażenie, że ją samą też to zaskoczyło.

- Wiem, że to niestosowne, ale czy pozwoli pani, bym rozczesał jej włosy. Wyglądają na strasznie splątane.

- Ma pan szczotkę?

- Nie, ale noszę przy sobie grzebień. Może to wystarczy.

– W zasadzie... – Zawahała się na moment, po czym dodała szybko: – Moim włosom przydałoby się choćby powierzchowne czesanie. Przez ten deszcz i poprawianie koca pozbijały się całe w kołtuny.

Nie odpowiedział nic. Podszedł tylko do kominka i z kieszeni kubraka wyjął niewielki grzebyk, następnie wolnym krokiem obszedł jej fotel i stanął tuż za nim, ujmując w lewą dłoń jeden z pukli. Zaczynając od końca, powoli rozczesywał jej loki. Nie miał zbyt wiele wprawy, więc co chwila szarpał splecione fragmenty, ale znosiła to cierpliwie, bez jęków i narzekania.

– A może przesiądzie się pani gdzieś indziej, panno Wieczorek? Przez to wysokie oparcie nie jestem w stanie dotrzeć do końcówek.

– Mówi pan jak zawodowa pokojówka.

– W razie gdybym stracił tytuł i majątek, będę miał fach w rękę – zażartował. Nie zakpił, a zażartował. On! Na Boga, co się z nim działo?

Wstała i przeszła obok zydelka, po czym usiadła obok śpiącego kocura na jednym z łóżek, tak by baron mógł przysiąc tuż za nią.

Ponownie rozpoczął misterną wędrowkę pasmo po paśmie, jakby zaplanował dokładnie swoją pracę i sukcesywnie rozczesywał splecione loki, idąc od jednej do drugiej strony, aż dotarł do samego brzegu i zebrawszy całość w garść, przerzucił część na ramię, odsłaniając przy tym fragment szyi.

– Dlaczego wybrała się pani sama na tę łódkę? – zapytał łagodnie. – Kolejna sztuczka, by zwrócić uwagę mego brata?

– Nie tym razem – odpowiedziała bez złośliwości w głosie. – Zwyczajnie chciałam pobycć sama. Też mieszkam nad Biebrzą i potrafię sobie poradzić z wiosłami.

– Widziałem – odparł i szarpnął zbity kołtun.

– Auć – pisnęła cichutko. – Przyznaję – powiedziała potulnie – tym razem się nie popisałam.

– Mało powiedziane. Ale nie będę pani tego wypominał w nieskończoność.

– A pan, baronie? – zapytała i odchyliła głowę do tyłu, ułatwiając mężczyźnie dostęp do przednich kosmyków. – Nie wierzę, że zjawił się pan tam przypadkowo.

– Przyłapała mnie pani – wyznał i ponownie szarpnął jej splecione włosy. – Dowiedziałem się, że ma pani kłopoty, od jednego ze służących – powiedział, co nie było do końca zgodne z prawdą.

– I chciał pan sobie popatrzeć czy rzeczywiście się pan o mnie martwił?

– Może jedno i drugie – mruknął i przesunął włosy na bok, odsłaniając cały kark.

Nie potrafił się oprzeć. Sam nie wiedział, jaki czort go podkuśił. Może to wino, spokojna atmosfera i cichy szmer ustającego deszczu? Może płomień kominka i ciasne wnętrze chaty, może aromat jabłek?

Poczuła gorący oddech na karku, a zaraz po nim chłodną wilgoć języka. Powinna odwrócić się, uderzyć go w twarz, odsunąć się, odejść, zrobić cokolwiek, a nie czekać, sycąc się delikatnością jego dotyku. Jego dłonie powędrowały na skraj koca i powoli rozchyliły go, uwalniając jej ramiona. Uniosła ręce, przełożyła za siebie i przyciągnęła do siebie jego głowę. Swoją przekreśliła na bok tak, że ich usta spotkały się i najpierw niepewnie, potem coraz zuchwalej zaczynały badać się wzajemnie.

Pogłębił pocałunek. Najpierw delikatnie, a potem coraz gwałtowniej, jednocześnie kładąc ręce na jej ramionach. Jedno z nich pchnął do przodu, drugie pociągnął do siebie. Odwróciła się przodem do niego, a wilgotne pasma włosów opadły jej na twarz. Uniósł dłoń i wolnym ruchem założył je za jej ucho, opuszkami palców obrysowując jego kontur. Po czym ręka opadła mu niczym głaz spadający z nieba i oboje spojrzeli na siebie wystraszeni i zafascynowani jednocześnie.

Nie wiadomo, jak długo trwało to wpatrywanie się, bo czas zwolnił i przyspieszył jednocześnie (jeśli jest to w ogóle możliwe), a Klemens zaczął obserwować jasny rumieniec obejmujący policzki, szyję i dekolt Izabeli. Ciekaw był, czy dotarł też do jej kształtnych piersi...

Deszcz przestał padać i wokół panowała wszechogarniająca cisza. Tajemnicza, podkreślająca każdy ich oddech, niemal upiorna i przez to niewyobrażalnie zmysłowa.

Izabela uniosła dłonie i bezwiednie dotknęła swoich warg. Jakby nie mogła uwierzyć w to, co się przed chwilą wydarzyło. Starła się zebrać myśli i zachować tak, jak należało. Rozważnie, przyzwoicie. Ale wbrew chłodnym kalkulacjom umysłu jej ciało zaczynało reagować zupełnie nierozważnie i z całą pewnością nieprzyzwoicie. Uniosła głowę i zbliżyła się nieco w jego stronę.

Nie czekał. Przymknął powieki, pochylił się, a jego ciepłe, lekko drżące usta wylądowały na jej wargach, całując je powoli i z rozmysłem. Językiem wykonywał leniwe, zmysłowe ruchy, ale nie wtargnął całkowicie do wnętrza jej ust, czekając na reakcję z jej strony.

Izabela, zalana falą pożądania, również przymknęła oczy. Nie chciała tak szybko oddawać pocałunku, ale to było silniejsze od niej. Zarzuciła mu ręce na szyję i zanurzyła palce w jego przydługich gęstych włosach, ignorując podszepty sumienia i zdrowego rozsądku każące jej uciekać, nim wpadnie w poważne tarapaty. Ale czy byłaby w stanie uciec? Baron był tak niebezpiecznie pociągający, tak nieosiągalny, tak męski...

Klemens poczuł jej ostre paznokcie na swoim karku i aż mruknął z rozkoszy. Nie powinien w ogóle jej całować, ba, nie powinien nawet jej dotykać, ale nie potrafił i nie chciał rozkazywać swemu ciału, by zaczęło walczyć z rosnącym pożądaniem, a Bóg jeden wiedział, jak bardzo go to pożądanie dręczyło. I to nie od dziś, z czego właśnie zdał sobie sprawę.

Zanurzył palce w jej nie do końca rozczesanych włosach i pogłębił pocałunek, niemal wpijając się w jej usta.

Nie oponowała. Przeciwnie. Jedna z jej dłoni przesunęła się do przodu i zaczęła badać skrawek koszuli, aż dotarła do pierwszego z nierozpiętych guzików.

Zadrżał i odsunął się od niej na moment.

Zmierzyli się wzrokiem, jakby szukali u siebie nawzajem czegoś, co zdejmie z nich poczucie winy i wstydu... albo pozwoli przerwać im to szaleństwo. Niczego takiego jednak nie znaleźli. A wszechobecna cisza, przerywana jedynie pomrukiwaniami kocura i trzaskiem drewna w kominku, jedynie potęgowała poczucie napięcia.

To Klemens przerwał ten ciągnący się w nieskończoność moment. Ściągnął koc z jej pleców i położył zgnieciony na łóżku. Siedzący tam kot mruknął przeciągle, podniósł się i wolnym krokiem przeszedł na jego skraj, po czym zeskoczył na podłogę i przesiadł się na wiklinowy fotel przed kominkiem. Klemens wykorzystał ten moment i rozłożył koc na całą długość łóżka. Izabela spojrzała bez cienia skrępowania, po czym wróciła do guzików jego koszuli, aż oczom jej ukazał się fragment porośniętego króciutkimi, gęstymi włoskami torsu.

Nie myślała racjonalnie. Nie chciała myśleć racjonalnie! Wiedziała, że nie jest to samo pożądanie, choć to zawiadnęło nią niczym demon, wypełniając całą jej duszę, całe jej jestestwo. Wiedziała, że zaczyna się w nim zakochiwać, i zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej tego robić. Nie miała jednak na to żadnego... zupełnie żadnego wpływu. Wszystko działo się poza jej świadomością, poza jej osobą, a jednak była obecna. Obecna jak jeszcze nigdy w życiu. Była tam, trwała w tej chwili i nie chciała, by się ona skończyła. Chłonęła każde nowe doznanie każdą cząstką swego ciała i każdą cząstką umysłu.

Klemens nie czekał na zaproszenie. Była śmiała i chętna, potrafił to wyczuć, ale wyczuł także coś jeszcze. Wyczuł niewinność i coś na kształt strachu... Przez głowę przebiegła mu myśl, że może się go obawia, ale jakby w odpowiedzi na jego wątpliwości uniosła ponownie głowę i odszukała jego wargi. Może i był to jakiegoś rodzaju strach, ale z pewnością nie przed nim i nie przed tym, co ich mogło połączyć.

Jego dłonie same skierowały się ku troczkom przy koszuli i jednym krótkim szarpnięciem rozwiązały je, uwalniając skrzepowane piersi. Nie nosiła wysokiego gorsetu, jedynie jakiś prosty sznurowany pas podnoszący jej dość obfity biust. Wcale mu to nie przeszkadzało. Przeciwnie – ucieszył się, widząc, że poza rozchyleniem materiału koszuli nie pozostaje mu żadna przeszkoda w dotarciu do kształtnych piersi. Bronił się przed tym przez moment, ale nic nie potrafił poradzić na to, że w jego żyłach też płynęła krew, nie woda. Był człowiekiem, mężczyzną. Na Boga! Nie był z kamienia.

Ujął twardy sutek pomiędzy palec wskazujący i kciuk, a ona jęknęła z rozkoszy. Nie był to sztuczny dźwięk mający go pobudzić ani wykalkulowana gra pozorów. To był czysty, pierwotny jęk, który zrodził się w jej gardle pod wpływem jego dotyku.

Odchyliła głowę do tyłu, ułatwiając mu dostęp do piersi, a on skrzętnie to wykorzystał.

Poczuła ciepły oddech, a następnie muśnięcie języka na swojej skórze. Przestała oddychać, przepęlniły ją rozkosz i obezwładniające ciepło. A kiedy chwycił zębami jej sutek, jęknęła głośno i złapała go za włosy, by nie wystraszył się jej reakcją.

Nie chciała tego kontynuować, a jednocześnie pragnęła, aby nigdy nie przestawał. Choć drżała już ze skrzepowania i niepewności, to przemożna ciekawość zgłębienia własnej zmysłowości i przyjemności czerpanej z dotyku tego mężczyzny była silniejsza od wszystkiego innego.

## 13.

Coś uderzyło w ścianę chatki. Czyżby ktoś po nich przyszedł? Zerwali się, spojrzeli po sobie i z żalem dobiegli do swoich rzeczy.

- Kto tam? - warknął baron, zerkając raz w jedno, raz w drugie okno.

Nikt mu nie odpowiedział.

- Sprawdzę to. Proszę tu zaczekać - rzucił i podszedł szybkim krokiem do drzwi, po czym obejrzał się raz jeszcze, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Zmierzyli się wzrokiem, bez słów ustalając, co robić. Ona zakładała pończochy, on wyruszył na mały rekonesans, by sprawdzić, co jest źródłem hałasu.

- To sarna - powiedział, gdy wrócił po krótkiej chwili. - Ale przestało padać i ktoś może nas szukać. Księżyc świeci dość jasno.

- To prawda - odparła rzeczowo. - Pomoże mi pan przy zapięciu sukni?

- Naturalnie. - W mgnieniu oka stanął za nią i dopiął haftki, a potem nie pytając o nic, zaczął splatać jej loki w gruby, niezbyt równy warkocz, który związał na końcu wyjętym z kieszeni kawałkiem sznurka.

Izabela odwróciła się, by mu podziękować, i znów ujrzała jego zaczerwienione, idealnie skrojone wargi dokładnie na wysokości swoich oczu. Uniosła dłoń i dotknęła opuszką palca własnych ust. Wziął jej rękę i ucałował najpierw wyciągnięty palec, potem wnętrze, po czym zamknął ją i zacisnął w swojej dłoni, jakby chciał schować ten pocałunek. Podążyła wzrokiem za jego dłonią, a potem znów spojrzała na usta. Przystąpiła krok do przodu i delikatnie musnęła go po raz ostatni.

Nie zareagował. Stał znów twardy i silny. Tylko jego dusza rozpadła się na milion kawałków... Przepadł... Zakochał się w tej małej awanturnicy do szaleństwa. Jak ostatni głupiec!

- Czy ktoś tam jest?! - usłyszeli zza drzwi głos wicehrabiego Gielczyńskiego, poprzedzony rżeniem jego konia.

Ich wzrok skrzyżował się na krótki moment, ale doskonale wiedzieli, jak mają się zachować. Nie musieli niczego ustalać.

- Owszem. - Klemens podszedł do drzwi i otworzył je mocnym szarpnięciem.

Izabela starannie ubrana, z kocem na kolanach i płaszczem przewieszonym na zydelku obok, siedziała w fotelu przy kominku. Płaszcz Klemensa wisiał blisko łóżka, na którym znów drzemał stary kocur. Po winie nie było ani śladu. W kubkach stała czysta woda z deszczówki, a ogryzki zostały sprzątnięte, podobnie jak ręczniki i inne zbędne przedmioty.

Wicehrabia z dubeltówką w dłoni przekroczył próg, nie zwracając uwagi na nic. Dyszał ciężko, marszczył brwi i mierzył prosto w Klemensa.

- Och, to pan?! - zdziwił się. - Bałem się, że to ktoś obcy. - W mgnieniu oka odzyskał równowagę i dokładnie obejrzał wnętrze chatki. - Widzę, że pan zadbał o moją podopieczną -



powiedział na jednym wydechu, ale widać było, że dużo go kosztowało zachowywanie pozorów opanowania.

– Staralem się – odparł bez zająknięcia Klemens, choć widok broni nieco go speszył. Przez głowę przebiegło mu, że powinien wyznać prawdę i prosić o rękę panny Wieczorek, ale po pierwsze nie był pewien, czy ona by sobie tego życzyła (to, co działo się jeszcze kilka kwadransów wcześniej, mogło być jednorazowym wybuchem namiętności), a po drugie przypomniał sobie słowa Anthony'ego o bajce o Czerwonym Kapturku. Może wicehrabia wcale nie jest taki niegroźny, jak go na początku ocenił, a nawet jeśli jest, to w takiej sytuacji może zachować się irracjonalnie. – Mam jednak nadzieję – powiedział wolno i spokojnie – że więcej nie będę musiał, a pan porozmawia ze swoją siostrzenicą i wyjaśni jej niestosowność takiego zachowania.

– Naturalnie, naturalnie.

Izabela do tej pory milczała, ale szybko zorientowała się, jakie karty rozdano i jak należy tę partię przeprowadzić. Co prawda miała cichą nadzieję, że Klemens po tym, z jakim oddaniem, szczerością i zachłannością ją przed chwilą całował, zdecyduje się wyznać jej wujowi, że... Właściwie to nie wiedziała, co miałby mu wyznać. Przecież nie liczyła, że nagle po tych wszystkich zatargach poprosi o jej rękę. Zresztą dała mu wyraźnie do zrozumienia, że to nie z nim chce wiązać swoją przyszłość, a z jego bratem. Z żalem podjęła się jego gry.

– Z pewnością. – Podniosła się z fotela. – Jeśli będę miała w planach jakieś ryzykowne zachowanie, to postaram się, żeby pana nie było w pobliżu, baronie. Oczywiście jestem wdzięczna za ratunek, ale dziękuję niebiosom, że uratowały mnie przed dłuższym pana towarzystwem. Nie żebym miała coś panu do zarzucenia, po prostu trudno dyskutować z kimś, kto nie wie nic ani o modzie, ani o poezji, ani o najświeższych ploteczkach. W dodatku strasznie zdrętwiałam, siedząc cały czas na tym zydelku.

– Nikt panience nie bronił spacerowania po chacie. – Klemens przewrócił oczami, po czym zwrócił się do wicehrabiego: – Był pan w chacie zielarki?

– Jeszcze nie. Zrządem losu trafiłem tutaj. Wyruszyłem, jak tylko przestało padać. Bałem się o życie Izabeli.

– Nie poinformowano pana, że ruszył za nią mój brat?

– Poinformowano, ale sam pan wie, że nie ufam ślepo losowi. Jak widać słusznie, skoro jej nie znalazł.

– Na szczęście byłem w pobliżu, ale nie ukrywam, że wolałbym inaczej spędzić ten wieczór.

Wicehrabia odetchnął z wyraźną ulgą i odwiesił broń na ramię.

– Sam pan rozumie. Mam zobowiązania wobec niej i nie mogę sobie pozwolić na to, by coś zepsuło jej reputację i zaprzepaściło przyszłość.

– Jak najbardziej. Może skorzystamy z tego, że noc jest taka jasna, i udamy się do chaty zielarki sprawdzić, co z moim bratem? To i tak prawie po drodze do pałacyku.

– Jeśli uważa pan to za konieczne.

– Nalegałbym.

– Dobrze – zgodził się wicehrabia, już nieco uspokojony, i zerknął na Izabelę. – Pojedziesz konno, a my będziemy szli ostrożnie obok – zdecydował. – Ma pan jakąś broń? – zwrócił się ponownie do Klemensa. – Nigdy nie wiadomo, na co lub na kogo się natkniemy po drodze.

- Coś znajdę – odparł baron i poszedł do komórki na drewno, w której znajdowała się niewielka skrytka na broń.

Nie odważył się spojrzeć na Izabelę. Zbyt wiele emocji buzowało w jego głowie, by móc racjonalnie postępować. Wiedział już, że nie uwolni się od jej uroku, a być może będzie zmuszony żyć z tym, nie mogąc nikomu tego wyznać. Z drugiej strony, jeśli ona też zmieniła zdanie na jego temat, to mogliby spróbować... Ale jeśli nie zmieniła? Nie, nie spojrzysz i nie pozbawi się resztek nadziei. Nie teraz.

- Mam coś. – Wrócił z wiatrówką. – Zgaśmy jeszcze ogień w kominku, żeby chata się przypadkiem nie zajęła, i możemy ruszać.

- A po drodze ustalimy pewne rzeczy. Powinienem panu wynagrodzić tę niedogodność i podziękować odpowiednio za pańskie poświęcenie. Mam nadzieję, że nie będę musiał tłumaczyć, że nie możemy obwieścić wszem wobec, że znalazłem Izabelę samą z panem w tej chacie? Czy muszę przekonywać pana, że najlepiej będzie trzymać się innej wersji wydarzeń?

- Zbytek ambarasu, wicehrabio Gielczyński. W moim interesie również nie leży opowiadanie o naszej przygodzie.

- To dotyczy także ciebie, moje dziecko – powiedział do Izabeli.

- Zdaję sobie sprawę z tego, wuju. Też nie chcę narazić ani siebie, ani wuja na skandal.

- Ani mnie – dodał szybko baron.

- Ani pana – potwierdziła posłusznie.

Po półgodzinie dotarli bezpiecznie do chaty zielarki, choć Klemens musiał przyznać, że zmarzli po drodze, a przynajmniej on zmarzł całkiem solidnie.

- Dziękuję, że zajęła się pani moim bratem – zwrócił się do staruszki.

Kobieta wymieniła z nim kilka zdań, ukłoniła się pozostałym i zaproponowała ciepłych ziółek, by uniknęli choroby. Nie mając zbyt wielkiego wyboru, wszyscy przystali na propozycję i zajęli miejsca przy niewielkim stole, obserwując przygotowywanie naparu. Anthony został na wąskim łóżku. Przesiadł jedynie na jego skraju i oparł zawiniętą nogę na niskim taborecie. Wicehrabia odsunął swoje krzesło tak, że znalazł się nieco dalej, nieoświetlony blaskiem paleniska.

- Cieszę się, że nic pani nie jest, panno Wieczorek – odezwał się po chwili ciszy Anthony, wpatrując się z rozanieleniem w Izabelę.

Wyglądała przeuroczo z różowymi od wiatru policzkami, nierównym warkoczem, powywijanymi na wszystkie strony loczkami i spierzchniętymi wargami. Tylko Klemens znał powód ich zaczerwienienia i teraz już nie potrafił powstrzymać się przed zerknięciem w ich stronę.

- Pana brat pomógł mi wydostać się z wody i zaprowadził bezpiecznie do chatki.

- Mam nadzieję, że dobrze się tam panią zajął.

Och, gdybyś wiedział, jak dobrze, pomyślał Klemens i poczuł się podle, widząc ufne spojrzenie brata. Izabela podobała się Anthony'emu i być może miał związane z nią plany, a on, nie pytając nikogo o zgodę... Ale jak miał powstrzymać się przed rzuceniem się na nią, kiedy wyglądała tak nieziemsko pięknie i stała przed nim taka bezbronna, taka niewinna, taka bliska? A ona? Przecież mogła mu na to nie pozwolić. Tymczasem nie stawiała najmniejszego oporu. Pragnęła go równie mocno, jak on jej. Czy była to jedynie krótka chwila zapomnienia? Czy ona też od dawna tłumiła w sobie pożądanie, skrywając się za maską złośliwości

i sarkazmu? Może oboje pogubili się w tej swojej małej wojnie i dlatego nie dali sobie szansy na bliższe poznanie? Może on też pogubił się w tej swojej zatwardziałości, nie tylko w stosunku do niej, ale do kobiet ogólnie, a wizja ożenku napawała go lękiem zupełnie bez powodu? Od dawna postrzegał instytucję małżeństwa jako coś, co zupełnie do niego nie pasuje. Dlaczego nagle oficjalny, udokumentowany prawnie związek zaczął nabierać powabu?

– Proszę się nie martwić. Baron potrafi rozpalic w kominku i nalapać wody deszczowej, a nie potrzebowałam w zasadzie niczego więcej.

– Cieszę się, że jest pani tak wyrozumiała – odparł Anthony.

– A co z pana nogą? Podobno skręcił ją pan, próbując mi pomóc.

– Nie jest tak źle. W zasadzie już prawie nie boli – skłamał.

– Ulżyło mi – powiedziała ze szczerością. – Bardzo mi przykro, że przeze mnie musiał pan tyle wycierpieć.

O moim postrzale w tyłek tak by się nie wyraziła, pomyślał Klemens, ale zerknął w stronę wicehrabiego i resztki dobrego humoru opuściły go na dobre.

Benedykt Giełczyński, siedząc w niewielkim oddaleniu, z nieskrywaniem zainteresowaniem przyglądał się zarówno Izabeli, jak i Anthony'emu. Klemens nie potrafił odgadnąć, co kryło się za tą obserwacją, ale nie był w stanie pozbyć się uczucia, że nie jest to jedynie zwykła troska o swoją podopieczną. Wicehrabia miał jakiś szalony, bliżej nieokreślony błysk w oczach, kiedy zerknął w stronę dziewczyny. Jakby notował w głowie każdą zmianę na jej twarzy i analizował, co może być jej przyczyną. Czyżby aż tak przejął się rolą swata? A może kryło się za tym coś zupełnie innego? Nie chciał wierzyć Anthony'emu, kiedy wspominał o swoich podejrzeniach, ale teraz sam zaczynał coś przeczuwać. Może dlatego, że panna Wieczorek i jemu stała się nagle bliska, tak jak wcześniej bliska stała się jego bratu? Może tak reagują na wszystkie przeszkody zakochani mężczyźni? Cholera jasna! Jak mógł do tego dopuścić?!

A co do wicehrabiego – powinien chyba wziąć i jego pod uwagę, myśląc o sprawie zaginionego szlachcica i cennego pierścienia jego rodu. Może to nie panna Wieczorek maczała palce w kradzieży tego świecidełka, a jej wuj? Nawet jeśli wydaje się to dalece nieprawdopodobne, to nie powinien wykluczyć takiej możliwości jedynie ze względu na ich długoletnią znajomość. Westchnął ciężko i udał, że jest zmęczony, by nikt nie zauważył jego zdenerwowania.

– To mnie jest przykro, panno Wieczorek – powiedział wpatrzony w nią Anthony – że nie udało mi się pani pomóc. Szczęściem Klemens był w pobliżu, bo strach pomyśleć, co byłoby, gdyby go tam akurat nie było – dodał trochę nieskładnie.

– To prawda – przyznała dziewczyna i przez ułamek sekundy jej wzrok skrzyżował się ze wzrokiem starszego brata, a dolna warga zadrżała mimowolnie. A może to tylko jemu się tak wydawało. – Jestem wdzięczna baronowi za jego poświęcenie.

– Ja również – wtrącił się wicehrabia. – Jednak nie będziemy wspominać o tym wszem wobec. Należy ustalić taką wersję, która nie wzbudzi niepotrzebnych sensacji. Rozumieją panowie? – Zatrzymał wzrok na młodszym.

– Naturalnie – odparł zdeterminowany Anthony, a Klemens burknął jakieś niewyraźne potwierdzenie.

– W naszym świecie pozory i reputacja niezamężnej kobiety to rzeczy szalenie istotne i nie należy z tym igrać.

- W rzeczy samej – poparł go Anthony, który przez cały czas śledził każdy ruch panny Wieczorek.

- Ziółka gotowe – przerwała im zgarbiona kobiecina i podała gliniane kubki z parującym płynem.

- Dziękujemy uprzejmie – odrzekła Izabela.

- Noga hrabiego powinna za kilka dni być całkiem sprawna. Trzeba tylko trzymać ją wysoko i przykładac liście kapusty – wyjaśniła. – Można je najpierw trochę poobijać, żeby puściły sok.

- A to – Klemens wyciągnął z sakiewki kilka monet – za fatygę i porządny opatrunek.

- Nie trzeba – rzekła staruszka, ale wzięła i szybko ukryła monety w fałdach spódnicy.

- Wypijemy i będziemy się zbierać – zakomenderował wicehrabia. – A panią odwiedzę jutro, jeśli można. Kolekcjonuję zioła na napary, a te były wyjątkowo smaczne.

- To prawda – powiedziała Izabela. – Wuj ma sporą kolekcję słoików z różnymi ziołami i herbatami świata. Ale co z hrabią Athertonem? – zapytała wyraźnie zmartwiona. – Przecież nie może w takim stanie podróżować.

- Ależ mogę – powiedział dumnie Anthony.

Klemens wiedział, że nawet gdyby bratu noga odpadła, to nie da po sobie poznać, by nie wyjść na mazgaja w oczach dziewczyny. Już w dzieciństwie udawał bohatera, żeby takim go uznawano.

- W takim razie zajmie pan miejsce w siodle, a ja będę szła. To niedaleko, a spacer nikomu jeszcze krzywdy nie zrobił – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

No, no, panna Wieczorek wraca powoli do siebie, pomyślał z sarkazmem Klemens. Może to i lepiej. Nie powinna przecież rozpamiętywać tego, co zaszło między nimi w chatce rybackiej. On też nie może więcej o tym myśleć. Nieważne, czy przyjdzie mu to łatwo, czy wprost przeciwnie (czego był niemal pewien).

Izabela dopiła bez słowa zioła, mimo że nie smakowały zbyt dobrze. Nie na tym jednak skupiona była jej cała uwaga. Musiała nie dać po sobie poznać, że cała dygocze po tym, co zaszło między nią a baronem Krzyżewskim. Sam fakt intymności i tego, jak zdradziecko jej ciało reagowało na jego dotyk, wprawiał ją w zakopotanie i oszołomienie równocześnie. Nie zdawała sobie sprawy, że może tak bardzo pragnąć mężczyzny. Może rozbudzone dawno zmysły uwolniły się pod wpływem nastroju? Bębniące krople deszczu, blask kominka, panująca wokół ciemność i świadomość, że są tam absolutnie sami (poza starym kotem, rzecz jasna), z pewnością tak na nią podziały. Bo przecież nie on! Nie potrafiła w żaden sposób tego wyjaśnić. Wszakże tak go nie lubiła! To pewnie przez to wino i deszcz. Ale z drugiej strony... Miała mętlik w głowie, a skierowany na nią wzrok Anthony'ego wcale nie ułatwił sprawy. Przecież równie dobrze to z nim mogła spędzić ten wieczór w chatce. Czy wówczas również uległaby chwili? Czy on też poddałby się instynktom? I co wtedy? Czy wuj tak łatwo dałby się przekonać o ich niewinności? Może zastrzeliłby biedaka, zanim ten cokolwiek zdołałby wyjaśnić. W sumie nie założyłaby się o to, że tego by nie zrobił. Wpadł do chaty z takim szaleństwem w oczach, że sama była przerażona. A Klemens? On nie. On potrafił zachować się rozsądnie i spokojnie. Czy dlatego że nie obeszło go to, co się wydarzyło, czy był po prostu dobrym aktorem? Nie chciała o tym myśleć, ale nie dawało jej to cały czas spokoju.

Anthony, gdyby jednak uszedł z życiem po starciu z wicehrabią, z pewnością już ustalałby szczegóły ich ceremonii ślubnej. Klemens natomiast pewnie odetchnął z ulgą, że nie musi tego robić. Właściwie to nawet lepiej. Nigdy nie brała go pod uwagę jako kandydata na męża, ale i tak było jej przykro, że on nie brał pod uwagę jej.

Powinna chyba zapomnieć o tym, co się stało, i wrócić do poprzedniego układu. Nie była pewna, czy jest w stanie to uczynić, ale wiedziała, że będzie się starać. Poza tym zachowanie wuja potwierdzało tylko, że powinna jak najszybciej się uwolnić spod jego kurateli. Chyba z wiekiem coś mu się mieszało w głowie. Wcześniej nie bywał taki porywczy.

## 14.

Od powrotu z chatki minęły dwa dni. Udało się uniknąć skandalu i wrócić do dalszych rozrywek planowanych przez hrabinę Modlińską. Z uwagi na troskę o zdrowie Anthony'ego i na wyraźną prośbę gospodyni wicehrabia Giełczyński postanowił, że wyjedzie do domu jedynie na tyle, ile to konieczne, i wróci ponownie do pałacyku przed bale andrzejkowym. Nie wydawał się szczególnie zadowolony z takiego obrotu spraw, ale też nie protestował. Zadbał natomiast, by nikt z gości nie dowiedział się o incydencie z ulewą i zawczasu nieobecność Izabeli – w porozumieniu z hrabiną Modlińską – złożył na karb niedyspozycji. Służba, która znała prawdę, bez mrugnięcia okiem przystała na tę mistyfikację i nie czyniła żadnych aluzji. Najwyraźniej byli przyzwyczajeni do niecodziennych poleceń pani domu.

Izabela skrzętnie wykorzystała fakt, że nie musiała brać udziału w zabawach organizowanych w pałacyku, aby zbliżyć się do całego (może poza najstarszym) potomstwa hrabiny Modlińskiej. Najmłodszą z jej córek poduczyła francuskiego, średniej pomogła dobrać odpowiednią fryzurę, by uwydatnić jej kości policzkowe, a z najstarszą poplotkowała o przybyłych do pałacyku dżentelmenach. Córki hrabiny Modlińskiej nie mogły brać udziału we wszystkich rozrywkach, gdyż w tym czasie miały zajęcia pod okiem zatrudnionych guwernantek, a posiłki zjadały najczęściej we własnym gronie, ale można było je spotkać w ogrodzie lub wieczorami posłuchać ich gry na fortepianie.

Wszystko szło zgodnie z planem Izabeli. Wielu gości opuściło już posiadłość i miało przybyć wielu nowych, a zatem i kolejne szanse (bo dziewczyna wolała zabezpieczyć się w przypadku niepowodzenia z Anthonym i czarować też innych nadających się na przyszłych mężów dżentelmenów, oczywiście sprawdzwszy wcześniej, czy na takie miano zasługują).

W wieczór przed ich krótkim wyjazdem w pałacyku, a dokładniej w salonie, zebrali się jedynie domownicy, wujostwo Hryniewiczcy, Izabela z wujem i dwie starsze panie, które nie chciały podróżować nocą, guwernantka dziewcząt i ich nauczyciel tańca. Najstarsze damy, hrabina i wuj Izabeli zasiedli w wygodnych fotelach przy ławie. Wujostwo, guwernantka i nauczyciel przysiedli przy stoliku do gry w karty. Izabeli i najstarszej z córek hrabiny Modlińskiej przypadła sofa. Anthony i Maurycy zajęli bujane fotele przy kominku, a młodsze z córek musiały zadowolić się (jak nakazywał zwyczaj i dobre maniery) miękkimi podnóżkami. Jeden z nich wykorzystał też Anthony, aby położyć na nim nogę.

– Dzień dobry.

Do salonu wszedł Klemens i rozejrzał się w poszukiwaniu wolnego miejsca. Do wyboru został podnóżek, taboret i miejsce pomiędzy Izabelą i jedną z jego sióstr. Pokręcił z wahaniem głową i ostatecznie zdecydował się na wybór sofy.

Izabela nabrała powietrza i wyprostowała się dumnie. Nie chciała, by ktokolwiek zauważył, że obecność barona wprawia ją w konsternację.

– Czy oszczędzamy na świecach, mamó? – odezwał się Maurycy i przechylił do tyłu, by zabijać swoim fotelem.

- Dlaczego tak sądzisz, synu? – zapytała hrabina Modlińska.
- Bo robi się coraz ciemniej, a nikt nie zapala świec.
- Czyżbyś zapomniał o „szarej godzinie”<sup>9</sup>?
- Hm?
- To pora, kiedy matki radzą swoim córkom, kiedy prowadzimy poufalsze rozmowy, a czasem odmawiamy modlitwę bądź czytamy na głos – wyjaśniła, przypominając mu o rodzinnej tradycji.
- Przepraszam. Nie praktykowałem tego ostatnio. Zresztą mamy gości.
- Ale nielicznych i w dodatku bliskich przyjaciół, zatem może warto wrócić do tej tradycji.
- Będziemy klepać pacierze? – zapytał Maurycy.
- Miarkuj się! – ostrzegł Klemens.
- Przepraszam. Głupi żart.
- Ale rzeczywiście nie chcemy się w końcu zanudzić na śmierć. Może posłuchamy muzyki? Panno Wieczerek – zwróciła się do Izabeli. – Może pani uraczy nas grą na fortepianie?
- Bardzo chętnie – odparła, bo dzięki temu mogła uwolnić się od bliskości Klemensa. Jego zapach i ciepło ciała zaczynały przyprawiać ją o zawrót głowy. Bała się, że wszyscy odkryją, co między nimi zaszło, jeżeli pozostaną w takiej odległości. Czują, jak jej policzki płoną, i dziękowała Bogu za zwyczaj „szarej godziny”.
- Podeszła wolno do instrumentu i udając, że ustawia odpowiednio taboret, próbowała ochłonąć. Wreszcie zasiadła i ułożyła dłonie na klawiszach, a z fortepianu popłynęły czyste dźwięki sarabandy Georga Friedricha Haendla.
- Nie wysiliła się zbytnio pani z tym wyborem – usłyszała za sobą głos Klemensa.
- Uważam, że melodia idealnie oddaje nastrój. I nie lubię się przechwalać umiejętnościami.
- Dobra odpowiedź – odparł, co ją wprawiło w zdumienie.
- Klemens powstał jeszcze chwilkę za jej plecami i przeszedł do stolika karcianego, by przypatrzeć się rozgrywanej partii. Zaczynał dostrzegać coraz więcej zalet w tej dziewczynie. Może rzeczywiście jej obraz w jego głowie był zniekształcony z powodu narzekań wicehrabiego albo z jego własnych uprzedzeń i niefortunnych zbiegów okoliczności?
- Najstarsza z siostr Modlińskich również wykorzystała moment, by poderwać się z miejsca po to, by oficjalnie spojrzeć na poczynania panny Wieczerek z bliska, a naprawdę zając miejsce na podnóżku obok bujanych foteli braci.
- Nie pójdziesz do niej? – zagadnęła Anthony’ego.
- Hrabia Atherton spojrział na siostrę zdezorientowany.
- Wiem, że Anglicy zwykle bywają ślamazarni w tych sprawach – zachichotała – ale jeśli będziesz się dalej tak ociągał, to Klemens sprzątnie ci ją sprzed nosa.
- Chyba źle oceniasz jego intencje – powiedział cicho Anthony. – To na moją prośbę próbuje być dla niej miłszy. Podobno mieli jakiś drobny zatarg w przeszłości.
- Popraw mnie, jeśli się mylę – wtrącił się Maurycy, pochylając się poufale w jego stronę – ale zdaje się, że to on ją wybawił z opresji nad rzeką, a nie ty.
- Bo skręciłem kostkę. Widzisz przecież.

– I trochę czasu minęło, nim się spotkaliście w chacie zielarki. A z chatki rybackiej ubyło nieco wina – szepnął konspiracyjnie do siostry.

– Nie przesadzaj. – Siostra go szturchnęła, kiedy Anthony odwrócił się i ostentacyjnie zaczął oglądać tomik wierszy, by nie brać udziału w dalszej rozmowie. – Gotów jeszcze wyzwać Klemensa na pojedynek.

– Wiem. Specjalnie go prowokuję – odparł Maurycy.

– A chyba że tak – zachichotała ponownie dziewczyna.

– Nie sądzisz chyba, że Anthony stanie do walki z baronem Krzyżewskim? Wszyscy wiedzą, że Klemens potrafi położyć w pierwszej rundzie każdego przeciwnika. Nie po to tyle stert drewna narąbał w swoim życiu.

– Masz rację.

– Ale to nie znaczy, że nie możemy Anthony'emu trochę podokuczać i przy okazji wyświadczyć przysługę panie Wieczorek.

– W dodatku chyba się to nam udaje. – Wskazała dyskretnie na Anthony'ego. – Zaraz połamię sobie zęby, tak mocno zaciska szczękę.

Izabela zaczęła grać rigaudona Georga Philippa Telemanna, co nie uszło uwadze ciotki Stefanii. Poderwała się z miejsca, zaczęła kręcić się w rytm muzyki i wykrzyknęła:

– Och, gdyby nie mój artretyzm, to też bym wam tak zagrała. Swego czasu była ze mnie niezła pianistka.

Na to jej mąż, po krótkim zakrztuszeniu, wziął ją delikatnie za rękę i okręcił wokół siebie kilkukrotnie.

– To były piękne czasy – rzucił. – Ale akurat z fortepianem, moja droga, nie było ci za bardzo po drodze. – Uśmiechnął się do niej. – Natomiast tancerką byłaś zawsze wyśmienita.

– Ty to potrafisz czarować, Henryczku. – Zatrzymała się, pogładziła męża po policzku i zasiadła ponownie do stolika.

Aż Izabela pomyliła nuty, tak bardzo wzruszyła ją ta scenka. Niewiele osób jednak zdołało to wychwycić. A ci, którym się to udało, odkryli, że niedawna skandalistka potrafi okazać wrażliwość.

Klemens nie potrafił powstrzymać się przed zerknięciem na jej sprawne poczynania. Naprawdę potrafiła pięknie grać i nie myślał tak jedynie dlatego, że wczorajszego wieczoru trzymał ją w ramionach, a jej delikatne palce błędziły po jego karku...

– A pan, baronie Krzyżewski – odezwał się cicho wicehrabia Giełczyński, by nie zakłócić występu swojej podopiecznej, a jednocześnie odwrócić uwagę Klemensa od jej gry. – Zamierza pan pozostać aż do balu andrzejkowego?

– Zamierza – odparła za niego jego matka, na co ten wzruszył jedynie ramionami.

Hrabina Modlińska szanowała zdanie synów i dawno przestała decydować za nich (przynajmniej publicznie), dlatego jej zachowanie zdziwiło Klemensa. Czyżby zrobiła to specjalnie, by odwrócić uwagę wicehrabiego?

Będzie musiał z nią o tym porozmawiać, teraz zamierzał skupić się na przyjemności z rodzinnego (prawie rodzinnego) wieczoru i oderwać uwagę od pianistki, która nie powinna zajmować jego myśli.



Wieczór ten Izabela uznała za bardzo udany. Nazwała go nawet później w rozmowie z Adelą mianem preludium do całkiem wygodnego życia i początkiem nowej drogi. Naprawdę mimo próbujących dojść do głosu wyrzutów sumienia względem wydarzeń z chatki i kilku chwil nieuwagi, podczas których zagapiła się na Klemensa, zaczęła czuć, że nie tylko dojrzała do małżeństwa, ale i do założenia rodziny.

Teraz tylko powinna znaleźć kogoś, z kim uda jej się taką rodzinę stworzyć. Cóż, że zachowała się nierozważnie i pozwoliła dojść do głosu pożądanemu... Trudno, myślała. Pewnie wielu ludzi ma za sobą takie porywy namiętności i szaleństwa, które popełnili wiedzeni instynktem. Ona też nie była z kamienia. Deszcz, ciemność, odosobnienie i mężczyzna w mokrej koszuli. Do tego przystojny mężczyzna... Dziwne byłoby, gdyby temu nie uległa. Ale oboje zgodnie będą milczeć i nie wpłynie to w żaden sposób na jej ewentualny związek z jego bratem. A jeśli nie z nim, to jakimś innym, odpowiednim dla niej człowiekiem. Przecież hrabina zapewniała, że zjawi się wielu interesujących gości.

\*

- Mamy pewien problem - powiedziała hrabina Modlińska, gdy późnym wieczorem siedziała w swoim gabinecie w towarzystwie najstarszego syna i przeglądała księgi.

- Jaki?

- Być może to jakieś nieporozumienie, ale zginął pierścień, który otrzymałam w dniu zaręczyn od hrabiego Modlińskiego. Miałam go oddać Maurycemu, by podarował go przyszłej żonie. Rozumiesz?

- Naturalnie. Mnie oddała mama pierścień, który podarował jej baron Krzyżewski. Być może Maurycy uznał, że należy do niego, i po prostu go sobie wziął - stwierdził Klemens.

- Bez pytania?

- Nie zdziwiłbym się.

- Nie sądzę, by mógł zrobić coś takiego - powiedziała hrabina i westchnęła głęboko. - Chyba że nie był do końca sobą... Och. Może był pijany i zrobił to nieświadomie.

- To niech go mama o to zapyta.

- Nie chciałabym, by pomyślał, że o coś go oskarżam.

- Nie sądzę, by się tak stało. Maurycy nie należy do osób, które szczególnie troszczą się o konwenanse i opinię innych.

- Być może. Wolałabym jednak, byś sprawdził to bez wtajemniczania kogokolwiek.

- Dobrze.

- Swoją drogą - odchrząknęła znacząco - czy przypadkiem ktoś inny nie zlecił ci poszukiwania pierścienia?

- A więc do tego zmierzała ta rozmowa?! - roześmiał się Klemens. - Czy mama zawsze musi tak kluczyć?

- Cóż. - Hrabina uśmiechnęła się pod nosem.

- O co dokładnie mama pyta?

- O ten złoty pierścień z różowym diamentem w kształcie poduszki, otoczony białymi diamentkami i ozdobiony ornamentami winorośli.

- Dość szczegółowo go mama opisała - zauważył.

- Och. Przejdę do sedna. - Pochyliła się w stronę syna. - Czy sprawdzałeś pannę Wieczorek jako ostatnią osobę, z którą miał skontaktować się nieszczęsny szlachcic?

- Owszem. Ale raczej wykluczylbym jej winę - powiedział, starając się zachować obojętność.

- Mnie też nie wygląda na złodziejkę. Szczerze mówiąc, to polubiłam tę dziewczynę i nie chciałabym, by miała z tą sprawą cokolwiek wspólnego.

- Czy mam ją wybielić, gdyby...

- Nie! - zaprzeczyła gwałtownie. - Raczej sugerowałabym sprawdzić bardziej jej najbliższe otoczenie.

- Ma mama na myśli jej wuja?

- Owszem.

- Coś jeszcze?

- Tak - przyznała. - Pamiętasz, co mówił Anthony o Czerwonym Kapturku?

- Owszem.

- Wydaje mi się, że mógł mieć trochę racji.

- Z tym, że wicehrabia Gielczyński to wilk?

- Raczej, że za bardzo przejął się rolą myśliwego. Lepiej na niego uważać. Dlatego odpowiedziałam dziś za ciebie, kiedy zapytał, czy zostaniesz do balu. Wydaje się mieć obsesję na punkcie konkurentów do ręki swojej podopiecznej. Wolałabym, żeby nie skupiał uwagi na tobie.

- Nie należą do konkurentów panny Wieczorek - powiedział zbyt gwałtownie, co pozwoliło hrabinie wyczuć jego nieudolnie skrywane emocje.

- Skoro tak twierdzisz - odparła z udawaną obojętnością. - A może warto byłoby go dokładniej sprawdzić?

- Pomyślę o tym.

Klemens wstał, pożegnał się z matką i podszedł do drzwi, jednak w ostatniej chwili odwrócił się i zapytał:

- A co z tą bransoletką? Odnalazła się?

- Z jaką bransoletką? - zapytała rozkojarzona hrabina. - Czyją? - uściśliła.

- Którejś z moich sióstr. Nie pamiętam dokładnie.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odrzekła matka. - Chyba czeka mnie jutro nie jedna, a kilka poważnych rozmów - westchnęła.

- W takim razie radziłbym się już położyć.

- I tym razem chyba skorzystam. - Hrabina uśmiechnęła się do syna. - Śpij dobrze.

\*

Następnego dnia Izabela dotarła wraz z wujem do jego dworu. Postanowiła jechać z nim, by przywieźć sobie kilka nowych sukien, bo jak twierdziła, nie miała nic odpowiedniego na bal andrzejkowy. Nie miała pojęcia, jakie niecierpiące zwłoki sprawy przygnały go do dworu, ale postanowiła skorzystać z okazji.

Wicehrabia Gielczyński przywiózł kilka słoików z suszonymi roślinami od zielarki, która opiekowała się hrabią Athertonem, i zaszył się w piwnicy, gdzie od kilku miesięcy zgłębiał

tajniki ziółolecznictwa. Z początku eksperymentował w kuchni, ale po incydencie z pomyleniem ziół przez kucharkę i odchorowaniu tejże pomyłki przez wszystkich mieszkańców dworu kazał zdunowi postawić piecyk kafłowy na cztery fajerki w ich piwnicy na wino. Co prawda nie obyło się bez większego remontu, bo należało wyprowadzić gdzieś ciąg powietrza i dobudować drugi komin na jednej ze ścian zewnętrznych dworu, ale wicehrabia zyskał całkiem sporawą pracownię, którą zamykał na kłódkę, by nikt nie dobrał się do jego zapisków i nalewek. Było to całkiem zrozumiałe, zważywszy, że w ostatnich latach zdarzały się zniknięcia z jego zapasów całkiem sporych ilości wina czy bimbrowu.

Pakowanie Izabeli, a ściślej rzecz ujmując – Adeli, poszło bardzo sprawnie i korzystając z tego, że wicehrabia gdzieś zniknął, kobiety postanowiły sprawdzić, jak miewa się służba folwarczna i jak idą postępy w przekazywaniu wiedzy dzieciakom z okolicy przez córki kucharki. Adela została w czworakach chwilę dłużej na plotkach z kilkoma kumami, a Izabela wróciła do dworu, by poczytać sobie coś przed kolacją.

Kiedy weszła do sieni, zastała niecodzienny widok. Jej wuj z wysiłkiem zamykał drzwi prowadzące do piwnicy. Miał potargane włosy i ubranie, zakrwawioną dłoń i przyspieszony oddech.

- Czy coś się stało, wuju? – zapytała z przejęciem w głosie.
- Poślizgnąłem się i potłukłem kilka naczyń.
- Mam poprosić kogoś, żeby to posprzątał?
- Nie trzeba. Sam się tym zająłem. Niestety, jak widzisz, trochę się przy tym zraniłem.
- To może chociaż opatrzę wujowi ranę – zaproponowała.
- Jeśli nalegasz – powiedział, popychając ją w głąb domu.

Chwilę później przemywała mu ranę, która jej zdaniem nie wyglądała jak nacięcie po szkle, ale nie podzieliła się z wujem swoim spostrzeżeniem. Mężczyzna nie powiedział jej prawdy. Tego była pewna, ale przecież nie musiał się jej ze wszystkiego zwierzać.

- Spakowałaś wszystko? – zapytał, kiedy owijała przemyte miejsce.
- Owszem.
- W takim razie wyruszmy jutro skoro świt, więc nie siedź zbyt długo po kolacji, żebyś była wypoczęta.
- Jak sobie wuj życzy – powiedziała grzecznie, ale nie wykonała polecenia.

Trzy godziny później próbowała otworzyć kłódkę, ale na nic zdały się jej wysiłki, natomiast omal nie została przyłapana przez wuja, który wpadł na ten sam pomysł. Schowana w rogu sieni obserwowała, jak znika w podziemiach. Wydawało się jej, że dobiega stamtąd jakiś jęk, ale równie dobrze mogła być to jej własna wyobraźnia. Po kwadransie wicehrabia wyszedł stamtąd rażnym krokiem i wyprostowany (widać ziółka w końcu pomogły mu na ból pleców) udał się do swojej sypialni. Odczekała kilka minut i też pobiegła na górę.

---

<sup>9</sup> Porę między dniem a nocą nazywano „szarą godziną”. Specjalnie nie zapalano świec, by wyciszyć się i zająć sprawami rodzinnymi.

## 15.

Izabela nie mogła doczekać się powrotu do pałacyku hrabiny Modlińskiej i przybycia nowych gości. Pech chciał jednak, że wśród nowo przybyłych znalazło się kilka osób, które mogły Izabeli pokrzyżować szyki. Między innymi jej (już chyba była) przyjaciółka – panna Augusta Rottermund.

Obie uczęszczały niegdyś na tę samą pensję w Lipsku i niestety ich stosunki podczas tego pobytu w pewnej chwili uległy, delikatnie mówiąc, zepsuciu. Izabela była tam wysłana za namową jakiejś krewnej wuja po to, by nabrała pokory i doceniła nauki, jakie mogła pobierać w jego dworze, a że pensja oddalona była o wiele godzin jazdy, to zamieszkała w tamtejszym internacie. Augusta pochodziła z niedalekiej miejscowości, toteż pobierała lekcje, dochodząc, tylko dlatego, że jej guwernantka zmarła, a znalezienie drugiej, równie dobrej, nie było łatwym zadaniem. Dziewczynom spodobał się ten sam młody człowiek. Dla jasności – mężczyźni nie mieli wstępu do tegoż przybytku, chyba że jako przychodni wynajmowani na godziny nauczyciele, a ci byli zwykle w wieku co najmniej sędziwym, nie licząc miejscowego wikarego, który uczył dziewczęta religii. W pewnej chwili jednak na zastępstwo za swojego ojca zaczął zjawiać się bardzo przystojny nauczyciel historii, niejaki pan Celestyn Boberek (w niczym nieprzypominający bobra). Nietrudno było się domyślić, że dziewczyny pozbawione męskiego towarzystwa (a uczone nie tylko gramatyki, literatury, arytmetyki, algebry, muzyki, malarstwa, robót ręcznych, prowadzenia domu, geografii, nauk przyrodniczych i języków obcych, ale też konwersacji, psychologii, higieny i nauk społecznych, w tym relacji damsko-męskich) będą łaknęły takiego, gdy tylko nadarzy się okazja.

Wszystkie bez wyjątku dały się oczarować młodemu historykowi, który przemyczał w czasie ich lekcji trochę nieobjętej programem historii polskiej, jawiąc się im jako konspiracyjny bohater. Izabela i Augusta również nie uniknęły zauroczenia. Augusta jawnie flirtowała z nauczycielem podczas zajęć. Izabela czasami rzucała zakamuflowane komplementy. Pech chciał, że mężczyźnie spodobała się akurat i jedna, i druga, i kiedy tylko nadarzyła się okazja, nie miał skrupułów, by wykorzystać ich naiwność. Auguście pierwszej skradł całusa, kiedy spotkał ją poza murami pensji, jako że opuszczała je codziennie po zajęciach i wracała do domu. Izabelę natomiast udało mu się prawie pocałować (bo trudno jej zdaniem dwusekundowe cmoknięcie uznać za prawdziwy pocałunek), kiedy została chwilę dłużej w sali po zajęciach. Oczywiście Augusta stała wówczas pod drzwiami i poprzysięgła zemstę. Udawiała przyjaźń, a pilnie notowała ich wspólne wybryki i donosiła o wszystkim dyrektorce. Rzecz jasna Izabela takich wybryków na swoim koncie miała bardzo dużo i nie trzeba było jej jakoś szczególnie do niczego namawiać, toteż szybko popadła w tarapaty i równie szybko zorientowała się, skąd dyrektorka czerpie wiedzę na jej temat. Oczywiście nie była jedyną, która łamała regulamin, i niejednokrotnie to właśnie panna Rottermund była prowodyrką ich wybryków, jednak Izabela nawet pod gradem pytań ze strony dyrektorki, woźnej i nauczycielki gimnastyki nie wyjawiała nazwisk pozostałych dziewcząt. Żeby jednak nie doprowadzać

opiekunek do szewskiej pasji i dać im jakąś satysfakcję, przyznała się do części zarzucanych jej czynów, w tym do pocałunku z młodym historykiem.

Nauczyciela zwolniono w trybie natychmiastowym, Izabela otrzymała karę w postaci braku kolacji przez tydzień (nie pierwszy i nie ostatni raz), a jej wuj zawiadomienie o zachowaniu podopiecznej. Izabela nie pozostała obojętna. To, że nie zdradziła opiekunkom udziału Augusty w wybrykach, nie oznaczało, że miała puścić płazem takie zachowanie. Kilukrotnie obrzuciła inwektywami dawną przyjaciółkę, załała atramentem jej zeszyt, pocięła wstążki i dołapała do herbaty kilka kropelek mikstury na przeczyszczenie. Nie byłyby sobą, gdyby tego wszystkiego nie uczyniła. To zwyczajnie było silniejsze od niej samej. Jakiś wewnętrzny chochlik pchał ją do tych wszystkich figli, choć doskonale wiedziała, że w ten sposób umocni pannę Rottermund w jej nienawiści.

To jednak były stare dzieje i Izabela miała nadzieję, że młoda kobieta zapomni o dawnych urazach. Minęło wiele lat, a one nie były już naiwnymi pensjonarkami. Niestety szybko się owych nadziei pozbyła. Już następnego dnia usłyszała, jak kilka osób szepcze, że wicehrabia Giełczyński miał niegdyś z nią utrapienie. Ten, niestety, niczemu nie zaprzeczał. Może nie słyszał plotek, może nikt go bezpośrednio nie pytał, a może słyszał, ale chciał, by jego podopieczna sama z tym sobie poradziła. Nie chciała pytać go o to wprost, bo i tak zachowywał się dość dziwnie. Starał się jej unikać, a jednocześnie zawsze znajdował się gdzieś w pobliżu. To było zrozumiałe z uwagi na ich relacje i jego zobowiązania, ale taki cień czy ogon (jak to określała Adela) nie był niczym przyjemnym. Nie lubiła też tego jego świdrującego spojrzenia. Zdała sobie sprawę, że zawsze tak na nią patrzył, ale wcześniej zupełnie jej to nie przeszkadzało. Może dlatego, że zwykle miała przed nim coś do ukrycia i jego postawa była w pełni uzasadniona (nie był głupcem i dobrze wiedział, że panna Wieczorek ma wiele za uszami, ba, nawet wielokrotnie sam ją usprawiedliwiał przed towarzystwem, mimo że wiedział, iż w pełni zasługiwała na reprimendę). Nie karcił jej odpowiednio, kiedy była dzieckiem, nie wymagał od niej zbyt wiele, kiedy była starsza, ale nie dał sobie do końca wejść na głowę i Izabela sama wiedziała, że pewnych granic przekroczyć jej nie wolno. Przez skórę czuła, że jego cierpliwość też ma swoją wytrzymałość.

Zajęta nadstawianiem uszu i obawami przed wybuchem niepotrzebnego skandalu (miała nadzieję, że do niego nie dojdzie, ale czuła, że coś wisi w powietrzu i Augusta tylko czeka na odpowiedni moment) nie miała czasu zastanawiać się nad tym, do czego doszło w chatce rybackiej. Klemens na szczęście taktownie zszedł jej z drogi. Znow wyjechał na kilka dni do hrabiego Brzostowskiego, by nabyć u niego kilka szklanych przedmiotów, a jego bracia powrócili do swoich poprzednich ról. Maurycy do roli niepoprawnego podrywacza, Anthony – stonowanego, miłego i niestety bardzo zachowawczego w stosunku do niej kawalera.

– Martwi się panienska tą szlachcianką spod Lipska? – zapytała Adela.

– Owszem – odparła Izabela i przysiadła przy toalecie. – Uczesz mnie dzisiaj wyjątkowo starannie. Nie chcę, by miała do czego się przyczepić. Na pensji lubiła dokuczać dziewczętom z powodu niedoskonałości cery albo nierówno zaplecionych warkoczy.

– Postaram się – powiedziała służąca i przystąpiła do szczotkowania jasnych pukli Izabeli. – Mam użyć żelazka, żeby zrobić wydatniejsze loki?

– Możesz. Ale tylko z przodu. Nie cierpię swądu, który powstaje przy układaniu włosów tym ustrojstwem. Ileż my, kobiety, musimy wycierpieć, żeby wyglądać ładnie.

– Panienska to w zasadzie musi jedynie siedzieć – odparła służąca. – Niechby sama sobie spróbowała włosy ułożyć i zawiązać gorset. To dopiero byłoby wyzwanie.

– Oj, wiem przecież. Ogólnie mówię – przyznała Izabela. Już dawno temu przyzwoliła Adeli na takie komentarze i nie oburzały jej one, bo były najzupełniej szczerze. To znacznie lepsza ewentualność w porównaniu do zawołanych złośliwości pod przykrywką stałego pochlebstwa. A tak czyniło przecież wiele osób ze służby. – Jeszcze trudniej byłoby mi z gromadą dzieciaków tyrać w polu, a w moim wieku wiele dziewczyn już ma na koncie z sześć porodów. Wiem o tym, ale na to, gdzie się urodziłam, nie mam wpływu. Ojciec mieszczanin, matka szlachcianka, a mnie ciągnie na wieś i bratam się ze stajennymi, jak to kiedyś łagodnie określił wicehrabia. Mam szansę wspiąć się wyżej w hierarchii społecznej, a coraz to zsuwam się z kolejnego szczebla. Niepojęte, prawda?

Bratanie się ze stajennym, jak to określił wicehrabia, nie było tak naprawdę chwilą zapomnienia. Izabela zaprzyjaźniła się z chłopakiem, pomagając w opiece nad końmi, a on uczył ją ujeżdżania młodych rumaków. Całe miesiące walczyła z ogarniającym ją uczuciem, a i on wyznał, że robi wszystko, by się do niej nie zbliżyć za bardzo. Nie mogła jednak poradzić nic na to, że się w nim zadurzyła. To było młodzieńcze, infantylne i (co tu kryć) przyjemne uczucie. Do dziś wspominała Lutka z sentymentem i może dzięki temu, że zniknął z jej życia, tak chłodno starała się podchodzić do instytucji małżeństwa. Brutalne zasady rządzące światem nie pozwalały jej w końcu na kierowanie się uczuciami, a skoro nie miała innego wyjścia, to musiała zrobić wszystko, by uciepieć na tym jak najmniej.

– Przygotować tę błękitną suknię dzienną? – Adela nie skomentowała jej wyводу. Narzekanie panny z okazałym majątkiem mogła określić jedynie w taki sposób, który z pewnością mógłby ją urazić, dlatego zmieniła temat. Każdy ma inne życie i inny rodzaj problemów. Syty głodnego nie zrozumie. – Wygląda w niej panienska nadzwyczaj korzystnie. Do tego wisior z turkusem.

– Masz świetny gust, Adelo.

– Wiem przecież. – Uśmiechnęła się do dziewczyny. Służąca naprawdę kochała ją, mimo że czasem zachowywała się bezmyślnie. Przygotowała wszystko do ubrania Izabeli i kiedy skończyła, spojrzała z zachwytem na efekt swojej pracy. – Teraz wygląda panienska jak trzeba. Proszę unieść wysoko podbródek i nie baczyc na plotki. Ja zajmę się gadaniem służby.

– Dziękuję – szepnęła wzruszona Izabela. Przed Adelą nie musiała odgrywać takiej twardej i niezależnej, jak przy reszcie ludzi.

– Niech się panienska pospieszy, bo zaraz koniec śniadania.

W jadalni zebrało się kilka starszych kobiet, których nazwisk Izabela nie starała się pamiętać, hrabina Modlińska, jej najstarsza córka, ciotka Stefania i wuj Henryk Hryniewiczzy, panna Augusta Rottermund i przybyła dzisiaj wraz ze swoją babką, a przyjaciółką ciotki Stefanii, panna Henrietta Fleming. Prześliczna dziewczyna o lśniących czarnych włosach w wieku zbliżonym do Izabeli. Gdyby nie fakt, że wyglądała na speszoną obecnością tak wielu osób, spokojnie mogłaby stanowić konkurencję. Izabela jednak nie miała zamiaru robić sobie wrogów. Zresztą babka panny Fleming wspomniała, że przyjechały tu z krótką wizytą i za dzień czy dwa wyruszają dalej. Nie chciała jednak zdradzić dokąd, więc nie dopytywano.

– Przepiękny wisior, panno Wieczorek – powiedziała panna Fleming do siedzącej obok niej Izabeli.

- Dziękuję – odparła ta z uśmiechem.

- Aż dziw bierze, że nie dobrała sobie pani do niego kolczyków – wtrąciła się panna Rottermund siedząca naprzeciwko.

Izabela w mig pojęła aluzję. Augusta nie miała zamiaru zmienić swojego nastawienia. Pewnie zrobi wiele, by jej pozycja w pałacyku osłabła.

- Nie lubię przepychu, panno Rottermund.

- Czyżby? Pani fryzura mówi dziś co innego.

- To zasługa mojej pokojówki. Prawda, że ma zręczne dłonie? – zapytała pozostałe panie, na co te pokiwały głowami.

- A jak się pani podoba moja biżuteria? – kontynuowała panna Rottermund, wskazując prowokacyjnie dłonią na kolczyki.

- Całkiem ładna. Ja jednak wolę wzornictwo nieco prostsze. Na przykład kolczyki panny Fleming.

- Podobają się pani jej kolczyki? – dopytała tamta.

- Owszem – odparła Izabela i szybko zmieniła temat, chwając tutejszą marmoladę.

- Witam wszystkie panie. – Do jadalni wszedł Maurycy Modliński i z miną drapieżnika zlustrował obecne trzy młode damy, zatrzymując się na najbardziej ze wszystkich obfitym dekolcie panny Wieczorek.

- Dzień dobry, hrabio. Widzę, że panu również spodobał się mój wisior – powiedziała Izabela, by rozładować napiętą sytuację.

Kilka pań zrozumiało aluzję i zachichotało ukradkiem, natomiast Maurycy udał zakłopotanie i odparł:

- Punkt dla pani, panno Wieczorek.

Pozostałe panie nie rozumiały i nie wiedząc do końca, jak się zachować, zaczęły chwalić zastawę hrabiny. Ta opowiedziała pokrótce, że sprowadziła ją z Anglii i rzeczywiście jest to słynna porcelana Wedgwooda, a przedstawione na filiżankach i talerzach konie są ręcznie namalowane. Potwierdziła też, że składnikiem pigmentu jest kobalt, który nawet w wysokich temperaturach nie zmienia koloru, i ten odcień niebieskiego jej również bardzo przypadł do gustu. Odpowiadała machinalnie, cały czas śledząc zachowanie syna i panny Wieczorek, zwłaszcza że nadciągali jej pozostali potomkowie.

Maurycy schwyił chaotycznie chleb, jajko, odrobinę masła, marmolady i bułeczkę drożdżową, po czym usiadł obok panny Fleming i jej babki.

W tym momencie panna Rottermund wstała, pożegnała się i wyszła.

- Dzień dobry wszystkim – przywitał się sztywno Klemens Krzyżewski kilka minut później i nie obdarzwszy nikogo szczególną uwagą, podszedł do kredensu z jedzeniem. Na Izabelę zerknął przelotem, jakby specjalnie unikał jej wzroku.

- Moje uszanowanie. – Anthony skłonił się starszym paniom. – Witam panie. – Posłał uśmiech do każdej po kolei, docierając również do młodszych kobiet. Na końcu ukłonił się Izabeli, ale dla odmiany wpatrywał się w jej oczy, a nie w wyeksponowany (choć w znacznej mierze przykryty przezroczystym szalem) dekolt. Do kredensu podszedł dopiero, kiedy Klemens zasiadł przy stole (niemal naprzeciwko Izabeli). Wziął z niego jedynie kromkę chleba

i kilka plastrów szynki i rozejrzał się za wolnym miejscem. Zostało ich niewiele, więc wybrał to obok Izabeli.

– Dobrze pani spała, panno Wieczorek? – zapytał Maurycy i puścił oko do siostry.

– Dziękuję, dobrze – odparła, patrząc w talerz, a następnie odwróciła się i zgromiła go wzrokiem.

– A ty, Anthony? – zwrócił się do brata najmłodszy hrabia.

– Wyśmienicie – wycedził.

– Cieszę się, bo nie wyglądałaś wczoraj zbyt dobrze.

– Pozory.

– Nie wydaje mi się. Ale jeśli cały czas wybierasz tylko chleb i szynkę, a omijasz chrupiące bułeczki i marmoladę, to i nie ma się czemu dziwić.

– Mam czas na jedno i drugie. Może mój żołądek nie potrafi tak od razu przyswoić takiej różnorodności.

– To radzę szybko przemówić żołądkowi do rozumu – rzucił Maurycy.

– Maurycy! – ostrzegła matka. – Nie skupiaj się na talerzu brata, bo zaniedbujesz gości.

– Wyrażam skruchę i zaraz się poprawię. – Posłał jej szeroki, lecz łagodny uśmiech. – Ale Anthony powinien się pospieszyć, bo ktoś może te pyszności skonsumować i już nie będzie się na co decydować. Pozostanie suchy chleb z szynką.

Klemens nie komentował dyskusji. Skupił się na jedzeniu i odpowiadaniu na pytania ciotki Stefanii na temat wzorów na tapecie. Przynajmniej do chwili, gdy do jadalni nie weszli dwaj młodzi kawalerowie: baron Oskar Kamiński i Ignacy Firlejow, i obaj jak na komendę rzucili się, by zająć miejsca jak najbliżej panny Wieczorek.

– Suchy chleb z szynką – rzucił Maurycy w stronę Anthony'ego. – Bo inne pyszności zaraz znikną na twoich oczach.

Anthony zaczerwił się i spojrzął na brata spode łba, a ten cmokając pod nosem, wstał i pożegnał się teatralnym ukłonem.

– Wygląda pani olśniewająco, panno Wieczorek – zwrócił się do niej Oskar Kamiński.

– Dziękuję, baronie. – Izabela uśmiechnęła się i zerknęła uważnie na Anthony'ego. Nie chciała go odstraszyć, ale nie mogła przecież ignorować innych młodych mężczyzn. W zasadzie to na wszelki wypadek powinna i do tych innych przymilać się jak najczęściej.

– Odwiedziłem niedawno pani siostrę pod Ostrołęką.

– I jak się miewają Natalia, jej mąż i dzieci?

– Jak najlepiej. Wszystkich zastałem w doskonałym zdrowiu.

– Miło mi to słyszeć. Nie widziałyśmy się od lata, a listy nie załatwiają wszystkiego. Sam pan wie, baronie.

– Powinna pani w takim razie nadrobić zaległości towarzyskie i odwiedzić rodzinę. Może na Boże Narodzenie? Też będę w tamtej okolicy – dodał.

– Niewykluczone, że to zrobię. Wszystko zależy od tego, czy drogi będą przejezdne.

– A skoro mowa o przejazdach... Może wybrałyby się pani ze mną na przejażdżkę? W stajni hrabiny jest całkiem sporo ułożonych koni.

– Nie wiem.



– Nalegam. Uwielbiam jazdę konną. Oczywiście spokojną – zaznaczył. – Ale samotne przejażdżki to nie to samo.

– Skoro pan nalega – odparła i spojrzała tym razem na Klemensa. Żuł spokojnie mięso i wydawał się niezainteresowany.

– A ja – wtrącił się Ignacy Firlejow – chętnie zabrałbym panią na spacer po tutejszych ogrodach. Czy zechce mi pani towarzyszyć? Oczywiście po powrocie z przejażdżki.

– Nie wypada bym odmówić, prawda?

– Najświętsza – odpowiedział, wyszczerzając zęby, na co Anthony zareagował donośnym kaszlem.

– Czyżby suchy chleb ci jednak nie smakował, synu? – zapytała hrabina Modlińska, a Klemens opłuił się na jej słowa herbatą, co dyskretnie starał się ukryć, zasłaniając wyciągniętą naprędce chustką.

Scenę tę obserwował od kilku minut stojący w wejściu wicehrabia Giełczyński, ale nie komentował niczego.

Jeszcze tego samego popołudnia Anthony wykorzystał zamieszanie przed obiadem, chwycił Izabelę za rękę (nie bacząc na to, że już była i na przejażdżce, i na spacerze) i pociągnął ją w stronę oranżerii.

To już przypomina farsę, pomyślała. Jak nie było zainteresowanych, to nie było, a jak są, to trzech naraz. Poza tym czy wszyscy synowie hrabiny muszą spotykać się z nią akurat tam? Ale Anthony zachowywał się zupełnie inaczej niż zwykle. Chyba Maurycy w końcu szepnął mu coś więcej, jak obiecał już dawno temu, albo hrabia zrozumiał aluzję o suchym chlebie z szynką.

– Pozwoli pani? – zapytał, otwierając drzwi.

Nie zdążyła sformułować odpowiedzi, gdy położył dłoń na jej talii i delikatnie wepchnął ją do środka. Nie było w tym nic barbarzyńskiego i arbitralnego, raczej ponaglał ją, by samemu nie stracić animuszu. Nie mogła docenić uroku jego starań.

– Wiem, że nie powinienem, i wezmę wszelką odpowiedzialność za to, że panią tu zaciągnąłem, ale po prostu muszę to wiedzieć, a nie mam sposobności zapytać pani przy tylu świadkach.

– Rozumiem. – Miała w sobie na tyle przyzwoitości, by się zaczerwienić.

– Czy jestem... – zaczął niepewnie – czy pani jest... To znaczy, czy ja się pani, czy pani się mną... – Nie wiedział, jak sformułować to pytanie, choć cały dzień powtarzał je sobie w myślach. Dlaczego piękne kobiety wywoływały w nim taki chaos? Nie wiedział.

– Tak. Jak najbardziej. Jest pan bardzo miłym, szarmanckim i przystojnym mężczyzną – odpowiedziała, chcąc skrócić jego mękę.

– Pani również – odparł rozanielony. – To znaczy... – zmieszał się. – Pani oczywiście nie jest przystojna, tylko piękna. Tak, szalenie piękna – dodał z ulgą i nagle wyprostował się i spojrzał na nią zupełnie innym wzrokiem.

Jego jasnobrązowe oczy pociemniały, kiedy pochylał się nad nią, dając jej szansę, by sama zdecydowała o pocałunku. Jednak drzemał w nim duch uwodziciela. Podejrzewała to już od dawna. Nie musiał długo czekać. Izabela uniosła głowę i z delikatnością motyla musnęła jego wargi. To wystarczyło, by obudzić w nim żądze. Objął ją jedną ręką w talii, a drugą położył na karku, po czym wpił się w jej usta z siłą, o jaką go nie podejrzewała. Widać i ten z braci potrafi wzbudzić w sobie bestię, uśmiechnęła się do własnych myśli.

Całował z niezwykłym oddaniem i pasją. Nie mogła powiedzieć, że jej się nie podobało. Podobało. I to bardzo. I miała ochotę na więcej, ale nie było to tak wszechogarniające uczucie, jak w przypadku Klemensa. Po cóż w ogóle to porównywała? Anthony był sympatyczny, można było z nim pójść na kompromis w sprawach podziału ról i obowiązków, miała też dzięki niemu szansę na poznanie świata i uwolnienie się spod czujnego oka wuja, szansę na całkiem znośne życie. W dodatku był naprawdę przystojny. Nie dość, że to ułatwiałoby im życie, to jeszcze zwiększało prawdopodobieństwo, że ich potomstwo także będzie urodziwe. Czegóż chcieć więcej?

Anthony wyczuł skrępowanie i podenerwowanie Izabeli. To dobrze o niej świadczyło. Mimo tego, co ostatnio o niej szeptano, nie zmienił zdania na jej temat i coraz bardziej zaczynało mu na niej zależeć. Czy był zakochany? Chyba jeszcze nie, ale niewiele brakowało, aby się tak stało. Dziewczyna była piękna, pociągająca, miła, ale chwilami zadziorna. To mogło zapewnić dobre małżeństwo i wcale nienudne życie. Była otwarta na przygody, podróże, przeprowadzkę, bo zdążył ją przy okazji jednej z rozmów o to wypytać. Nie miała większych zobowiązań w kraju, a w nowych miejscach, jego zdaniem, potrafiłaby znakomicie się odnaleźć. Dogadywała się z jego siostrami i matką. Maurycy zachwalał ją pod niebiosa, a Klemens... Cóż, Klemens ogólnie nie był typem rzucającym pochwały na lewo i prawo, ale pytany, czy ma coś przeciwko niej, nie podał nic konkretnego.

– Przepraszam, jeśli panią zaskoczyłem.

Nie odpowiedziała nic. Opuściła głowę nieco zawstydzona, co zaskoczyło ją o wiele bardziej niż jego, i nabrała głęboko powietrza.

– Powinniśmy wracać – rzuciła całkiem rzeczowo.

– To prawda. – Uśmiechnął się i podał jej ramię.

Nie cierpiała tej chwili zaraz po pocałunku. Nigdy nie wiadomo do końca, jak powinno się zachowywać. Ujęła jego ramię i jak gdyby nigdy nic wyszła z oranżerii. Kątem oka wychwyciła jakiś ruch w głębi ogrodu, ale rozejrzawszy się, nie zauważyła niczego. Może jej się wydawało?

Wicehrabiemu Giełczyńskiemu nie podobało się, że jego podopieczna flirtuje z całą trójką synów hrabiny Modlińskiej. Owszem, w przeszłości był nad wyraz pobłażliwy i nowoczesny w swych poglądach. Wręcz podpuszczał ją do tego, by nabrała odrobiny doświadczenia i nie była jedną z tych zupełnie nieuświadomionych naiwnych panienek, które w noc poślubną leżą niczym kłody i z miną cierpiętnicy poświęcają się dla dobra małżeństwa. Był mężczyzną i w gronie mężczyzn nasłuchiwał się wielu takich historii. Zupełnie nie rozumiał tych wszystkich zaborczych matek, które nie potrafiły przekazać córkom, że taka postawa wcale mężowi miła nie będzie, a i im na dłuższą metę też nie przyniesie niczego dobrego. A przecież w ramionach mężów mogłyby znaleźć przyjemność, gdyby tylko sobie na to pozwoliły. Chciał, by Izabela wiedziała, że bliskość mężczyzny nie jest niczym haniebnym, i potrafiła czerpać z niej przyjemność, jednocześnie zapewniając tę przyjemność partnerowi.

Tymczasem jednak zaczęło go razić to, że nie potrafiła zachować odpowiedniego dystansu. Najpierw schadzka z hrabią Modlińskim, potem wieczór w chacie rybackiej z baronem, a teraz pocałunek ze środkowym z braci. Jeśli ktoś jeszcze zauważy jej rozpustne zachowanie, to będzie skończona w towarzystwie. Choć może to wcale nie takie złe rozwiązanie?, pomyślał. Wówczas wróci z nim do dworu i łatwiej przystanie na proponowane przez niego warunki.

- W zasadzie można by to trochę przyspieszyć - mruknął do siebie. - Niekoniecznie wpychając ją w ramiona kolejnych mężczyzn. Ale dzięki temu, że jest ich tu aż tylu, wszystko powinno pójść gładko...

## 16.

Schodząc po schodach na śniadanie, Izabela wyczuła w powietrzu lekką konsternację. Znała to aż za dobrze. Jak nic obgadywano ją przed chwilą i zarzucono coś, o czym jeszcze nie miała pojęcia, bo szybki rachunek sumienia upewnił ją, że niczego niestosownego w ciągu ostatnich kilku dni nie zrobiła. Nie licząc oczywiście przygody z łódką i przebywaniem sam na sam z baronem Krzyżewskim. Jednak wszyscy, którzy o tym wiedzieli, obiecali milczeć.

- Witam wszystkich – powiedziała z uśmiechem na ustach i starając się zachować spokój, podeszła do kredensu, z którego wzięła do ręki talerzyk, i nałożyła sobie odrobinę jedzenia. Zbyt wiele raczej nie była w stanie przełknąć, więc bułka i odrobina powideł śliwkowych w zupełności wystarczyły. Zrezygnowała nawet z pożywnej owsianki, którą codziennie pochłaniała ze smakiem. Z talerzykiem podeszła do wolnego miejsca i pozwoliła, by stojący pod ścianą lokaj odsunął jej krzesło, po czym zajęła miejsce i czekała cierpliwie, aż służąca naleje jej herbaty. Oczywiście mogła to zrobić sama, zgodnie z modą zachodnią, ale jakoś wolała nie zwracać na siebie uwagi.

W pałacyku nie obowiązywały ściśle godziny śniadania. Służba dbała o zapasy ciepłej kawy i herbaty i donosiła potrzebne produkty, stawiając je na kredensie. Goście schodzili się ratami. Niektórzy już o godzinie siódmej, większość po dziewiątej, a kilka lubiących sobie pospać osób nawet przed jedenastą. Dlatego też zrezygnowano z tradycyjnej polewki na rzecz produktów niewymagających częstego podgrzewania. Jedynie kawa i herbata stały na specjalnych podgrzewaczach, a obok nich znajdowały się rąbany z głów cukier, śmietanka i cytryna w plasterkach.

- Słyszała pani zapewne – zaczęła jedna z posępnych matron przybyłych niedawno do pałacyku – że zaginęły brylantowe kolczyki.

- Nie – odparła Izabela. – Nikt mi nie wspomniał – dodała bez większego zainteresowania, czekając, czy ktoś nie wspomni o tamtej deszczowej nocy.

- Przeszukano dokładnie pokój zajmowany przez właścicielkę i bawialnię, w której wczoraj przebywała, ale nic. Jak kamień w wodę – wtrąciła się kolejna.

- Może należało sprawdzić też korytarz, schody i sień? – zapytała Izabela, wbijając zęby w kruchą bułkę.

- Sądzi pani, że nie sprawdzono i tego? – uniosła głos pierwsza z dam.

- Nie wiem – odparła obojętnym tonem Izabela. – Mówiły panie, że sprawdzono sypialnię i bawialnię.

- Rzeczywiście – przyznała. – Niemniej kolczyków nie ma.

- A nie schowano ich do szkatułki albo w inne miejsce? Mnie się czasem zdarza odłożyć coś przez roztargnienie. – Upiła posłodzonej herbaty, którą wcześniej dokładnie wymieszała przy pomocy niewielkiej srebrnej łyżeczki. Hrabina miała naprawdę wspaniałą komplet sztućców śniadaniowych, przebiegło jej przez myśl.

- Sprawdzono dokładnie wszystko – wysyczała przez zęby druga z jej rozmówczyń.

- A o których kolczykach w ogóle mówimy? - zainteresowała się w końcu Izabela, widząc, że to najwyraźniej było tematem dnia.

- O kolczykach panny Fleming. Tych samych, które pani tak wczoraj wychwalała. Proszę nie udawać, że pani nie pamięta.

- Ależ pamiętam. To rzeczywiście piękny wyrób. I bardzo wielka strata. Powinniśmy chyba pomóc właścicielce. Powiem swojej pokojówce, by miała baczenie na wszystkie kątki. Może jakaś myszka pociągnęła zgubę. Kiedyś mieliśmy taki przypadek we dworze.

Panie obrzuciły ją ironicznym spojrzeniem i zajęły się pałaszowaniem wędlin.

Dziwne, pomyślała Izabela. Co ona miała wspólnego z kolczykami? Chyba nie przyszło im do głowy, że mogłaby je ukraść?! Choć... jeśli ktoś wspomniał towarzystwu o incydencie z kradzieżą sprzed lat, to mogłoby tak w istocie być. A to wcale jej nie pomoże, mimo maślanego wzroku hrabiego Athertona.

- Witam panie. - Baron Krzyżewski wszedł wolnym krokiem do jadalni. Choć lepszym określeniem byłoby skradanie się. Zjrzał, kto siedzi przy stole, pooglądał wystawione na kredensie potrawy i podszedł do niskiego stolika, na którym leżała aktualna prasa.

- Dzień dobry, baronie - odezwały się starsze damy, po czym wróciły do poprzedniej rozmowy.

- To naprawdę zastanawiające, że giną akurat te kolczyki, o których była mowa poprzedniego wieczoru, nie uważasz, kochana? - rzekła jedna z nich.

- Owszem, owszem. To naprawdę podejrzana sprawa - zgodziła się druga.

- Może powinno się zarządzić przeszukanie pokoi gości?

- To wcale nie taki głupi pomysł, złociutka - odparła trzecia.

- Jeśli będzie to konieczne, to z pewnością tak też się stanie, moje panie - odezwał się Klemens. - Gdyby taka decyzja zapadła, to od pokoju której z pań mamy zacząć? - zapytał. - Wypadałoby przecież sprawdzić wszystkich.

Spojrzały po sobie, prychnąwszy z oburzenia i szybko dokończyły jedzenie.

- Nie musi mnie pan bronić, baronie Krzyżewski. Sama potrafię o siebie zadbać - powiedziała Izabela po ich wyjściu.

- Jakoś niezbyt dobrze to pani idzie, panno Wieczorek.

- To pana zdanie. Niemniej nie będę się kłócić. Możliwe, że chciał pan dobrze, ale to mogło niestety pogorszyć sytuację.

- Co pani ma na myśli? - Nabrał sobie jedzenia na talerz i usiadł naprzeciwko niej.

- Herbaty? - zapytała odruchowo, wyprzedzając lokaja.

- Poproszę - odparł zupełnie naturalnie i podsunął jej filiżankę.

- Cukier?

- Łyżeczkę. I śmietankę poproszę.

Dosypała cukru, dołała śmietanki i podsunęła mu gotowy napój.

- Zdaje się, że te panie insynuowały, jakobym to ja miała coś wspólnego ze zniknięciem kolczyków.

- Ja również odniosłem takie wrażenie i przyznam, że nie byłem szczególnie zaskoczony.

- Zaginięciem czy tym, że podejrzewają mnie?

- Jednym i drugim.

- A jednak się pan zdenerwował i zaczął mnie bronić.

- Może nie tyle zdenerwował, co upomniął je, że nie powinny rzucać oskarżeń bez żadnych dowodów.

- I tym samym potwierdził ich przypuszczenia. Bo skoro trzeba mnie bronić, to pewnie muszę być winna – wyszeptała i upiła łyk chłodnej kawy.

Spojrzał na nią uważnie.

- Anthony także uważa, że to zupełnie niemądre, żeby rzucać oskarżenia w pani kierunku – powiedział, ostrożnie dobierając słowa. – Chyba mu na pani zależy. Powiedziałem mu, że skoro tak jest, to powinien się za panią wstawić.

- Na pewno?

- Nie inaczej. No... – przyznał – może nie do końca tak to wyglądało. Ale sama pani rozumie. Ja...

- Wiem, że nasze stosunki... – Zaczerwieniła się wbrew sobie. Po raz pierwszy nie wiedziała, jak powinna się zachować. Na szczęście lokaj taktownie opuścił jadalnię kilka minut wcześniej.

- Wiem... – Nabrał powietrza, by nie dać po sobie poznać, że dla niego to także dosyć trudny temat.

- Może nie określamy ich.

- Zgoda. – Odetchnął z ulgą. – Staram się powrócić do równowagi, a to nie jest łatwe – wyznał. – Zawsze byłem tym najrozsądniejszym z rodziny i starałem się dbać o dobro innych.

- Nie musi pan też udzielać mądrych rad swemu bratu ani nikomu innemu, ale czy kiedykolwiek coś pana przed tym powstrzymało?

- Powiedziałem tylko, że nie można wierzyć we wszystko. Nie broniłem pani i nie oskarżyłem, ale być może – przyznał się, choć niechętnie – wymusnęło mi się, że miała już pani do czynienia z kradzieżą. Wicehrabia wspominał o sprawie kołczyków na pensji.

- Doprawdy? – Zatrzępotała rękami. – A pan od razu wydał wyrok? I stwierdził, że Anthony nawet wbrew mojej potencjalnej winie powinien za mną obstać, i co? Zatuszować sprawę?

- Właściwie nie. Nie uznałem, że jest pani winna. Ale ręki bym za pani niewinność nie oddał.

- W takim razie nie będę z panem na ten temat rozmawiać. – Dopiła kawę i zaczęła podnosić się z miejsca.

- Anthony wspominał, że pani wuj zachowuje się dość... irracjonalnie.

- Co pan powie? – Przysiadła z powrotem.

- Znam go od lat i nigdy nie podejrzewałem o złe intencje.

- A ta broń w chacie myśliwskiej?

- To można usprawiedliwić. Chciał bronić pani honoru.

- Być może. Skoro sama nie potrafisz tego uczynić.

- A wczoraj wyjaśniał jednemu z gości, że nie byłaby pani zdolna do kradzieży. Gdyby chciał pani zaszkodzić, to nie wstawiałby się przecież za panią.

- Nie twierdziłam nigdy, że chciał mi zaszkodzić. A co do kradzieży – nabrała powietrza – zupełnie mnie nie interesuje, co pan o tym myśli. A wuj, gdyby działał rozsądniej, to nie zapobiegałby plotkom, broniąc mnie bez powodu. – Podniosła się i wyszła.

Klemens wierzył, że tego nie zrobiła. Przynajmniej nie tym razem. W młodości mogła popełnić jakieś głupstwo. Każdy czasem zdolny jest do nieracjonalnych czynów, nawet tych niezgodnych z prawem. On też nie był kiedyś aniołkiem. Zresztą to jej wuj zapewniał, że była winna i przeprosiła za to, a on uregulował rachunek. Nie miał chyba powodu, by kłamać.

Izabela przeszła w ponurym nastroju do ogrodu. Zarzuciła na siebie tylko pelerynę z kapturem i teraz strasznie marzła, ale nie chciała jeszcze wracać. Wszyscy uważają ją za najgorszą osobę pod słońcem. Najpierw strzelała do syna gospodyni, i to bardzo celnie, potem miała tę przygodę z łódką, a teraz jeszcze kradzież biżuterii.

Izabelę naprawdę zabolalo, że Klemens miał choć cień wątpliwości co do jej niewinności. Być może toczyli ze sobą małą wojnę i nie zawsze zachowywała się, jak należy. Nakrył ją przecież kiedyś z tamtym chłopcem, był przy tym, jak wicehrabia karcił ją za wyścigi konne, potem widział, jak kłóci się z koleżanką, a to nie koniec listy jej wybryków. Później jednak przyszła ta ulewa i wieczór w chacie rybackiej... Postanowiła wyprzeć to wspomnienie, ale nie była w stanie tego uczynić. Nie miała magicznej gumki, która wytarłaby to niczym ślady ołówka. Zresztą jego młodszy brat stawał się dla niej coraz bliższy. Naprawdę zaczynała go lubić i jeden incydent nie powinien przekreślać tej znajomości. Dlaczego zatem nie zaczęła się od razu bronić? Dlaczego pozwoliła, by zaczęto myśleć, że mogła to zrobić? Może podświadomie chciała sprawdzić, kogo tak naprawdę ma po swojej stronie?

- Nie za zimno pani, panno Wieczorek? - Anthony Atherton podszedł do niej z kocem w rękach. - Proszę się okryć. Nie chciałem wchodzić do pani pokoju i grzebać w szafie, a nie mogłem znaleźć pani pokojówki.

- Dziękuję. - Przyjęła okrycie. - To bardzo miłe z pana strony, że pan się o mnie troszczy. Sądziłam, że wszyscy już mnie osądzili i skazali, nie pytając o zdanie.

- Nie uważam, że mogłaby pani to uczynić. Niby po co? Ma przecież pani pieniądze i drogie klejnoty. Wuj nie szczędzi środków na pani toalety. Nie jest też pani złośliwa i z pewnością nie chciała pozbawiać panny Fleming jej cennych pamiątek.

- Tak pan myśli?

- Powiem więcej. Wydaje mi się, że te plotki o kradzieży kolczyków sprzed laty też są zwyczajnie wymyślone.

- Nie są.

- Nie są? - zapytał zdziwiony. - Nie rozumiem, ale jestem pewien, że ma pani jakieś rozsądne wyjaśnienie.

- Przyznałam się do tej kradzieży.

- Dlaczego? Nie uwierzę, że dlatego iż była pani winna.

- Jest pan pierwszą osobą, która zadała sobie trud zapytania mnie o to, i pierwszą, która wierzy w moją niewinność - wyznała ze smutkiem. - Dlatego zdradzę panu, jak to wyglądało.

- Zamieniam się w słuch.

- To był ostatni mój dzień na pensji. Wiedziałam, że wieczorem przyjedzie po mnie wuj, i pakowałam spokojnie swoje rzeczy, kiedy do naszego pokoju wpadła zdyszana Agata, moja koleżanka, twierdząc, że widziała kolczyki swojej zmarłej matki w pokoju dyrektorki. Była święcie przekonana, że to dokładnie te same, bo były robione na specjalne zamówienie i miały charakterystyczny diament ze skazą, który rozpoznałaby wszędzie. Matka chciała jej je wysłać, ale paczka z kolczykami dotarła najwyraźniej później niż wiadomość o jej śmierci i nikt inny

nie wiedział, że dziewczyna miała je otrzymać. Dyrektorka musiała ukryć je i poczekać, czy nikt się nie upomni, a po dwóch miesiącach wyjęła je i zaczęła nosić jak swoje. Mała Agata nie wytrzymała i stwierdziła, że musi jej je odebrać. Nie byłam pewna, czy to dobre rozwiązanie. Podpowiadałam, żeby poszukała wsparcia u kogoś z rodziny i wspólnie z nim poszła do dyrektorki wyjaśnić sytuację. Ona nie chciała tak długo czekać. To była jedyna pamiątka, która została jej po rodzicielce, bo zanim dojechała na pogrzeb, jej sypialnia stanęła w płomieniach i wszystko spaliło się doszczętnie. Dotarła już na pogorzelsko. Współczułam dziewczynie i obiecałam, że pomogę jej odzyskać jej własność. Zaraz po obiedzie, pod pretekstem pakowania i spaceru, opuściłam razem z Agatą ostatnie zajęcia dobrych manier i pobiegłam do gabinetu dyrektorki. Potem wszystko potoczyło się bardzo gładko. Drzwi gabinetu nie były zamknięte na klucz, łatwo odnalazłyśmy szkatułkę, w której dyrektorka trzymała swoje kosztowności, a pasował do niej kluczyk, który zrobiłam ze spinki. Niestety kobieta zorientowała się jeszcze tego samego dnia. Wezwała nas wszystkie na dół i zarządziła przeszukania, grożąc biciem skórzanym pasem. Już nie raz obrywałyśmy, więc wiedzieliśmy, że nie żartuje. Trzymała nas tam na bosaka dobrą godzinę, ale żadna nie pisnęła słowem w obawie przed laniem. Dyrektorka postanowiła więc wyciągać dziewczęta po kolei na środek, kolejne biciem zmuszać do mówienia. W tym momencie pod pensję zajechał powóz wicehrabiego. Wiedziałam, że przy wuju nic mi już nie grozi. Nie namyślałam się ani chwili. Zwyczajnie, kiedy do mnie podeszła, wzięłam winę na siebie. Wuj zapłacił za kolczyki, bo skłamałam, że pożyczyłam je na trochę i upuściłam do sadzawki przy drodze, i sprawę zakończono. Agacie nic się nie stało i odzyskała pamiątkę po matce. Ot, cała historia wielkiego skandalu z kradzieżą diamentowych kolczyków. – Wzruszyła ramionami.

– Jest pani cudowną osobą. Nie każdy byłby zdolny postąpić tak heroicznie, wiedząc, że ucierpi na tym jego honor i reputacja. Teraz podziwiam panią jeszcze bardziej. – Nieomal się zarumienił. Po czym rozejrzał się naokoło i dodał: – Musimy jak najszybciej znaleźć pannę Rottermund i wyjaśnić jej, że to nie pani stoi za zniknięciem kolczyków. Przecież nie może za pani plecami rozsiewać tych wstrętnych plotek.

– To bardzo... bardzo logiczne w zasadzie – przyznała Izabela, zaskoczona, że sama nie wpadła wcześniej na ten pomysł. Powinna była przecież skonfrontować się z Augustą. Wiedziała, że jest niewinna, i nie powinna zachowywać się tak, jakby sama sobie nie wierzyła.

– W takim razie proszę pójść ze mną. Znajdziemy ją i opowiemy o wszystkim.

Znalezienie panny Rottermund nie było jednak wcale prostym zadaniem. Dopiero wieczorem udało się odciągnąć ją od reszty towarzystwa i znalazłszy ustronne miejsce w korytarzu przy tylnym wejściu do pałacyku, porozmawiać.

– Panno Rottermund – zaczął Anthony. – Zdaje się, że powinny panie sobie wyjaśnić jakieś nieporozumienie, by nie psuć atmosfery panującej podczas pobytu w domu mojej matki. Bardzo przykro jest przyglądać się z boku temu konfliktowi.

– Jakież to nieporozumienie ma pan na myśli, hrabio Athertonie? – zapytała Augusta.

– Chodzi o przykrą sprawę zaginięcia kolczyków panny Fleming.

– Tak?

– Zdaje się, że sugerowała pani tu i ówdzie, że panna Wieczorek mogłaby mieć z tą sprawą coś wspólnego.

– Doprawdy?



- Nie wykręcaj się, Augusto - ostrzegła Izabela. - Dobrze wiem, że rzucasz tymi oskarżeniami na lewo i prawo, a ja naprawdę nie mam z tym nic wspólnego.

- Już kiedyś tak mówiłaś.

- Nigdy tak nie mówiłam i dobrze o tym wiesz. Wszystkie wiedziałyśmy, że dyrektorka przywłaszczyła sobie cudze kolczyki, i tylko ja jedna miałam okazję pomóc ich prawowitej właścicielce.

- Rzeczywiście. Słyszałam coś o tym - przyznała. - Nie zmienia to faktu, że kolczyki zostały skradzione, a do winy przyznałaś się ty. Nie mówiłam zatem niczego niezgodnego z prawdą. Sama musisz to przyznać.

- Przyznaję - odparła Izabela. - Co nie znaczy, że tym razem było podobnie. Nie miałam powodu, by kraść te świecidełka, a panna Fleming nie wygląda na kogoś, kto by te kolczyki przywłaszczył niesłusznie. Sama przyznasz?

- Owszem.

- Wygląda za to na naprawdę zmartwioną całą sytuacją. Przedłużyła nawet pobyt, by móc odnaleźć zgubę. Hrabina zaproponowała też, że odda jej równowartość zguby, aby pozbyć się hańby, jaką mógłby przez to okryć się jej dom.

- To bardzo szlachetne z jej strony.

- Prawda, a zatem możesz już spokojnie podrzucić je z powrotem na miejsce - oznajmiła Izabela.

- Słucham?!

- Możesz je oddać, skoro już narobiłaś plotek na mój temat. Niczego nikomu nie powiem. Osiągnęłaś swój cel i możemy skończyć z tą zabawą. To naprawdę niskie, dziecinne i zupełnie niepotrzebne.

Anthony stał i w ciszy przyglądał się wymianie zdań między młodymi kobietami.

Nie był do końca pewien, co znaczą ich słowa i mimika, ale wiedział, że powinien opowiedzieć się po stronie panny Wieczorek. Bał się tylko, że może dojść do przepychanek między paniami, a wtedy będzie zmuszony rozdzielić je bez rozlewu krwi. Może jego młodszy brat uznałby to za szalenie zabawne. I pewnie uzna, kiedy mu o tym w przyszłości opowie, ale jemu wcale nie było do śmiechu.

- Nie wzięłabym tych kolczyków tylko po to, by zrobić w to ciebie. Nie sądzisz chyba, że upadłabym aż tak nisko?

Izabela w odpowiedzi zmierzyła ją wzrokiem.

- To oburzające! - uniosła się Augusta.

- Tak samo jak oskarżenie mnie. Teraz wiesz, co czułam.

- A cóż to za zebranie? - zapytał Klemens Krzyżewski po tym, jak wyłonił się zza rogu korytarza.

- Wyjaśniamy sobie kilka kwestii, bracie - odparł Anthony. - Panno Rottermund, to mój brat, Klemens, baron Krzyżewski. Klemensie, poznaj, proszę, pannę Augustę Rottermund - dokonał prezentacji.

Dziewczyna spłonęła rumieńcem i zapatrzyła się na barona Krzyżewskiego.

Izabela musiała przyznać, że wyglądał wyjątkowo męsko. Wilgotne od deszczu włosy miał zaczesane na jedną stronę, ale kilka niesfornych kosmyków wymknęło się i wywinęło na czole,

tworząc ciemną ramę dla jego wydatnych brwi i srebrnych oczu. Skóra pokryta drobnymi kropelkami zdawała się lśnić w blasku świec umieszczonych w kandelabrach na ścianie. Pięknie skrojone usta podkreślał króciutki ciemny zarost, a kwadratowa szczęka uwypuklała się, kiedy próbował przybrać wesoły wyraz twarzy.

– Miło mi panią poznać. Jestem rad, że moja matka zaprasza tu tak wspaniałe istoty. – Skłonił się, ujął dłoń dziewczyny i przyłożył sobie do ust.

Izabela nie mogła odmówić mu uroku osobistego. Jeśli chciał, potrafił być czarujący. W dodatku pierwszy raz usłyszała z jego ust coś takiego, a to też nie pozostawiło jej obojętnej.

Zerknęła na Anthony'ego. Ten z braci też wyglądał imponująco. Nie był mniej przystojny niż Klemens. Brązowe oczy, ciemne, kręcone włosy, męska kwadratowa szczęka, sztywna, elegancka postawa i ujmujący uśmiech. Obaj byli warci uwagi.

– To dla mnie zaszczyt, baronie. – Augusta zatrzepotała rzęsami i zaczęła chichotać, jakby ktoś ją łaskotał w pięty, co z niewytłumaczalnego powodu zaczęło Izabelę drażnić.

## 17.

– Nadal nie bardzo rozumiem, po co mnie pani tutaj wezwała? – zapytała Izabela tego samego wieczoru po kwadransie wymieniania uprzejmości z hrabiną Modlińską w jej gabinecie. Karafka, którą niedawno stłukła, stała nienaruszona. Czyżby Klemens potrafił czarować?

– Jest pani zbyt inteligentna, żeby się nie domyślić, że wiem niemal o wszystkim, co dzieje się pod tym dachem.

– Zdaję sobie z tego sprawę, hrabino.

Izabela była zbyt wzbudzona, by nadal grać dobrze ułożoną, zresocjalizowaną damę. Wybuchowy temperament leżał w jej naturze i nie potrafiła wyprzeć się samej siebie. Dostosowanie się do okoliczności, przestrzeganie podstawowych norm wbrew własnym popędom to jedno, ale granie kogoś, kim się nie jest, to coś zupełnie innego.

Prawda, że grała rolę nieporadnej i słabej, by Anthony mógł ją uratować, ale to był raczej niewinny fortel i nie nadwyręzał zbytnio jej sumienia. Taki mały teatrzyk dla realizacji wyższych celów. Nie robił nikomu krzywdy, a co niektórych mobilizował do szybszego podejmowania decyzji.

– Mój syn doniósł mi, że między panią a panną Rottermund doszło do pewnych... nazwijmy to... niesnasek.

– Jeśli wytarganie jej za włosy można nazwać niesnaskami...

– Czyli pani nie zaprzecza, panno Wieczorek?

– Nie zaprzeczam. Nie będę też kłamała, że mi przykro. Drugi raz bym ją wyciągała za te kudły. Powiedziałam to głośno?

Może jednak nie powinnam być aż tak szczera, przebiegło jej przez głowę. Ale stało się. Najwyżej zostanie wyrzucona z pałacyku i będzie musiała poszukać szczęścia gdzieś indziej. W zasadzie baron Kamiński, którego poznała wcześniej (bo jego majątek sąsiaduje z majątkiem jej szwagra), wyglądał całkiem sympatycznie. Zresztą Ignacemu Firlejowi też niczego nie brakowało... To, że zostanie skreślona z listy gości hrabiny Modlińskiej, nie znaczy, że całkowicie wyrzucą ją poza kręgi societę.

– Owszem i bardzo się cieszę.

– Słucham?! – Izabela omal nie spadła z krzesła.

– Nie dlatego, broń Boże, że pochwalam tarposzenie panny Rottermund za włosy. Nawiasem mówiąc, mam nadzieję, że to się więcej nie powtórzy – zaznaczyła dobitnie. – Cieszę się natomiast, że nie muszę tego z pani wyciągać. A czy pani żałuje, czy nie, to już pani sprawa. Nie ganię tego.

– To miłe. Sądziłam, że mnie pani wyprosi z pałacyku – powiedziała szczerze.

– Przyznam, że przemknęło mi to przez głowę – hrabina uniosła jedną z brwi i zmarszczyła groźnie nos – ale Klemens stanął w pani obronie. W zasadzie poza nim i kilkoma służącymi nikt o tym zdarzeniu nie wie i jeżeli uda się taki stan rzeczy utrzymać, to nie widzę potrzeby robić zamieszania.

Izabela przyjęła tę informację z ulgą, ale nie do końca wierzyła, że to hrabinie Modlińskiej wystarczy.

– Chciałabym jednak wiedzieć, jak do tego doszło. Poznać motywy pani postępowania – uściśliła. – Nie uwierzę, że to nagły wybuch.

– Chce pani poznać przyczyny akurat tej potyczki czy całego naszego konfliktu? A ten trwa już... niech policzę... z pięć, może sześć lat.

– O konflikcie już wiem od Anthony'ego – wyznała hrabina.

– Czy pani dzieci nie mają przed panią żadnych tajemnic? – Izabela opuściła bezwładnie ręce, uderzając nimi o uda.

– Mają. Zwyczajnie go podpuściłam. – Na jej twarzy pojawił się szelmowski uśmieszek. – Co nieco już słyszałam od pani wuja, ale wersja mojego syna była zdecydowanie bardziej wiarygodna. Gdybym nie powiedziała mu, że już o wszystkim wiem, pewnie by nie powiedział.

– A czy on...

– Nie. Nie wie o pani starciu z Augustą. Klemens obiecał milczenie. Ja też nic nie powiem. Panna Rottermund wyjeżdża z samego rana.

– A kolczyki?

– Nie miała ich przy sobie. Kazałam na wszelki wypadek przeszukać jej pokój. A jedna z moich pokojówek pomagała jej przy kąpeli, więc jestem pewna, że nie miała ich również przy sobie.

– W takim razie... – Izabela nie dokończyła pytania, bo zdała sobie sprawę z czegoś jeszcze. – Mój pokój też pani sprawdziła. Prawda? – Przyjrzała się uważnie kobiecie, starając się dostrzec, czy jest z nią w zupełności szczerą.

– Sprawdziłam. Nie mogłam pozostawić żadnych wątpliwości.

– W porządku – odparła Izabela po krótkim namyśle. – To całkiem logiczne.

– W takim razie?

– Baron Krzyżewski nie zdradził szczegółów?

– Niestety. Poinformował jedynie o zajściu i kazał odesłać pannę Rottermund do domu, zanim narobi zamieszania.

– On?!

– Czy to panią dziwi?

– Poniekąd. Wydawało mi się, że jest nią... zainteresowany.

– Czyżby? – Hrabina przewierciła ją wzrokiem na wskroś tak, że poczuła się prawie naga.

– Może mi się wydawało. Nie moja sprawa – powiedziała szybko, by nie dać po sobie poznać, że była zwyczajnie... zazdrosna. Do stu diabłów! Była o niego zazdrosna. A nie powinna...

– Zatem?

– Za namową pani syna...

– Anthony'ego? – dopytała na wszelki wypadek hrabina.

– Tak. Za jego namową – kontynuowała Izabela – posłałam do panny Rottermund, by wyjaśnić jej, że podejrzenia, które rzuca w moim kierunku odnośnie do zaginięcia kolczyków panny Fleming, są absolutnie bezpodstawne. Wiedziałam, że wzięła je stąd, że kiedyś przyznałam się do kradzieży kolczyków dyrektorki naszej pensji. Panna Rottermund nie znała

jednak powodów, dla których wzięłam tę winę na siebie, i nie wiedziała, że po pierwsze kolczyki nie należały do dyrektorki, bo przywłaszczyła je sobie po śmierci matki jednej z podopiecznych, a po drugie to ta podopieczna wzięła je, bo zostały jej niesłusznie odebrane.

- Nie wiedziała?

- Cóż. Może wiedziała, ale nieoficjalnie. Sama pani wie, jak to jest. Wyjaśniłam jej, że przyznałam się do winy tylko dlatego, żeby Agata mogła je sobie zatrzymać. Dyrektorka otrzymała sowitą rekompensatę od mojego wuja, a dziewczyna uniknęła kary. Wszyscy byli zadowoleni. Ja wyjechałam i sądziłam, że sprawa została zamieciona pod dywan.

- A nie została?

- Plotki, jak to zwykle bywa, powstały i miały się świetnie. Nie powiem, żebym później zachowywała się idealnie, ale nigdy nikogo nie okradłam.

- Wierzę pani, panno Wieczorek. Nie o tym jednak chciałam rozmawiać.

- Dobrze. - Nabrała powietrza. - Kiedy sądziłam, że wspólnie z hrabią Athertonem wyjaśnialiśmy pannie Rottermund zaistniałą pomyłkę, ta wyglądała, jakby zrozumiała swój błąd. Potem zajęła się umizgiwaniem do barona Krzyżewskiego, bo ten akurat wrócił i dołączył do naszej rozmowy. Wszyscy udaliśmy się do swoich sypialni, a po godzinie wpadła do mnie panna Fleming.

- Panna Fleming?

- Dokładnie. - Izabela pokiwała głową. - Wpadła niby pokojowo nastawiona i naprawdę opanowana. Ja na jej miejscu gotowałabym się ze złości.

- Tak?

- Kolczyki nie dość, że miały wartość sentymentalną, to jeszcze były szalenie drogie.

- To wiem.

- A panna Fleming wydawała się... zdesperowana. - Nie chciała powiedzieć „szalona”, ale to słowo najlepiej pasowało do dziewczyny, która zachowywała się, jakby poza Izabelą w pokoju znajdowały się jeszcze inne osoby i co chwilę dawała im znaki. Może miała zwidy? Albo pałacyk jest nawiedzony...

- Może bała się reakcji rodziców? Przyjechała do nas przecież jedynie z babką. Niewykluczone, że nie wspominała, że je ze sobą zabiera.

- Może, ale jej rodzina nie należy do biednych.

- Ale jej ojciec jest wyjątkowo stanowczy. Jeśli mogę tak to nazwać. - Hrabina odchrząknęła. - Wiem z pewnego źródła, że dziewczyna nie ma z nim lekko. Nie dziwię się więc desperacji.

- Nie jestem pewna. - Izabela się zastanowiła. - To wyglądało poważniej niż lęk przed karą wymierzoną przez ojca. Chyba że miały ją tydzień trzymać w piwnicy o głodzie - dodała szybko.

- Niech Bóg bronii! - Hrabina się skrzywiła. - Nawet tak nie mów, dziecko.

- Mniejsza o to - skwitowała ten wątek Izabela. - Zależało jej na tych kolczykach, i to bardzo, a panna Rottermund mimo naszej rozmowy zasugerowała jej, że to mnie powinna o nie spytać.

Hrabina spojrzała na nią spod na wpół przymrużonych powiek i udała, że skupia się na dolewaniu sobie i jej herbaty. W rzeczywistości przyglądała się jej uważnie, starając się ocenić

wiarygodność wypowiedzi. Miała wrodzony talent do rozpoznawania wszelakich oznak kręactwa.

– Wyjaśniłam jej rzeczowo i bardzo spokojnie. Zapewniłam – podkreśliła stanowczo Izabela.  
– Powiedziałam, że nie mam z tą sprawą nic wspólnego i że zrobię wszystko, by te kolczyki odnaleźć. Przez myśl mi przeszło nawet, że to panna Rottermund wzięła je tylko po to, by winę złożyć na mnie.

– A to ciekawe – przyznała hrabina z ironicznym uśmiechem.

– Wiem, że to głupie, ale może to miał być taki psikus... W każdym razie pożegnałam ją i pognałam prosto do sypialni Augusty.

– Wpuściła panią bez problemu?

– Nie pytałam, pchnęłam drzwi, a że były otwarte, weszłam. Kazałam wyjść jej pokojówce, żebyśmy mogły porozmawiać bez świadków.

– Bez świadków? – upewniła się hrabina. – To jak się tam znalazł Klemens?

– Też mnie to zastanawia. Może się umówili... Przepraszam, to było niskie i złośliwe. Przepraszam. – Panna Wieczorek zaczerwieniła się i spuściła głowę.

Hrabina sama od dobrej godziny zastanawiała się, jak i dlaczego znalazł się tam jej syn. Czyżby on i panna Rottermund...

Na dobrą sprawę nie znam Klemensa zbyt dobrze, pomyślała Izabela, której to pytanie ciągle przewiercało umysł. Owszem, spotykała go wielokrotnie przez ostatnie kilka lat, jednak zawsze w majątku wuja. Nie miała wielu okazji, by obserwować go w towarzystwie kobiet. Być może niczym nie różnił się od najmłodszego brata. Co prawda nie wyczuła w nim nawet załóżka z kobieciarza i swawolnika, ale być może jej nastawienie do jego osoby i początkowa awersja zaćmiły jasność rozumowania. Może w jego przypadku jej instynkty i kobieca intuicja zawiodły? Może Klemens i ją uwiódł wówczas w chacie i dla niego to wydarzenie wcale nie jest tak istotne, jak... Ale przecież dla niej też nie powinno być istotne! Powinna je wymazać z pamięci i skupić się na swojej przyszłości. Z baronem Krzyżewskim takowej wiązać nie mogła.

Hrabina uśmiechnęła się na jej reakcję, ale nie skomentowała.

– Nie powinnam oskarżać Augusty o nocne schadzki z mężczyzną. Baron to co innego... Choć właściwie nie twierdzę wcale...

– Nie musi się pani tłumaczyć. To całkiem prawdopodobna możliwość.

– Chce pani powiedzieć, że jej syn...

– Jest dorosły. Nie pochwalałabym tego, naturalnie, ale nie mogę ręczyć, że tak nie było. Mnie samej przyszło to do głowy – wyznała.

– Ach tak – westchnęła Izabela lekko zbity z tropu i się zgarbiła.

– Wróćmy jednak do feralnego incydentu z wyrywaniem włosów.

Izabela nie była pewna, ale hrabina najwyraźniej starała się stłumić napad śmiechu. Jej wcale nie wydawało się to zabawne. Choć...

– Kiedy zostałyśmy same, zapytałam ją bardzo kulturalnie i taktownie – podkreśliła – dlaczego nadal rozpowszechnia fałszywe informacje na mój temat.

– I co ona na to?

- W pierwszej chwili zaprzeczyła, więc zapytałam ponownie. Znowu wyparła się wszystkiego i nazwała mnie poszukiwaczką sensacji, a moje słowa oszczerstwem i wierutną bzdurą. - Izabela zatrzymała się na chwilę, jakby układała wszystko w głowie. - Powiedziałam jej, że wiem od samej panny Fleming, a ta z pewnością nie zmyśla.

- I jak zareagowała?

- Powiedziała, że nawet jeśli, to nikt mi nie uwierzy, bo moje słowo przeciwko jej słowu to jak słowo... hm - odchrząknęła - kurtyzany przeciwko proboszczowi.

- Rzeczywiście nie było to miłe.

- Niech nie dziwi zatem pani, że nie wytrzymałam. Złapałam ją za te długie kudły i być może obrzuciłam kilkoma inwektywami. Dokładnie nie pamiętam. - Izabela próbowała patrzeć na swoją rozmówczynię, ale zwyczajnie nie mogła. Wzrok sam uciekał jej w bok. Było jej wstyd z powodu własnej słabości. Mogła przecież powstrzymać się od rękoczynów, a tymczasem zachowała się gorzej niż... sama nie wiedziała kto.

- Trochę dziwi, trochę nie - odparła wymijająco hrabina Modlińska.

- Panna Rottermund zaczęła drzeć się wniebogłosy, że próbuję ją zabić, i wówczas do pokoju wpadł pani syn.

- Musiał być zdezorientowany.

- Nieszczęśliwie. Od razu złapał mnie w pasie i zaczął odciągać od Augusty. Niestety użył do tego na tyle dużo siły, że mu się udało. A w mojej zacisniętej dłoni ostał się całkiem spory pukiel brązowych włosów. - Nabrała powietrza i zacisnęła wargi w oczekiwaniu na werdykt.

- To chyba jeszcze nie koniec?

- Rzeczywiście. Augusta wydarła się do barona po imieniu. Po imieniu! - powtórzyła. - A znali się przecież pięć minut - dodała z nieskrywanym oburzeniem. - Krzyczała, że dłużej nie wytrzyma pod jednym dachem z tą... Nie powtórzę. I korzystając z tego, że ja stałam unieruchomiona, rzuciła się na mnie z paznokciami. Baron instynktownie zaczął mnie odsuwać na bok i osłaniać przed jej szponami, dlatego sam został podrapany po ramieniu. Mnie w zasadzie lekko drasnęła w łokieć.

- Rozumiem, skąd decyzja Klemensa o odesłaniu jej do domu.

- Raczej jej decyzja. Baron nie wyglądał na takiego, który chciałby się jej pozbyć - doprecyzowała. - Mimo że go zaatakowała. Musiała to zatem być jej decyzja.

- Poniekąd.

- Ale to nie koniec.

- Nie?

- Panna Rottermund zdenerwowała się, że to nie mnie podrapała, i przystąpiła do kolejnego ataku. Tym razem oddolnie.

- Oddolnie?

- Zaczęła kopać mnie po kostkach ostro zakończonymi bucikami, a baron tym razem wcale mnie nie odsuwał, tylko jednym ramieniem zgniatał mi żebra, a drugim próbował odpychać Augustę. Może sobie pani obejrzeć moje stopy. - Pochyliła się i uniosła skrawek spódnicy. - Całe podrapane. Pończochy mogę wyrzucić do śmieci.

- Widzę.

- Rozumie zatem pani, że instynktownie zaczęłam się bronić i korzystając z tego, że pani syn trzymał mnie w pasie, oparłam się o niego i kopnęłam pannę Rottermund tak, że poleciała na łóżko. Ale to było wyłącznie w samoobronie. Zapewniam.

- Cóż - westchnęła hrabina i pokręciła głową, próbując zachować powagę. - Tak czy inaczej, zadbałam, by rano było po wszystkim. Anthony wie tylko, że się pokłóciłyście. Szczegółów znać nie musi. - Uśmiechnęła się porozumiewawczo. - Obserwuję was od kilku dni i widzę, że się do siebie zbliżyliście.

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko?

- Zupełnie - odparła zdecydowanie. - Chciałabym jednak zapytać panią o relacje z moim najstarszym synem.

- Tak? - zapytała Izabela z nadzieją, że nie chodzi o wieczór w chacie rybackiej.

- Zdaje się, że nie należą do najlepszych.

- To bardziej skomplikowane.

- Być może jest pani do niego uprzedzona z powodu jego szorstkości.

Izabela zrobiła bliżej nieokreśloną minę. Ni to uśmiech, ni to grymas.

- Musi pani wiedzieć, że jest ona wynikiem tego, jak traktowany był w dzieciństwie i jak bardzo sam uprzedził się do ludzi. - Hrabina przerwała i spojrzała na filizankę dziewczyny. - Może doleję nam herbaty, bo to trochę potrwa? - zaproponowała.

- Poproszę. - Izabela uśmiechnęła się i podsunęła puste naczynie.

- Widzi pani - hrabina nabrała nosem powietrza i wypuściła je powoli ustami - moje pierwsze małżeństwo nie należało do najprzyjemniejszych. Ma pani już tyle lat, że mogę powiedzieć to otwarcie: do ślubu zostałam niejako przymuszona. Wybrano mi kawalera, zobaczyłam go z daleka dwa razy podczas niedzielnej wizyty, nie zamieniłam z nim na osobności jednego zdania, a zaraz po ślubie musiałam porzucić dom i zamieszkać z tym obcym człowiekiem w wielkim dworze, bez nikogo bliskiego.

- Nie wzięła pani ze sobą pokojówki?

- Niestety stara Nela nie czuła się na siłach, by jechać w daleką podróż. Wolała doczekać końca swoich dni w moim rodzinnym domu.

- Rozumiem.

- Pojechała ze mną zupełnie nowa dziewczyna. Nie znałam jej i niepotrzebnie, jak się później okazało, zaufałam. Ale to odrębna historia. Skupmy się na moim mężu.

- Oczywiście. - Izabela poprawiła się w fotelu.

- Już w kilka dni po ślubie zrozumiałam, że nie mam w zasadzie nic do powiedzenia na temat prowadzenia dworu, wizytowania gości, spędzania wolnego czasu. Baron przyzwyczajony był do decydowania o wszystkim. Nie miał rodzeństwa, a rodziców stracił przed kilkoma laty. Zajmował się i majątkiem, i sprawami dworu. Rzecz jasna z pomocą służby - dodała - ale to on był osobą decyzyjną. Wszystko we dworze chodziło jak w zegarku i szybko dowiedziałam się, czemu tak było. - Znow nabrała powietrza, tym razem dwukrotnie. Chyba próbowała ukoić nerwy spowodowane powrotem do trudnych wspomnień. - Okazało się, że za wszelkie niedociągnięcia, opóźnienia, przewiny, dosłownie za wszystko, baron wymierzał baty. Służba wiedziała, że potrafił stłuc kogoś bez żadnych skrupułów i litości. Wszyscy się go bali i nikt nie miał zamiaru mu podpaść. Szybko okazało się również, że nie tylko do podwładnych potrafi wyciągać ręce. Po raz pierwszy uderzył mnie, kiedy byłam



w ciąży. Przepraszał oczywiście później, ale już po kilku tygodniach sytuacja się powtórzyła. Narodziny syna niewiele zmieniły. Z początku bał się do niego wchodzić i brać go na ręce, ale gdy mały zaczął chodzić i stawać się coraz bardziej rozumny, ten zaczął brać sobie do serca jego wychowanie. Musztrował go codziennie, wytykał najdrobniejsze pomyłki, stale poprawiał i uczył wszystkiego, co jego zdaniem powinien w tym wieku wiedzieć chłopak. Niestety na tym się nie skończyło. Potrafił mu przyłożyć za upadek z kucyka, za dziurę w spodniach, za przygarnięcie kociaka. Najgorzej było jednak, gdy wyzywał się na mnie, a Klemens pojawiał się w pobliżu i próbował go odciągnąć. – Znów zaczęła nabierać powietrza.

– Nie musi pani opowiadać szczegółów.

– Dobrze. Powiem tylko, że Klemens stał się bardzo załężnym i niepewnym siebie chłopcem. Zwłaszcza po tym, jak jego ojciec, tłukąc go z jakiegoś błahego powodu, zdenerwował się do takiego stopnia, że jego serce nie wytrzymało i zmarł na oczach syna, wcześniej wyzywając go od najgorszych.

– To musiało być dla niego straszne.

– Miał wówczas niespełna sześć lat, ale sądzę, że dobrze to pamięta.

– A później? Jakie były jego relacje z kolejnym pani mężem? Potrafił po takich przeżyciach zaufać innemu mężczyźnie? Pani potrafiła? – Może nie powinna tak bezpośrednio dopytywać, ale ciekawość wzięła górę nad manierami.

– Hrabia Atherton przyjechał do rodziny na kilka tygodni. Był młodym, raczej flegmatycznym człowiekiem. Wydawał się taki... taki niegroźny.

– A był groźny? Tak jak baron Krzyżewski?

– Nie. Nie w ten sposób. Hrabia nigdy nie podniósł ręki ani na mnie, ani na mojego syna. Problem polegał na tym, że go nie zauważał. Mały pragnął męskiego wzorca, jakiegoś słowa z jego strony. Ten niestety nie uważał tego za swoją powinność. Próbowaliśmy z nim o tym rozmawiać, ale zbywał mnie półsłówkami. Sądziłam, że zwyczajnie nie potrafi porozumieć się z dziećmi, bo nie ma doświadczenia. Kiedy jednak na świecie pojawił się Anthony, zupełnie nic się nie zmieniło. Drugiego syna, a właściwie swojego pierwszego syna, bo nigdy nie przysposobił Klemensa, także traktował jak powietrze. Uważał też, że ja nie powinnam poświęcać uwagi dzieciom, bo je zepsuję. Takie rzeczy powinny robić mamki, niańki, bony, gubernery, ale nie matki, które nie potrafią zachować zdrowego dystansu i nie są specjalistkami w tej materii. Twierdził, i potrafił powiedzieć to w obecności Klemensa, że rozpuściłam syna i sprawiłam, że był taki lękliwy i wycofany. W pewnym momencie zaczął robić wszystko, by wypełnić mnie i dzieciom czas tak, byśmy się mijali.

– A sam? Czy spędzał czas z panią?

– Tylko na samym początku. Po tym, jak zaszłam w ciążę, odsunął się i zajął własnymi sprawami. Wprawdzie lepsze to niż przemoc i agresja, ale marne to pocieszenie, jeśli wszyscy na tym traciliśmy. Klemens w pewien sposób obwiniał za to siebie.

– Dlaczego?

– Bo hrabia wielokrotnie wspominał, nie bacząc na jego obecność, że mu zawadza i powinien trzymać się jasno wyznaczonego planu dnia. Niestety wielu punktów tegoż planu Klemens nie potrafił lub nie był w stanie zrealizować, co powodowało stałe narzekanie hrabiego. W pewnej chwili do jego humorów doszły dziwaczne zachowania. Wydawał się czasami nieobecny, innym razem przestraszony. Zamykał się na długie godziny w swoim

gabinecie, a kiedy widział któreś z dzieci, natychmiast kazał je zabierać sobie z oczu, jakby nawet przebywanie z nimi w jednym pomieszczeniu sprawiało mu przykrość. Na szczęście – przerwała – przepraszam, źle dobrałam słowo. Niestety – podkreśliła – hrabia zginął w wypadku, kiedy Anthony miał dwa latka, a Klemens dziewięć. Młodszy nawet go nie pamięta.

– A trzeci mąż?

– Hrabia Modliński był o wiele ode mnie starszy i zanim zgodziłam się wyjść za niego za mąż, bardzo długo zabiegał o moje względy i pozwolił, bym poznała jego otoczenie, znajomych, służbę, nim podejmę tak ważną dla mnie decyzję.

– Słuszną?

– Jak najbardziej. To był wspaniały człowiek. Może nie byłam zakochana do szaleństwa, ale związek ten opierał się na szacunku i wzajemnym rozumieniu swoich potrzeb. Doczekaliśmy się w końcu jeszcze czwórki dzieci, a chłopców traktował jednakowo. Przynajmniej starał się, bo Klemens nie potrafił się nigdy do końca przełamać w stosunku do niego. Traktował go raczej jako dalekiego wuja niż ojca. Hrabia jednak nigdy nie wypomnił mu tego w żaden sposób i rozumiał, że po tym, co przeżył, miał prawo być nieufny.

– To przykre. Nie tylko ze względu na pani syna, ale i na panią. Naprawdę współczuję.

– Dziękuję.

– Postaram się przychylniej spojrzeć na postępowanie barona.

– Byłabym zobowiązana.

– Ja też mam do pani pewną prośbę.

– Tak, dziecko?

– Chodzi o mojego wuja.

– Słucham. – Hrabina rozsiadła się wygodniej w fotelu i spojrzała na rząd karafek z kolorowymi alkoholami. Przy jednej zatrzymała się na dłużej. – Może coś mocniejszego?

– W zasadzie – Izabela przełknęła ślinę – w zasadzie – powtórzyła – nie przepadam za mocnymi trunkami, ale jestem lekko zdenerwowana całą sytuacją.

Hrabina zlustrowała jej postać i sięgnęła po przywiezioną przez Anthony'ego whisky, po czym nalała obu odrobinę do małych szklaneczek.

– Nie mam lodu, a nie chcę fatygować służby.

– Nie szkodzi. – Izabela sięgnęła po napełnioną do połowy szklaneczkę i powoli zbliżyła ją do ust.

– O co chodzi? – zapytała hrabina po kilku minutach ciszy.

– Ostatnio zauważyłam, że mój wuj się dziwnie zachowuje.

– Co dokładnie masz na myśli, dziecko?

– Sama nie wiem – przyznała. – Po prostu mam dziwne przeczucie. Jakby szykował dla mnie jakąś niespodziankę, która wcale mi się nie spodoba.

– Szuka dla pani męża.

– Tak mówi.

– A tak nie jest?

– Trudno powiedzieć. Niby wszystkim o tym opowiada. – Upiła ze szklaneczki i lekko się skrzywiła. – Wiem, że panią również o to prosił.

- Przyznaję.

- A tak naprawdę robi wszystko, by tych kandydatów odstraszyć.

- Anthony coś mi o tym wspominał.

- Tak?

- Tak – powiedziała krótko. – I powiem szczerze, że z początku trochę to lekceważyłam, ale teraz myślę, że należałoby się wicehrabiemu przyjrzeć z bliska.

- Tylko jak? On nie dopuszcza do siebie ludzi. Jest raczej... może nie odludkiem, ale...

- Wiem, co ma pani na myśli, moja droga. Znałam kilku takich mężczyzn. – Spojrzenie hrabiny stało się mniej ostre. Jakby przestała skupiać się na swojej rozmówczyni. – Mam jednak swoje sposoby i może mi pani wierzyć... – Posłała Izabeli uśmiech, który jednak nie objął jej oczu. – Proszę zaczekać chwilkę. – Wstała i podeszła do dzwonka, by wezwać kogoś ze służby.

Po minucie w drzwiach pojawił się młody chłopak.

- Wezwij do mnie Marysię, Macieju.

- Oczywiście, jaśnie pani. – Chłopak się skłonił i zniknął, zamknąwszy za sobą drzwi.

To miłe, że hrabina zna wszystkich swoich służących po imieniu, pomyślała Izabela.

- Jest jeszcze sprawa kradzieży kilku innych błyskotek i plotek z nimi związanych – powiedziała hrabina po powrocie na swoje miejsce.

- Wiem. Zdaję sobie sprawę, że to mi nie pomaga, ale nie mam pojęcia, dlaczego ktoś podejrzewa mnie.

Hrabina spojrzała na nią z pobłażliwością.

- Dobrze – przyznała Izabela. – Może i wiem, ale zapewniam, że nie miałam z tym absolutnie nic wspólnego.

- Wierzę pani i to też chciałabym sprawdzić. Najwyraźniej ktoś bardzo chce pani zaszkodzić.

- Wiemy już, że Augusta.

- Może nie ona jedna.

- Szukała mnie pani? – Do gabinetu weszła niepozorna, lekko przygarbiona kobieta.

- Zgadza się, Marysio. Mam do ciebie pewną delikatną prośbę.

Służąca uniosła głowę, ale nadal stała w pozycji lekko pochylonej.

- Chciałabym, abyś przyjrzała się bliżej wicehrabiemu Giełczyńskiemu.

- Mam wy badać jego służbę?

- Chodzi mi raczej o wy badanie jego samego.

Izabela spojrzała na hrabinę z lekkim powątpiewaniem. Czy ta kobieta przypadkiem nie miała jakiegoś zaćmienia umysłu? Jak nijaka służąca miałaby sprawdzić jej wuja? On nie jest typem człowieka bratającego się z niżej urodzonymi. Nie powiedziała jednak nic, oczekując dalszego rozwoju wydarzeń.

- Panno Wieczorek – zwróciła się do niej bardzo oficjalnym tonem hrabina. – Czy możemy pani zaufać?

- Nie bardzo rozumiem.

- Czy jest pani w stanie zachować pewną tajemnicę?

- To zależy jaką – odpowiedziała wymijająco.

- Właśnie - wtrąciła się służąca już nieco pewniejszym tonem. - Żebyśmy zaraz nie miały problemów.

- Wydaje mi się, że pannie Wieczorek też zależy, by sprawę zbadać, jak należy, a innego sposobu nie widzę - powiedziała hrabina, patrząc na swoją podwładną, zignorowawszy minę Izabeli.

- Nie wiem, nie wiem - rzekła z przekąsem kobieta i lekko się wyprostowała.

- Och, zaryzykujmy, Marysiu. Od lat wieje nudą w tych naszych dochodzeniach. Może odrobina ryzyka wcale by nam nie zaszkodziła? - zapytała potulnie hrabina.

- Moja droga - odparła już całkowicie zmienionym głosem służąca - obie tego ryzyka i przygód miałyśmy już powyżej uszu. Sama wiesz, że właśnie po to pomagamy innym, by unikali takich wrażeń, jakie nam przypadły w udziale.

Ton i słownictwo służącej całkowicie zbiły z tropu Izabelę. Kobieta dodatkowo wyprostowała się całkowicie i dumnym krokiem, kołysząc szerokimi biodrami, podeszła do biurka, po czym przysiadła z gracją na krzesło obok i lekkim ruchem zdjęła czepek, a następnie odchyliła włosy opadające na czoło.

Mój Boże, pomyślała Izabela, cóż za uroda!

- Niech się panienka tak na mnie nie gapi - powiedziała wdzięcznym głosem kobieta.

- Przepraszam. Po prostu jestem tak zaskoczona, że nie wiem, jak mam zareagować.

- Służące to osoby zwykle niewidoczne - odparła kobieta. - A ja w tej materii szkoleń się od wielu lat, więc wcale mnie to nie martwi, panno Wieczorek. Powiem więcej, cieszę się, że udało mi się panią zwiędzić.

- Czyli pani tylko odgrywa rolę pokojówki?

- Nawet nie pokojówki. Raczej zwykłej pomywaczki, sprzątaczkii, podkuchennej... Zwał, jak zwał. Ale nie odgrywam - zerknęła na hrabinę Modlińską - naprawdę poleruję sztucce, rozpalam w kominkach i wynoszę nocniki.

- Mówiłam, że nie musisz tego robić, Marysiu.

- Mówiłaś, ale wówczas byłabym mniej wiarygodna. Poza tym - zwróciła się tym razem do Izabeli - jestem służącą. Pochodzę ze wsi i od wielu lat służyłam hrabinie Modlińskiej, nim wyuczyłam się też innego fachu. Dzięki naszej przyjaźni wyrwałam się z sytuacji beznadziejnej, zdobyłam wiele umiejętności i zyskałam możliwości nieosiągalne ludziom z moim urodzeniem. Jestem za to niewymownie wdzięczna.

Kobiety opowiedziały Izabeli historię życia Marii.

Przed ponad trzydziestoma laty Marysia Matajowa siedziała do późnej nocy nad krosnem. Musiała utkać szaliki, które sprzedawał jej ojciec, ale zwyczajnie brakowało jej sił. Była niedożywiona i wymęczona. W dzień chodziła do wiejskiej szkoły, potem pomagała w gospodarstwie, a w nocy siadała do krosna. Zdaniem nauczycieli była bardzo zdolna i niezwykle inteligentna. Wystarczyło, że raz o czymś usłyszała, potrafiła to niemal słowo w słowo powtórzyć. Mówili, że ma talent i jeśli będzie się kształcić, to daleko zajdzie.

Ojciec miał inne zdanie. Umiała czytać, pisać, rachować. Było to w jego opinii i tak wiele więcej, niż potrzeba kobiecie, a zwłaszcza kobiecie na wsi, prostej chłopce. Nie potrzebowała wiedzieć niczego więcej, a czas spędzany w szkole był ogromnym marnotrawstwem dla całej rodziny. Godziny spędzone na nauce mogłyby poświęcić pracy. To dlatego wyblagała ojca, żeby pracować w nocy. Oświetlenie było drogie, ale obiecała utkać tyle, by pokryć ten wydatek.

Przez pewien czas udawało jej się, ale zmęczony organizm zaczął w końcu odmawiać posłuszeństwa i tej nocy zwyczajnie zasnęła. Na taborecie, z ręką na krośnię. Obudziło ją smaganie skórzanym pasem po plecach. Spadła z taborka i wylądowała na uklepanej z gliny podłodze. Ojciec jednak nie poprzestał na tym. W furii zbił ją tak, że ledwo zdołała się podnieść.

Nazajutrz nie poszła do szkoły. Zresztą nigdy więcej już jej tam nie puścił...

Po kilku latach ciężkiej pracy wydano ją bez pytania za męża. Za człowieka, który wcześniej nie zamienił z nią ani jednego słowa. Zaraz po ślubie natomiast dał jej jasno do zrozumienia, że nie będzie liczył się z jej zdaniem i nie życzy sobie stawiania oporu. Wszelki bunt i brak spełnienia poleceń będą surowo karane. Kupił ją i miał zamiar traktować jak swoją własność. Nawet nie jak służącą i nie jak istotę ludzką.

Już tej samej nocy przekonała się, że nie żartował... Dlatego gdy tylko zasnął, uciekła. Tak jak stała. W podartej sukience, zakrwawiona, na bosaka.

Włóczyła się przez kilka dni po lasach i okolicznych łąkach, aż trafiła na pastwiska należące do hrabiego Modlińskiego. Terenów nie pilnowano przez cały czas. Czeladnicy zjawiali się tylko na udój i obchód ogrodzenia. Obserwowała je przez kilka dni, nim odważyła się wyjść zza drzew. Nie spodziewała się, że na kogoś trafi. Tymczasem to ją, biegającą za krowami i stającą w miejscach, gdzie oddały mocz, by na chwilę ogrzać stopy, zauważyła hrabina Modlińska. Trochę im zajęło, nim dogadały się, kim są i co tam robią, ale ostatecznie Marysię przyjęto na służbę i zaopiekowano się nią tak, jak nigdy w jej krótkim życiu.

Szybko też odkryto jej talenty do nauki i przystosowywania się do panujących warunków, dzięki czemu mogła pobierać lekcje razem z najstarszym synem hrabiostwa, a po nich uczyć się w tajemnicy przed wszystkimi zupełnie innych rzeczy pod okiem hrabiny Modlińskiej. Tak z młodej dziewczyny w odpowiednim otoczeniu Marysia Matajowa stała się dorosłą, piękną kobietą, która potrafiła wcielić się w wiele przydatnych ról.

- A teraz, moja droga - hrabina zwróciła się do Izabeli - jak pewnie się już pani domyśla, przebierzemy Marysię i jutro pojawi się tu jako moja serdeczna przyjaciółka i bogata wdowa, madame Moreau.

Sprawa wicehrabiego Gielczyńskiego była kolejną, którą mogła zająć się pod tym przebraniem. Przydomek wybrała sobie sama i rzeczywiście idealnie do niej pasował, bo po francusku mówiła bez cienia akcentu i choć po Wielkiej Rewolucji Francuskiej z końca osiemnastego wieku tamtejszych arystokratów pozbawiono tytułów, te grzecznościowo respektowano w innych krajach. Zresztą wybitnie arystokracji (choć straszne, bo nie oszczędzało dzieci, a ścięcia głów za pomocą gilotyny przyciągało tłumy) było pretekstem do tego, by madame Moreau nie miała wielu oficjalnych znajomości.

- I spróbuje zbliżyć się do mojego wuja?

- Dokładnie.

- To może się udać - przyznała niezbyt pewnie Izabela, po czym obrzuciła spojrzeniem od góry do dołu figurę kobiety obok niej.

- To tylko poduszki - wyjaśniła ta, widząc, jak wzrok dziewczyny zatrzymuje się na garbie i wystającym brzuchu. - Całkiem wygodne watanowanie doszyte do koszuli.

- Sprytne.

- A sprawę z panną Rottermund i baronem załatwiono - powiedziała do wicehrabiny. - Tylko - spojrzała na Izabelę - czy aby na pewno nie jest panienka o niego zazdrosna?

Czy jest o niego zazdrosna? Lepiej nie zadawać sobie tego pytania, bo odpowiedź wszystkich mogłaby zaskoczyć, pomyślała Izabela. W istocie była zazdrosna o Klemensa. Nie wiedziała tylko, czym było to spowodowane. Może tym, że całowali się wtedy w chacie i w jakiś sposób połączyło to ich ze sobą, nie tworząc jednocześnie niczego oficjalnego? Może po prostu też jej się podobał jako mężczyzna? A może zaczęło jej na nim zależeć i robiła wszystko, by się do tego nie przyznać? Zazdrość niestety potęgowała pozostałe uczucia i zagłuszała zdrowy rozsądek.

- Nie mam powodu, aby być zazdrosną - odparła pewnym tonem.

- W takim razie proszę spać spokojnie. Postaramy się zorientować w sytuacji.

Izabela pożegnała się i wyszła, kierując się do swojej sypialni.

## 18.

Przeszła wolnym krokiem przez korytarz, wspięła się po schodach i skręciła do pokoiów gościnnych.

- Opanowała pani wybuch furii? - usłyszała niski męski głos dobiegający z bliżej nieokreślonej strony.

Wyczuła go, jeszcze zanim pojawił się dźwięk, ale sądziła, że to jej imaginacja. Słowa jednak nie były wytworem wyobraźni.

- Znów się pan skrada, baronie? Nie ma pan żadnych uczciwych zajęć?

- O tej porze? - Głos stał się nieco wyraźniejszy, ale sylwetki nadal nie mogła dostrzec w półmroku.

- Nie sypia pan?

- Zdarza mi się. - Wyłonił się z ciemności, stanął dokładnie naprzeciwko niej i spojrzał na nią z góry tak, że ciarki przebiegły jej po grzbiecie.

- Zamierza mnie pan ukarać?

- Nie powiem, że mi to nie przebiegło przez głowę - mruknął nad jej włosami. - Stwierdziłem jednak, że żadna kara pani nie nawróci.

- Nie trzeba mnie nawracać - wypowiedziała ostatnie słowo, niemal sycząc.

- Mogła się pani opanować. Nawet jeśli panna Rottermund nie miała racji.

- Mogłam - przyznała - ale nie chciałam - dodała buńczucznie. - Ta flądra w pełni sobie zasłużyła, by ją wytargać za włosy.

- Być może. Nie twierdzę, że nie zasłużyła. Damie jednak nie przystoi takie zachowanie, a pani chce przecież uchodzić za damę. W dodatku taką, która poszukuje męża - przypomniał. - Żaden mężczyzna nie chce poślubić wariatki - wymruczał cicho.

- Uważa mnie pan za wariatkę? - zapytała szeptem. Pamiętała, gdzie się znajdują. A wiele z drzwi, do których korytarz prowadzi, zajmują goście hrabiny.

- Nie to chciałem powiedzieć - jęknął, chwycił ją za ramię i pociągnął do pokoju obok.

- Boże - zdołała wydusić w zaskoczeniu - mam nadzieję, że nie ciągnie mnie pan do jakiejś sypialni, bo przerwałam panu schadzkę z Augustą. - W jej głosie nie było jednak przerażenia. Raczej rozbawienie jego nagłą zmianą zachowania. Takiego czynu spodziewałaby się po Maurycym, ale nie po Klemensie.

- Całkiem zgrabny żart, panno Wieczorek.

- Żart? - podchwyciła, kiedy zamknął za nimi drzwi.

- Chyba nie oskarża mnie pani na poważnie o schadzki z panną Rottermund?

- A niby czego szukał pan w jej sypialni o tej porze? - zapytała poirytowana.

- Szedłem tamtędy i usłyszałem wasze podniesione głosy.

- A ona zwróciła się do pana po imieniu całkiem niezaskoczona jego nadejściem? - zadrwiła. - Proszę ze mnie nie robić idiotki.

- Nie muszę się pani tłumaczyć – syknął.
- To prawda – zawstydzila się, ale szybko odzyskała rezon. – Niemniej uważam, że nie jest to sytuacja codzienna.
- Gdybym nie wtargnął, wydrapałaby pani jej oczy i nie dałoby się załagodzić skandalu. Powinna mi pani podziękować.
- Niech pan nie zmienia toru moich myśli. Augusta zwróciła się do pana po imieniu. Skoro już zapytałam, to może mi się pan jednak wytłumaczyć?
- Nie wiem dlaczego. Może chciała pani dać do zrozumienia, że jest w lepszej komitywie z synem gospodyni? Może chciała wzbudzić zazdrość? Pamiętałbym, gdybym przeszedł z nią na tak bliskie stosunki. Nie siedzę w jej głowie, do diabła! – zdenerwował się.
- Uznajmy zatem, że to był przypadek. Choć szczerze nie wierzę w to za grosz, ale nie będę do tego wracać. Pana sprawa, z kim pan się umawia i przechodzi na... bliskie stosunki. Nie będę się w to mieszać.
- Zbytek łaski, panno Wieczorek. Chyba nie zdołam się odwdziżyć – odciął się.
- Chce mnie pan sprowokować?
- A udaje mi się?
- Niejako.
- Nie chcę, by wzięto nas na języki. Już i tak goście szepczą o wypadku podczas polowania, zaginięciu dwóch młodzieńców, kradzieży kilku błyskotek, kłótni ciotki Stefanii z wujem Henrykiem i rzucaniu talerzami.
- Po kolei, hrabio Krzyżewski. Kto znowu zaginął?
- Oskar Kamiński i Ignacy Firlejow. Ci sami, z którymi się pani umawiała na przejażdżkę i spacer. Nic pani o tym nie wiadomo?
- Nie prowadzę księgi wejść i wyjść z pałacyku.
- Wiem. Ale żaden niczego nie wspominał?
- Jedna przejażdżka czy spacer nie obligują do tego, by się mi spowiadać.
- A mnie pani jakoś wypytuje, mimo że nigdzie... – Ugryzł się w język.
- Zmilczę to.
- Będę wdzięczny. Uznajmy, że wyjechali bez pożegnania albo są gdzieś w okolicy i niedługo wrócą.
- Uznajmy. Co tam jeszcze pan wspominał? Rzucanie talerzami?
- Nie słyszała pani, jak ciotka Stefania wytłukła pół zastawy śniadaniowej, bo przypomniała sobie, że nakryła kiedyś wuja na kupowaniu takich samych naczyń kochance?
- O! Ciekawa osoba. I żywotna, jak na ten wiek – dodała Izabela z uznaniem. – Jeśli pana wuj miał kochankę przy takiej temperamentnej żonie, to nic dziwnego, że się lekko zdenerwowała.
- Lekko? Omal go nie zabiła jednym z talerzy! A co się przy tym nagadała...
- Żałuję, że mnie przy tym nie było. Ale wszyscy wiedzą, że jest głucha i mówię podniesionym głosem, a poza tym traci pamięć i należy jej takie sytuacje wybaczać. – Nabrała powietrza, by opanować drżenie kolan. Przebywanie sam na sam w ciemności z baronem Krzyżewskim nie mogło pozostać bez wpływu na jej ciało. Nieważne, jak bardzo wypychała by ten fakt ze swojej świadomości.



- Niby wiedzą, ale sama pani wie, jak to jest w towarzystwie. - Przysunął się do niej, by móc mówić ciszej.

- Wiem. - Wypuściła powietrze.

- Nie chcę kolejnych skandali - powiedział, dmuchając prosto w jej czoło.

- Ale do sypialni mnie pan zaciągnął? W nocy!

- To nie sypialnia. To mój dawny pokój.

- To chyba nawet gorzej - odparła cicho. Nie wiedziała, czy ma się zacząć bać, śmiać, bulwersować, czy pozwolić dojść do głosu zupełnie innym odczuciom.

- Nie ma tu nawet łóżka - powiedział bez głębszego zastanowienia, a potem odchrząknął dwukrotnie. - Nie chciałem, by to zabrzmiało w ten sposób - dodał ciszej. Najwyraźniej i on nie pozostawał zupełnie obojętny.

- Dlaczego nie ma tu łóżka? - zapytała zbита z tropu, aby odsunąć od siebie aż nadto przyjemne uczucie kobiety być może pożądanej. - Nie to, żebym chciała... pytam z ciekawości.

- Spłonęło podczas eksperymentów lata temu. Część pokoju przerobiono na garderobę sąsiedniej sypialni, a część na schowek na pościel.

- A my znajdujemy się w schowku? - dopytała, by się upewnić.

- Dokładnie.

- I sądzi pan, że to nas uchroni przed skandalem?

- Sprawdziłem, czy wszyscy już śpią. Nie jestem idiotą!

- To rzecz dyskusyjna, baronie Krzyżewski.

- Nawet jeśli nie śpią - zignorował jej prowokacyjną odpowiedź - to kto będzie w nocy zaglądał do schowka?

- I to ma mnie uspokoić?

- Boże! - jęknął i podszedł do drzwi. Do uszu Izabeli dobiegł dźwięk przesuwania metalu. - Zasunąłem je - wyjaśnił i wrócił na miejsce niczym kot poruszający się z wprawą w ciemności. Bała się nawet wyobrazić te pewne, a jednocześnie płynne, niemal taneczne ruchy. Bo - czemu zaprzeczyć nie mogła - baron Krzyżewski potrafił poruszać się z gracją drapieżnika. Nieświadomie zwilżyła językiem dolną wargę i poczuła na sobie jego palące spojrzenie. Nie mogła dostrzec wyraźnie jego twarzy, a jednak miała przekonanie o tym, że z wolna snuje wzrokiem po jej ciele. A to zupełnie, ale to zupełnie jej nie oburzało. A powinno! Do stu diabłów! Powinno! Zamiast tego odczuwała przyjemne mrowienie i podenerwowanie.

Nie powinna tam dłużej pozostać.

Powinna myśleć o kimś innym, o... Zapomniała o kim.

Zesztywniała, kiedy pochylił się, by znów coś do niej powiedzieć. Nie wykonała żadnego zbędnego ruchu. Z cierpliwością sobie niepodobną czekała na jego gest.

- Muszę pani zadać kilka pytań, panno Wieczorek.

- Tak? - zachrypiąła zmysłowo, co zaskoczyło bardziej ją niż jego.

- Chodzi o kradzież biżuterii.

- Nie bardzo rozumiem. - Starła się skupić na jego słowach, ale gęsia skórka zaczęła powoli obejmować jej nogi, przedramiona, plecy, kark... Odniosła wrażenie, że zaraz obejmie jej duszę... To było tak zmysłowe, tak obezwładniające. Nigdy jeszcze nie znajdowała się w takim stanie.

- Czy kojarzy pani złoty pierścień z różowym diamentem w kształcie poduszki, otoczony malutkimi, białymi diamentkami i z wygrawerowanym herbem rodu wewnątrz i liśćmi winorośli na zewnątrz? - powiedział na jednym wydechu, jakby bał się, że zapomni swojej kwestii.

- Nie przypominam sobie.

Pytał ją o jakąś błyskotkę, a ona miała wrażenie, że zaczyna ją pięścić słowami. Nie chciała dopuścić do siebie tego wrażenia, ale ono było silniejsze od niej.

Pożądała tego mężczyzny. Pożądała, jak nikogo przedtem! Zawładnęła ją cała i nie miała o tym bladego pojęcia. Dobrze, bo przepadałaby z kretesem.

Do licha! Tak bardzo chciała, by pochylił się i dotknął ustami jej ust. By zapomniał się, jak wówczas w chatce rybackiej. Był najbardziej pociągającym mężczyzną, jakiego знаła, i nawet jeśli miałoby to być tylko jednorazowe zapomnienie...

Boże! Zlituj się nade mną i nie pozwól, bym się na niego rzuciła!, powtarzała w myślach.

- Jest pani pewna, panno Wieczorek? Gniewomir Guzowski jechał do pani właśnie z tym pierścieniem. Potem jednak ślad po nim zaginął.

- Nie dotarł na miejsce - powiedziała, zupełnie nieskupiona na tym przesłuchaniu. - Nie otrzymałam od niego jednak żadnego wyjaśnienia. Pierścień zaginął?

- Właściwie - ton barona złagodniał - może po prostu sprzedał tę błyskotkę i nie chce się do tego przyznać rodzinie.

- Może - odparła ledwo słyszalnym głosem. W ustach zaschło jej całkowicie. O czym rozmawiali? O pierścieniu i płonących meblach?

Izabela czuła, jakby to ona zaczynała płonąć. Mało tego. Pragnęła, by Klemens ten ogień w niej podsycił. Nawet jeśli miałaby w nim cała spopieleć. Wiedziała, że ta noc zaraz dobiegnie końca, a wraz ze świtem nie będzie do niej powrotu. To, co czuła, nie miało nic wspólnego z logiką i zdrowym rozsądkiem. Było to czyste, pierwotne pragnienie. Znała już moc jego dotyku. Wiedziała, jaką ma nad nią władzę i jak wielką sprawia jej przyjemność. Wiedziała też, że wszystko, co zrobi, będzie złe. Niewybaczalne. A jednak nie potrafiła... nie chciała się przed tym bronić.

- W pałacyku też zaginęło kilka przedmiotów.

- Wiem.

- Nie podejrzewam pani - ubiegł ją na wszelki wypadek. - Pytam tylko, czy pani coś wie na ten temat.

- Nic, poza tym, czego pan już się zdążył dowiedzieć.

- W takim razie nie powinienem pani dłużej zatrzymywać.

- Nie powinien pan - odrzekła, podsunęła się o kilka centymetrów do przodu i uniosła wyżej głowę.

- Powinienem otworzyć drzwi - wychrypiał.

- Tak byłoby najrozsądniej - odparła i nabrała łąpczywie powietrza.

Nie mogła pozwolić, by to spotkanie dobiegło końca. Nie teraz, kiedy znalazła się na skraju przepaści. Nie teraz, gdy narastające w niej napięcie mogło w każdej chwili eksplodować. Przygryzła niemal do krwi dolną wargę i zacisnęła pięści. Dlaczego, na Boga, nie potrafiła uwolnić się spod jego władzy?! Nie miała dotąd pojęcia, że istnieją mężczyźni obdarzeni tak

silnym fizycznym urokiem. Nie miała też pojęcia, że istnieją momenty, w których rozum przestaje mieć jakąkolwiek kontrolę nad żądzą.

– Czy jest coś jeszcze, co chciałyby pani wyjaśnić?

To był ostatni moment na wycofanie się. Jeśli chciała uratować swą duszę, musiała zwalczyć pragnienie. Tak bardzo chciała objąć go i zatrzymać, i jednocześnie tak bardzo bała się, że to uczyni, że niemal zaczynała tracić zmysły.

Z całych sił napięła mięśnie, by nie poderwać się i nie zarzucić mu ramion na szyję. A potem, kiedy zdecydował za nich oboje, z ulgą i nieskrywanym żalem opuściła schowek, cicho stawiając kroki, by dojść do swojej sypialni. Bowiem Klemens ostatkiem woli podszedł do drzwi schowka i wypuścił Izabelę na korytarz. Jeszcze chyba nigdy w życiu nie przydała mu się tak bardzo samokontrola, którą budował przez lata.

Jak mógł postąpić tak nieuczciwie i całkowicie bezmyślnie? Poczucie winy jeszcze chwyciło go i zaczęło ścisnąć coraz bardziej. I dobrze. Lepsze to niż palące od środka pożądanie. Chuć w czystej postaci, nad którą nie sposób zapanować. A zawsze był takim subordynowanym mężczyzną. Chętnie się tym wielokrotnie przed Maurycym, uważając jego popędy za coś niegodnego. Może usprawiedliwionego, ale niegodnego. Nie zdawał sobie sprawy, jak zamknięcie w ciasnym, ciemnym schowku rozbudzi jego zmysły. Instynktownie pociągnął Izabelę za ramię, by porozmawiać w spokoju, ale dopiero po chwili zdał sobie sprawę, w co się tak naprawdę wpakował.

Obiecał wicehrabiemu Giełczyńskiemu rozejrzenie się za poważnym kandydatem na jej męża. Obiecał matce, że zdusi w zarodku wszystkie skandale mające miejsce w pałacyku. Pod dachem, gdzie mieszkały jego młodsze siostry, dla których powinien być wzorem prawdziwego dżentelmena! Jak mógł pozwolić sobie na taką lekkomyślność?! Przecież wiedział, że nie jest mu obojętna. Od spotkania w chacie rybackiej nie przestawał o niej myśleć i tylko zdrowy rozsądek trzymał go z dala od niej. Nie była przeznaczona dla niego i nie mógł splamić honoru ani jej, ani własnego, ani swojej rodziny.

A jednak. Bez zastanowienia zamknął się z nią w ciasnym pomieszczeniu bez przyzwotki. Dobrze, że jej nie wystraszył. Nie mogła przecież zawołać o pomoc, bo skompromitowałoby to ją doszczętnie. Nie mogła krzyknąć, gdyby... w zasadzie mogłaby krzyczeć, ale nie ze strachu... Wstrząsnął nim dreszcz na samą myśl o tym, z jakiego powodu mogłaby zacząć krzyczeć. A to wcale nie ostudziło jego rozpalonych do granic wytrzymałości zmysłów. Przeciwnie, sprawiło, że jego apetyt, a raczej niczym niezaspokojony wilczy głód, ewoluował do rozmiarów, nad którymi nie był już w stanie zapanować.

Co ona z nim zrobiła?! Ta mała, zadziorna, zbuntowana, niepokorna, uszczypliwa, temperamentna istota.

Od czego to wszystko się zaczęło? Może od momentu, kiedy ujrzał ją w objęciach tamtego chłopaka? Może od chwili, gdy nakryła go podsłuchującego jej kłótnię z przyjaciółką, a może od pierwszego tańca? Nieistotne. Najgorsze było w tym właśnie to, że teraz było to nieistotne. Nie liczyło się dla niego ani to, jaki to miało początek, ani to, do czego to wszystko zmierza. Liczyło się tylko teraz. Tu i teraz.

Nogi same poniosły go pod drzwi jej sypialni.

Wiedział, że nie powinien tego robić. Wiedział, że ona nie powinna była tego robić. Powinna go uderzyć w twarz, wypchnąć, zatrzaskać drzwi. Powinna go nie wypuścić. A on

powinien odejść i nigdy więcej nie wracać. Powinien...

Ale ani ona, ani on, żadne z nich nie robiło teraz nic, co robić powinno.

## 19.

Izabela zamknęła cicho drzwi i oparła się o nie plecami. Nie potrafiła uspokoić skołatanych nerwów. Nie potrafiła uspokoić emocji. Z trudem łąpała powietrze i starała się opanować drżenie wszystkich członków.

Jak? Jak mogła do tego dopuścić?!

Nie potrafiła wykonać żadnego ruchu.

Ogień w kominku płonął w najlepsze, za oknem panowała ciemność. Słychać było jedynie szmer wiatru i jej kołaczące serce.

– Boże – szepnęła drżącym głosem. Gdyby nie otworzył tych drzwi od schowka, to... Nie wiedziała, czy powinna odczuwać wdzięczność, czy urazę. – Pomóż mi to opanować. Proszę!

Nabrała powietrza ustami i wypuściła nosem. Powtórzyła to kilkukrotnie, by wrócić choćby częściowo do równowagi wewnętrznej. Ale Bóg nie wysłuchał jej błagania, bo bezbrzeżna tęsknota, nienasycenie i niemal boleśnie odczuwalna pustka nie chciały ustąpić. Zezłościła się sama na siebie. Na siebie i na Klemensa. To w końcu w znacznej mierze była jego wina!

Nagle poczuła uderzenie w plecy i jej stopy przesunęły się wolno po podłodze. Ktoś otworzył drzwi i przepchnął ją do wnętrza pokoju. Oprzytomniała i wyjrzała na korytarz.

– Baron Krzyżewski?

Spojrzał na nią przytępiałym wzrokiem. Mogła teraz dostrzec jego twarz dzięki blaskowi płomieni.

Uniósł lewą brew i kącik ust po tej samej stronie. Ten cholerny mężczyzna! Szatan, o którym nie mogła przestać myśleć, rozumiał ją doskonale. Jakby potrafił odgadnąć, co zamierzała uczynić przed kwadranssem. Czy domyślał się, że pragnęła go uwieść?

Klemens nie rozumiał już sam siebie. Z jednej strony nie cierpiał tej małej złońnicy, a z drugiej nie potrafił oprzeć się jej urokowi. Podziwiał ją nie tylko ze względu na jej aparycję i umiejętności brylowania na salonach. Podziwiał w niej dokładnie te cechy, przez które się na nią złościł: umiejętność manipulowania ludźmi, zjednywania sobie ich i przepoczwarzania się jak na zawołanie ze słodkiego aniołka w podstępą diabolicę i byciu w obu tych rolach prawdziwą sobą. Jakby mieszkaly w niej dwie zupełnie odrębne kobiety. A może to on widział w niej dwie zupełnie odrębne kobiety?! Chyba zaczynał tracić zmysły.

Chwycił ją za ramię, pchnął delikatnie do środka i wszedł wolnym krokiem za nią, po czym zamknął cicho drzwi i podparł kłamkę krzesłem stojącym pod ścianą.

– Musimy omówić jeszcze kilka kwestii. Bez świadków i ...

– Jeżeli ktoś nas nakryje, to wie pan, czym to grozi. Tym razem się pan nie wykpi. To moja sypialnia – podkreśliła.

– Pani wuj wszystko zatuszuje, jak zwykle.

– Zaczyna pan wierzyć bratu?

– Być może – odparł, nadal trzymając jej ramię w ciasnym uścisku.

– Już jesteśmy sami i zamknięci, może mnie pan puścić.

– Przepraszam. – Zmieszał się i odstał o krok.

Baron Krzyżewski potrafi pokazać ludzkie uczucia, przebiegło jej przez głowę. A wówczas zdała sobie sprawę, że znów tkwią zamknięci, jak jeszcze przed kwadranssem, tym razem w oświetlonym jedynie blaskiem ognia z kominka pokoju gościnnym i nikt nie ma pojęcia, że nie jest tu sama.

– Czy nie wypytał mnie pan już o wszystko, baronie? – Spojrzała mu prosto w oczy i to był błąd, bo dobrze wiedziała, że spojrzenie jego srebrnych oczu ma coraz większy wpływ na jej podświadomość.

– Nie.

– Słucham zatem.

– Chciałbym panią przeprosić. Może źle panią oceniłem, panno Wieczorek.

– Pan przyznający się do błędu? Muszę to gdzieś odnotować.

– Pożyczyć pani pióro i papier?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Zgadza się. Mam poczucie humoru. Sam bym się o nie nie podejrzewał, a jednak.

Klemens walczył przez chwilę sam ze sobą, ale zwyczajnie nie potrafił oprzeć się pokusie. Ba, wcale nie chciał jej się opierać.

Pochylił się i spojrzał na jej usta. Musiałaby być niespełna rozumu, by nie wyczuć jego intencji. Zmarszczył czoło, napiął wszystkie mięśnie i wpatrywał się zaciekle, badając jej reakcję.

– Jeżeli powie pani choćby jedno słowo, to tego nie zrobię, panno Izabelo.

– Jest pan dżentelmenem.

– W tej chwili rozważam popełnienie samych niedżentelmeńskich czynów...

Przełknęła ślinę.

– Jedno słowo – przypomniał.

Zadrżała. Wcale nie było chłodno i nie bawiło ją to, że prowokują siebie nawzajem. Póki wiedziała, że to jedynie gra w kotka i myszkę, przynajmniej z jego strony, nie docierało do niej, że ich zabawa może mieć jakieś konsekwencje. Miała przecież zamiar poślubić Anthony'ego.

Czyżby baron Krzyżewski przestał się z nią bawić i zaczął traktować na poważnie? Być może pomyślała raz czy dwa, że nie byłby to taki zły pomysł, jednakże wcielenie tej myśli w życie to coś zupełnie innego.

A może nie brał jej na poważnie? Może jego też trawiło od środka to, co zaczynało pochłaniać powoli ją samą? Może też nie był w stanie zapanować nad reakcjami własnego ciała i zwyczajnie chciał zaspokoić swe pierwotne żądze? Może wcale nie było w tym nic złego? Od zarania dziejów ludzie ulegali swoim instynktom. Byłaby zarozumiała i głupia, sądząc, że oni potrafią się wznieść ponad to. Byli ludźmi. Do jasnej cholery! On też musiał czuć to palące pragnienie i nie mogła go za to potępić.

Zerknęła na niego ostrożnie i wiedziała już, że patrzył na nią z takim uwielbieniem i głodem, jakiego nie mógłby odegrać. I dotarło do niej coś jeszcze. Ona też miała nad nim władzę! Zrozumiała jednak, że władza nad tym mężczyzną ją przeraża. Przeraża jeszcze bardziej niż jej brak...

Wysunęła koniuszek języka i zwilżyła wargi, następnie przygryzła mimowolnie dolną. Nie poruszyła się ani o centymetr. Nie zaoponowała, ale też nie przejęła inicjatywy. Przez krótką chwilę zapragnęła być grzeczną, zdobywaną panienką. Może nawet lekko się zarumieniła. Nie mógł tego dostrzec przy tak niskim świetle.

Wyciągnął dłoń, dotknął jej podbródka i uniośł go lekko.

Wiedziała już, że nie będzie oponować. Nawet jeśli doprowadzi to do jej zguby. I niech diabli porwą rozsądek!

Złożył delikatny pocałunek na jej czole. Z wolna przesunął się, całując nasadę i czubek nosa, aż dotarł do rozchylonych, spragnionych ust. Całował ją powoli i głęboko, a ona stała bez najmniejszego oporu, pozwalając mu przejmować kontrolę. Ona! Kobieta, która nigdy nie chciała podporządkować się żadnemu mężczyźnie, mimo że tak bardzo pragnęła stać się z którymś z nich związana.

Próbował powstrzymać siebie. W myślach powtarzał sobie, że powinien już wyjść. Uciec stamtąd, nim oboje przekroczą tę nieodwracalną granicę. Jakiś demon podpowiadał mu jednak, że może zostać jeszcze odrobinę, jeszcze gest, jeden pocałunek, jeden dotyk...

Schylił się i pocałował zagłębienie jej szyi, w duchu modląc się, by zaczęła stawiać opór, by odtrąciła go, wymierzyła policzek, odepchnęła z wyrzutem... żeby zakończyła za niego to istne szaleństwo.

Pragnęła go tak, jak sobie nigdy tego nawet nie wyobrażała. Nie mieściło się jej w głowie, że można chcieć czegoś lub kogoś do tego stopnia. Czytała kiedyś o wampirach łakących ludzkiej krwi, bez której głód trawił je od środka. Zaczynała rozumieć te bestie aż za dobrze. Nie potrafiła dłużej poddawać się pocałunkowi. Rozchyliła szerzej usta i wysunęła język na powitanie jego języka.

Zaczęło szumieć mu w uszach, w oczach pociemniało, a dłonie same zaczęły obejmować talię Izabeli. Czuł się niczym w amoku. Oplotła językiem jego język, a jej drobne dłonie powędrowały na jego kark, pieszcząc delikatnie skórę i wplątując się w przydługie włosy. Nie oponowała. Przeciwnie, to ona zaczynała inicjować kolejne pieszczoty. Przesunęła dłoń wzdłuż jego pleców, a kiedy znalazła się na wysokości bioder, wsunęła ją pod jego surdut. Gdzieś w najgłębszym zakątku swojej wyobraźni zobaczył świetliste fajerwerki i usłyszał fanfary. To ona zaczynała zdobywać jego. Matko przenajświętsza! Co za kobieta! Nie mała złośnica, a kobieta! Zmysłowa, sensualna kobieta. W zupełności gotowa i całkowicie chętna, by z nim być.

Przesunął dłonie niżej i pogładził z namaszczeniem jej pośladki. Były zaokrąglone, jędrne i niezmiernie kuszące... Ścisnął jeden z nich, ale resztki zdrowego rozsądku kazały mu cofnąć dłoń i przesunąć ją wyżej, na plecy.

Oderwała się od jego ust i z zamglonym spojrzeniem cofnęła o krok.

Wstrzymała oddech. Czy to koniec! Czy teraz go odepchnie? Wyrzuci ze swego pokoju?

Podeszła wolnym krokiem, uniosła dłonie i chwyciła poły jego surduta. Nie powiedziała nic. Nie musiała. Rozsunęła materiał i zwinnym ruchem ściągnęła surdut z jego pleców, a następnie rzuciła na krzesło podpierające drzwi.

Patrzył na nią w wyczekiwaniu. Przysunęła się bliżej i dotknęła fularu, a następnie rozwiązała go i bardzo wolnym ruchem ściągnęła z jego szyi. Zmarszczył brwi i poruszył nozdrzami, a potem schwyił ją i obrócił plecami do siebie. Niezbyt ostrożnie, ale skutecznie

powyciągał szpilki z jej włosów, odłożył na stojącą pod ścianą toaletkę, wrócił i stanął za jej plecami. Pochylił się, wziął kilka loków między palce i rozczesał je nimi, rozdzielając na mniejsze kosmyki, a później jeden z nich przyłożył do policzka i wciągnął głęboko powietrze.

Od dawna podobały mu się jej włosy. Lśniące, falowane, gęste. Teraz wiedział, że również miękkie i pachnące lawendą. Pozbierał je w garść i lekko szarpnął, by ułatwić sobie dostęp do jej szyi. Następnie w jej zgięciu złożył gorący, szorstki pocałunek, zachwycając się delikatnością jej skóry. Pograżył się całkowicie w tym doznaniu.

Jeżeli do tej pory Izabela była ledwie w stanie utrzymać się na nogach, to po tym, jak szarpnął jej włosy i władczo wpił się w jej szyję, drażniąc skórę króciutkim, gęstym zarostem, to teraz graniczyło to z cudem. Kolana miała jak z waty. Ostatkiem woli przypominała sobie o oddychaniu.

Tymczasem dłonie Klemensa ułożyły jej pukle na jednym ramieniu, a kiedy usta wpijały się coraz gwałtowniej w zagłębienie szyi, te powędrowały na jej brzuch i rozpoczęły wspinaczkę wyżej i wyżej, aż dotarły do wypukłości jej piersi. Jęknęła cicho, ale bojąc się, że spłoszy tę chwilę, nie wykonała żadnego ruchu, tylko czekała, co nastąpi potem.

Klemens jakby ostatkiem sił starał się powstrzymać siebie przed przekroczeniem kolejnej granicy, ale w żaden sposób nie mógł zapanować nad swoim ciałem. W zasadzie prawda była taka, że przestał starać się to robić. Położył dłonie na jej okrągłych, bujnych piersiach i przez materiał sukni uniośł lekko, jakby szacował ich wagę. Następnie powolnym ruchem zbadał całą ich powierzchnię, aż odszukał sutki. Zaczął pieścić je wolnymi, kolistymi ruchami, aż stały się twarde niczym małe perełki. Dotykane przez materiał jednak nie wystarczyło. Sięgnął do zapięcia i szarpnął gwałtownie, aż drobnutki guziczki sukni posypały się jeden po drugim, turlając się po podłodze.

Izabela z jękiem wypuściła powietrze i zebrawszy wszystkie siły, odwróciła się twarzą do niego. Szybkim ruchem szarpnęła jego koszulę, nie dając szans cienkim nitkom trzymającym w ryzach guziki. Nie zważając na zsuwający się z dekoltu materiał sukni, podsunęła się, uniosła dłonie i rozchyliła materiał. Następnie jedną dłoń położyła płasko na obnażonej piersi mężczyzny i kolistym ruchem zbadała napiętą, pokrytą drobnymi, czarnymi włoskami skórę, pod którą wyczuła twarde, naprężone mięśnie. Drugą uniosła wyżej, w poszukiwaniu jego ust.

Pocałował opuszki jej palców, schwycił dłoń i zamknął w żelaznym uścisku swojej. Pochylił się i dotknął wargami jej ust. Tym razem pocałunek był gorący, gwałtowny i wymagający. Jego usta płonęły pożądaniem i był w nich wyraźny rozkaz, by i ona wyzbyła się wszelkiej samokontroli. Całował ją tak, jakby nic innego nie miało dla niego znaczenia. Dla niej również ten pocałunek był teraz wszystkim, czym pocałunek mógłby być.

Jedną ręką przytrzymywał nadal jej dłoń, a drugą obejmował plecy. Wyrwała z uścisku swoją i znów wplatała palce w jego włosy nad karkiem, po czym zaczęła wdzierać się palcami wyżej, drapiąc skórę jej głowy.

Wolna dłoń barona dotknęła jej obojczyka, a następnie powędrowała niżej, a kiedy dotknął skóry jej piersi, wydała z siebie gardłowy jęk i łączywie nabrała powietrza.

Zaprzagnął czegoś więcej. Schylił się i dotknął językiem jej sutka. Wypuściła powietrze, a z jej ust wydobył się mimowolny krzyk. Uniośł głowę wyżej i zamknął jej usta pocałunkiem. Tym razem krótkim, stanowczym. Przywołującym ją do porządku. Powrócił do rozpalonych piersi. Izabela wygięła się instynktownie w łuk, ułatwiając mu do nich dostęp. Czubkiem



języka obwiodł brodawkę. Skóra w tym miejscu była niezwykle delikatna i smakowała tak wspaniale! Zaczął pieścić dłońią drugą jędrną pierś, po czym oderwał język od tamtej i zaczął przygryzać sutek tej drugiej. Cały czas zerkał na reakcję Izabeli, jakby chciał upewnić się, czy jej nie wystraszy.

Fala gorąca zalała jej podbrzusze.

- Pragnę cię. Potrzebuję - szepnęła.

Podniósł się, a ona zarzuciła mu ramiona na szyję, jakby tonęła, a jedynie on mógł ją uratować.

Przytrzymał jej ręce w łokciach i spojrzał na nią uważnie, a potem jego oczy pociemniały, przyjmując barwę grafitu, a w spojrzeniu ujrzała satysfakcję i coś jeszcze... Coś, czego nie potrafiła zdefiniować. Przez głowę przebiegły jej setki pourywanymi myślami, informacjami, ostrzeżeń, zakazów... a potem przestała myśleć. Podsunęła się wyżej i pocałowała go z nieskrywaniem już pożądaniem. Oddał ten pocałunek ze zdwojoną siłą. Całował ją gwałtownie, gorąco, obezwładniająco. Rozchyliła usta i pozwoliła, by wtargnął do ich wnętrza, penetrując je całe językiem.

Jej dłonie wtargnęły pod jego koszulę, eksplorując powierzchnię szerokich pleców. Nie zmniejszyła intensywności pocałunku, a kiedy jego dłonie znów zawędrowały do jej piersi i zaczęły uciskać je naprzemiennie, rozpaczliwie zapragnęła czegoś więcej.

Jakby odczytał jej myśli i wolę. Schwycił ją rękoma za pośladki i uniósł. Izabela przytrzymała się jego pleców i pozwoliła usadzić się na skraju wysokiego łóżka. Ukląkł przed nią i uniósłszy głowę, wpił się w jej rozpalone usta. Objęła jego głowę rękoma i zaczęła ssać jego język. Odpłacił tym samym, rozpoczynając zmysłowy taniec przypominający pojedynek. Kiedy jęknęła, odpowiedział jękiem i sprawnym ruchem pociągnął za materiał jej sukni, by odsłonić do reszty piersi.

Poczuła chłodne powietrze na odsłoniętej skórze, a zaraz po nim gorący oddech Klemensa. Przymrużyła w oczekiwaniu oczy, a kiedy tylko przyssał się do jednego z sutków, z jej gardła wydobyło się głośne mruknięcie. Musiała przysłonić usta, by nie krzyknąć z rozkoszy.

Zamruczał z zadowoleniem, ale opanował pożądanie i oderwał się od jej piersi, by skupić teraz uwagę na czymś innym. Schylił się i zsuł jeden po drugim jej skórzane buciki, które następnie niedbale odrzucił w kąt pokoju. Schwycił jej drobną stopę i wyprostował się, zerkając na jej nabrzmiałe usta.

Nie czekała, aż się podniesie, złapała go za głowę i pociągnęła władczo do siebie. Przykląkł na jedno kolano, a na zgiętej nodze położył sobie jej stopę, po czym przywarł do jej warg, obdarzając delikatnym, wręcz czułym pocałunkiem. W międzyczasie dłońią przesuwając w górę i w dół po jej nodze, budząc w niej nieodparte pragnienie. Drażnił się z nią, podsuwając warstwy materiału sukni to w górę, to w dół, a paznokciami przesuwając po jej łydce, wędrując coraz wyżej i wyżej, aż dotarł na skraj wełnianej pończochy, którą pociągnął bez większej delikatności, co sprawiło, że oddech Izabeli stał się jeszcze szybszy i płytszy. Przesunął jej bieliznę w górę i dotknął opuszkami nagiej skóry nad pończochą. Była gładka, rozgrzana i niesamowicie delikatna, niczym jedwab, aksamit albo połączenie ich obu naraz. Gładził jej nagą skórę, okrążając udo, aż dotarł na skraj pośladków. Robił to jednak bardzo ostrożnie. Według Izabeli nazbyt ostrożnie, dlatego chwyciła jego dłoń przez materiał spodnicy i zacisnęła na swoim udzie. To doprowadziło go do krańca wytrzymałości i pozbawiło resztek

zdrowego rozsądku. Stracił panowanie nad własnymi reakcjami i pogрузił się w ponaglącym pragnieniu.

Pchnął ją lekko na poduszki. Opadła na plecy, a kiedy pochylił się nad nią, przyciągnęła go, pochwycawszy za koszulę, i władczo przygryzła jego wargi. Nagie piersi dotknęły jego torsu. Jęknął z rozkoszy i wpił się w jej usta kolejny raz, a ich języki połączyły się w przedsmaku do najbardziej intymnego aktu. Zawładnął nim ten pocałunek. Zamknął oczy i nie zważając, że przegniata ją swoim ciężarem, wpijał się coraz zacieklej.

Jej płuca błagały o oddech, ale nie potrafiła odmówić sobie rozkoszy, jaką dawał jej ten słodki ciężar. Dopiero na skraju omdlenia wbiła paznokcie w jego ramiona i odepchnęła.

Oparł czoło o jej czoło i zająrzył w głąb jej rozwartych źrenic.

– Powstrzymaj mnie – szepnęła. Ale jego oczy mówiły coś zgoła innego.

W odpowiedzi dotknęła koniuszkiem języka jego brody, a następnie przygryzła jej zarys.

– Nie potrafię – wymruczała półprzytomna. – Nie chcę...

Ponownie jej dłonie powędrowały na plecy, tym razem pod materiałem koszuli, a paznokcie coraz intensywniej wbijały się, zostawiając za sobą różowe ślady na rozpalonej skórze.

Otarł się o jej piersi. Zaczęła wic się pod nim, potęgując własne doznania, a potem z zamkniętymi oczami odnalazła jego dłoń i położyła na swojej piersi.

– Tutaj.

Nie potrzebował zachęty.

Pochylił się i przygryzł płatek jej ucha.

– Jesteś niesamowita – wymruczał.

– A ty... – Zabrakło jej słów, kiedy zaczął przygryzać jej szyję i pieścić językiem obojczyk.

Podparty na łokciu i jednym kolanie, by nie miażdżyć jej bardziej, zgiął jej nogę i rozerwał pończochę do wysokości kolana, by móc ugniatać i pieścić krągłe udo.

Żar między nimi narastał. Bezwstydy, grzeszny, niosący rozkosz...

Odrzuciła głowę do tyłu i oddała się temu doznaniu. W międzyczasie jej palce dotykały jego brzucha. Twardego, płaskiego, z wyraźnymi zarysami poprzecznych mięśni... i schodziły ścieżką wyznaczoną przez wijące się włoski ku zapięciu spodni. Kiedy dotknęła ich krawędzi i wsunęła palce za paśnicę, odsunął się lekko, ale tylko po to, by złożyć pocałunek pomiędzy jej piersiami i wyznaczając tor językiem, dotrzeć do jednego z sutków. Objął go ustami i zaczął pieścić namiętnie językiem, wargami, zębami... Jednocześnie jego dłoń docierała wyżej i wyżej, pnąc się płynnym ruchem po nagiej skórze uda, aż Izabela zaczęła jęczeć z rozkoszy, zalana falą zupełnie nowych dla niej doznań. Poczwała strumyki ciepła rozchodzące się po całym jej ciele. Zaczęła płonąć, ale nadal czuła niedosyt, którego nie rozumiała, a jednak pragnęła go czymś wypełnić.

Jej ręce, nieposłuszne rozkazom rozumu, znów powędrowały do jego spodni.

Ostatni raz spojrzył w jej oczy pociemniałe od pożądania.

– Chcę tego! Chcę tego wszystkiego, Klemens – szepnęła.

Zadrżał lekko, widząc, jak bardzo go teraz pragnie. Ta wiedza niemal go powaliła. Ale była tak intensywna, że wdarła się z całą bezwzględnością do jego sumienia, przywracając ostatki samokontroli.

- Proszę cię!

- Przepraszam. - Nie potrafił pozbawić jej dziewictwa. Nie ze świadomością, że jego brat... Że ona nigdy nie będzie jego... - Przepraszam cię. - Odsunął się od niej z miną zranionego zwierzęcia. - Przepraszam, Izabelo.

Oparła się o poduszki i wyciągnęła dłoń, by dotknąć jego policzka. Nie odtrącił jej. Ujął i pocałował jej wnętrze, a następnie zamknął ją w swojej, jakby chciał, by ten pocałunek przechowała.

Podsunała się bliżej, a on oparł czoło o jej czoło i pogładził włosy.

- Wiesz, że nam nie wolno.

- Wiem - odparła smutno.

- Powinienem pójść - powiedział bardziej do siebie niż do niej. Ale nie odszedł. Objął ją ramieniem i przywarł do niej, starając się uspokoić przyspieszony oddech. Zrozumiała go bez słów. Wtuliła się w niego w poszukiwaniu wybawienia, ale nic nie przynosiło ulgi. Żar nie stygł. Jej serce waliło tak, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi.

On też dobrze wiedział, że tego pragnienia nie ugasi w żaden inny sposób, ale nie mógł postąpić inaczej.

- Przepraszam. - Odsunął się od niej, wstał i nie oglądając się za siebie, podszedł do krzesła, chwycił surdut, fular i ostrożnie wyrzwał na korytarz, by zniknąć w ciemności nocy.

## 20.

Panna Rottermund z samego rana opuściła majątek hrabiny Modlińskiej, nie robiąc wokół siebie zamieszania, i Izabela powinna poczuć ulgę. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

Czasem zdarzają się takie momenty, które życie i sposób postrzegania rzeczywistości przewrócą nieodwracalnie do góry nogami, nawet jeśli ludzie sami jeszcze nie zdają sobie z tego sprawy. I ta noc była dla Izabeli takim właśnie momentem przełomowym. Ona jednak musiała jeszcze dojrzeć do tego, aby to zrozumieć.

Ze zbuntowanej, zadziornej pannicy przeobraziła się tej nocy w kobietę. Świadomą swojej kobiecości, ale niestety jeszcze bardziej zagubioną niż do tej pory.

Aby nie myśleć bez przerwy o tym, co zaszło między nią a baronem Krzyżewskim, zeszła na śniadanie w porze, kiedy jadalnia była najbardziej oblegana przez gości. Na dole zastała jednak jedynie państwa Hryniewickich, kilka starszych dam i swojego wuja. Nie było żadnego z jej adoratorów, ale i nikogo z liczego potomstwa hrabiny Modlińskiej.

W pierwszej chwili ucieszyła się, bo flirtowanie nie było teraz czymś, w czym mogłaby się sprawdzić, później jednak pożałowała braku męskiego towarzystwa, bo wuj przysiadł obok niej i wykorzystując, że reszta osób zajęta była sobą nawzajem, zaczął wypytywać ją przyciszonym głosem o zajście z panną Rottermund i postępy jej planu dotyczącego znalezienia męża.

Izabela od dawna zdawała sobie sprawę, że wuj interesuje się tym wszystkim w jakiś niezdrowy sposób, ale teraz stało się to dla niej wyraźniejsze, zwłaszcza że (kiedy na szybko przeanalizowała wszystkie fakty związane z jej adoratorami) wtrącanie się wicehrabiego zamiast pomóc, tylko jej szkodziło. Wolała nie okazywać zbytniego entuzjazmu.

- Co z hrabią Athertonem?

- Jest miły i bardzo go lubię, ale jak wuj sam może zauważyć, niezbyt chętny do ożenku ze mną.

- Być może się mylisz, moja droga. Nie każdy musi wyklądać od razu swoje karty.

- Być może, ale nie nastawiałabym się zbyt frenetycznie.

- A pozostali kawalerowie? - zapytał wicehrabia.

- Interesowali się, to prawda, ale coś ostatnio nie mogę na nich trafić, a pałacyk nie jest znów taki duży. Przy organizowanych rozrywkach też ich nie widuję.

- Może wyjechali albo nie biorą we wszystkim udziału. Wiesz sama, jacy są młodzi mężczyźni.

- Jacy?

- Zajęci sobą i niezbyt chętni na poświęcenie swego czasu. Owszem, zaczepiają, flirtują, okazują zainteresowanie, ale ich uwaga nie koncentruje się zbyt długo na jednej rzeczy. Nie liczyłbym, by poświęcali wygody życia, by uganiać się za małżonką. Mężczyźni w pewnym wieku raczej unikają ślubnego kobierca.

- Nie wszyscy, nie wszyscy, mości panie - wtrąciła się Stefania Hryniewicka, która przysłuchiwała się mało dyskretnie ich konwersacji.

- Co pani ma na myśli? - zapytał wicehrabia.

- Mój Henryczek, jak już sobie mnie upatrzył, to nawet wilki go przed zalotami nie powstrzymały.

- Wilki? - zdziwiła się Izabela.

- Tak - odpowiedziała z zapalem starsza dama. - Wybrał się kiedyś biedak przez las, by szybciej do mnie dojechać, a kiedy gapa spadł z konia uderzony gałęzią, to został zaatakowany przez wilki. Całe szczęście, że potrafił się dobrze wspinać, a drzewa były na tyle wysokie, by mógł tam przeczekać, aż nadjedzie pomoc.

- Nie tylko przeczekać. Nawet pospać. Bo coś niespieszno było z tym ratunkiem - dopowiedział jej małżonek, obejmując ją czule za ramię. - To były czasy.

- Ale jak pan mógł spać na drzewie? - dopytała Izabela.

- Przywiązałem się do pnia, rozsiadłem na grubej gałęzi i zwyczajnie zasnąłem. Pomoc nadeszła dopiero rano. Dobrze, że to wiosna była i nie padało. Inaczej mógłbym tam zamarznąć i przypłacić życiem moje zaloty.

- Gdybyś uważniej jechał, to byś się nie wpakował w tarapaty, mój drogi - odparła żona (dziś w znacznie lepszej formie).

- Nie moja wina. Było już szaro, a gałęzie rosły, gdzie popadnie.

- A co z koniem? - zainteresowała się jakaś starsza dama.

- Uciekł. Całe szczęście, bo wilki by go pewnie zjadły na moich oczach. Wyglądały na wygłodniałe. Bestie. Do dziś pamiętam ich ślepią.

- Mój bohater. - Poglądziła go po policzku małżonka. - Gapa, ale bohater. - Uśmiechnęła się.

Potem podobne historie opowiedziały inne damy, a wicehrabia pochwalił się swoim kunsztem myśliwskim i Izabela mogła na chwilę odetchnąć.

Hrabina Modlińska, która weszła do jadalni i przysłuchiwała się przechwałkom wicehrabiego, puściła dyskretnie oko do panny Wieczorek i wypiuwszy jedynie kilka łyżek kawy, pożegnała się. Tak jak obiecała i synowi, i pannie Wieczorek, również nie mitrężyła czasu i zaczęła wprowadzać w życie plan przyjrzenia się z bliska dziwnemu zachowaniu mężczyzny. Najlepszym sposobem (jak wynikało z jej wieloletniego doświadczenia w tej materii) było wprowadzenie szpiega. Ścisłej mówiąc, szpiega kobiety. Najlepiej takiej, której wicehrabia nie byłby w stanie się oprzeć, a przynajmniej z którą będzie musiał się liczyć.

Tym sposobem do działania wkroczyła służąca, którą Izabela miała okazję poznać w gabinecie pani domu.

- Prezentujesz się naprawdę wytwornie. - Hrabina Modlińska prześlizgnęła wzrokiem po sylwetce przyjaciółki. - Sama bym cię nie rozpoznała, ale na wszelki wypadek przeprowadzimy eksperyment.

- Kto tym razem?

- Anthony.

- Wybornie - klasnęła - jeżeli on się nabierze, to wicehrabia tym bardziej.

- Powinien tu przyjść za kilka minut. Zajmij miejsce przy stoliku do kawy i ani mi się waź sama obsługiwać. Pochodzisz z tradycyjnego rodu i nie uznajesz zachodnich nowości. Herbaty naleje ci ta nowa służąca. Przy okazji zobaczymy, czy coś zauważysz.

- Myślisz o wszystkim.

- Przynajmniej się staram – rzuciła hrabina, wstając z miejsca. – Pójdę na korytarz, żeby wprowadzić Anthony'ego.

Marysia Matajowa, a w tej chwili madame Moreau, wyprostowała się na skórzanym, eleganckim fotelu i udając obojętność, przeglądała jakiś modowy periodyk.

- Anthony – usłyszała za sobą głos hrabiny Modlińskiej – chciałabym ci przedstawić moją dawną przyjaciółkę, madame Moreau.

- Bardzo mi miło. – Mężczyzna się skłonił i podszedł, by zgodnie z polskim zwyczajem ucałować dłoń poznanej damy. – Jak długo pani u nas zabawi?

- Nie jestem pewna, ale co najmniej tydzień. – Spojrzała mu prosto w oczy, szukając potwierdzenia, czy rozpoznał w niej jedną z pokojówek matki. Najwyraźniej nie, choć przyglądał się jej badawczo.

- Cieszę się. Mam nadzieję, że miło pani spędzi tu czas.

- Dziękuję.

- A teraz wybaczyć, synu – rzekła hrabina Modlińska – ale za chwilę zjawi się tu panna Wieczorek i chciałybyśmy porozmawiać z nią bez świadków.

- Naturalnie. – Skłonił się i wyszedł, nie pytając o nic. Hrabina wiedziała, że jego angielskie wychowanie każe trzymać w ryzach wszelkie oznaki ciekawości.

Po kilku minutach do gabinetu zawitała Izabela, a do sąsiedniego pokoju wślizgnął się (nie po raz pierwszy) baron Krzyżewski. Zauważył ją i nogi same poniosły go pod drzwi przyległego pomieszczenia. Nie potrafił zresztą skupić się na niczym innym. W głowie ciągle tkwiła mu ona i to, co nie tak dawno między nimi zaszło.

- Niech się pani nie krępuje, panno Wieczorek. Ufam mojej przyjaciółce bardziej niż samej sobie. Nie piśnie słówka na temat naszej rozmowy – powiedziała hrabina Modlińska po krótkiej wymianie uprzejmości.

- Nie twierdzą, że będzie inaczej. Zwyczajnie krępuje mnie temat – odparła Izabela.

- Rozumiem, ale to jedyny sposób, byśmy mogły dowiedzieć się czegoś więcej.

- W takim razie powiem pokrótce o swoich spostrzeżeniach, a panie wybiorą z tego to, co je interesuje.

- Zgoda. Proszę jednak nie ukrywać niczego. Czasami szczegóły mogą okazać się niezmiernie istotne.

Klemens nie za bardzo orientował się, o czym panie rozmawiają. Raz mówiły ciszej, raz głośniejszym głosem, ale docierały do niego jedynie urwane strzępki konwersacji. Zrozumiał jednak, że Izabela ma pewne podejrzenia co do swego wuja, a jego matka i jakaś kobieta (której głos zaczynał kojarzyć) będą starały się jej pomóc. On sam też nie zamierzał zostawić tej sprawy samej sobie, ale na razie nie potrafiłby zachować spokoju w obecności wuja dziewczyny, wiedząc, że nadwyrężył i jego, i jej zaufanie.

- Nie wiem, czy mogę o tym mówić – powiedziała nieco speszona panna Wieczorek dość donośnym głosem.

- A ja nie proszę pani o deklarację i pisanie poematu. Chcę jedynie wiedzieć, czy starania mojego syna Anthony'ego mają jakikolwiek sens.

- To znaczy?

- To znaczy... czy gdyby mój syn poprosił panią o rękę, to mógłby liczyć na odpowiedź pozytywną?

- Mógłby - odparła nieco speszona.

Klemens w tym momencie skończył podsłuchiwać. Miał dość. To było gorsze niż samobiczowanie. Zdradził brata, uwodząc jego przyszłą narzeczoną, i to już samo w sobie powodowało, że czuł się jak ostatni łajdak. Wiedza o tym, że ona myśli o Anthonym poważnie, była dodatkowym ciężarem. Ale skoro tak było, to po co ulegała swojej namiętności?! Może to był ostatni moment słabości przed ustatkowaniem się? Ale nie była doświadczonym hulaką, który żegna się w ten sposób z kochanką. Może wiedziała, że między nimi i tak nie będzie nic więcej, ale chciała poeksperymentować? A może zwyczajnie miała ochotę na męczyznę, niekoniecznie na niego, a że był w pobliżu...

Był zły, wręcz wściekły, i na nią, i na siebie samego, ale jednocześnie... zdruzgotany, przybity świadomością, że pożądanie, które widział w jej oczach, mogło nie być dla niego.

Odszedł i ruszył w stronę podwórka. Może zorganizuje, jak dawniej, jakieś zawody bokserskie dla panów? Matka nie powinna mieć nic przeciwko, jeśli wykorzysta do tego celu lamus albo piwnicę. Miał ochotę przywalić temu, kto będzie chętny z nim walczyć...

- Zaskoczyła mnie pani.

- Nie dokończyłam - przerwała Izabela. - Mógłby jeszcze kilka dni temu. Teraz sama już nie wiem. Może nie byłoby to uczciwe z mojej strony, bo mimo że jest on naprawdę wspaniałym mężczyzną, to zdaje się, że zupełnie niepasującym do mnie.

- Jest pani pewna?

- Jeszcze nie. Dlatego wołałabym się z tym nie spieszyć.

- A jeśli chodzi o Klemensa? - zapytała hrabina Modlińska.

- Na to pytanie też nie potrafię odpowiedzieć.

## 21.

Izabela od tamtego feralnego wieczoru nie potrafiła dojść do siebie. Starła się spojrzeć na to trzeźwo, ale nie potrafiła. A teraz, dwa dni później, stała z portretem Klemensa w dłoni i wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana. Po cóż weszła do jego sypialni? Ach, tak, przypomniała sobie. Miała do niego niecierpiącą zwłoki sprawę. Nie zastała go jednak w pokoju i powinna była odsunąć się od drzwi i zawrócić, nim ktoś ją zauważy. Niewiele trzeba było, by rozniecić plotki. Nie potrzebowała większego rozgłosu. I tak już miała dość wyciszania swoich dawnych skandali. Na komodzie zobaczyła jednak małą podobiznę, a wrodzona ciekawość nie pozwoliła jej zignorować tego przedmiotu. Wsunęła się cicho do sypialni zajmowanej przez barona Krzyżewskiego i delikatnie zamknęła za sobą drzwi, po czym ostrożnie podeszła do mebla z podobizną i wzięła go z namaszczeniem do ręki.

Klemens z obrazka wyglądał niemal jak żywy. Ktoś oddał i jego wygląd zewnętrzny, i te diabelskie ogniki zamknięte w jego spojrzeniu. Nawet lekko zaciśnięte wargi i odrobinę uniesioną lewą brew. Dotknęła opuszkami drugiej dłoni powierzchni obrazka. Nie była w pełni świadoma własnej reakcji. To działo się jakby poza jej umysłem. Nie miała pojęcia, ile upłynęło czasu. Minuta, kwadrans, godzina? W zasadzie zupełnie się nad tym nie zastanawiała. Stała tak, gładząc podobiznę Klemensa w jego pustej sypialni.

Nagle drzwi się otworzyły. Odwróciła się przestraszona, a w nich pojawił się Anthony. Miał przerażoną minę. Nie powiedział nic, nie trzasnął drzwiami, nie zaklął pod nosem. Po prostu odwrócił się i ze spuszczoną głową ruszył szybkim krokiem do wyjścia.

– Anthony, zaczekaj! – krzyknęła Izabela i odłożyła podobiznę na miejsce.

Nie zareagował.

– Proszę! – Podbiegła do drzwi i wyrzała za nim na korytarz.

Zatrzymał się i spojrzał na nią przez ramię.

– Nie chcę, żeby się pani tłumaczyła. Niczego sobie nie obiecywaliśmy.

– To prawda, ale chciałbym wyjaśnić...

– Nie musi pani niczego wyjaśniać. – Uciął, ale jego wzrok wyrażał głębokie zranienie.

– Przepraszam, ja... – Nie wiedziała, jakich słów powinna użyć. To było krępujące.

– Za co pani przeprosza? Nie ma pani na to wpływu. – Westchnął. – Lepiej jednak, że odkryłem to teraz, a nie... Nieistotne. Do widzenia, panno Wieczorek. – Wprostował się i ruszył, nie odwracając się już do wyjścia.

Izabela nie miała pojęcia, co powinna zrobić. Zupełnie zaskoczył ją tym najściem, a jeszcze bardziej gwałtownością swojej reakcji. Tak niepodobną do flegmatycznego Anglika.

Anthony nie potrafił i nie chciał się zatrzymać. Miał wrażenie, że został potraktowany bardzo niesprawiedliwie i nie miał zamiaru udawać, że tego nie zauważył. Miał już dość bycia miłym i potulnym człowiekiem. On w końcu też miał jakieś uczucia i potrzeby. Nawet jeśli nie było tego po nim widać.

Pech chciał, że w sieni natknął się na sprawcę swego podłego samopoczucia.



Owszem, nie powinien się na niego gniewać, bo ten również nie uczynił niczego złego, ale miał już dość bycia poprawnym i szlachetnym. Do diabła! Może Izabela i Klemens spotykali się cały czas za jego plecami? Wtedy, gdy skrzył nogę, próbując ją ratować... Czy na pewno spędzili niewinnie te kilka godzin samotnie w rybackiej chacie? Miał co do tego duże wątpliwości. Nie zachowywali się wobec niego w porządku, skoro żadne nie pisnęło słowem, a wręcz przeciwnie – pozorowali ciągłą walkę, gdy tymczasem... Nie chciał sobie tego wyobrażać. Może nie był w niej jeszcze zakochany, ale niewątpliwie go zauroczyła. Choć... może jednak i był. Teraz to nie ma jednak większego znaczenia. On natomiast miał ochotę coś zrobić, zgnieść, wyrzucić albo kogoś pobić. Lepiej, żeby nikt mu teraz nie stanął na drodze... Ale los nie był dla niego łaskawy. Przynajmniej nie w tym przypadku.

– Wychodzisz? – zapytał go mijany w drzwiach przedsiönka Klemens.

– Owszem. Na głupca – dodał.

– Nie rozumiem. – Baron stanął jak wryty. Nie licząc dzieciństwa, ani razu nie widział Anthony'ego w tak podłym humorze. Brat był najspokojniejszym i najmiłszym z ich rodzeństwa. To on chodził wiecznie naburmuszony, a Maurycy miał temperament podobny do jego sióstr, czyli wszystkiego można było się po nim spodziewać.

– A szkoda – warknął Anthony, powoli stawiając krok za progiem.

– Co cię ugryzło, do licha?! Widzę, że coś jest na rzeczy, bo nigdy nie zachowujesz się w ten sposób.

– Wiesz, że miałem właśnie iść do wicehrabiego, by poprosić go o rękę panny Wieczerek? – Zatrzymał się i spojrział na brata spode łba.

– Nie wiedziałem.

– Bo chciałem ci powiedzieć po drodze. Dlatego zajrzałem do twojej sypialni.

– Nie zastałeś mnie i stąd te nerwy?

– Oj. Całe szczęście, że cię nie zastałem – zakpił Anthony zupełnie niepodobnie do siebie. – Gdybym nakrył was tam razem, to nie wiem, czy dałbym radę zachować zimną krew.

– Kogo nakrył?

– Nie udawaj idioty! – warknął, zaciskając pięści. – Oboje jesteście siebie warci.

– Kto jest kogo wart? Zupełnie się pogubiłem.

– A mnie się wydaje, że raczej odnalazłeś, i to nie ja powinienem iść teraz do wicehrabiego, a ty, drogi bracie – z wyraźnym przekąsem wypowiedział ostatnie słowa.

Klemens stał osłupiały, składając sobie w głowie to, co przed chwilą usłyszał. Od początku podejrzewał, o co chodziło Anthony'emu. Łudził się jednak, że może złościł się z innego powodu.

– Ja... – zaczął, choć sam nie wiedział, co powinien powiedzieć. – My...

– Po prostu zejdź mi z drogi! – Anthony przesunął brata i z impetem otworzył drzwi wejściowe do pałacyku, po czym trzasnął nimi za sobą tak, że omal nie wyleciały z futryny.

Klemens chciał w pierwszym odruchu wybiec za nim, ale głos rozsądku podpowiadał mu, że powinien dać mu czas, by ochłonął. Żadnemu z nich, a już tym bardziej ich matce, nie potrzeba widowiska z bijącymi się braćmi. A nieomal był pewien, że tak skończyłaby się ich rozmowa. Anthony miał prawo być wściekły, a on zasłużył na porządne obicie, i miał tego pełną świadomość. Co sobie myślał, całując dziewczynę, w której zakochany był jego brat?

Anthony wcale się z tym nie krył. Przeciwnie, na każdym kroku zachwycał się cnotami panny Wieczorek i latał na każde jej skinienie, tłumacząc jej najgłupsze pomysły. W dodatku całe towarzystwo szeptało już o ich rychłych zaręczynach, więc i plotek nie unikną. To on, Klemens, wydawał się oporny na jej wdzięki, a swoją fascynację doskonale maskował sarkazmem i obojętnością. Jedno i drugie wyuczzone miał do perfekcji dzięki latom poniżania najpierw ze strony ojca, potem hrabiego Athertona. Co prawda wówczas był jedynie dzieckiem i miał potem wiele szans, by zrzucić maskę i pokazać swoją prawdziwą naturę, ale zrosła się ona z nim tak dalece, że nie był w stanie tego uczynić. Czy wynikało to z przyzwyczajenia, czy z głęboko skrywanego lęku? Nie był pewien i nie miał ochoty na głębsze analizy.

Miał wcześniej zamiar iść do swego pokoju i taki też obrał kierunek.

\*

Tymczasem Anthony wpadł do stajni, by osiodłać konia. Stajenni mieli przerwę, więc sam zajął się swoim rumakiem, tak jak to lubił najbardziej. Chwycił mocno szczotkę i podszedł do boksu zwierzęcia, by zacząć czesać jego sierść od głowy ku zadowi. Dłoń zaciskał wprawdzie tak bardzo, że zbiegły mu kłykcie, ale ruchy, które wykonywał, były płynne i posuwiste. Nie chciał w żaden sposób wyżywać się na niczemu winnym zwierzęciu. Dokładnie wyczesał sierść, by skóra nie odparzyła się pod siodłem, a następnie zajął się ogonem i grzywą. Na końcu sprawdził jeszcze podkowy. Co prawda konie regularnie były dogładane przez kowala, ale wolał się upewnić. Następnie wziął do ręki zawieszony w wydzielonym miejscu czaprak i stanął z lewej strony konia, jedną dłonią wyrównując sierść. Oddychał szybko z powodu wzburzenia, ale jego działanie było spokojne i precyzyjne. Schylił głowę konia do wygodnej wysokości, by nałożyć mu naczółek i uzdę, następnie chwycił sprawnie za chrapy, podał mu do ust wędzidło, założył pasek i naczółek. Najpierw na jedno ucho, potem na drugie. Zapiął pasek i wyjął delikatnie grzywę spod naczółka. Westchnął, próbując nie myśleć, ale nie było to wcale łatwe zadanie. Przed oczami nadal miał obraz panny Wieczorek czule gładzącej portret jego brata. Dlaczego grała przed nim tę komedię, skoro przez cały czas myślała o innym mężczyźnie? A on, jego własny brat? Nie zdradził się ani słowem. Wprawdzie odradzał mu cały czas związek z panną Wieczorek, ale nie wymieniał przy tym najważniejszego powodu. Takiego, że sam ma zamiar się o nią starać. I to delikatnie rzecz ujmując. Jej wizyta w jego sypialni świadczyła bowiem raczej o tym, że już się zaczął starać, i to z powodzeniem.

Założył wodze na rękę i wziął siodło, kierując je przednim łękiem ku głowie konia. Założył je wysoko na kłęb i docisnął. Przerzucił wodzę na drugą rękę, przeszedł pod karkiem rumaka i poprawił czaprak. Następnie wrócił na poprzednią stronę, chwycił popręg i zaczął go zapinać. Jak mógł być tak ślepy i naiwny, myślał. Jutro wszyscy będą się z niego śmiać, jeśli już nie robili tego za jego plecami. Zacisnąwszy zęby, schylił się, by zapiąć sprzączkę puśliśka, a następnie podszedł do szafki umieszczonej za boksem, by poukładać równo szczotki.

Jak powinien się teraz zachować? Co powinien powiedzieć? Anthony miał ochotę się upić. Po raz pierwszy w życiu. Może właśnie to powinien uczynić? Weźmie konia i pojedzie do pierwszej lepszej gospody. Tylko czy to... Nie dokończył myśli. Poczul tępe uderzenie w tył głowy i stracił przytomność.

\*

Klemens podeszedł pod swoją sypialnię, nacisnął klamkę i wszedł ostrożnie do środka. Wyczuł, że ktoś na niego czeka, dlatego zamknął drzwi i rozejrzał się naokoło.

Na krześle przy kominku siedziała Izabela.

– Oszalała pani?! – zapytał.

– Chyba tak.

– Mijałem się z Anthonym. Wygadywał dziwne rzeczy. Czy rozmawialiście o...?

– Nie – zaprzeczyła gwałtownie.

– To jak...? Skąd wiedział, że my...?

– Czy to takie istotne?

– W zasadzie – zastanowił się – zupełnie nie. To w końcu nie jego sprawa.

– Chyba trochę jego – powiedziała cicho.

– Czyli domyśliła się pani, że szedł do wicehrabiego z pierścionkiem? I to nie jemu zamierzał się oświadczać.

– O pierścionku nic nie wiem, ale potrafię dodać dwa do dwóch.

– Co się zatem stało po drodze?

– Zobaczył mnie z pana portretem w dłoni.

– A co pani robiła z moim portretem w dłoni, jeśli wolno spytać?

– Nic.

– Nic?

– Nie wiem. Szczerze powiedziawszy... – westchnęła – przechodziłam obok, drzwi były otwarte, portret stał... To był odruch.

Przyjrzał się jej smutnej minie i zrozumiał opacznie, że cierpi z powodu reakcji Anthony'ego.

– Przykro mi, ale może da się to jeszcze odkręcić – powiedział, żeby ją pocieszyć, choć wcale nie chciał tego robić. Zdał sobie sprawę, że wcale nie cierpiał z powodu nieszczęścia brata. Wprost przeciwnie. Myśl, że Anthony zastał ją w jego sypialni, podziiała na niego w zupełnie inny sposób. Obudziła w nim jakąś nadzieję... Nieważne. Ona żałowała, że to zrobiła, przez co mogła stracić Anthony'ego. Powinien schować własne uczucia głęboko do kieszeni i zachować się, jak na mężczyznę przystało, pomyślał.

– Naprawdę panu przykro? – upewniła się Izabela.

– Tak – potwierdził. – Nie jestem z kamienia, panno Wieczorek.

Izabela poczuła się podle. Klemens najwyraźniej nie widział jej w roli żony. Może i jej pożądał, może pragnął jej jako kobiety, ale nie wiązał z nią żadnej przyszłości. Było mu przykro, że jego brat zrezygnował z oświadczyn. Nie dlatego, że nie mogli być razem, tylko dlatego, że ona nie mogła być z jego bratem. To było o wiele gorsze od wszelkich scenariuszy, jakie sobie założyła wcześniej.

Podniosła się z bólem serca z krzesła i podeszła do drzwi. Upewniwszy się, że nikogo nie ma na korytarzu, wyszła.

\*

Po dwóch, może trzech godzinach (nie był pewien, ale słońce wyglądające przez okienko stajni wskazywało, że mniej więcej tyle czasu upłynęło) Anthony obudził się i usłyszał w oddali głosy.

Nie potrafił w pierwszej chwili zrozumieć, o czym mówią, ale domyślił się, że nie stanowią dla niego żadnego zagrożenia, dlatego wychrypiął:

- Może mi ktoś pomóc?

Rozmowa ucichła, a w jej miejsce pojawiły się szybkie kroki i dźwięk otwieranych drzwi.

- To pan?! Co pan u licha robi w tej słonie?

- Nie wiem - Anthony dotknął obolałej głowy - musiałem się w coś uderzyć i straciłem przytomność.

- Dzięki Bogu, że nie pod któryms z koni. Ale co pan robił w pustym boksie?

- Ja? Może... - Usiłował sobie przypomnieć. - Nie mam pojęcia. Siodłałem konia, odkładałem szczotki na miejsce, a potem znalazłem się tutaj.

- Dziwne. - Stajenny podszedł do niego, by pomóc mu wstać, a drugi chłopak w tym czasie zaczął oglądać słonę, na której leżał wicehrabia.

- Czego tam szukasz?

- Tego, co jaśnie pana uderzyło w głowę.

- Rozsądnie.

- To chyba to. - Chłopak uniósł podkowę. - Pewnie zerwała się ta znad szafki na szczotki.

- Spadła prosto na pana, a panu udało się ująć kilka kroków i wpaść do tego boksu.

- Nie przypominam sobie, że bym szedł, ale mogło tak w istocie być.

- Może to ktoś powinien obejrzeć? - Starszy stajenny wskazał na włosy Anthony'ego, na których widoczna była zaschnięta krew.

- Miałem wyjechać, kiedy to się stało.

- Nie radzę - odważył się powiedzieć młodszy chłopak. - Jeszcze się co panu stanie.

- Masz rację. Nie będę ryzykował. Ale nie mówcie o tym nikomu. Chcę odpocząć w swoim pokoju. Wezwijcie tylko medyka, niech dla świętego spokoju to obejrzy.

Stajenni pomogli Anthony'emu dojść do sypialni, zzuć buty i wierzchnią warstwę stroju oraz wezwali lekarza, który już po godzinie badał jego głowę.

- Nic panu nie będzie - oświadczył medyk. - To tylko większy guz i niewielkie rozcięcie. Może przez kilka dni dokuczać, dlatego radzę się oszczędzać, ale poza tym jest pan zdrow jak ryba.

- Dziękuję, doktorze.

- A może mi pan zdradzić, kto pana tak urządził?

- Podkowa. Zerwała się najwidoczniej, gdy się pod nią schylałem.

- Ślad wygląda na nieco większy niż po uderzeniu podkową. Poza tym ma zaokrąglony kształt. Ja bym raczej obstawiał rękojeść laski albo trzonek sztyletu, ale nie będę się wymądrzał. Głowa spuchła w tym miejscu, więc może to być jedynie złudzenie.

Zostawił Anthony'emu jakąś maź do smarowania obolałego miejsca i wyszedł.

Mężczyzna położył się i zaczął przypominać sobie wydarzenia sprzed wypadku.

Szedł właśnie do wicehrabiego z pierścieniem zaręczynowym, aby poprosić o rękę panny Izabeli, kiedy... No tak, kiedy trafił na nią w sypialni swego brata z jego portretem w dłoni! Szlag by to!

Sięgnął po marynarkę odwieszoną na krzesło i wsunął rękę do prawej kieszeni.

- Dziwne - szepnął do siebie.

Przełożył rękę do drugiej, a następnie wymacał dokładnie obie jej klapy.

- Gdzie się podział pierścionek?

Nacisnął na dzwonek dla służby i poprosił o przysłanie stajennego.

Po kwadransie zjawiał się młodszy z chłopców.

- Czy mógłbyś dokładnie przeszukać boks, w którym mnie znaleźliście, i szafkę na szczotki? A i jeszcze boks z moim koniem.

- Dobrze, ale czego mam szukać?

- Drewnianego pudełeczka z pierścionkiem.

- Poszukam - zameldował chłopak.

- A i sprawdź dyskretnie, gdzie w tym czasie był mój starszy brat.

- Dobrze.

## 22.

– Jesteś pewien? – zapytał Anthony następnego ranka i jednocześnie wymierzył cios prosto w szczękę starszego brata.

Klemens wyprostował się, rozmasował dłońią brodę i odparł:

– Jestem, do cholery! Chyba nie sądzisz, że cię śledzę?

– Nie wiem – rzucił Anthony i przestąpił z nogi na nogę.

Krążyli obaj po prowizorycznym ringu, czekając na odpowiedni moment, by zadać cios. Anthony nerwowo i chaotycznie, Klemens raczej po to, by nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Obił już kilku gości swojej matki, i to całkiem solidnie. Sam prawie nie ucierpiał, ale zawsze mógł udawać, że jest już tym trochę zmęczony, aby nikt nie wyczuł podstępów.

Zorganizowane zawody bokserskie dla rozrywki męskiej części gości hrabiny Modlińskiej, które zaplanował poprzedniego dnia, zostały przyjęte z wielkim entuzjazmem.

– Trzymała twój portret – syknął Anthony tak, by postronni nie słyszeli, o czym rozmawia z bratem.

– I? – Klemens przystąpił do przodu i wymierzył cios, który Anthony łatwo odparował.

– Nie robiłaby tego bez powodu.

– Nie siedzę w jej głowie. Może była ciekawa. – Opuścił gardę, co młodszy brat skrzętnie wykorzystał, wymierzając mu solidnego sierpowego.

Klemens zachwiał się i zamachnął niecelnie. Anthony powtórzył drugą ręką i z łuku brwiowego przeciwnika połała się strużka krwi, którą musiał zetrzeć, by nie wpłynęła do oka.

– I weszła do twojej sypialni z ciekawości? Narażając się na utratę reputacji? Nie rób ze mnie idioty! – Atherton wyprowadził serię krótkich ciosów w korpus i głowę brata.

Chyba ostatnie lata na morzu nie poszły na marne, bo Anthony nabrał krzepy i sprawności od czasu ich ostatniej potyczki albo to on był naprawdę zmęczony i zdekoncentrowany, pomyślał Klemens.

Anthony nie czekał na odpowiedź. Z furją przystąpił do brata i korzystając z faktu, że ten zasłaniał twarz, przykucnął i wymierzył cios z dołu.

Zabolało, ale Klemens nadal nie próbował się bronić należycie, bo zdawał sobie sprawę, że mógłby zrobić bratu krzywdę. Nie chciał tego. Chciał natomiast oberwać od niego. To w jakiś sposób stanowiłoby zadośćuczynienie za jego przewiny. Może porządne lanie po pysku sprawiłoby, że nie czułby tak wielkich wyrzutów sumienia wobec niego... i wobec niej. A jednak nie miał zamiaru przyznać się do niczego. Bo niby co by z tego przyszło? Zdradziłby Izabelę i zrujnował jej reputację, a sobie też chwały by nie przyniósł. Czasu nie mógł cofnąć. Nie chciał też okłamywać brata, dlatego wołał kluczyć i podłożyć się w walce, by tamten choć w jakimś stopniu poczuł ulgę.

Niestety furia Anthony'ego nie opadała, a brak odpowiedzi na zadawane pytania tylko wzmacniał jego agresję. Do Klemensa zaczęło docierać, że powinien zacząć się choć trochę bronić. Nie myśląc długo, wyprowadził serię ciosów i obił bratu lewą stroną twarzy. Ten

jednak nie wyglądał, jakby zamierzał się poddać. Flegmatyczny Anglik, jak go czasami nazywał w myślach, potrafił być nie taki flegmatyczny. Jeszcze trochę i obaj będą przypominać wyglądem tłuczone kotlety.

– Naprawdę musimy jutro pokazywać się matce z obitymi twarzami? – zapytał starszy z braci.

Anthony odsunął się od niego i znów zaczęli krążyć naokoło ringu.

– Nie chcesz chyba pozbawić satysfakcji tych wszystkich gapiów, których tu ściągnąłeś?

– Nie, ale nie walczymy do upadłego, a pierwszą krew mamy już za sobą.

– Wcześniej ci to nie przeszkadzało, braciszku – jęknął. – Mam nadzieję, że o twojej krwi mówisz – dodał i rzucił się na niego z miną psychopaty.

Klemens szybko skojarzył, co też Anthony mógł mieć na myśli. Niefortunna gra słów, pomyślał i w tym samym momencie oberwał w nos. Zatoczył się i odwrócił tyłem do przeciwnika.

– No, no – odezwał się Maurycy, który w międzyczasie przyszedł zwabiony głośną salwą zgromadzonych mężczyzn. Nie przepadał za obijaniem twarzy, bo miał już kilkakrotnie przetrącony nos i wiedział, że proces gojenia nie należy do najprzyjemniejszych, ale takiego widowiska nie mógł zwyczajnie przegapić. – Robi się coraz ciekawiej. A panna Wieczorek wie o waszej bójkę? – zapytał cicho, kiedy pomagał bratu się wyprostować i przykładał (z lekkim obrzydzeniem) chustkę do jego krwawiącego nosa.

– Nie wie – wystękał Klemens.

– Z tą krwią, to... – Cmoknął, by nie dokończyć zdania. – Wiesz, o co pytam? Ty i ona?

– Nie! – warknął Klemens i odepchnął Maurycego, po czym wrócił wyprostowany na ring.

– Ależ ja bym tego wcale nie potępił – zaśmiał się Maurycy, ale zamknął usta, widząc minę Anthony'ego. Między starszymi braćmi musiało zająć coś poważnego. Choć jego zdaniem oni nawet zupełnie niepoważne rzeczy traktowali w ten sposób.

Tymczasem stary stróż zdążył dotrzeć do salonu, w którym hrabina Modlińska rozmawiała z kilkoma paniami.

– Słucham, Janie.

– Synowie jaśnie pani urządzili sobie w lamusie mor... zawody bokserskie.

– Co takiego?! – wykrzyknęła. – Przepraszam panie najmocniej, ale same panie widzą, że bez kobiecej interwencji się nie obędzie. – Uśmiechnęła się, starając się zachować spokój.

– Oj, taka męska rozrywka. Może nie ma się czym przejmować? – rzuciła jedna z kobiet.

– Za dawnych czasów to co raz kawalerowie się bili. Zazwyczaj o moje względy – zawtórowała jej ciotka Stefania. – A najbardziej poobijany był zawsze mój Henryczek. Tak się przejmowałam tą jego ofiarą, że aż za niego wyszłam – dodała.

– Na wszelki wypadek sprawdzę jednak, do czego to zmierza. Nie chcę, by panowie zaniemogli, kiedy przyjdzie do wspólnych rozrywek, bo będą obolali po walce.

– Słusznie, słusznie. Panny nie powinny cierpieć tylko dlatego, że oni znaleźli sobie nieodpowiednią rozrywkę – pochwaliła pulchna dama w różu.

Klemens wytarł nos i pokręcił ramionami dla rozluźnienia mięśni, po czym spiął się ponownie i przybrał postawę do ataku.

– Jesteś pewien, że chcesz ze mną dalej walczyć? – zapytał Anthony'ego.

- Jeszcze jak - warknął ten i dopadł do niego, zasypując gradem drobnych ciosów.

Tym razem Klemens nie pozostawał bierny i odparowywał kolejne ciosy brata tak, że obaj zaczęli krwawić z różnych części twarzy.

- Co to ma znaczyć?! - dobiegło do nich pytanie hrabiny Modlińskiej.

Jak na komendę obaj odskoczyli od siebie, wyprostowali się i oddychając miarowo, zmierzili nawzajem wzrokiem.

- Nie życzę sobie widzieć was w tak podłym stanie na kolacji - powiedziała matka. - Rozumiem męskie potyczki, ale w pałacu gościmy wiele młodych dam i taki widok byłby dla nich co najmniej gorszący - dodała chłodno, aby nie ośmieszyć synów przed zgromadzonymi. Po czym zwróciła się do publiczności. - Mam nadzieję, że panowie postarają się zachowywać i wyglądać tak, jak przystało, by towarzyszyć paniom dzisiejszego wieczoru. Janie - zwróciła się do będącego przy niej służącego - wezwij medyka, trzeba opatrzyć moich synów.

- Ja?

- Przecież nie ja.

Staruszek odwrócił się i z miną cierpiętnika poszedł powoli, burcząc coś niewyraźnie pod nosem.

Kilku młodych mężczyzn pomogło pójść Anthony'emu do jego pokoju, a Maurycy podtrzymał Klemensa.

- Obędzie się - rzucił tamten, kiedy brat podał mu ramię.

- Nie byłbym taki pewien. Nieźle ci przywalił.

- Bywało gorzej - odparł Klemens i wytarł twarz wilgotną szmatką.

- Możecie się rozejść. Zawody skończone - oznajmił Maurycy do kilku pozostających w lamusie mężczyzn. - O co wam tak naprawdę poszło? - zwrócił się do Klemensa, kiedy tamci zniknęli za drzwiami.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Czyli o nią - odpowiedział sobie Maurycy. - Wiedziałem, że macie podobne gusta. Zresztą nie dziwię się. Mnie też oczarowała.

- Ciebie nietrudno oczarować.

- To prawda, ale ją dodatkowo lubię.

- I co z tego?

- I życzę jej, by znalazła sobie odpowiedniego mężczyznę. Sądziłem, że może Anthony...

- Raczej nie.

- Dlaczego?

- Przyłapał ją w mojej sypialni - powiedział Klemens i ponownie namoczył szmatkę w wiadrze.

- W twojej sypialni! - wykrzyknął z podziwem Maurycy. - No, no. Pochwaliłbym cię, gdyby nie chodziło o naszego brata.

- Z moim portretem, nie ze mną, głupku.

- Ale to Anthony. W jego oczach i jedno, i drugie to ogromny problem. Chyba nie muszę ci tego wyjaśniać.

- Bądźmy poważni. - Klemens wykręcił szmatkę i położył ją sobie na karku. - Dla każdego widok jego niedoszłej narzeczonej z portretem innego mężczyzny w dłoni to problem.



- Ja bym nie robił z tego powodu zamieszania – odparł Maurycy.
- Ale to ty – jęknął Klemens i dotknął szczęki. – Chyba mi naruszył któryś z zębów – burknął.
- Sam się podłożyłeś.
- Nie do końca.
- Straciłeś formę?
- Raczej Anthony ją zyskał.
- A nie wygląda... To znaczy... nie widziałem go tak całkiem nago, ale zawsze mi się wydawał taki... flegmatyczny.
- Mnie do tej pory również, ale to wcale nie ujmuje bólu.
- A co z panną Wieczerek? Jeśli ona woli ciebie, to może słusznie oberwałes po twarzy? Opuchlizna zejdzie, Anthony się uspokoi, a ty będziesz miał drogę wolną.
- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.
- Ale przyznasz, że ci się podoba? – zapytał Maurycy.
- Owszem. Nawet więcej niż podoba – wyznał Klemens, zapominając o swoich zasadach – ale to nie ma żadnego znaczenia – dodał szybko.
- Niby dlaczego? Jest bardzo ładna, niegłupia, potrafi być zabawna i na pewno nie jest nudna i przewidywalna, jak te inne białogłowy kręcące się po pałacyku. W dodatku interesuje się polityką i pomaga ubogim.
- Być może. Ja jednak nie nadaję się na jej męża ani ona na moją żonę.
- Maurycy zupełnie nie przejął się odpowiedzią brata. Pomógł mu uprzątnąć lamus (omijając wszystko, co było zakrwawione) i zaprowadził do jego sypialni, gdzie czekał już na niego medyk. Nie wiedział jednak, że panna Wieczerek spacerowała w towarzystwie wuja obok tegoż właśnie lamusa dokładnie w chwili, gdy Klemens oświadczał, że ona nie nadaje się na jego żonę. Inaczej pewnie nie poprosiłby jej o rozmowę. A tę zaczął już tego samego wieczoru, gdy część panów z obolałymi twarzami siedziała w cieniu w kącie i udawała, że przysłuchuje się grze na fortepianie jednej z córek hrabiny Modlińskiej, podczas gdy część gości spacerowała po salonie lub pogrywała w karty przy stoliku.
- Doszły do mnie pewne informacje dotyczące mojego najstarszego brata.
- Tak? – Izabela nie patrzyła w stronę Maurycyego, starając się obserwować otoczenie. Ani Klemens, ani Anthony jeszcze nie zeszli do salonu i miała nadzieję, że wcale tego nie zrobią. Czuła się bardzo niekomfortowo, wiedząc, że pobili się i prawdopodobnie każdy z nich jest na nią zły, tyle że z innego powodu.
- Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale wydaje mi się, że zdecydowanie lepiej pasowałyby pani do niego niż do Anthony'ego. Z pani temperamentem i...
- Niech pan nie kończy, hrabio Modliński – poprosiła. – Nie wydaje mi się, żeby baron Krzyżewski był zainteresowany mną jako żoną.
- Słyszała to pani? – zapytał zdziwiony.
- Przypadkiem – przyznała. – I uważam, że ma całkowitą rację. Powinnam poszukać sobie męża gdzieś indziej.
- Ale zostanie pani do zabawy andrzejkowej?
- Obiecałam to pańskiej matce.

Dwa dni później miał się odbyć bal andrzejkowy i przygotowania do niego szły pełną parą. Starania madame Moreau do tego, by wydobyć z wicehrabiego Gielczyńskiego kilka informacji, również nabierały tempa.

Została ona przedstawiona wujowi panny Wieczerek jeszcze tego samego dnia, w którym synowie hrabiny Modlińskiej urządzili zawody bokserskie, i zdążyła wyciągnąć go na dwa spacery po ogrodach pałacyku, przejażdżkę konną i polowanie. Wykorzystując swoje przebranie służącej, już wcześniej mogła przyjrzeć się Benedyktowi Gielczyńskiemu i doszła do ciekawego wniosku, że podobnie jak ona potrafi on wyglądać zdecydowanie bardziej zachęcająco na potrzebę sytuacji niż na co dzień. Zauważyła również, że jest nią zainteresowany, ale nie była pewna, czy wynika to z faktu, że spodobała się mu jako kobieta, czy też to zainteresowanie ma zupełnie inne podstawy.

Panna Wieczerek natomiast zdążyła nadrobić straty i mimo podłego samopoczucia porozmawiać i wymóc obietnicę odwiedzin w dworze wuja od Oskara Kamińskiego i Eugeniusza Poleskiego. Ignacy Firlejow wyjechał jednak szybciej, niż planował, po tym jak obudził się w ramionach jednej z dziewczek folwarcznych, na czym przyłapał go zarządca hrabiny Modlińskiej w towarzystwie kilku gości zwiedzających majątek, w tym jej wuja. Z tego, co zdawkowo przekazał jej wicehrabia, mężczyzna tłumaczył się, że nie wiedział w ogóle, jak się tam znalazł. Poza tym czuć było od niego alkohol, a raczej całe morze alkoholu. Od jakiejś starszej pani dowiedziała się jeszcze, że wyglądał na osłabionego i miał dziwne ślady na szyi i nadgarstkach. Izabela domyśliła się, że mógł to być efekt miłosnych igraszek, ale to nie z tego powodu wykreśliła go ze swojej listy kandydatów na męża.

Klemens, aby nie myśleć o tym, co zaszło między nim i Izabelą, skupił się na poszukiwaniu zaginionej biżuterii. Wykorzystywał to, że goście i służba zajęli się przygotowaniami do balu, i sukcesywnie badał wszelkie możliwe tropy, aż dotarł do pokoju panny Wieczerek, który wcześniej miał zamiar pominąć. Pokój jej wuja również sprawdził skrupulatnie.

Niestety ku swojemu zdziwieniu i rozpaczy w kufrze podróżnym panny Wieczerek odnalazł zaginioną bransoletkę swojej siostry i wisiorek jednej ze starszych dam.

Nie chciał rozmawiać o tym znalezisku z nikim, bo nie był pewien, co powinien o nim sądzić, dlatego zabrał błyskotki i podrzucił je właścicielkom, co te szybko odkryły i ogłosiły wszem wobec, wcale nie studząc plotek. Podejrzewał, że mogła je podrzucić tam panna Rottermund jeszcze przed opuszczeniem pałacyku, i postanowił to w przyszłości zweryfikować.

Pannę Wieczerek, podobnie zresztą jak kilka innych osób, znów wzięto dyskretnie lub mniej dyskretnie na języki, a atmosfera stała się co najmniej dziwna.

Na bal poza goszczącymi w pałacyku przybyło kilkoro okolicznych mieszkańców. Przybył również hrabia Ludwik Pac, który zaprosił część gości, w tym Izabelę i jej wuja, na bal karnawałowy w swoim pałacu w Dowspudzie. Dziewczyna z radością przyjęła tę wiadomość, bo czuła, że szanse na znalezienie małżonka w pałacyku hrabiny Modlińskiej spadły na łeb, na szyję. Bal u Paca stał się iskierką nadziei, że jeszcze jest dla niej szansa.

Wszystkie niezamężne damy w wyznaczonym dla nich tylko salonie mogły sobie przed uroczystością powróżyć: losowały przedmioty o symbolicznym znaczeniu, wylewały wosk, odczytując znaki związane z przyszłym mężem w cieniu rzucanym przez zastygłą masę,

ustawiały buty, prorokując, która pierwsza wyjdzie za mąż, rzucały skórka od jabłka, próbując odczytać pierwszą literę imienia ukochanego. Izabela musiała przyznać, że przy tej zabawie na moment zapomniiała o swoich troskach i śmiała się równie głośno, co pozostałe panny, a już najbardziej w momencie, w którym wylosowała różaniec, co było wróżbą wstąpienia do zakonu. Nawet ona sama wiedziała, że do tego nadaje się najmniej ze wszystkich tam zebranych, ale po niej losować miała najstarsza córka hrabiny Modlińskiej i Izabela wołała wyciągnąć go przed nią, by dziewczyna nie wzięła sobie tej wróżby do serca.

Na balu niestety musiała zatańczyć z Klemensem, co wywołało u niej niemal fizyczny ból. Tak bardzo pragnęła się w niego wtulić i tak bardzo była świadoma, że nie może tego zrobić, że przez chwilę wydawało się jej, że straci przytomność. Zdawała sobie sprawę, że są obserwowani. Przez jego matkę, braci i całe towarzystwo. Jedyne jej wuj, o dziwo, tańczył (nie czekał, aż zmuszą go spojrzenia zebranych dam) z madame Moreau i zupełnie nie zwracał uwagi na swoją podopieczną. O losie! Akurat wtedy, kiedy jej to nie przeszkadzało.

– Co pani wie o bransoletce mojej siostry? – wypalił, nie patrząc jej (zgodnie z dobrymi zasadami) w oczy, baron Krzyżewski.

– Ma pan zaniki pamięci, baronie? – zapytała, ale bez złośliwości.

– Wiem, że już o nią pytałem. Pojawiły się jednak pewne okoliczności...

– Proszę powiedzieć wprost. Jestem już zmęczona niedomówieniami.

– Znalazłem ją w pani rzeczach.

– Co? – Ze zdumienia pomyliła kroki i nadepnęła mu na stopę. – Przepraszam. To niechcący.

– Niechcący się tam znalazła?

– Niechcący na pana nadepnęłam. Proszę się skoncentrować.

– Przepraszam – odparł. Dla niego ta rozmowa także nie była łatwa. Każdym zmysłem odbierał jej obecność, a ta powodowała w nim rozwój całej palety uczuć, nad którymi nie był w stanie zapanować.

– Gdzie pan ją znalazł? – zapytała po dłuższej chwili, kiedy taniec pozwolił im ponownie na konwersację.

– To chyba pani powinna wiedzieć.

– Ale nie wiem.

– W kufrze podróżnym. – Przeszedł zwinnie do kolejnej figury tańca.

– Czyli nie uważa pan, że to ja? – dociekała, gdy ponownie się do siebie zbliżyli.

– Po czym to pani wnioskuje?

– Po tym, że mi pan odpowiedział. Dziwi mnie jedynie, dlaczego tak jest.

– Bo zapytała pani gdzie.

– Tylko dlatego? Mogłam grać – powiedziała i oddaliła się od niego kolejny raz.

– Mogła pani. To prawda. Ale jest pani na tyle inteligentna i uczciwa, by nie próbować na mnie takich sztuczek i nie schowałaaby pani bransoletki w pustym kufrze.

– Miło mi. I rzeczywiście. Musiałabym być skończoną idiotką, żeby tam ją ukryć.

Taniec dobiegł końca. Zmarnowali go na rozmowę o bransoletce. Izabela miała ochotę chwycić go za rękaw i zatrzymać na dłużej, ale nie mogła tego uczynić.

Anthony nie poprosił jej do tańca. Nie zdziwiła się i nie była za to na niego zła. Wywołało to jednak lawinę komentarzy wypowiedzianych półszeptem za jej plecami. Zwłaszcza że zarówno jego twarz, jak i twarz Klemensa mieniły się wszystkimi kolorami sińców, od niebiesko-fioletowych, przez brązowe, po żółć.

Na szczęście tych kilku dżentelmenów, którzy wiedzieli o zawodach bokserskich (a z których część też wyglądała równie żałośnie tego wieczoru), nie brało udziału w pustych dyskusjach i zaprosiło ją jednak do tańca. Niestety nie zmieniło to faktu, że bal, w którym pokładała tak wiele nadziei (sądziła, że podczas tej uroczystości będzie mogła ogłosić swoje zaręczyny), okazał się kompletną kłapą i musiała potulnie wrócić do dworu wuja.

## 23.

### *Dwór wicehrabiego Giełczyńskiego, dwa tygodnie później*

Izabela dostała dwa listy od najstarszej z córek hrabiny Modlińskiej. Nie było w nich jednak nic ani o Anthonym, ani o Klemensie. Dziewczyna pisała, że całej biżuterii nie odnaleziono, mimo że przeszukano dokładnie cały pałacyk i bagaże gości, dlatego hrabina zdecydowała się pokryć straty z własnych funduszy. Młoda Modlińska podejrzewała jednak, że matka nie dała tak łatwo za wygraną i ponoć wpadła na kilka tropów, które zamierzała sprawdzić.

We dworze właściwie życie toczyło się spokojnym rytmem poza tym, że wicehrabia więcej czasu spędzał w swojej pracowni w piwnicy i na przejażdżkach konnych. Wróciły mu siły witalne i zdawał się być zdecydowanie bardziej dziarski. Izabela próbowała dowiedzieć się, co takiego robi w tej piwnicy, ale nie dał się przekonać i jej tam zwyczajnie nie wpuścił. Nawet kiedy nazwała go szalonym alchemikiem. Ogólnie stał się jakiś taki milszy i mniej napastliwy. A może to ją dręczyły inne zmartwienia i przestała zwracać na niego uwagę? Czuła się zupełnie bezradna wobec tego, co zaczęła czuć do barona Krzyżewskiego, i za wszelką cenę starała się skupić uwagę na tym, by się tych uczuć pozbyć. Miała nadzieję, że jakiś inny konkurent zawita w końcu w ich proggi, ale nic takiego nie następowało.

– Sama widzisz, moja droga, że dzisiejsi młodzi mężczyźni to zazwyczaj wymuskani dandysi. Albo dbają jedynie o siebie samych, albo poszukują przygód, bo dobrze wiedzą, że nie muszą się spieszyć – powiedział wicehrabia Giełczyński, kiedy kończyli jeść obiad. Stół z jadalni wymagał małej renowacji, więc siedzieli przy znacznie skromniejszym, co skróciło dystans między nimi. – Sytuacja polityczna trochę rozleniwiła to pokolenie.

– Albo zdeorientowała – wtrąciła Izabela.

– Wszyscy pokładaliśmy nadzieję w Bonapartem. Też powinnaś to pamiętać. Nie jesteś znów taka młoda – przypomniał.

– I pamiętam to bardzo dobrze. Zresztą mój szwagier, Robert Ostrowski, brał udział w wojnach napoleońskich i zapłacił za to wysoką cenę.

– Wielu szlachetnych ludzi zapłaciło za chęć odzyskania niepodległości. Kongresówka nie jest co prawda najgorszym tworem, jaki mógł się nam po tym wszystkim przytrafić, ale w kościach czuję, że długo dobrze nie będzie.

– Niech wuj nie marudzi – odparła z przekąsem i się uśmiechnęła. Cały czas zastanawiała się jednak, do czego zmierza ta rozmowa.

– W wyborze męża powinnaś brać pod uwagę także doświadczenie i przydatność w wypadku zrywów różnej maści. Wiesz, co mam na myśli?

– Wiem – przyznała. – W zasadzie to całkiem mądre, co wuj mówi, ale nie będę przecież śledzić wszystkich weteranów i sprawdzać, czy chętni są prosić o moją rękę. Zresztą wielu z nich to ludzie tułający się bez celu, pijacy, żebracy, byli żołnierze z batalionów podrutków<sup>10</sup>,

k którzy walczyli w zasadzie tylko dlatego, że nie mieli innego wyjścia, a nie z pobudek patriotycznych.

- Ale i wielu ludzi poważnych, którzy się nie stoczyli, a zwyczajnie niespieszno im było do małżeństwa albo owdowiali.

- Szczerze powiedziawszy, nie widzę siebie w roli macochy. A większość wdowców posiada przecież potomstwo.

- Przy odpowiedniej organizacji nie musiałabyś tych dzieci prawie wcale widywać.

- Ale ja lubię dzieci. Zwyczajnie nie wiem, czy potrafiłabym sprostać takiemu wyzwaniu.

- Wszystkie kobiety to potrafią. Bawiłaś przecież bliźnięta swojej siostry i jej młodszego syna.

- Tak, ale bycie ciotką, a pełnienie roli matki, to dwie różne sprawy - nie dawała za wygraną.

- Nie przyznawaj się do tego nikomu.

- Dlaczego?

- Kobieta, która nie sprostą zadaniu bycia matką dla kilkorga dzieci tylko dlatego, że urodziła je inna? Taka informacja chluby ci nie przyniesie, moje dziecko.

- Niech mnie wuj nie demonizuje. Przyznałam, że byłoby to dla mnie trudne i jeśli mam wybór, wolałabym mężczyznę bez bagażu w postaci potomstwa. Nie będę udawać, że tak nie jest.

- Ale ja to świetnie rozumiem. Cieszę się, że potrafisz wyrażać swoje zdanie. Tego cię przecież uczyłem. I wcale mnie nie bulwersuje taki pogląd. Kiedy patrzę na to męskim okiem, rzecz jasna.

- Hm.

- Jesteś inteligentną młodą kobietą, która potrafi myśleć nie tylko o swojej wygodzie, ale i o dobru innych. To się chwali. Wiadomo, że dzieci, które straciły matkę, nie chcą, aby uwagę ich ojca odciągała kobieta, która się nimi nie zajmuje. Potrafisz też spojrzeć na sytuację z szerszej perspektywy i wiesz, że dzieci z pierwszego małżeństwa nie tylko mogą dziedziczyć, ale być traktowane inaczej niż potomstwo urodzone przez kolejną żonę. Jak najbardziej to doceniam i rozumiem. Nie udajesz altruistki tylko dlatego, by inni cię taką postrzegali. To w istocie nie jest złe. Powiedziałbym nawet - uniósł wysoko brwi i zlustrował jej niepewny wyraz twarzy - że należałoby to gloryfikować.

Zmarszczyła niepewnie czoło.

- Wiesz jednak, że ja potrafię docenić twoją szczerość i zaakceptować zachowanie, które w ogólnym postrzeganiu wydaje się niepoprawne. Od lat przecież mieszkamy pod jednym dachem i nasze stosunki nigdy nie były szczególnie uciążliwe.

- To prawda. Wielokrotnie wuj pomagał mi wykaraskać się z tarapatów.

- Sam kiedyś wpadałem w podobne i nigdy nie potępiałem cię za poszukiwanie wrażeń. To przecież ukształtowało twoją osobowość. Nie jesteś dzięki temu nudna, jednowymiarowa i przewidywalna.

- To dobrze?

- To bardzo dobrze. Inteligentny mężczyzna doceni kobietę, która potrafi dostosować się do różnych sytuacji i zaskoczyć go - odchrząknął. - Zaskoczyć go w takim momencie,

w którym jest to naprawdę przydatne. Poza tym kobieta o szerszym spojrzeniu na świat i z takim temperamentem sprawia, że jej mąż nie poszukuje wrażeń poza domem. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Chyba rozumiem, wuju.

- Ale ja to ja - podkreślił. - Mnie możesz ufać i mówić o wszystkim. Niestety nie każdy będzie tak tolerancyjny, dlatego dla własnego dobra nie dziel się z innymi takimi przemyśleniami i nowoczesnymi pomysłami. Lepiej stwarzać pozory, a po cichu robić swoje.

- Ale to nie jest zbyt uczciwe.

- To prawda. Ale jeśli chcesz znaleźć męża, musisz pójść na pewne ustępstwa.

- Pojmuję.

- Oczywiście nie oznacza to, że nie wezmę pod uwagę twoich sugestii. Wiesz, że zawsze staram się cię uszczęśliwiać.

- Czyli dzieciątych wdowców wuj ze swojej listy wykreślił? - upewniła się.

- Wedle twojego życzenia.

- Byłabym wdzięczna.

- Ale ogólnie nie masz nic przeciwko mężczyznom nieco starszym?

- Nie - odparła, a przed oczami pojawiło jej się widmo wspomnienia mężczyzny z rybackiej chatki. - Nie mam większych zastrzeżeń. Oby tylko nie był to jakiś starzec z jedną nogą w mogile - mruknęła.

- Hm. - Wicehrabia nie skomentował wypowiedzi, ale widać było po nim, że nie jest do końca zadowolony z postawy podopiecznej. - Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że wróciliśmy do domu od razu po balu andrzejkowym?

- Większość gości wyjeżdżała z pałacyku hrabiny Modlińskiej. A ci, którzy zostali, mieli to zrobić w przeciągu kilku dni. Zaczął się adwent, a to czas dla rodziny i każdy powinien zwyczaj ten uszanować.

- Nie powinienem tego mówić, ale pokładałem pewne nadzieje w tym wyjeździe.

- Ja również, wuju - przyznała.

- Z początku szło całkiem dobrze, ale kolejni zainteresowani okazywali się zupełnie do niczego.

- Nie oceniałabym ich aż tak surowo.

- Zawsze miałaś miękkie serce, dziecko. A trzeba nazwać rzecz po imieniu: zamiast starać się o twoje względy, szybko nudzili się i albo łądowali w łóżku z inną, albo upijali się do nieprzytomności, albo zapadali się pod ziemię z innymi, niewyjaśnionych przyczyn. Widocznie samo zainteresowanie o niczym jeszcze nie świadczy. Niektórym zwyczajnie nie spieszy się do ożenku.

- Wuj również pozostaje w stanie kawalerskim - zauważyła.

- Owszem. Ale nikomu nie robiłem niepotrzebnych nadziei.

- Rzeczywiście - odpowiedziała smutno. - Choć wydawało mi się, że madame Moreau i wuj...

- To interesująca kobieta. Przyznaję, że może będę miał co do niej pewne plany - odparł tajemniczo.

- Nie przypuszczałam.

- Spotkam się z nią na balu karnawałowym w Dowspudzie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko niej?

- Absolutnie – odpowiedziała Izabela, przyglądając się badawczo wujowi. Przez chwilę odniosła wrażenie, że po tym, jak synowie hrabiny Modlińskiej zaniechali zalotów, ona sama też przestanie interesować się sprawami Izabeli. Najwyraźniej jednak będzie działała nadal, tylko odłoży to nieco w czasie.

- Mogłabyś założyć na jutrzejszy obiad którąś z tych ładniejszych sukien?

- Będziemy mieli gości? W niedzielę adwentową? – zdziwiła się. – Nigdy nie przyjmowaliśmy gości w tym okresie.

- Postanowiłem to zmienić.

- Stara się wuj zapewnić mi towarzystwo, bym nie myślała o swojej sytuacji?

- W rzeczy samej – odparł enigmatycznie, podniósł się z fotela i skierował do jednej z szaf.

- Muszę zająć się dokumentami – wyjaśnił, sugerując tym samym, że rozmowę uważa za zakończoną.

- Ale nie będzie miał wuj nic przeciwko, jeśli pójde jutro do dziewcząt ze wsi na darcie pierza?

- Wiesz, że to nie uchodzi.

- Wiem, ale nigdy mi wuj nie wzbraniał, a one też nie mają nic przeciwko. Poza tym można posłuchać ciekawych historii i pośpiewać pieśni religijne. To bardzo przyzwoite posiedzenia.

- Wiem, wiem. Będziesz też przuć wełnę i len jak ostatnio?

- Nie wykluczam takiej możliwości. Nie lubię siedzieć beczynnie i patrzeć im na ręce.

- Nie zabronię ci tego, ale umówimy się na co najwyżej dwa wieczory w tygodniu.

- Niech tak będzie.

- A tymi młokosami się nie przejmuj. Może przyjadą nas odwiedzić w innym terminie.

- Wątpię – wyszeptła.

Następnego popołudnia Izabela ubrana w jedną ze skromnych, ale jednak eleganckich sukien siedziała i przysłuchiwała się wymianie zdań między jej wujem i przybyłymi gośćmi, rodzeństwem Raczek.

- Co też pan mówi, wicehrabio! Nigdy bym nie przypuszczała, że panienka Izabela może być pańską córką. Co najwyżej młodszą siostrą. Pan nie wygląda na więcej niż czterdzieści lat.

- Jest pani niezmiernie łaskawa.

- Albo ślepa – szepnęła pod nosem Izabela.

- Co mówiłaś, słońce? – zapytała kobieta.

- Że w pełni się z panią zgadzam. Wuj jest przystojnym mężczyzną. – To w zasadzie była prawda, ale z pewnością nie to, że wygląda na lat czterdzieści. Właśnie zbliżał się do sześćdziesiątki i na tyle wskazywał jego wygląd. Choć, pomyślała Izabela, może wcale nie. Może to ona tak go oceniała, bo wiedziała, ile sobie wiosen liczy. Może rzeczywiście prezentował się znacznie młodziej. Nie miał brzucha, łysiny, widocznych braków w uzębieniu. Miał wyraziste, męskie rysy i dostojną, elegancką postawę. Mógł podobać się kobietom. Nie mogła temu zaprzeczyć. Panie w pałacyku hrabiny Modlińskiej też często lustrowały jego postać.

- Panienka też ma bardzo ładne rysy. Widać to rodzinne.



- Nie jesteśmy spokrewnieni - wyjaśniła Izabela. - Ojciec wicehrabiego ożenił się z matką mojej matki. Po śmierci rodziców wuj przyjął mnie pod swój dach, za co mu jestem wdzięczna.

- Rozumiem. - Kobieta uśmiechnęła się i odwróciła w stronę wicehrabiego. - To doprawdy wspaniałomyślnie z pańskiej strony. - Musnęła dłonią perłowy naszyjnik, by zwrócić uwagę na swój wydatny biust. Najwyraźniej kokietowała mężczyznę.

- Przyznam, że miałem z tego wiele korzyści. Obecność dziewczynki, a potem młodej kobiety bardzo przysłużyła się temu domowi.

- To prawda. Widać tu kobiecą rękę, jednak kiedy podopieczna wyfrunie z gniazda...

Izabela miała wrażenie, że pani Raczek nabrała ochoty na jej wuja i tak łatwo mu nie odpuści. Rozbawiło ją to nieco, ale też wprawiło w lekkie zażenowanie. Musiała sobie wszystko na nowo poukładać, bo najwyraźniej postrzeganie wicehrabiego jako mężczyzny wymagało modernizacji. Zwłaszcza że przy panu Raczku (który najwyraźniej przybył tu, by przyjrzeć się Izabeli jako ewentualnej kandydatce na żonę) wicehrabia Giełczyński wypadł bardzo korzystnie. Kiedy po obiedzie wybrali się na przechadzkę, Izabela mogła porównać przygarbionego, łysiejącego gościa, który poruszał się niepewnym, wolnym krokiem z wyprostowanym, dziarskim i bądź co bądź przystojnym wujem.

To jeszcze nie było najdziwniejszym jej odkryciem tego dnia. Pod wieczór bowiem, kiedy wybrała się do biblioteki (jak miała ostatnio w zwyczaju, gdy sen nie mógł przyjść do późnej nocy), a tam zastała wuja w samym szlafroku nasuniętym na nagie ciało, czego w żaden sposób nie ukrywał, demonstrując skrawek sprężystego (czego się nie spodziewała) torsu.

Wróciła do swojej sypialni bez książki, której z wrażenia zapomniała zabrać. Czy zrobił to celowo? Czy zwyczajnie pod wpływem wielu komplementów poczuł się na nowo mężczyzną? A może nigdy nie przestał nim być, po prostu ona koncentrowała się na jego roli opiekuna?

---

<sup>10</sup> Napoleon dekretem z 1811 roku powołał do życia „bataliony podrzutków”, do których zaciąg organizowano w szpitalach i przytułkach, nakazując zgłoszenie się chłopców od 15. roku życia powyżej 155 cm wzrostu.

## 24.

– Zastanawiałem się nad czymś ostatnio – powiedział wicehrabia kilka dni później.

– Nad czym, wuju?

– Pamiętasz rozmowę z państwem Raczek?

– Owszem – przytaknęła i wróciła do swojej robótki. Nie szło jej szczególnie dobrze. Nigdy nie miała cierpliwości do wyszywania, dziergania, szydełkowania. Ale wolała zająć czymś ręce, bo inaczej wypiłaby kolejną lampkę wina, a już zaczynało kręcić się jej w głowie. – Mam nadzieję, że nie zamierza mnie wuj swatać z tym staruszkciem.

– Nie przyszło mi to do głowy, moja duszko – zaśmiał się tubalnie. – Ale przyznam, że wspomniał coś o żeniaczcze, zerkając w twoją stronę, więc nie wykluczałbym, że niedługo zjawi się w towarzystwie swata. I pan Raczek nie jest znów taki stary.

– Młodzieńcem też bym go nie nazwała – odparła, zerkając podejrzliwie w stronę wuja, ale udawała, że nadal skupia się na robótcie. – W dodatku od razu zaznaczę, że nie przyjmę jego oświadczyn. Chyba żebym postradała zmysły – zażartowała.

– Nie o tym chciałem jednak mówić. – Wicehrabia rozsiadł się wygodniej na sofie. – Pani Raczek przypomniła mi, że nie jesteśmy ze sobą spokrewnieni i... – podsunął się tak blisko, że niemal poczuła na twarzy jego oddech, i odstawił swój kieliszek na stolik – ...zaczęłem analizować naszą sytuację.

– Nie bardzo rozumiem. – Izabela poczuła się nieswojo.

– Nigdy nie znalazłem odpowiedniej kandydatki na żonę, potem pojawiłaś się ty i skupiłem uwagę na tym, by zapewnić ci wszystko, co najlepsze.

– Mógł się wuj ożenić, nie zważając na moją osobę. Nigdy nie miałam nic przeciwko temu. Wprost przeciwnie. Wspominałam o tym przy wielu okazjach.

– Nie mam do ciebie pretensji przecież. – Spojrzał na nią w niecodzienny sposób. Nie tak, jak powinien patrzeć wuj na swoją siostrzenicę. Raczej tak, jak patrzy mężczyzna na kobietę, która mu się podoba. To było bardzo dziwne. Lekko przerażające, chciałoby się rzec. – Patrzyłem, jak dorastasz i z dziewczynki zmieniasz się w damę podobną do swojej pięknej matki. – Uniósł dłoń i dotknął poufale jej loka. – Ona też miała takie piękne włosy.

Izabela przełknęła ślinę i delikatnie odsunęła się, zasłaniając robótką.

– Może wezwę lokaja? Zdaje się, że wuj wypił trochę za dużo.

– Tak. Przepraszam. – Otrząsnął się i jego twarz znów przybrała poważny, chłodny wyraz. – Rzeczywiście wypięłem zbyt dużo. Mam nadzieję, że cię nie uraziłem, moja droga.

– Nie, nie – zaprzeczyła i podniosła się jak najszybciej, by podejść do sznura i zadzwonić po służbę.

Kiedy jednak znalazła się w swojej sypialni, zaczęła zastanawiać się nad sugestią wuja. W pierwszym odruchu uznała to za coś obrzydliwego, wręcz zwyczajnie, ale po chwili dotarło do niej, że miał prawo pomyśleć o małżeństwie z nią choćby dlatego, że nie byli krewnymi (a i to między przedstawicielami szlachty i magnaterii wielokrotnie nie miało

większego znaczenia), nie mieli innych zobowiązań i nie zapowiadało się na to, że szybko takowe powstaną. O rozsądnych kandydatach trudno było mówić, kandydatek też nie było zbyt wiele. Widocznie madame Moreau nie przypadła wicehrabiemu do gustu, aż tak bardzo. Czasem się tak zdarza. Jej też nie przypadło do gustu wielu kandydatów powszechnie uważanych za dobre partie.

Wicehrabia krążył nerwowo po sypialni i analizował swoje zachowanie. Wiele lat wzbraniał się przed zasugerowaniem Izabeli takiego rozwiązania. Może trzeba było jeszcze zaczekać? Może nie była na to gotowa? Nie chciał przecież jej spłoszyć, wystraszyć, zniechęcić. Nie chciał też brać jej siłą. To ona powinna choćby w niewielkim stopniu, ale zechcieć jego.

– Cierpliwości. Niedługo dotrze do niej, że nie ma innego wyjścia. Jest kobietą i potrzebuje mężczyzny. Jeśli nie będzie miała nikogo innego, to w końcu spojrzy inaczej na tę propozycję – powiedział do siebie.

Przez lata robił wszystko, by wzbudzić w niej namiętność rękoma innych mężczyzn, ale na tyle, by zdobyli jej serce. To on podsunął jej stajennego i on zadbał, by zgodziła się na kilka intymnych spotkań z różnymi kawalerami, których później w odpowiedni sposób od niej odsunął. Zdawał sobie sprawę, że kobiety, podobnie jak mężczyźni, też mają swoje potrzeby i instynkty. Jeśli odpowiednio rozbudzi się w nich te żądze, to zmieniają się one w potrzebę. A potrzebę, jak wiadomo, czasem zaspokajają nie tym, czego się pragnie, ale tym, co ma się w zasięgu ręki. Jeśli Izabelę dopadnie kobieca histeria, a przypadłość ta dopada wiele panien i wdów, co jest wiedzą powszechnie znaną, to ani chybi zwróci się z tym palącym problemem do niego. W dodatku skrupulatnie wcielał w życie plan uatrakcyjnienia swojej osoby. Może środki prowadzące do tego celu nie były zbyt szlachetne, ale przynosiły widoczne rezultaty. Spojrzał na swoje odbicie w niewielkim lustrze zawieszonym na ścianie.

Tak, prezentował się naprawdę dobrze. Lepiej niż przed kilkoma laty.

– Jeszcze trochę i nie będzie potrafiła się temu oprzeć – mruknął zadowolony.

Nie wiedział jednak, że pod drzwiami pochyła się Adela, która idąc do sypialni Izabeli, upuściła trzymany w ręku różaniec. Kobieta nie zamierzała zatrzymywać podsłuchanych słów dla siebie i natychmiast pobięła do sypialni panny Wieczorek.

– Kochanieńka moja – zaczęła zdyszana.

– Tak, Adelo? – zapytała spokojnie Izabela siedząca przy toalecie.

– Wicehrabia chce wydać panienkę za tego staruszka, co to był ostatnio z siostrą na obiedzie.

– Coś ci się chyba pomyliło. – Panienska nie wydawała się zbyt zainteresowana tematem, nadal nakładała krem na policzki.

– Nie jestem głucha – obruszyła się służąca. – Wyraźnie słyszałam, jak mówił, że weźmie cię na przeczekanie, aż sama zechcesz tego, kogo ci wskaże.

– Może coś źle zrozumiałaś, bo wuj zapewnił, że nie będzie mnie namawiał na małżeństwo z panem Raczkiem.

– Może rzeczywiście coś pokręciłam. Ale sama panienska widzi, że żaden młodzieniec się tu nie pojawił od naszego przyjazdu. Nie będę też wypominać paniencie tego zamieszania z synami hrabiny Modlińskiej. Ale miała ich panienska jak na widelcu i tak to... – zakłęła niewyraźnie pod nosem.

– Adelo kochana, wiesz przecież, że nie zrobiłam tego naumyślnie.

- Wiem i widzę, że panienka cierpi. Nie wiem, za którym tęskni, ale uzalenie się nie pomoże. Trzeba zacząć działać.
- A co niby mogę zrobić?
- Może urządzić przyjęcie świąteczne i zaprosić tu hrabinę i jej potomstwo?
- Nie uważam, bym mogła zdziałać coś jeszcze na tym polu.
- Ja bym się tak szybko na panienki miejscu nie poddawała. Chyba że panienkę tchórz obleciał – zakpiła.
- Mnie? Nigdy. Otwórz sekretarzyk i przynieś mi ten nowy nabytek wuja.
- Który?
- To metalowe pióro do pisania. Wynalazek Samuela Harrisona.

\*

Tymczasem w pałacyku hrabiny Modlińskiej przeszukano wszystkie pokoje i przepytano służbę. Żadna z zaginionych błyskotek się nie odnalazła, a dziwne wypadki, które przytrafiły się kilku młodym mężczyznom, hrabina i jej przyjaciółka zaczęły ze sobą łączyć.

Maurycy napadnięty w oranżerii twierdził, że mimo iż nie ma za to do nikogo żalu i pewnie to był głupi żart któregoś z jego kolegów, coś nie daje mu cały czas spokoju. Na zgięciu łokcia znalazł wielkiego sińca i ślady po igle. Nie przypominał sobie, aby poddawał się jakimkolwiek zabiegom tego typu. Hrabina przesłuchiwała też najstarszego syna i skonsultowała z nim wszelkie podejrzenia, dlatego przepytał on jeszcze raz wszystkich napadniętych mężczyzn i okazało się, że poza tym, że części z nich zginęły cenne przedmioty, to stracili też coś innego: krew, pukle włosów, fragment opuszki palca, a w przypadku znalezionej kiedyś na łódce młodzieńca (bo Klemens i jego również wypytał ponownie) kawałek małżowiny usznej. Żaden z nich nie pamiętał też niczego od chwili oberwania w głowę po wybudzenie się z letargu, a znaleźli się (pomijając Anthony'ego) w zupełnie innym miejscu. W dodatku nadal nie odnalazł się Gniewomir Guzowski i jego pierścień, a rodzina zaczynała podejrzewać najgorsze, bo nawet wynajęci śledczy do niczego nie doszli. Trzeba było uważniej przyjrzeć się wicehrabiemu Giełczyńskiemu. Potrzebowano jedynie okazji.

## 25.

- A może zdecydowalibyśmy się na choinkę, wuju? Wiem, że to nowy zwyczaj i raczej modny w mieście niż tu u nas, ale będziemy mieli pojutrze gości i dom prezentowałby się okazalej - powiedziała Izabela do wuja stojącego w salonie w wigilijny poranek.

- Nie mam nic przeciwko, moja duszko. Co prawda nie ukrywam, że wolałbym spędzić święta w spokojnej atmosferze, ale nie będę ci wzbraniał urządzania przyjęć.

- Och - Izabela pokraśniała - jeszcze raz przepraszam wuja, że nie zapytałam o pozwolenie, nim rozesłałam zaproszenia.

- Nieistotne - westchnął - ale wolałbym, byś o tym nie wspominała. - Oparł się o gzyms kominka i udawał, że przygląda się ornamentowi. - Trzeba będzie to poprawić przed przybyciem gości - stwierdził.

- Oczywiście - odparła natychmiast. - Zaraz się sama tym zajmę. Wie wuj, że potrafię naprawiać takie drobne uszkodzenia i nie wspomnę o tym niedomówieniu nikomu - zapewniła gorąco. - Nie chcę w żaden sposób podważać autorytetu wuja.

- Nie o to chodzi - westchnął. - Nie żądam, byś traktowała mnie jak pana i władcę tego dworu. Zwyczajnie nie chciałym, by nas wzięto na języki.

- To co z tą choinką? - przypomniała, by nie ciągnąć tematu zaproszeń.

- Zaraz pošlę kogoś do lasu. Powiedz tylko, jakiej wysokości ma być drzewko.

- Dziękuję! - Podbiegła do niego i ucałowała w policzek. Objął ją i przytrzymał w talii. Trwało to (jej zdaniem) trochę za długo i poczuła się nieco skrępowana, ale poczucie winy i wdzięczności szybko zatarły to nieprzyjemne wrażenie.

- Ale snopek zboża też będzie. Hołduję naszej tradycji i nie mam zamiaru rezygnować z tego symbolu.

- Naturalnie - przytaknęła. - Będzie i stare, i nowe. Połączę wszystko tak zgrabnie, że się nie pogryzą nawzajem - zadeklarowała.

- Dobrze. Powiedz mi tylko, gdzie chcesz zawiesić to drzewko. Nie chciałym, by ktoś zawadził o nie głową.

- A może byśmy je postawili?

- Nie będzie to lekka przesada? Taka ekstrawagancja może zostać źle odebrana - ostrzegł.

- Uważam, że warto spróbować. Poza tym to znacznie bardziej praktyczne.

- Niech więc i tak będzie - skapitulował, lustrując ją od dołu do góry. - Ale suknię włożysz jak najbardziej tradycyjną, prawda?

- Oczywiście - zapewniła. - Jadalospis też będzie tradycyjny.

- A skąd weźmiesz ozdoby do tego drzewka? Nie mamy wiele czasu na zakupy.

- Już o to zadbałam.

- Tak?

- Podczas darcia pierza wspomniałam dziewczętom o swoim zamiśle i podpowiedziały mi, że dzieciaki ze wsi mogłyby coś zrobić. Oddałam im stare wstążki, barwniki do piór, suszone kwiatki, bibułę i parę niepotrzebnych bibelotów, a za pomoc obiecałam nagrody.

- I tak dostają od nas prezenty świąteczne.

- To w tym roku dostaną większe - stwierdziła.

- Masz wielkie serce.

- Niech wuj nie przesadza. Służącym zleciłam, by przygotowały twarde pierniczki, małe jabłuszka i orzechy. One też zawisną na świątecznym drzewku. Już się nie mogę doczekać! - Klasnęła w dłonie niczym mała dziewczynka.

Wuj przyjrzał się jej uważnie. Pomyślał chwilę i rzekł:

- A ja też mogę się przyłączyć do tego dekorowania?

- Wuj?!

- Powiniem mieć w tym swój udział - odparł. - I też lubię czasem się trochę zabawić - dodał.

Izabela zdziwiła się, ale nie skomentowała tego. Może rzeczywiście źle ostatnio oceniała wicehrabiego? Kiedy była dziewczynką, często się z nią bawił, uczył polowania, jazdy konnej... Właściwie niemal wszystkiego, co teraz potrafi. Może poza haftem i układaniem włosów.

Był co prawda specyficznym człowiekiem. Ale czy i ona nie była odbierana jako ekscentryczka? Zdawało się jej czasami, że wuj przekracza pewne granice w ich relacjach i robi się nieco napastliwy, ale to może dlatego, że ona zaczynała postrzegać go jako mężczyznę? Było to zagmatwane i nie chciała się na tym teraz skupiać. Planowanie ucieczki z dworu (poprzez szybkie wyjście za mąż) zdało się jej teraz nieco przesadzoną reakcją na zmiany w jego zachowaniu. Niemniej czuła, że nadszedł już ten czas, kiedy powinna i potrzebuje znaleźć męża i założyć rodzinę. Nie była typem samotniczki, to po pierwsze, a po wtóre potrzebowała mężczyzny - i po to, by się do niego przytulić, porozmawiać, posprzeczać, ale i po to, by zaspokoić inne, zdecydowanie bardziej intymne pragnienia. Właściwie to potrzebowała konkretnego mężczyzny, bo zaczynała zdawać sobie sprawę (i to dość boleśnie), że życie u boku kogoś innego niż mężczyzna, którego zaczynała kochać, może być udręką, ale łudziła się, że o nim zapomni i będzie potrafiła obdarzyć takim samym uczuciem kogoś innego.

Miała nadzieję, że Klemensa nie będzie wśród gości. Co prawda każdego wieczoru wbrew jej woli myśli krążyły wokół jego osoby, ale nie chciała go teraz widzieć. Jeszcze nie była gotowa na konfrontację.

- A nie wybierał się wuj czasem na polowanie? - zapytała.

- Owszem. Chcę przecież sobie zapewnić sukces w łowach przez następny rok. Zrobię to jednak bardzo szybko, przy okazji upoluję coś do obiadu dla gości.

Dziwne. Wicehrabia i chęci do zabawy. W dodatku ogólnie jest jakiś... żwawszy ostatnimi czasy. Albo to ona zaczyna dostrzegać w nim oznaki żywotności.

Cały dzień trwały przygotowania, nie tylko we dworze, ale i w folwarku, i w chatach służby. Oni tego wieczoru, jak co roku, mieli wolne, bo ze stołu można było sprzątnąć dopiero nazajutrz. Ustawiono świąteczną zastawę, pamiętając o dodatkowym nakryciu i trzech pustych krzesłach, a przed wieczerzą Izabela i jej wuj przełamali się opłatkiem zakupionym wcześniej u warszawskich bernardynów, którzy wytwarzali je najbielsze.

Na stole pod białym obrusem rozłożono pachnące sianko, nad stołem zawisł ręcznie wykonany przez Izabelę świat<sup>11</sup> ze sklejonych kawałków oplatka, a na stole wylądowało dziewięć<sup>12</sup> potraw: wykwintna zupa migdałowa z rodzynkami, za którą przepadała Izabela, zupa rybna dla wicehrabiego, gotowany w szarym sosie karp, ogony w kapuście, szczupak w szafranie, karp w galarecie, kutia i kapusta z grochem i grzybami (choć ta potrawa zwykle królowała na chłopskich stołach, ale wicehrabia bardzo ją lubił). Na deser miał być kompot z suszu i strucla makowa. Izabela żałowała, że to nie jej siostra upiekła to ciasto, bo ta była mistrzynią w tej dziedzinie, o czym wuj wołał głośno nie wspominając. Swoją drogą – siostrę wraz z małżonkiem i dziećmi również zaprosiła na święta.

Wieczór upłynął w domowej i naprawdę miłej atmosferze. Nie licząc zbyt poufałego uścisku przy składaniu życzeń i rozlicznych pochlebstw padających z ust wuja. Zdaniem Izabeli mocno przesadzonych.

Po kolacji panna Wieczorek przekazała dzieciom obiecane nagrody, a wicehrabia tradycyjne podarki, które ledwo zmieściły się na saniach. Sobie nawzajem też wręczyli prezenty. Wicehrabia dostał srebrną tabakierkę i skórzany terminarz, a Izabela pierścionek, parę rękawiczek i komplet powieści, o których wspominała od kilku miesięcy.

Przed północą wyruszyli razem saniami na pasterkę do pobliskiego kościoła w Giełczynie, będącego filią parafii w Trzciannem. Zwyczaj mówił, że pierwszy gospodarz, który przekroczy progi świątyni, będzie cieszył się w nadchodzącym roku niezwykłym urodzajem, więc wicehrabia pod kościelne bramy podjechał z takim ślizgiem, że Izabela omal nie wypadła z sań zaprzężonych w dwa buchające parą po długim biegu gniadosze. Z kościoła powrócili przed świtem, ale nie zdążyli odespać, bo z rana znów czekało ich nabożeństwo, a później przygotowania do jutrzejszej wizyty gości, dzięki czemu Izabela nie miała czasu na rozmyślanie o swoim położeniu, bo zaabsorbowała się rolą gospodyni i zadbaniami o to, by niczego jej gościom nie zabrakło.

Następnego dnia przed południem do dworu wicehrabiego Giełczyńskiego przyjechała siostra Izabeli Natalia wraz z mężem Robertem Ostrowskim i trojgiem ich pociech. Natalia przywiozła ze sobą całą masę swoich wypieków: miodowych pierniczków, kołaczy, makowców, a po krótkim przywitaniu pobiegła do kuchni, by podarować kucharce zioła wyhodowane w swojej oranżerii, by przygotowane dania pachniały jeszcze lepiej niż zwykle.

W kilka godzin później przybyła hrabina Modlińska w towarzystwie córek i najmłodszego syna. Przeprosiła za nieobecność Anthony'ego, który ponoć zaniemógł, i przyznała, że nic nie wie o planach Klemensa.

Obiad, podwieczorek, zabawy na świeżym powietrzu, kulig i ognisko – wszystko przebiegło w cudownej, chciałoby się rzec – rodzinnej, atmosferze. Izabela musiała przyznać, że goście nie dali jej odczuć, że mają do niej o cokolwiek pretensje. Maurycy flirtował z nią w najlepsze, wuj zabawiał madame Moreau, hrabina i jej córki zakochały się w dzieciach Natalii, a siostra z mężem zajmowali się sobą, korzystając, że ich pociechy mają zapewnioną zabawę.

Miłym przerywnikiem było też nadejście kolędników, którzy rozweselili dom i sprawili, że Izabela się lekko rozluźniła i zaczęła przyspiewywać razem z nimi teksty kolęd i pastorałek, które sama знаła:

*Pastuszkowie, bracia mili,  
gdzieżwy po ten czas chodzili?*

Po podlesiu na dolinie stanęli w gęstej krzewinie,  
paść owieczki, paść owieczki.  
A gdy północ nastąpiła,  
jasność z nieba uderzyła,  
gdy pastuszkowie zaspali i na gwałt się pozrywali.  
Co się dzieje, co się dzieje?  
Cicho, bracia, coś się dzieje.  
Jasiek płacze, Grześ się śmieje,  
Kuba wyskoczył na budę i stracił Waldkowi dudę  
aż na ziemię, aż na ziemię.  
Jasiek, co wlaż na stóg siana,  
zrozumiał zły widok z rana.  
Jak skoczył do samej strzechy, narobił wszystkim uciechy,  
sobie płaczu, sobie płaczu.  
Oj, jakże mnie głowa boli,  
choć leciałem powoli.  
Pomyślałem, że mam skrzydła, a ja jestem tu u bydła,  
z pastuszkami, z pastuszkami.  
Pójdźmy teraz w imię Pańskie,  
otworzą się wrota rajske.  
Przez narodzenie Jezusa będzie w niebie nasza dusza  
królowała, królowała.

Za Izabelą śpiewać cicho poczęły panny Modlińskie, a do nich dołączył nawet brat, choć ten raczej odkrzykiwał końcówki. Grupka dzieci, które starały się wyrzucić jak najlepsze wrażenie, zaśpiewała kolejną pastorałkę:

W pole pasterze zaszli,  
a my owieczki paśli,  
woły, barany wraz pozganiali,  
a na wygonie pasły się konie razem.  
A my spać polegali,  
a my pasterze mali,  
aż o północy Kuba wyskoczy,  
ze snu wstawajcie, Pana witajcie z nieba.  
Trzodę opuścić trzeba,  
przywitać Pana z nieba,  
bierzmy się w drogę,  
czyżymy przysługę.  
Panu naszemu w szopie narodzonemu.  
Jeden weż koszyk gruszek,  
drugi masła garnuszek,  
trzeci plastr miodu  
jabłek z ogrodu,  
a zaś na Jana włożyć barana trzeba,  
śpiewają święci z nieba.  
Najśladszy Jezu Dziecie,  
błogosław nasze życie,  
przez Twe pieluski, Jezu maluski,  
odpuść nam karę. Daj wieczną chwałę w niebie.



Oczywiście kołędnicy dostali nie tylko ciasta, ale i sporo monet do podziału, bo choć wicehrabia Giełczyński zwykle nie był zbyt hojny, to przy gościach chętniej sięgnął do kieszeni. Dzięki temu tego dnia do jego dworu zawitały jeszcze trzy grupy z gwiazdą i szopką. Ci również zostali hojnie nagrodzeni za występy.

Dopiero następnego dnia przy śniadaniu atmosfera zdawała się zmienić.

Na palcu Izabeli hrabina Modlińska dostrzegła pierścionek, który należał do hrabiego Athertona. Nie mogła pomylić go z żadnym innym. Na ornamentcie wokół błękitnego diamentowego oczka dało się zauważyć drobną pomyłkę. Jeden z wyżłobionych w złocie listków zwrócony był czubkiem w inną stronę niż pozostałe. Nie powiedziała nic na ten temat, ale poprosiła, by jej przyjaciółka zapytała o niego wicehrabiego. Marysia w przebraniu madame Moreau podczas spaceru po włościach wicehrabiego zaraz po śniadaniu zagadała niezobowiązująco:

- Pańska siostrzenica miała wczoraj na palcu bardzo ciekawy pierścionek. Czy to jakaś pamiątka rodzinna?

- Dlaczego pani pyta?

- Chciałabym sobie podobny sprezentować i jeśli wie pan, jaki złotnik go zrobił, to bardzo by mi ułatwiło ten zamysł.

- Niestety. To chyba jakiś podarunek od przyjaciółki, jeśli mnie pamięć nie myli. Nie przywiązuję zbytnej wagi do damskich świecidełek. Co najwyżej płacę za niektóre, jeśli taka zachodzi potrzeba - dodał niby żartem.

- Ach tak - odparła Marysia. - Będę zatem musiała zapytać pannę Wieczorek.

- Nie ma takiej potrzeby. Sam to zaraz zrobię i po wszystkich szanownej pani opowiem - zapewnił zbyt szybko, co wzbudziło jej czujność.

- Byłabym zobowiązana - odparła, udając wdzięczność. - Poza tym - dodała konspiracyjnie - mam do pana jeszcze jedno dyskretne pytanie.

- Tak?

- Jak pan to robi, że pańskie włosy nie noszą prawie śladów siwizny? - Marcysia zauważyła, że szpakowate wcześniej baki wicehrabiego i lekko przyprószone bielą pozostała część fryzury teraz były niemal czarne.

- To szuwaks - szepnął i puścił do niej oko. - Proszę mnie nie wydawać.

- Naturalnie, wicehrabio, naturalnie. Przyznam jednak, że wygląda pan w tym wydaniu o wiele młodziej.

- Taki też miałem zamiar, kiedy zdecydowałem się na pomazanie siwizny czernidłem.

- Mnie się to jak najbardziej podoba - podsumowała filuternie.

Nie wykazał się szczególnym entuzjazmem, słysząc komplement, ale uśmiechnął się szeroko i rozejrzał za swoją podopieczną, która spacerowała z córkami hrabiny.

- To miłe, że się pan stale o nią troszczy - powiedziała Marysia, próbując w ten sposób przywołać jego uwagę i sprawdzić reakcję na komentarz o Izabeli.

- To mój obowiązek. - Nachylił się nad nią, nie spuszczać wzroku z panny Wieczorek i szepnął: - Ale na panią również cały czas zerkam i to nie bez przyjemności.

Czy chciał tym jej sprawić komplement, czy zwrócić uwagę Izabeli?, pomyślała. Zastanawiające.

Madame Moreau naturalnie przekazała przyjaciółce wszystko, co powiedział jej wiechrabia. Pomięła jedynie własne odczucia, bo nie chciała nikogo osądzać zbyt pochopnie. Hrabina zdumiona była odpowiedzią Benedykta Gielczyńskiego. Wprawdzie nie ufała temu człowiekowi i nie była pewna, czy nie kłamie, ale nabrała też pewnych obaw co do uczciwości jego podopiecznej. Co prawda dziewczyna nie powinna być tak nierozważna, by założyć pierścionek Anthony'ego, ale może nie wiedziała, komu został skradziony? Coś jej w tym nie pasowało. Nie wiedziała tylko co. Porozmawiała sobie ogólnie z nią o tamtych kradzieżach i zapewniła, że znalazła sposób, by baczniej przyrzeć się jej wujowi. Cienka nić porozumienia, jaka się między nimi utworzyła, została solidnie nadszarpnięta, jeśli nie całkowicie zerwana.

– Znów panienkę o coś oskarżają? – zapytała bez ogródek Adela, kiedy znalazły się wieczorem same w jej sypialni.

– Nie jestem pewna. Wiem jednak, że skradzionych rzeczy nie odnaleziono, a ludzie nadal szepczą, że mogła to być moja sprawka. Rzecz jasna nikt nie rzucił oskarżenia wprost, ale miałam wrażenie, że nawet hrabina Modlińska patrzy na mnie podejrzliwym wzrokiem.

– Może się panience zdawało – stwierdziła służąca. – A wspominała coś o planach wiechrabiego i o tym, co się o nim dowiedziała?

– Powiedziała, że niewiele informacji udało się jej zdobyć, ale jej przyjaciółka ma pewne przypuszczenia, że maczał on palce w tym, iż kolejni moi konkurenci znikali w niewyjaśnionych okolicznościach.

– Co?!

– Tak mi się powiedziało – jęknęła Izabela. – Widać wuj musiał coś im powiedzieć albo za bardzo szperać w ich przeszłość, dlatego zwinęli się i słuch po nich szybko zagaśniał. Jak tak dalej pójdzie, to przyjdzie mi zostać starą panną. – Usiadła z hukiem na łóżku i opierając łokcie o uda, podtrzymała rękoma brodę. – A może miałaś rację i szykuje mi jakiegoś swojego kandydata, dlatego tak traktuje innych konkurentów? Będę musiała go o to zapytać.

– Najlepiej jutro przy śniadaniu, bo panienska potem zapomni.

Izabela zgromiła ją wzrokiem, ale nic nie odpowiedziała.

Nazajutrz, popijając herbatę, zastanawiała się, jakich powinna użyć słów, by nie obrazić wuja, a jednocześnie wyciągnąć od niego to, czego chce.

– Nie zastanawia wuja czasami, jak to się dzieje, że wszyscy moi potencjalni konkurenci tak nagle i niespodziewanie przestają się mną interesować?

– Nagle i niespodziewanie? – zapytał, unosząc jedną brew i wykrzywiając usta. – Jesteś pewna, że nie bez przyczyny?

– Jestem – odparła spokojnie.

– A kto powiedział Firlejowi, że nie może z nim iść na przechadzkę? Zacytuję: „Ani dziś, ani żadnego innego przedpołudnia, bo mam już inne zobowiązania i nie jestem w stanie z niczego zrezygnować”.

– Może rzeczywiście tak było – przyznała.

– Słyszeliśmy też rozmowę Maurycego Modlińskiego z baronem Krzyżewskim. Wydaje mi się, że musiał mieć powody, by wypytywać go o ciebie. To za to obraził się hrabia Atherton. A ich pojedynek bokserski i pomówienia panny Rottermund? Nie zauważyłaś żadnego związku?

– Cóż – wyszeptwała Izabela. – Kiedy tak na to spojrzeć...

- Musisz trochę bardziej zważać na to, co robisz, moja panno - powiedział tonem wychowawcy. - Przynajmniej w towarzystwie innych. Ze mną możesz być szczerą - dodał delikatnie i podsunął się z krzesłem w jej stronę.

Wyprostowała się i odchyliła.

- Przy mnie możesz być swobodna. Znam cię od wielu lat... - szepnął czułym tonem.

Izabela wyprostowała się jeszcze bardziej.

- Zdaje się, moja droga, że hrabina Modlińska podejrzewa twój udział w zniknięciu tych świecidełek - zmienił temat i odsunął się na poprzednie miejsce.

- Niemożliwe - zdziwiła się dziewczyna. - Nic takiego mi nie powiedziała.

- Może nie chciała sprawić ci przykrości, ale mnie wypytała dokładnie. Poczułem się urażony, ale broniłem cię w jak najbardziej kulturalny sposób. Niestety wydaje mi się, że miałaś rację. Na uwagę jej synów i gości, którzy przebywali w pałacyku przed balemandrzejkowym, raczej nie masz co liczyć. Trzeba będzie porozglądać się za inną możliwością. Może w sezonie w stolicy...

- Może - westchnęła, przejęta tym, że oskarżono ją za jej plecami. Nie spodziewała się tego po hrabinie Modlińskiej. Choć może to wuj wyolbrzymił jej słowa?

Liczyła raczej, że hrabina i jej przyjaciółka dowiedzą się czegoś o zamiarach wicehrabiego, ale może to ona miała do tej pory fałszywy obraz swego otoczenia. Może to wuj był tak naprawdę jedynym jej sojusznikiem?

Mogła podzielić się wątpliwościami z siostrą, ale nie chciała jej martwić. Natalia była przy nadziei i nie wyglądała najlepiej. Widać tym razem stan błogosławiony i jej dawał się we znaki. A porozmawiać ze szwagrem nie miała okazji. Wyjechali w pośpiechu z powodu jakichś jego interesów.

Po wyjeździe gości i rozmowie przy śniadaniu stosunki między Izabelą i wujem wyraźnie się poprawiły (starła się nie zwracać uwagi na jego dziwactwa, a on starał się być dla niej naprawdę miły i często schodził jej z drogi), ale do czasu.

W sylwestrowy wieczór, który spędzali we dwoje, wuj poprosił ją uprzejmie do tańca przy muzyce z pozytywyki, a kiedy taniec dobiegł końca i złożyli sobie najlepsze życzenia, omal nie pocałował jej w usta. Albo przynajmniej takie odniosła wrażenie. Niemniej od tamtego dnia znów zaczął krążyć wokół niej tak często, jakby chciał jej uwagę zawłaszczyć jedynie dla siebie. A już, kiedy zauważył, że otrzymała list od hrabiego Athertona (nie wypadało pannom dostawać takich listów, ale wcześniej wuj nie robił z tego powodu wyrzutów), prawie nie odstępował jej na krok.

Wyjątek zrobił jedynie dla barona Krzyżewskiego, który zjawił się tuż po Nowym Roku.

Wicehrabia musiał pilnie wyjść i zostawić ich na chwilę samych.

- Przepraszam, że nie przyjechałem na święta - powiedział Klemens oficjalnym tonem.

- Nie szkodzi. Szczerze powiedziawszy, nie oczekiwałam, że pan to zrobi.

- Chciałem uniknąć Anthony'ego i...

- Rozumiem.

- Wiem, że powinienem przysłać odpowiedź, ale zatrzymały mnie pilne sprawy w stolicy. - Ujął w dłoń kieliszek cydru i zaczął bębnić o jego powierzchnię palcami.

- Nie musi się pan przede mną tłumaczyć, baronie - odparła, przyglądając mu się badawczo. Czuła, że nie zachowuje się swobodnie. - A czemu w takim razie zawdzięczamy pana dzisiejszą wizytę? - zagaiła podejrzliwie. Nie potrafiła sobie odmówić przyjrzeniu się jego profilowi. I tak widziała go prawie każdej nocy we śnie, ale miała nadzieję, że konfrontacja wyciągnie ją z tego dziwnego stanu. Pomyliła się. I ona się przez to męczyła, ale chyba i on. Powinna pomóc im obojgu...

- Chciałem pani powiedzieć o pewnych podejrzeniach co do pani wuja.

- Ma pan coś konkretnego czy zwyczajnie chce mi się pan przypodobać? - zapytała zaczepnie. Robiła to celowo. Wiedziała, że nie lubił jej bezpodstawnych ataków.

- Chce pani wiedzieć czy nie? - Widać jego cierpliwość tego dnia nie była w najlepszej kondycji. To dobrze.

- Oczywiście, że chcę.

- Tamto podrzucenie klejnotów... hm - odchrząknął - podejrzewam, że pani wuj mógł mieć z tym coś wspólnego. Poza tym wszyscy pani niedoszli narzeczeni... A trochę ich pani nazbierała - powiedział z przekąsem.

Spojrzała na niego gniewnie. Też najwyraźniej walczył ze sobą i też zaczynało go to już porządnie irytować. Poza tym... wyglądał jakoś tak... gorzej. Może był przemęczony?

- Nie próżnowałam. Wie pan, jaki miałam plan - powiedziała, choć zdawała sobie sprawę, że może go to zabołec.

- Wiem - odparł. - Popieram go i rozumiem - dodał pewnym głosem, ale jego oczy mówiły coś zupełnie innego. - Też na pani miejscu szukałbym możliwości wydostania się spod opieki wuja.

- Czyżby uwierzył pan, że moje obawy są słuszne?

- Może - odparł enigmatycznie. - A może to przypadek, ale zarówno Anthony, jak i kilku innych dzentelmenów dziwnym trafem zostało ogłuszonych i pozbawionych cennych przedmiotów. Zanim jednak powróci wicehrabia, chciałbym... - Nabrał głęboko powietrza.

Bała się, że powie coś, co ją naprawdę dotknie. I tak była już w złej kondycji, tęskniąc za jego dotykiem. Tęskniąc za nim samym. Teraz, gdy siedział tuż obok, odczuwała to jeszcze wyraźniej. Poza tym nadal pamiętała, jak bardzo zabołotała ją, gdy usłyszała, że nie nadaje się na jego żonę. Wolała zatem uprzedzić jego słowa:

- Jeżeli chce pan wrócić do tamtej nocy, to... - postarała się skupić wszystkie myśli i powiedzieć cokolwiek sensownego - uległam wówczas jakiejś słabości. Chyba wypiłam za dużo wina i tak bardzo zależało mi na znalezieniu męża... Sama nie wiem. Może nie wracajmy do tego i powróćmy do naszego poprzedniego układu?

Wytrzeszczył ze zdumienia oczy, zacisnął szczękę i przełknął ślinę. Tego się nie spodziewał.

- Skoro pani sobie tego życzy - odpowiedział lodowatym tonem.

Niemal zadygotała z zimna.

- Nie byłyby pani pierwszą kobietą, która zabawiła się mną w ten sposób - dodał naprawdę szczerze. Widać musiała mu zadać poważny cios tymi słowami.

Przypomniała sobie opowieść jego matki o trudnym dzieciństwie i ranach zadanych przez ojca, a potem przez ojczyma. Dodatkowo dowiedziała się od jednej z jego sióstr, że był dawno temu zaręczony, ale narzeczona zostawiła go dla innego. Nie chciała dokładać mu bólu, ale

było to jedyne wyjście. Nie mogli być razem, a wieczna tęsknota była nie do zniesienia. Wiedziała już o tym co nieco.

– Proszę nie brać sobie tego do serca. Nie zamierzałam tego. Sam pan wie, jaki mam porwyczy charakter. – Zerknęła wymownie w dół, przypominając mu o postrzale w pośladki.

Nie mógł się nie roześmiać.

– Przepraszam. Zareagowałem zbyt gwałtownie. Nie jest pani kobietą, której kiedyś oddałem serce w zamian za czcze obietnice. Jest pani po prostu młodą i naiwną dziewczyną, która poszukuje męża...

W tym momencie do domu wrócił wicehrabia i cicho podszedł pod drzwi, aby podsłuchać rozmowę siostrzenicy z baronem. Zapomniał postawić kogoś ze służby pod drzwiami i nie wiedział, o czym do tej pory dyskutowali. Miał jednak nadzieję, że szybko zorientuje się w sytuacji.

– Dokładnie. Poszukuję męża, a pan nie jest kandydatem do tej roli, baronie.

– Nie jestem – przyznał. – Przykro mi, że nie udało się pani z moim bratem, ale tuszę, że szybko pani sobie kogoś znajdzie.

Nie widząc potrzeby dalszego podsłuchiwania, wicehrabia wszedł do salonu i dołączył do ich konwersacji.

Wizyta nie trwała długo, a Klemens zachowywał się podczas niej bardzo dziwnie. Izabela mogła złożyć to na karb ich pogmatwanych stosunków. Ona też nie była ostatnio sobą.

Po jego wyjeździe wuj zaczął ponownie krążyć wokół niej i brać udział w zajęciach, których do tej pory unikał. Konsultował z nią zakupy nowej porcelany, złożył kilka wizyt sąsiedzkich, siadał przy niej, nawet kiedy czytała w bibliotece. W dodatku zaczął o sobie jeszcze bardziej dbać. Jego włosy odzyskały czarny kolor, cera stała się gładsza, a ciało bardziej wysportowane, co chętnie demonstrował, popisując się ćwiczeniami szermierki, na które ją często zapraszał. W ogóle zaczął się zmieniać i mentalnie, i fizycznie.

O zaginionej biżuterii nie rozmawiali. Izabela jednak cały czas czuła, że powinna tę sprawę wyjaśnić, bo dochodziły do niej plotki o jej osobie (służba jeździła do miasta i miała kontakt z innymi służącymi). Powinna oczyścić się z zarzutów, by nadal przyjmowano ją w towarzystwie. Podobnie jak czuła, że powinna wyrzucić Klemensa ze swojej głowy. Wmawiała sobie nawet, że zwyczajnie pragnie mężczyzny, a jego namiętność poznała i dlatego tak go do niej ciągnie. Gdyby znalazła kogoś innego, to może potrafiłaby przerzucić swoją fascynację na tego człowieka. Chciała, aby tak było.

W dodatku pewnej nocy (kiedy zeszła po ciepłe mleko) usłyszała, że wuj znów robi coś w piwnicy i tym razem drzwi były otwarte. Zeszła po cichu i dostrzegła, jak warzy w kotle jakiś napar, czytając jednocześnie tekst z pozółkłego zwoju. Zauważył ją, ale nie przerwał i doczytał do końca. Było to co najmniej zastanawiające, ale wytłumaczył jej, że dostał przepis na napar na ból głowy i korzysta z ziół przywiezionych przez Natalię, a że nie dał rady zasnąć, to pomyślał sobie, że zrobi to o tej porze. Powtórzyło się to kolejnej nocy, ale tym razem drzwi były dobrze zamknięte, a pewnego dnia wuj przeniósł się ze swoimi wywarami do kuchni, czego kucharka omal nie przypłaciła życiem, bo tak się wystraszyła bałaganu, jaki następnego dnia tam zastała.

Izabela sama już nie wiedziała, co ma o nim myśleć. Kilka miesięcy wcześniej podejrzewała, że starość odbiera mu rozum, a teraz zachowywał się raczej jak

rozentuzjasmowany swoimi eksperymentami młodzieniec. W dodatku po incydencie w kuchni przestał znikać, a zaczął krążyć wokół Izabeli, co u niej samej wywoływało bóle głowy i stany lękowe. Raz nawet przyłapała go, jak patrzył na nią, kiedy myślał, że ona śpi, a innym razem zauważyła, że przyprawiał jej owsiankę. Tego dnia udawała, że nie jest głodna.

---

11 Nazwa dekoracji świątecznej. Te oryginalne i wyłącznie polskie misterne ozdoby z opłatków pojawiły się na przełomie XVII i XVIII wieku, a w XIX wieku dotarły do wiejskich chat. Były to „kołyski” (dla Dzieciątka Jezus), krzyże, półksiężycy, słońca i gwiazdy z detali różnego kształtu, wycinane z opłatka i sklepane śliną (która ma właściwości dobrego, organicznego kleju). Te ażurowe ozdoby, duże i małe, wieszano na końskim włosiu lub nitkach na belkach stropowych, często na całej ich długości.

12 Zwyczaj nakazywał, by na stole znalazła się nieparzysta liczba potraw. W zależności od zamożności domu: 5, 7, 9, 11 lub 13.

## 26.

*Augustów, luty 1824 roku*

– Jest panienka pewna, że to dobry pomysł? – zapytała Adela.

– Podczas balu będzie mnóstwo tematów do plotek. Te o mnie powinny zejść na dalszy plan.

Adela spojrzała na nią z pobłażliwością.

– Nawet jeśli, to tylko pomówienia. Nikt nie przedstawił mi żadnych dowodów, a jeśli zacznę się ukrywać, to dopiero będzie sensacja.

– Tak?

– To jakbym sama się do wszystkiego przyznała.

– Może i racja – westchnęła służąca. – Prosta ze mnie kobiecina i ciężko mi zrozumieć te salonowe gierki.

– Ale mnie wierzysz?

– Hm. – Służąca przybrała dziwny wyraz twarzy.

– Adelo?

– Wierzę, ale co z tego? – Rozłożyła ręce. – Moje słowo nikomu do niczego niepotrzebne.

– Potrzebne. Dla mnie to naprawdę ważne, żebyś była po mojej stronie. Wiesz o tym. – Dotknęła dłonią jej ramienia.

– To miłe, że panienka tak myśli. – Adela otarła łzę wzruszenia. – Ale i tak trzeba byłoby zadziałać coś, żeby i inni uwierzyli, bo inaczej nici z wyprowadzki od wicehrabiego. Swoją drogą – wyrzała za okienko powozu – dziwię się, że nie wtarabanił się jak zwykle do środka.

– Mówił, że chce się przewietrzyć.

– A może nie chce, by panienka go wypytywała, bo ma coś na sumieniu? Kuchnia po jego nocnej wizycie przypominała rzeźnię.

– Mówił, że skaleczył się w palec, kiedy przecinał sznurek, na którym suszyły się zioła.

– Może. Nie chce mi się tego teraz rozpatrywać. Zachowuje się jednak dziwnie i nie ja jedna to zauważyłam. Musimy się jakoś dowiedzieć, co też takiego planuje. Bo planuje na pewno.

– Masz rację. Też mam bardzo złe przeczucia co do jego osoby. Wprawdzie już nie obawiam się, że zaczyna tracić pamięć i jasność rozumowania. Właściwie to sama nie wiem, dlaczego wcześniej wydawał mi się taki stary. Wszak wcale taki leciwy nie jest, ale sama nie wiem. Zaczynam się go bać.

– I wcale się nie dziwię. A ma panienka jakiś plan?

– Nie mam – odparła z rozbijającą szczerością Izabela. – Jeszcze nic sensownego nie wymyśliłam.

- Trzeba znaleźć sprzymierzeńca. Musi panienka zwrócić się do kogoś, kto ma wpływy i możliwości, by panienkę z tego wszystkiego oczyścić.

Izabela pochyliła się w odpowiedzi i podparła głowę rękoma.

Tego było zdecydowanie za wiele. Czyżby nikt jej już nie wierzył? Anthony uważał, że go zdradziła. W zasadzie miał rację i nie mogła winić go za to, że w końcu przejrzał na oczy, ale list, który od niego otrzymała, wydawał się podejrzany. Oskarżył ją wprost o skłócenie go z bratem i poprosił, by trzymała się z daleka od pałacyku matki. Z kolei jego matka i jej przyjaciółka mogły już się dowiedzieć o powodach bójk między Klemensem i Anthonym. Zresztą wstydziła się prosić je o pomoc po tym, jak je okłamała, gdy pytały o uczucia w stosunku do Klemensa. Może troszeczkę przesadziła. Zgubiła ją zbytnia pewność siebie, a może namiętność...

- Ma panienka pomysł, kto mógłby jej pomóc?

- Chyba mam - szepnęła - ale... Do diabła! - zaklęła pod nosem. Dlaczego mimo wszelkim racjonalnym przesłankom stale wyszukiwała pretekstów, by spotkać się z Klemensem? Ten zarozumiały mężczyzna nie miał pojęcia, że zawładnął jej wszystkimi myślami, marzeniami, snami, jej duszą... Diabeł w ludzkiej postaci. A najlepsze było to, że wcale się o to nie starał. Mało tego, robił wszystko, by ją do siebie zniechęcić. Czy bał się, że może przeniknąć do jego zamkniętego świata? Wspominał o trudnym dzieciństwie, o doświadczeniach z niewłaściwymi kobietami. Czyżby zachowywał się wobec niej w ten sposób tylko dlatego, by nie mogła go zranić? Ale ona nie chciała go zranić. Przynajmniej nie od pewnego czasu... Baron Krzyżewski zaczynał nabierać podejrzeń co do wicehrabiego, ale nie na tyle dużych, by jej pomóc. A może? Może powinna zwrócić się właśnie do niego? Ufała mu przecież. Wiedziała, że jest dyskretny i słowny. Wiedziała, że potrafi odgrywać dokładnie taką rolę, jaką należy w danej sytuacji. Przecież po mistrzowsku udawał, że do niczego między nimi nie doszło zarówno w chacie rybackiej, jak i później, po zejściu w pałacyku. Co prawda nadal nie potrafiła wyrzucić go ze swojej głowy, ale po tamtej rozmowie we dworze było jej przez chwilę lżej. Może i teraz nie zaszkodzi samej sobie ani jemu?

Nie mogła udać się do niego tak po prostu. Nie mogła też wykorzystać do tego rozmowy w tańcu, bo wcale jej do tańca nie prosi. Choć... Przez myśl przebiegł jej dość ryzykowny pomysł. On też powinien przybyć do Augustowa wcześniej. Bal w Dowspuddie miał odbyć się nazajutrz wieczorem. Przekáže mu dziś przez posłańca wiadomość, by dogadał się z jej wujem i asystował jej podczas balu, ale tak, by to wicehrabia musiał przekonywać jego. Chyba jest na tyle inteligentny i sprytny, aby tego dokonać? Wystarczy go odpowiednio zmotywować albo przekornie wytknąć powody, dla których tego zrobić nie może.

\*

- Mam dla pana wiadomość. - Młody, dość porządnie ubrany chłopak wyciągnął dłoń ze złożoną i zalakowaną kartką bez podpisu i pieczęci.

- Jest pan pewien, że dla mnie? - W klubie siedziało wielu dżentelmenów w różnym wieku. Dlatego Klemens zadał mu to pytanie.

- Tak mi się zdaje.

- A wie pan przynajmniej od kogo?

- Od zgrabnej damy w wielkim kapturze zasłaniającym całą twarz, o bardzo miłym głosie.



– Niewiele to wyjaśnia. – Klemens znał wiele zgrabnych dam o miłym głosie. – Powiedziała cokolwiek, przekazując wiadomość?

– Żeby ją dać wysokiemu, siedzącemu sztywno, skrzywionemu brunetowi, który udaje, że słucha innych, bębniąc palcami o kufel.

– To nieco zawęży moje podejrzenia. – Wyciągnął z sakiewki monetę i zapłacił posłańcowi za usługę, a kartkę schował do wewnętrznej kieszeni surduta. Niech sobie poczeka ta dama w nagłej potrzebie. „...siedzącemu sztywno, skrzywionemu brunetowi, który udaje, że słucha innych...”, zabawne.

Przez ostatnie miesiące sprawdził wszystkie tropy. Dziś jednak w końcu sprawa ruszyła z miejsca. Godzinę wcześniej odwiedził rodzinę Gniewomira Guzowskiego i przeczytał otrzymany od niego list. Niby kilka skreślonych zdań z przeprosinami, ale na końcu znajdowała się prośba o pozdrowienie stryja Henryka i uwaga, że niedługo pójdzie w jego ślady i tak samo będzie świętował urodziny. Niewtajemniczonym mogłoby się wydawać, że chodzi o jakieś hulanki, tymczasem stryj Henryk został znaleziony kilka lat wcześniej martwy we własnej piwnicy, a prowadził się nader porządnie. Klemens uznał, że była to ukryta wiadomość i mężczyzna najpewniej znajduje się w niebezpieczeństwie. Chciał od razu pognać do dworu wicehrabiego Giełczyńskiego, ale zobowiązał się wziąć udział w balu w Dowspuddie, a wicehrabia też miał się tam zjawić. W dodatku urodziny Gniewomira Guzowskiego wypadają za miesiąc.

Porozmawiał sobie z matką i jej przyjaciółką i te ustaliły, że to, co spotkało jego młodszych braci, znalezione na łódce szlachcica i Ignacego Firlejowa (który to obudził się w ramionach folwarcznej dziewczki po tym, jak idąc na spotkanie z panną Wieczorek, został napadnięty i uderzony tępym narzędziem w głowę) miało ten sam schemat. Sprawca nie wykazywał większej finezji i fantazji. Po prostu zachodził swe ofiary od tyłu, ogłuszał je, a potem przewoził w inne miejsce, krępował lub rabował z kosztowności. Nie pozostawiał po sobie żadnych śladów ani świadków. Nawet kobiety, w których ramionach budzili się ochmieleni<sup>13</sup> kawalerowie, nie wiedziały, skąd się oni wzięli. Nie potrafił odgadnąć motywu napaści. Czy była to zazdrość o pannę Wieczorek, a sprawcą był jeden z jej konkurentów? Czy może to wicehrabia, który chciał się pozbyć nieodpowiednich kandydatów do ręki podopiecznej, mając już w zanadru kogoś innego na to miejsce? Czy może była to chęć rabunku lub coś zupełnie innego?

Ale nie tylko to sprawdzał baron Krzyżewski. W pałacyku jego matki zaginęło więcej cennych przedmiotów, między innymi kolczyki panny Fleming. Było to trochę dziwne, bo zarówno potencjalni konkurenci panny Wieczorek, jak i jej wuj byli na tyle zamożni, że nie potrzebowali niczego kraść, chyba żeby zmylić ewentualnego śledczego. Niemniej pierścionek, który skradziono Anthony'emu, znalazł się w posiadaniu Izabeli, więc jego zdaniem wszystko prowadziło do wicehrabiego Giełczyńskiego. Nie mógł tak po prostu wejść i przeszukać jego dworku. Gdyby nie spartolił na całej linii stosunków z panną Wieczorek, mógłby ją poprosić o pomoc. W tej sytuacji jednak nie było to najlepszym posunięciem. Musiał trzymać się od niej z daleka. Jeśli rzecz jasna ona nie wiedziała o postępkach swego wuja. Istniała bowiem niewielka szansa, że mogła być z nim w zмовie. Co prawda nie sądził, aby tak było, ale nie chciał wykluczyć takiej możliwości jedynie dlatego, że się w niej zadurzył.

Oczywiście wziął też pod uwagę udział innych osób. To, ile się nagimnastykował, aby sprawdzić, czy istnieje ktoś taki, kto mógłby znać poczynania panny Wieczorek we dworze i pałacyku, kosztowało go wiele wysiłku i długo by o tym opowiadać.

Najbardziej prawdopodobnym sprawcą był w jego mniemaniu wicehrabia Giełczyński i przyszło mu do głowy, że skoro nie jest w stanie niczego mu udowodnić, bo nie ma żadnych świadków napaści, to może powinien podstawić mu kogoś na przynętę i złapać na gorącym uczynku. Bal u Paca, na którym z początku nie chciał się zjawić, mógłby być wyśmienitą okazją.

Wyjął z kieszeni list, który tam wcześniej wepchnął. Rozprostował go, otworzył i zaczął czytać:

*Szanowny specjalisto od grzanego wina, czy istnieje szansa, by mógłby mi pan towarzyszyć podczas zbliżającego się balu w pałacu w Dowspuździe? Tak, by ten pomysł nie wyszedł od pana ani ode mnie. Mam pewne podejrzenia i chciałabym je z panem skonsultować.*

*Smakoszka pieczonych jabłek*

## 27.

### *Pałac Paca w Dowspudzie*

Powóz podjechał pod dwukondygnacyjną obszerną, opływającą w luksusy neogotycką budowlę zaprojektowaną przez włoskiego architekta Piotra Bosio. Powiedzenie „Wart Pac pałaca, a pałac Paca”<sup>14</sup> unaocznilo się w całej swej okazałości. Izabeli zaparło dech w piersiach na widok pięknego pałacu, złożonego z wystającego przed mur korpusu głównego, w którego narożnikach umieszczono wysokie, smukłe wieżyczki, oraz dwóch węższych skrzydeł bocznych, zakończonych ośmiobocznymi pawilonami.

Co prawda prace wykończeniowe nadal trwały pod okiem innego włoskiego architekta, Henryka Marconiego, ale właściciel Ludwik Pac już teraz organizował wystawny bal karnawałowy. Śnieg pokrywał cienką warstwą otoczenie budowli, ale i tak można było dostrzec piękno otaczających ją ogrodów.

Zatrzymali się przed wysuniętym portykiem pełniącym rolę podjazdu. Izabela przy pomocy lokaja wysiadła i rozejrzała się naokoło. Nie było widać zbyt wielu powozów. Pewnie reszta gości przybędzie wieczorem, pomyślała. Skorzystała z uprzejmości gospodarza i przybyła wcześniej, by móc rozejrzeć się po pięknych wnętrzach i przygotować się na bal.

Pokazano jej przepiękną kaplicę, obszerne salony, jadalnię, archiwum i przestronną bibliotekę. Na piętrze znajdowały się pokoje mieszkalne właściciela i jego rodziny oraz pokoje dla gości. W prawym skrzydle bocznym mieściły się zbiory militariów, a w lewym galeria malarstwa i oranżeria. Wszystkie pomieszczenia były bogato zdobione polichromią i freskami włoskich malarzy, między innymi Mikołaja de Angelisa i Giovanniego Battisty Carellego.

Piwnice pałacu – co jedynie jej powiedziano – także składały się z dwóch kondygnacji. Na wyższej mieściły się pokoje dla służby, kuchnia, inne pomieszczenia gospodarcze oraz łazienki, na wzór tych greckich, o których czytywała jedynie w książkach. W niższej znajdowała się studnia.

Przez jakąś godzinę, kiedy zwiedzała bogato zdobione wnętrza, zapomniała o swoich kłopotach. Kiedy tylko znalazła się w przydzielonej dla niej sypialni, znów dopadły ją wątpliwości. Co, jeśli Klemens nie zgodzi się jej pomóc? Z pewnością dostał wiadomość i pewnie rozmawiał z jej wujem, ale czy mówili o niej? Czy będzie miał możliwość zbliżyć się i z nią porozmawiać? Czy w ogóle zechce to zrobić? Gdyby była jedną z tych mdlejących na wieść o kłopotach panienką, to pewnie rozbolełaby ją głowa i nie byłaby w stanie wyjść poza swoją sypialnię. Ale ona nie była przykładną panienką i nie potrafiła siedzieć z założonymi rękoma, czekając na wybawienie.

Adela poszła zbratać się z tutejszą służbą i sprawdzić otoczenie. Miała zorientować się, czy na balu będzie ktoś, kto mógłby Izabeli zaszkodzić. Właściwie to ochota na poszukiwanie męża chwilowo jej przeszła, ale wiedziała, że nie ma innego wyjścia, a pozostanie dłużej pod

jednym dachem z wicehrabią mogło się źle dla niej skończyć. Naprawdę zaczynał napawać ją lękiem. Nawet te jego opowieści o rozszarpywanych dziewczynach nie były tak przerażające, jak wzrok, którym na nią spoglądał, kiedy sądził, że zajęta była czymś innym. Ona jednak obserwowała jego oblicze; w wypolerowanej tyżeczce, w lustrze, w szybie karety... Było w nim coś złowieszczonego...

Przebrała się w dzienną elegancką suknię z żółtego muślinu, ozdobioną brązową szarfą pod biustem i narzuciła na ramiona długi szal w podobnym odcieniu. Blond pukle upięła wysoko nad karkiem. Nie potrzebowała pomocy pokojówki do tak prostej fryzury przy tak gęstych lokach. Odetchnęła głęboko kilka razy i rzuciwszy okiem na swoje odbicie w lustrze toaletki, skierowała się na korytarz.

– Wyszła pani wreszcie – dobiegł do niej znajomy głos z głębi korytarza.

– A pan jak zawsze kryje się po kątach, baronie?

– Wychodzi mi to całkiem dobrze, prawda?

– Owszem. – Podeszła do niego wolnym krokiem, cały czas zerkając na boki.

– Sprawdziłem wszystko. Jesteśmy sami – szepnął. – Ale nie będziemy ryzykować.

– Tak?

– Przejdziemy gdzieś, gdzie będziemy z daleka obserwowani. Może do ogrodu?

– Dobrze, ale – spojrzała na swoją suknię – może narzucę na siebie coś ciepłego.

– Byłoby to całkiem rozsądne – odparł. – Ja też się ubiorę i spotkamy się w holu za pięć minut.

– Zgoda – odpowiedziała potulnie.

Po niespełna kwadransie spacerowali już po przyległych do pałacu ogrodach pokrytych białą warstwą puchu. Alejki były jednak dobrze odśnieżone, więc nie oni jedni korzystali z uroków zimowej aury.

– Rozumiem, że otrzymał pan moją wiadomość?

– Otrzymałem – potwierdził. Specjalnie zmilczał, jak go przedstawiła posłańcowi.

– Czy pomoże mi pan zatem?

– Nie bardzo wiem w czym, panno Wieczorek.

– Szczerze mówiąc, to i ja jestem lekko pogubiona. Ale intuicja nigdy mnie nie myliła i zwyczajnie zaczynam obawiać się mojego wuja. Już wcześniej uważałam, że jest... specyficzny, ale teraz zachowuje się jeszcze dziwniej niż dotychczas. Wie pan, że zaczął po nocach warzyć napary? Od dawna kolekcjonował zioła i herbaty. Cały zapas sioi z suszem zalega przecież w jego gabinecie, ale zawsze oddawał te mieszanki kucharce, a teraz sam coś warzy zamknięty w piwnicy.

– Ciekawe – powiedział przeciągle. – Dlatego chciała pani, bym jej towarzyszył na balu?

– Wolałabym, żeby to był pan, a nie wicehrabia. Mam jakieś złe przeczucia... Wiem, że to brzmi infantylnie, ale nie potrafię podać konkretnych powodów.

– Nie szkodzi. Już rozmawiałem z pani wujem i wyjaśniłem mu, że w dobrym guście będzie, jeśli to ja się panią zajmę podczas tej uroczystości. Trafi pani pod opiekę mojej matki i naturalnym będzie, że wyznaczy mnie ona jako pani towarzysza. Oczywiście nie będziemy ze sobą tańczyć więcej niż dwa razy, bo to wywoła niepotrzebne plotki, ale będziemy mogli swobodnie rozmawiać i obserwować otoczenie. Zresztą pani też będzie czuła się swobodniej,

bo nie ma co ukrywać, ale trochę pani sobie nagrabiła w towarzystwie i nie wiem, czy poza chętnymi sensacji hienami... chciałem powiedzieć: dżentelmenami o niezbyt pochlebnej reputacji – odchrząknął – poza nimi być może nie będzie miała pani z kim rozmawiać.

– Czyżby się pan o mnie troszczył, baronie?

– Owszem.

– Jakoś trudno mi uwierzyć, że to panem kierowało. Coś za szybko się pan na to zgodził.

– Domyśla się pani, że nie ze względu na mój wrodzony altruizm. Mam w tym swój interes – przyznał.

– Jaki, jeśli mogę spytać?

– Może pani. I nawet uzyska odpowiedź. Ale po kolei. Najpierw musi mi pani odpowiedzieć na kilka pytań, panno Wieczorek.

– Zgoda. – Ujęła go ciałniej pod ramię. Gdyby nie ta jałowa dyskusja i dziwne przeczucia, byłoby jej naprawdę miło w jego towarzystwie.

– Czy wie pani coś o zaginionym pierścieniu rodu Guzowskich?

– Niewiele. Tylko tyle, że zniknął w niewyjaśnionych okolicznościach.

– A wie pani, że Gniewomir Guzowski także zaginał, jadąc do pani z tym pierścieniem?

– Zaginał? Nie wspominał mi pan o tym wcześniej.

– I nie było to z mojej strony niedopatrzenie.

– Nie ufał mi pan?

– Sam nie wiem. Może nie chciałem pani narażać – odparł wymijająco.

– Czyli pan mi nie ufał – stwierdziła. – W zasadzie nie ma się czemu dziwić. Nie poznaliśmy się w najszczęśliwszych okolicznościach. A teraz?

– Czy pani ufam? – zapytał. – Ufam – powiedział pospiesznie i spojrzał jej głęboko w oczy. Odniosła wrażenie, że szukał w nich czegoś, czego ona sama szukała u niego. – Dlatego mówię pani o swoich podejrzeniach. Chciałbym, by po powrocie do domu przeszukała pani sypialnię, gabinet i inne miejsca, w których wicehrabia mógłby ukryć pozostałe przedmioty.

– Pozostałe?

– Nie wspominałem pani, że pierścień, który miała pani podczas świątecznej wizyty gości, należał do mojej matki.

– Jest pan pewien?

– Absolutnie. To ten pierścień zaginał Anthony'emu po tym, jak został uderzony w głowę przez spadającą podkowę.

– A może był podobny albo wuj znalazł tamten w stajni?

– Istnieje niewielka szansa, że tak właśnie było, ale prawdopodobnie zwyczajnie mu go ukradł.

– To dlatego pańska matka tak dziwnie na mnie patrzyła w święta. – Zamyśliła się. – Musiała wziąć mnie za złodziejkę.

– Hrabina jest inteligentną kobietą. Domyśliła się, że nie mogła pani wiedzieć, że to pierścień Anthony'ego, skoro założyła go pani w jej obecności.

– W rzeczy samej.

– Ale przeszło jej przez głowę, że może pani kryć wuja.

- A skąd pewność, że to wuj za tym stoi? Może odkupił go od kogoś, by wręczyć mi w prezencie?

- Gdyby tak było, nie mówiłby madame Moreau, że dostała go pani od przyjaciółki.

- Teraz mnie pan zaskoczył.

- Rzecz jasna mógł tak powiedzieć z zupełnie innego powodu. Może wiedział, że pierścionek pochodził z kradzieży i próbował szybko wykręcić się od odpowiedzi.

- Mogło i tak być. A co z pozostałymi dżentelmenami? Mówił pan, że...

- Pani wuj się do nas zbliża – przerwał jej i uniośł palec, by pokazać, że nadciągają ciemne chmury.

- Widzę, że korzystacie z pięknej pogody – powiedział wicehrabia, podchodząc do nich różnym krokiem.

- Póki jeszcze możemy – odparł Klemens. – Właśnie pokazywałem panie Wieczorek, że nadciąga zmiana. Mam nadzieję, że nie zasypie nas tutaj, bo chciałbym jutro wyruszyć do domu.

Hrabia obrzucił go krótkim i wymownym spojrzeniem. A Izabela puściła jego ramię.

- Wnioskuje, że powiedział pan mojej podopiecznej, że będzie jej towarzyszył podczas balu.

- Owszem – odpowiedział bez entuzjazmu Klemens.

- A ty się zgodziłaś, jak mniemam?

- Nie miałam innego wyjścia – mruknęła dziewczyna – ale jakoś to wytrzymam – dodała.

- Nie tylko wytrzymasz, moja droga, ale też będziesz udawać, że sprawia ci to przyjemność. Inaczej całe towarzystwo uzna, że jesteś naprawdę zamieszana w te kradzieże.

To wicehrabia wprowadził Izabelę na salę balową, ale zaraz przekazał ją hrabinie Modlińskiej i zniknął gdzieś z jej przyjaciółką. Izabela poczuła się skrępowana, ale nie poruszała tematu skradzionego pierścienia ani kłótni synów hrabiny, zwłaszcza że ci w pełnym komplecie nadciągali w ich stronę. A jeden prezentował się lepiej od drugiego, co mogła łatwo dostrzec w spojrzeniach rzucanych im przez zgromadzone damy.

Na moment znieruchomiała, ale szybko przywołała wyćwiczony uśmiech i przywitała się z nimi, jak należy. Oczywiście (podejrzewała, że za sprawą ich matki) wszyscy trzej zapisali się w jej karnecie, a Klemens zapewnił, że zajmie się nią podczas posiłku. Na balu nie było zbyt wielu osób, które gościły jesienią u hrabiny Modlińskiej. Pojawiła się jedynie panna Fleming z babką, dwie starsze panie, Ignacy Firlejow, który, poza tym, że poprosił Izabelę do tańca, nie zamienił z nią więcej niż dwóch zdań. Przynajmniej tyle dobrego, że nie musiała rozglądać się i sprawdzać, kto o niej plotkuje. Niestety to nie zmniejszało poczucia dyskomfortu, kiedy musiała spojrzeć w oczy Anthony'emu. Po pierwsze dlatego, że go zwodziła cały czas, spotykając się z jego bratem, po wtóre, że była w posiadaniu pierścienia, który należał do niego, a nie mogła się z tym zdradzić, bo oficjalnie nie miała o tym pojęcia.

Klemens tańczył z panną Fleming. Dziewczyna wyglądała lepiej niż podczas ich ostatniego spotkania, ale jej oczy zdradzały, że była czymś zmartwiona. Jej obecność na balu była jednak dobrym pretekstem do rozmowy z Anthonym i Izabela z tego skorzystała. A zrobiła to na tyle umiejętnie, że po ich tańcu hrabia Atherton poszedł wpisać się do karnetu panny Fleming. Izabela natomiast miała tańczyć z Klemensem.

Obawiała się, że jej zdradzieckie ciało wpędzi ją w kłopoty, ale przebrnęła przez to całkiem gładko, przybierając odpowiednią maskę. W środku jednak dygotała z nerwów, właściwie była jednym wielkim ich kłębkim. Kiedy dotknął jej talii, przed oczami miała obraz tamtej nocy, gdy przyszedł do jej sypialni, a kiedy starał się zabawić ją rozmową, nie potrafiła złożyć poprawnej odpowiedzi.

Dla Klemensa to też nie było łatwe. Chciał trzymać się od niej z daleka, bo jej bliskość przypominała mu o tym, że nie mogą być razem, i sprawiała ból, ale ten liścik i okazja... Może były jedynie pretekstem, by ją znów zobaczyć... Katował sam siebie i miał tego pełną świadomość, a jednak brnął w to z premedytacją.

- Wygląda pani zachwycająco, panno Wieczorek.

- Dziękuję, baronie. Pan też prezentuje się znakomicie.

- Nie lubię, gdy pani gra.

- A ja nie lubię, gdy pan to robi - przyznała. - Czy czegoś się pan dowiedział?

- Jeszcze niewiele.

- Męczy mnie to wszystko.

- Może wymkniemy się, by złapać oddech? - zaproponował.

- Ale dyskretnie. Nie chcę stracić resztek reputacji.

- Proszę mi zaufać. Za pięć minut w kaplicy - szepnęła i kiedy tylko taniec dobiegł końca, tak zręcznie przeszedł do stołu z przekąskami i dalej w głąb korytarza, że chyba nikt nie zorientował się, że zniknął.

Izabela pokręciła się w pobliżu sali przeznaczonej do odpoczynku dla pań i zgrabnie przemknęła, kierując się inną drogą do umówionego miejsca.

Weszła cichutko i rozejrzała się po ciemnym wnętrzu. Klemensa nigdzie nie było widać, ale znając jego przyzwyczajenia, domyśliła się, że zaraz wyłoni się z któregoś kąta. Tak też się stało.

Podszedł do niej od tyłu i delikatnie dotknął jej ramienia. Poczwała, że serce zaczyna bić jej coraz szybciej, a rozsądek jest zastępowany przez pragnienie. Obróciła się w jego stronę i już miała coś powiedzieć, kiedy pochylił się, a jej usta zamiast otworzyć się na rozmowę, pomknęły na spotkanie jego wargom i nie czekając, aż rozum wyda im taki rozkaz, scaliły się z tamtymi w namiętym pocałunku. Pragnęła go, pożądała w najbardziej instynktowny, pierwotny sposób na świecie. Świadomość ta zmieniła jej trzeźwe rozumowanie w głęboką, erotyczną potrzebę. Wiedziała, że pożądanie ludzie często myślą z miłością, ale w tej chwili była pewna, że zarówno pożąda, jak i kocha tego mężczyznę. Przesunęła dłonie w górę i objęła Klemensa za szyję, by pogłębić pocałunek.

Nie potrafił się temu oprzeć. Wiedział, że nie było to dobre posunięcie, ale zwyczajnie nie mógł jej odtrącić. I choć to od niej wyszła inicjatywa (tak mu się przynajmniej zdawało), to on przejął teraz kontrolę. Całując ją żarliwie, błędził rękoma po wypukłościach jej ciała. Zlekceważył podszepty sumienia i przywarł do niej tak mocno, że omal nie zgniótł jej o oparcie stojącej za nią ławki.

Gdyby nie skrzypnięcie drzwi... Bóg jeden wie, czy zdołaliby się powstrzymać od zerwania z siebie strojów.

Zebrawi się w ciszy i wrócili osobno na bal. Ten jednak wydał się im płytki i nużący.

Jeszcze tego samego dnia, tuż nad ranem, Klemens natrafił na wicehrabiego w jednym z długich korytarzy pałacu. Nie miał pewności, czy ten ma coś wspólnego z wypadkami i zaginięciami, jakie przytrafiały się każdemu mężczyźnie, który zwrócił uwagę na jego podopieczną. Nie był też pewien, czy to on był świadkiem pocałunku, dlatego wołał udawać obojętność i pozbyć się go jak najszybciej. Jeżeli to on, to i tak go znajdzie, jeśli ktoś inny, to wicehrabia nie da mu tej szansy, a kolejna okazja do prowokacji może się łatwo nie powtórzyć. Zresztą i tak zbyt wiele kosztował go ten pocałunek. Pożegnalny pocałunek, nazywając rzecz po imieniu.

– Czy pan i moja podopieczna... Czy ma pan względem niej jakieś plany, baronie Krzyżewski? – zapytał rzeczowo wicehrabia.

– Nie mam. Jakby pan nie zauważył, tańczyłem trzykrotnie z panną Fleming i muszę przyznać, że to ona zwróciła moją uwagę. Wyglądała wyjątkowo uroczo.

– To prawda.

– Owszem, panna Wieczorek jest równie ładna i mądra, ale ja nie szukam żony, z którą miałbym stale problemy. Ona jest już na tyle ukształtowana i zmanierowana. – Odchrząknął. –

Może to złe słowo. Nie potrafiłbym zwyczajnie odnaleźć się w małżeństwie z tego rodzaju kobietą. Sam pan wie, jakie z niej ziółko.

– To prawda. Nie chciałbym jednak, by ktoś ją obrażał, nawet pan, baronie.

– Nie miałem takiego zamiaru.

– I nie chciałem, by uwodził ją pan, skoro nie ma wobec niej żadnych poważnych zamiarów – dał jasno do zrozumienia, że to on był świadkiem pocałunku w kaplicy.

– To ona próbowała uwieść mnie. Albo raczej oboje ulegliśmy jakiemuś szaleństwu. To się nie powtórzy, zapewniam.

– Wiem, że się nie powtórzy. W przeciwnym wypadku musiałbym pana wezwać na pojedynek, baronie, a tego byśmy nie chcieli. – Wicehrabia obrzucił go takim spojrzeniem, że Klemens poczuł się zaniepokojony.

– Zwyczajnie chcę pana uspokoić. Moje myśli krążą wokół kandydatki znacznie spokojniejszej i mniej kłopotliwej. A moje wybory nie będą miały nic wspólnego z popędami, którym wszyscy czasami ulegamy.

Izabela słyszała wyraźnie każde jego słowo, a on był świadomy tego stanu, ale nie miał możliwości ostrzeżenia jej, że rozmowa ta ma na celu jedynie zmylenie przeciwnika. Ranił ją, z premedytacją i świadomością konsekwencji tego czynu.

Podeszła na tyle blisko, by mógł zobaczyć jej twarz. Oczy miała pełne łez, ale usta zaciśnęła, przygryzając język niemal do krwi. Bolały ją jego słowa, wdzierają się do jej umysłu, do jej duszy.

Klemens stał ze zwartymi wargami i rękoma zaciśniętymi w pięści. Uniósł głowę, by przekonać się, jakich szkód dokonał tą rozmową. Udawał, że patrzy w przestrzeń, by wicehrabia nie zauważył Izabeli. Miał nadzieję, że ona zrozumie, że domyśli się, że to jedynie podstęp, że nie mówił tego poważnie. Spojrzał na nią. Jego oczy błagały o litość, o wyrozumiałość i przebaczenie. Ale czy ona odczytała to wszystko? Niestety tego wiedzieć nie mógł.

Izabela podejrzewała wuja o złe intencje, ale w tym momencie był jedyną jej bliską osobą i mógł zabrać ją jak najdalej stąd. Nie miała zamiaru zostać tam ani chwili dłużej. Wołała



kłopoty, które znała, niż nowe tarapaty. Pobiegła na górę, by pomóc Adeli szybko się spakować. Chciała wyjechać stamtąd, gdy tylko wszędzie słońce.

Godzinę później Klemens zastanawiał się, jak przekazać Izabeli, że rozmowa z jej wujem miała jedynie odwrócić jego uwagę i dać mu czas na przygotowanie pułapki. Tak się nad tym zamyślił, że dopiero w ostatniej chwili wyczuł, że ktoś za nim idzie. Podejrzał, że zaraz powinien oberwać w głowę. Nie mógł do tego dopuścić, dlatego skrzył w zupełnie ciemny zaułek, do pomieszczeń, w których trwały jeszcze prace wykończeniowe, i zasłonił się pierwszym, co znalazł pod ręką. Gdy był tu wcześniej tego samego dnia, zauważył, że pod ścianą stały kawałki desek, użył teraz jednej z nich do zasłonięcia głowy. Nie uchroniło go to całkowicie, ale pozwoliło zmniejszyć siłę uderzenia. Oczywiście upadł, udając utratę przytomności, i nasłuchiwał, co się będzie działo.

Mężczyzna (płci był pewien po zapachu wody kolońskiej i sile uderzenia) pochylił się nad nim i dokładnie przeszukał jego kieszenie. Nie znalazł tam najwyraźniej nic godnego uwagi, dlatego rozchylił poły fraka i zaczął szperać głębiej. Klemens miał zamiar schwycić go za rękę, ale jego oczy przyzwyczaiły się na tyle do ciemności, że zauważył zarys pistoletu skierowanego w jego stronę, więc wolał nie ryzykować wystrzału. Wydawało mu się, że napastnik zwyczajnie go przeszukuje, ale ten zaczął ściągać jeden z jego rękawów i dobierać się do lewej ręki. Na skórze poczuł coś zimnego i ostrego. Nie był to jednak sztylet, a jakieś małe narzędzie, więc leżał, nadal przysłuchując się tym poczynaniom. Dopiero kiedy zrozumiał, że właśnie upuszczano mu krew, zaczął reagować, niestety napastnik zorientował się, że się wybudza, i uderzył go kolbą pistoletu w czoło, powodując prawdziwą utratę przytomności.

Klemens wybudził się dopiero po kilku godzinach, zupełnie zdezorientowany w sytuacji. Starł się sobie przypomnieć, jak znalazł się w tym miejscu, ale nie był w stanie. Osłabiony i bardzo wyziębiony podniósł się i powoli dotarł do swego pokoju, gdzie lokaj pomógł mu doprowadzić się do porządku i położyć do ciepłego łóżka.

---

<sup>14</sup> Powiedzenie dotyczące bogatego fundatora. Ludwik Michał Pac – generał w armii napoleońskiej – wybudował neogotycki pałac w latach 1820–1827. Niestety ziemię wraz z pałacem zostały mu odebrane na rozkaz carski, jako kara za udział w powstaniu listopadowym. Pałac przechodził z rąk do rąk, popadając w ruinę. Do dziś zachowały się jedynie nieliczne ślady.

## 28.

### *Dwór hrabiego Giełczyńskiego, marzec 1824*

– Adelo! – krzyknęła po raz kolejny Izabela. Dlaczego jej nigdzie nie ma?, zastanawiała się. Przecież nic nie wspomniała, że planuje gdzieś wyjść czy pojechać. Pogoda bynajmniej nie nastrajała do spacerów po okolicy. Śnieg sypał od poprzedniego wieczora.

Rozejrzała się po swojej sypialni. Wszystko było na swoim miejscu, ale wydawało się jej, że coś się zmieniło. Otrząsnęła się z tego wrażenia i podeszła do szafy. Trudno, pomyślała i sama zaczęła wybierać suknię. Powoli zdjęła koszulę nocną i założyła po kolei wszystkie warstwy bielizny. Z gorsetu zrezygnowała, a na wierzch wybrała zwykłą dzienną suknię o nieco szerszym kroju. Włosy związała w luźny kok za pomocą wstążki i poupiła wystające kosmyki spinkami.

Zeszła jak co dzień na śniadanie, ale nie zastała nikogo w jadalni, więc poszła do kuchni, skąd sama wzięła sobie bułeczkę i szklanek ciepłego mleka, które znalazła odstawione na brzegu pieca w rondelku, po czym przeszła do salonu, gdzie jej wuj właśnie dolewał sobie herbaty, siedząc przy stoliku z rozłożoną gazetą.

– Dzień dobry, wicehrabio – zwróciła się do niego Izabela. – Gdzie się wszyscy podziali?

– Są na ślubie jednej z dziewczyn folwarcznych i naszego głównego stajennego.

– Na ślubie? – zdziwiła się dziewczyna.

– Chyba słyszałaś, że planują szybki ożenek po tym, jak... – urwał. – Czy tobie jako panience nikt o tym nie doniósł?

Spojrzała na niego lekko speszona.

– Oj. Nie mów, moja droga, że Adela ci nie wspominała, jaki to z naszego stajennego zapobiegawczy chłopak. Najpóźniej na jesieni będzie syna kołysał. Albo córkę – uzupełnił.

– Rzeczywiście, coś tam o tym bąknęła, ale nie miałam głowy, by nad tym myśleć. Czy dostali od wuja coś na nową drogę?

– Naturalnie – powiedział spokojnie. – Wiesz przecież, że dbam nie tylko o swoją dworską służbę.

– A nie pójdziemy, żeby im złożyć życzenia?

– Już to zrobiłem, kiedy smacznie spałaś. W twoim imieniu również.

– Ach tak. Dziękuję i przepraszam. Nie wiedziałam, że już tak późno. – Zerknęła na stojący w kącie zegar.

– Nie szkodzi. Dałem im taki prezent, że nikt nie zwrócił uwagi na twoją nieobecność. A teraz siadaj i przyłącz się do mnie. Nauczyłem się podawać herbatę – pochwalił się. – Kucharka zostawiła nam ciastka. Dopiero za dwie godziny ktoś przyjdzie podać nam obiad.

– Dobrze – powiedziała niepewnym głosem i usiadła w fotelu obok.

– Pozwól, że ci naleję.

- Nie powinien wuj. To ja powinnam się tym zająć.  
- Nalegam.  
- Ale to nie wypada – zaoponowała.  
- Wypada, nie wypada. Chcę się pochwalić, więc pozwól mi na odrobinę ekstrawagancji.  
- Skoro wuj sobie tego życzy – szepnęła do siebie i podała mu swoją filiżankę. Mężczyzna chwycił oburącz podgrzewany na specjalnym stojaku imbryk i trochę niezdarnie nalał parującego płynu.  
- Cukru?  
- Poproszę.  
- A sobie wuj nie doleje?  
- Doleję. Owszem. – Podstawił własną filiżankę i powtórzył proces.  
- Nie mieliśmy tego imbryka – zauważyła, by przerwać niezręczną ciszę.  
- To nowy nabytek. Podoba ci się?  
- Bardzo ładny – przyznała. – Ale filiżanki do niego nie pasują.  
- Nie pomyślałem. Rzeczywiście. – Zastanowił się. – Dlatego, moja droga, potrzebna jest w tym dworze dłoń kobieca. Przy najbliższej okazji dokupimy resztę do kompletu.  
- Dobrze. – Sięgnęła po swoją filiżankę, pomieszała herbatę i odłożywszy łyżeczkę, upiła spory łyk. – Ziołowa?  
- Zmieszałem kilka gatunków z mojej kolekcji. Mam nadzieję, że nie jest zupełnie do niczego.  
- Nie – zaprzeczyła i na dowód upiła jeszcze trochę. – A swoją drogą... – Przymrużyła oczy, by nie skrzywić się z powodu nuty goryczy wyczuwalnej w osłodzonej cieczy. – Czy nie mamy aby postu?  
- Owszem.  
- To w jaki sposób ksiądz zgodził się na ślub i wesele?  
- Jest dziewiętnasty marca, Józefa<sup>15</sup>.  
- Ach, rzeczywiście. Wyleciało mi z głowy. Dlatego tak wcześniej zaczęli uroczystości.  
- A ja dałem wszystkim wolny dzień.  
- To naprawdę bardzo miłe z wuja strony – pochwaliła Izabela i przetknęła ślinę, po czym odstawiła ostrożnie filiżankę i dotknęła dłonią czoła.  
- Coś ci jest, moje dziecko?  
- Nie wiem – odparła niepewnie. – Zakręciło mi się w głowie. Szczerze mówiąc, to od kilku tygodni nie czuję się najlepiej. Dlatego tyle ostatnio spałam.  
Po powrocie z pałacu Paca czuła się zdruzgotana. Słowa Klemensa rozbrzmiewały w jej głowie. Pamiętała jednak o ich wspólnych rozmowach i posłusznie przeszukała wszystkie zakamarki dworu, poza piwnicą, ale tam wuj też ostatnio nie zaglądał. Żadnych kosztowności nie znalazła, a zachowanie wicehrabiego nie było aż tak uciążliwe, zresztą skupiła się na swoim samopoczuciu i podejrzenia zeszyły teraz na dalszy plan. Musiała nauczyć się żyć z pustką, jaka została po definitywnej utracie Klemensa, i zadbać o swoje zdrowie, bo najwyraźniej ostatnie wydarzenia nadszarpaneły jej kondycję.  
- Usiądź może w wygodniejszym miejscu. – Wuj podał jej ramię i pomógł przenieść się na sofę naprzeciwko, po czym zasiadł obok niej i podał filiżankę z herbatą.

- Dziękuję – odparła i upiła trochę.

- Wypij, wypij – zachęcił. – Widocznie zasłabiaś, bo mało ostatnio jesz i pijesz.

- Może. – Spojrzała na kubek z mlekiem.

- Jeśli ci się kręci w głowie, to odradzam mleko – ubiegł jej prośbę i schylił się do stolika, by ponownie uzupełnić filiżanki, a następnie wziął spory łyk ze swojej. – Widzisz, mnie ta herbatka pomaga. A też rano nie czułem się najlepiej.

Izabela potulnie wypiła jeszcze trochę i oparła się swobodnie o sofę, bo obraz zaczynał się jej lekko rozmazywać, i zaczęła bawić się swoim medalikiem. Czuła się, jakby była pijana, ale nie potrafiła skupić się na powodach tego stanu. Właściwie to powoli przestawała próbować. Było jej całkiem wygodnie, trochę sennie... póki nie poczuła na udzie dłoni wicehrabiego.

- Co wuj robi?

- Nic takiego, dziecino. – Przysunął się i pogładził ją po twarzy, po czym poprawił wymykające się z upięcia kosmyki włosów, wkładając je za ucho. – Jesteś taka podobna do swojej matki. – Pochylił się, ujął jej dłoń i złożył na jej wierzchu pocałunek.

- Aha – wyszeptała bez sensu.

Czy coś było w tej herbatce?, myślała gorączkowo, choć Bogiem a prawdą ledwo udawało jej się sklecić w myślach porządne zdanie. Nie potrafiła skoncentrować się na długo. O czym myślała? O herbatce. Czy coś w niej było. Nie mogło, bo wuj nalewał i sobie, i jej z tego samego imbryka. Widziała, jak pił ze swojej filiżanki. Nie udawał, bo płynu ubywało. Słodził też z tej samej cukiernicy (a cukier nie był w kruszonych kawałkach, ale miałki, zatem odpadało wybranie odpowiedniego), więc nie mógł jej podać niczego, czego sam by nie zażył. A może? Izabela próbowała trzeźwo myśleć i resztką woli skupić się na tym, co powinna zrobić. Nie była pewna, ale chyba znalazła się w potrzasku.

- Masz taką gładką skórę – mruknął mężczyzna, gładząc jej policzek.

- Tak – odparła pokornie i nie odsunęła głowy, choć bardzo tego chciała. Jej ciało i głos zachowywały się jednak zupełnie nie tak, jak powinny.

- Czy w tej herbatce...

- Coś jest? – dokończył za nią. – Nie! – Zademonstrował, jak chwyta imbryk i napełnia z niego po kolei jego i jej filiżankę.

- W cukrze także nic. – Wymieszał zawartość cukiernicy i tą samą łyżeczką dosypał do jednej i drugiej filiżanki, po czym zamieszał i podał jej do wypicia. – Chyba nie podejrzewasz mnie o złe zamiary? – zapytał niewinnie.

- Nie – zaprzeczyła niepewnie.

- Wypij. Dobrze ci zrobi. – Podsunął filiżankę do jej ust i prawie wlał do nich część jej zawartości.

Nie chciała pić, ale poddała się jego zabiegom, co tylko pogorszyło jej samopoczucie. Cały czas była świadoma tego, co się dzieje, ale miała nad tym coraz mniejszą kontrolę.

Wicehrabia nachylił się i pocałował ją delikatnie w usta.

Nie broniła się, ale też nie oddała pocałunku. Był jej zupełnie obojętny. Ani miły, ani wstrętny. Nijaki.

Poczuła, że jego dłonie wylądowały na zapięciu jej sukni.

Umysł krzyczał, by uciekała stamtąd jak najprędzej, ale ciało nie chciało wykonywać poleceń. Wicehrabia z wolna rozpiął haftki i ściągnął górę sukni tak, że Izabela została jedynie w koszulce, przez którą prześwitywały jej piersi. W chwilach, w których odzyskiwała jasność rozumowania, naprawdę się bała. W pozostałych siedziała jak zahipnotyzowana i nic nie miało dla niej znaczenia. Kiedy jednak świadomość wróciła, próbowała krzyczeć, ale nakrył jej usta dłonią i uspokajał. Nie potrafiła zrozumieć dlaczego, ale posłuchała go i przestała się wrywać, oddając się jego woli.

Przesunął dłoń niżej i dotknął z namaszczeniem jej szyi, następnie złożył na niej pocałunek. Nie było to aż tak okropne, jakby mogło się wcześniej wydawać. Wicehrabia był przystojnym mężczyzną i potrafił oczarować kobietę. Czy ją teraz też oczarowywał?, myślała.

Benedykt Giełczyński oderwał się od szyi Izabeli. Gdyby nie posiadał sumienia i za cel nie wziął sobie przekonania jej do małżeństwa, co oddałoby mu ją całą w posiadanie na wieczność, to zerwałby z niej tę przeklętą suknię, podniósł spódnicę i wziął brutalnie na sofie. On jednak był strategiem, rozmyślnym i przebiegłym. Latami realizował swój plan poddania jej swojej woli. Chciał, by poczuła się odrażona przez wszystkich, chciał, by była zbyt dumna, by zwrócić się do kogokolwiek o pomoc. Chciał pozostać jej ostatnią szansą na uczciwe życie i chciał, by nawet wbrew sobie, ale była mu chętna. Nie chciał stosować wobec niej siły. Wolał uczynić to podstępem. Narkotyk, którego użył, miał pozbawić ją woli i sprawić, by wykonywała wszystkie jego polecenia. Nie podał jej takiej ilości, żeby zapomniała później o wszystkim. Chciał, by pamiętała to, co miało się zaraz wydarzyć, ale chciał też, by nie była do końca pewna, jak do tego doszło.

Wiedział, że jest na tyle dumna i na tyle ośmieszona w towarzystwie, że dokona właściwego, jego zdaniem, wyboru i zgodzi się go poślubić.

- Co wuj robi? - zapytała, zerkając, jak jego dłoń sunie na krawędź jej koszulki.
- Głaszczę - odparł bez namysłu. - Chyba nie sprawiam ci bólu?
- Nie - odparła wbrew sobie.

Rzeczywiście nie sprawia mi bólu, pomyślała.

Wicehrabia Giełczyński od lat traktował swoją podopieczną jak zwierzątko domowe. Rozpieszczał, karmił, głaskał, czasem lekko karcił, ale trzymał w niewidzialnej klatce, aby mogła robić tylko to, na co on wyrażał aprobatę.

- A to cię nie boli? - przesunął dłoń niżej, opuszkami dotknął jej sutka.
- Nie - odpowiedziała, nie rozumiejąc sensu jego pytań.

Wicehrabia Benedykt Giełczyński nie był zwykłym jawnym despotą, agresywną dewotką, autorytarną krzykliwą staruszką, zdziwaczką, zgorzkniałą starą panną czy ostentacyjnym okrutnikiem. Wicehrabia był szalenie inteligentnym, spostrzegawczym, niezwykle cierpliwym i doskonale udającym niewiniątko taktikiem. Dopiero po kilku latach Izabela zaczęła powoli zdawać sobie sprawę, że na wszystkie jej młodzieńcze wybryki, na pozorne pociąganie za sznurki, do których był uczepiony, na wciskanie wszelkiego typu bajeczek, on zwyczajnie sobie pozwolił, ba, on wykreował jej chęć robienia tego wszystkiego. A zrobił to z premedytacją i z dokładnie obraną strategią, by przez wiele lat ukształtować ją sobie do roli, którą właściwie tylko on sam mógł prawidłowo określić. Z rozmysłem pozwalał jej naginać zasady i pozornie wodzić siebie za nos, kiedy to on kształtował jej osobowość i wyrabiał w niej poczucie władzy. Dobrze wiedział (bo sam podsycał umiejętnie i podsuwał jej całe wyuczone

zdania), jak będzie traktowała siostrę, kiedy ta wpadnie w szpony teściowej i nawet po śmierci męża będzie znajdować się pod jej wpływem. Zdawał sobie sprawę, jak potraktuje brata, który w pogoni za pieniądzem zapomni o własnej godności, i jak będzie odsuwać się od kuzynek i przyjaciółek, które dadzą się prowadzić za rękę i wystawiać na balach debutantek niczym zwierzęta na aukcji przed ubojem. Wicehrabia spokojnie i z rozwagą wzmocniał jej poczucie niezależności, zapewniając sobie spokój, kiedy już zacznie odsłaniać swoje drugie oblicze.

Teraz jednak zaczynał tracić cierpliwość i wesele służących uznał za wyśmienitą okazję do przyspieszenia toku pewnych spraw...

Może nie było to uczciwe z jego strony, ale i tak był wystarczająco powściągliwy.

Najpierw całymi latami powstrzymywał siebie przed zdobyciem jej matki, Agnieszki, a potem kolejne dekady cierpiał, nie mogąc osiąść Izabeli.

Agnieszka była obsesją Benedykta. Ujrzał ją po raz pierwszy, kiedy jego ojciec poślubił jej matkę, i przepadł... Utonął w jej błękitnych oczach.

Już wówczas zdawał sobie sprawę z tego, że nie było to wzniosłe, przynoszące chlubę uczucie. Dobrze wiedział, że gdyby zdradził się przed kimkolwiek, byłby potępiony. Miał wówczas szesnaście lat, ona była dziesięcioletnim dzieckiem. Dzieckiem! Powtarzanie tego słowa ani wówczas, ani nigdy później nie przyniosło ulgi. Nie zmniejszało ani na moment dojmującego pragnienia, kiedy na nią patrzył. A potem zaczęła dojrzewać... Miał nadzieję, że coś się zmieni, że zazna wreszcie ulgi, ale nadzieja ta okazała się płonną. Ani na moment przemożna chęć, by ją wreszcie osiąść, nie ustąpiła.

Tamtego feralnego wieczoru, kiedy powrócił na przerwę letnią z uczelni (a specjalnie studiował aż w Wilnie, by przynajmniej fizycznie być daleko od niej), po raz kolejny pojechał do karczmy w Marcinopolu się upić i ulżyć cierpieniu w ramionach jednej z pracujących w tym przybytku dziewcząt. Nic jednak ani nikt nie był w stanie zastąpić mu jej. Agnieszka była wówczas szesnastoletnią, uroczą, zupełnie nieznaną życia dziewczyną. Podchodził do niej jak kochający starszy brat i dotykał jej miękkich jasnych pukli. Kiedy stała tyłem, mógł bezkarnie chłonąć jej zapach i napawać się tą namiastką bliskości. Przy wszystkich udawał idealnego członka rodziny, ale zawsze starał się wykorzystywać każdy moment, w którym była blisko. Tych momentów było naprawdę niewiele, i o to też sam osobiście zadbał. Musiał stwarzać pozory, musiał dbać o to, by nikt nie odkrył jego sekretu, by nikt nie zniszczył jego idealnego uczucia.

Tamtego wieczoru wrócił mocno wstawiony. Całą drogę próbował skoncentrować się na tym, by nie spaść z konia, bo nie wziął karety i nie pozwolił się nikomu odwieźć. Noc była niezwykle jasna, a on czuł się na tyle pewnie, że nie chciał przyjąć pomocy. Mimo wysiłku i tak tuż przed bramą wjazdową ześlizgnął się z siodła i runął jak długi w kałużę. Otrzeźwiło go to nieznacznie. Nie na tyle, by zaczął panować nad swoimi reakcjami. Do tej pory trzymał żelazną dyscyplinę nad własnym ciałem. Tej nocy jednak pragnienie zwyciężyło. Puścił konia wolno (sam potrafił dotrzeć do stajni), a sam wszedł tylnymi drzwiami do dworu ojca. Przez sień przemknął cichutko i zamiast skierować się do swojego pokoju, zaczął wspinać się na piętro i kierować do zachodniego alkierza, w którym mieścił się pokój Agnieszki.

Nacisnął powoli klamkę i wsunął się dyskretnie do środka. Miał zamiar jedynie popatrzeć. Już nie raz robił tak przedtem. Uwielbiał oglądać ją taką bezbronną, zależną od jego woli, skazaną na łaskę i niełaskę... Spała zupełnie nieświadoma jego obecności. Uwielbiał to uczucie

i tę bezkarność. Tylko tak miał sposobność przebywać z nią sam na sam, mógł patrzeć, czasami dotykać. Mógł też przy tej okazji zabierać sobie pamiątki: pukiel włosów, chusteczkę, spinkę, guzik z sukni, nieudany list do przyjaciółki. Drobnie skarby, na które nikt nie zwróci uwagi, a które mógł później dotykać, wąchać, smakować...

Tym razem upatrzył sobie koralik. Błyszczał obok jej głowy i mamił go, powodując nieodpartą chęć posiadania. Zbliżył się, wyciągnął dłoń i dotknął maleńkiej błyskotki... Powinien był zacisnąć na niej palce i ukryć głęboko w kieszeni, by napawać się jej bliskością w zaciszu swojego pokoju, jak czynił to wielokrotnie wcześniej. Jednak pożądanie wyostrożone wypitym alkoholem (który jednocześnie przytępił jego zdrowy rozsądek) wzięło nad nim górę. Przejęło kontrolę nad jego ciałem, wyłączając umysł i zagłuszając sumienie. Wyłączając resztki człowieczeństwa. To był krótki moment słabości, ulotna chwila zapomnienia... Wystarczyła jednak, by przygniótł ją własnym ciałem, przycisnął usta do jej ust, a dłoń wsunął pod delikatny materiał koszuli nocnej i zacisnął na jej gładkim udzie.

Zbudziła się, próbując łapać oddech, ale nie pozwolił jej na to. Jego dłonie zaczęły wędrować po jej ciele z bezwzględną brutalnością, z zachłannością, która miała zrekompensować mu lata dojmującego pragnienia. Niczym wypuszczone z klatki zwierzę dał upust własnej żądzy, dał przyzwolenie chuci, by zawładnęła jego ciałem, jego całym jestestwem...

Jej przerażony głos, gdy zdołała jęknąć coś niewyraźnie, przywołał go do porządku. Już wiedział, że się odkrył, już wiedział, że na zawsze ją stracił. Musiał bronić się, wyłgać, ocalić resztki honoru.

– Boże! – Oderwał się od jej ciała, podniósł na łokciach i szybko stanął na nogi. – To ty?! – udawał zaskoczonego. – Myślałem, że jestem w zajeździe, że to pokój tamtej dziewczyny, że to...

Odpowiedział mu cichy płacz. Nawet nie próbowała nic mówić. Okryła się szczelnie kołdrą i szlochając, drżała niczym zranione zwierzątko. Powinien go ten widok wzruszyć, wywołać wyrzuty sumienia, odcisnąć się gdzieś głęboko. Nic takiego jednak nie miało miejsca. Owszem, udawał skruszonego, zarzekał się, że zrobił to przez pomyłkę, przeklinał wypity alkohol, ale jego dusza napawała się tym małym sukcesem i nie miał zamiaru się szczerze kajać. Odegrał swą rolę na tyle, na ile zdołał, i od tamtej pory pilnował się jeszcze bardziej.

Ona jednak nie uwierzyła w jego zapewnienia. Co prawda nie powiedziała o tym wydarzeniu nikomu. Nie zdradziła go ani nie zmieniła do niego nastawienia przy wszystkich, jednak tak bardzo starała się go unikać, że już w rok później zgodziła się zostać żoną jakiegoś bogatego mieszczanina. Nie patrzyła ani na dobre imię rodu, ani na to, że po jej debiucie z pewnością pojawią się o wiele lepsze oferty. Zaręczyła się z pierwszym lepszym mężczyzną, który zabrał ją z tego domu, zabrał ją jak najdalej od niego.

A potem... Potem urodziła mu syna, następnie córkę. Niezbyt urodziwe dzieci. Nie odziedziczyły po niej niczego, jakby zupełnie do niej nie należały. Dopiero po kilku latach na świat przyszła Izabela. Maleńka kopia Agnieszki. A jej głupi mąż, nie mając pojęcia o przeszłości, to Benedykta poprosił o pełnienie funkcji jej ojca chrzestnego.

Agnieszka nie stawiała oporu. Może nie wyglądała na szczególnie uradowaną tym pomysłem, ale nie miała nic przeciwko. A nawet jeśli, to nie zdradziła się z tym ani przez chwilę. A maleńka istotka rosła i z dnia na dzień coraz bardziej upodabniała się do matki.

Śmierć Agnieszki zadała Benedyktowi okropny ból. Przez wiele tygodni podchodził do parapetu okna na najwyższym piętrze i zastanawiał się, czy udałoby mu się zginąć od razu, gdyby wyskoczył na kamienny chodnik. Nie potrafił jednak dokonać tego czynu. Nie miał odwagi odebrać sobie życia.

Potem zmarł też ten mężczyzna, mąż Agnieszki, a ich najmłodsza córka trafiła w jego ręce. To było jak dar od Boga. Jak nadzieja na odczynienie anatemy, którą rzuciła na niego jej przekłeta matka, kiedy po raz pierwszy spojrział w jej oczy. To mogło być dla niego wybawieniem od wiecznego niespełnienia i poczucia klęski. Dostał kolejną szansę i jego nieustające katusze mogły się wreszcie skończyć. Musiał tylko działać powoli i z rozmysłem. Tak, by jej nie spłoszyć, jak zrobił to przed laty z Agnieszką. Drugi raz nie miał zamiaru popełnić tego samego błędu.

Dziś jednak jego cierpliwość się wyczerpała i musiał sięgnąć po coś, z czego sam nie był dumny. Nie miał jednak innego wyjścia.

---

<sup>15</sup> Zgodnie z tradycją jest to jedyny dzień w czasie postu, w którym można urządzać huczne zabawy i brać ślub kościelny.



## 29.

Klemens po napaści przez kilka dni dochodził do siebie w pałacu Paca. Uznano, że zbłądził po balu i oberwał spadającym nań rusztowaniem w niewykończonym pokoju. Ślady krwi na posadzce i rozrzucone deski potwierdziły tę wersję wydarzeń. Kiedy jednak dotarł do pałacyku matki i tam wraz z braćmi począł analizować ich przygody z napastnikiem (przypomniawszy sobie w końcu o napaści i upuszczaniu krwi), doszedł do wniosku, że wicehrabia – bo to jego teraz wszyscy podejrzewali – może być niebezpieczny również dla swojej podopiecznej. Jeżeli dziewczyna nie była zamieszana w jego postępkach, to jej obawy mogły być jak najbardziej słuszne.

Madame Moreau również doszła do takich wniosków. Powiedziała, że podczas balu, kiedy Benedykt Giełczyński zerkał na swoją podopieczną, gdy w pięknej sukni przemierzała salę, nie potrafił ukryć niezdrowej fascynacji. A podczas tańca przyłapała go, że zerkał na jej... pośladki. Nie było to jej zdaniem normalne. Choć – jak stwierdziła – może i było, bo nie byli ze sobą spokrewnieni, a każdy mężczyzna, widząc wypukłości panny Wieczorek, chcąc nie chcąc, oblał ją wzrokiem, ale te spojrzenia bardzo się jej nie spodobały. Poza tym nadal nie potrafił jasno odpowiedzieć nic na temat pierścionka, a na Moreau zwracał uwagę tylko wówczas, gdy panienska Izabela była w pobliżu. Jakby chciał wzbudzić w niej zazdrość. Kiedy przebywali sami, jego zainteresowanie gwałtownie spadało. Madame Moreau nalegała, by sprawdzić, czy aby na pewno we dworze wicehrabiego wszystko jest na swoim miejscu. Zapewnił ją, że zjawi się przed jej wyjazdem (który planowała na osiemnastego marca), ale nie zrobił tego i nie przysłał nawet zdawkowej informacji o odwołaniu wizyty. Miał prawo zmieniać plany, ale dziwnym było, że tak skrupulatny człowiek zapomni jej o tym zawiadomić.

Po długich naradach postanowiono złożyć niezapowiedzianą wizytę w dworze wicehrabiego, korzystając z dnia wolnego od postu.

Hrabina Modlińska i jej przyjaciółka w towarzystwie Anthony'ego i Maurycego jechały w karecie podróżnej, a Klemens pognął przodem na swoim ulubionym koniu, wyprzedzając ich tym samym o jakąś godzinę.

Dotarł do majątku wicehrabiego od strony folwarku, gdzie dowiedział się, że ten i jego podopieczna przebywają sami we dworze. Uznał za dziwny fakt, że Giełczyński zgodził się wszystkim dać dzień wolny. Nie był człowiekiem zbyt pobłażliwie traktującym służbę.

Złożył życzenia nowożeńcom i poszedł cicho w stronę dworu. Zapukał do drzwi wejściowych, ale nie doczekał się żadnej reakcji. Widać ani wicehrabia, ani panna Wieczorek nie znajdują się na tyle blisko, by usłyszeć pukanie, pomyślał i nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły, więc cicho wszedł do przedsiionka i skierował się do gabinetu wicehrabiego. Przechodząc obok salonu, usłyszał dziwne dźwięki. Nie chciał być wścibski, ale ciekawość wzięła górę. Zajrzał przez dziurkę od klucza, lecz dostrzegł jedynie stolik, fotel, fragment sofy i dół sukni panny Wieczorek. Już miał nacisnąć na klamkę, gdy usłyszał głos wicehrabiego.

– Sama widzisz, że sprawiam ci jedynie przyjemność. Nie robię niczego, co mogłoby cię skrzywdzić. Prawda?

– Prawda – usłyszał potaknięcie dziewczyny.

– Masz taką delikatną skórę i pachniesz tak wybornie – wymruczał wicehrabia.

Nie była to sytuacja codzienna i Klemens zupełnie nie wiedział, co ma począć ze swoimi domysłami. Wyglądało na to, że Benedykt Giełczyński stara się o względy, łagodnie rzecz ujmując, swojej podopiecznej. A ona chyba nie stawia szczególnie oporu.

Schylił się ponownie i zajął przez dziurkę. Spódnica panny Wieczorek była podwinięta tak, że było widać łydki obleczone w haftowane pończochy, a po jednej z nich sunęła ręka jej wuja.

Klemens wyprostował się i łapczywie nabrał powietrza, po czym zacisnął pięści i szczęki.

Wicehrabia szukał narzeczonego podopiecznej?! Dobre sobie! A ona! Uwodziła Anthony'ego i połowę znanych mu mężczyzn jedynie po to, by ostatecznie skończyć w ramionach wuja! Skandalistka pozostanie skandalistką! A on chciał wierzyć, że zmieniła się albo, co gorsze, że wcale nie była zła od samego początku!

To obrzydliwe, pomyślał, ale po chwili zdał sobie sprawę, że tych dwoje nie było ze sobą spokrewnionych i w zasadzie nie powinien oburzać się, jeśli mieszkając tyle lat pod jednym dachem, doszli do wniosku, że mają się ku sobie. Było to dziwne, jednak nie nieprawdopodobne. Odwrócił się i stojąc plecami do drzwi, próbował odzyskać równowagę. Krew jednak szumiała mu w uszach ze złości, zazdrości, bólu i z poczucia bezsilności. Nic nigdy tak go nie zawiodło, nie zraniło, jak widok Izabeli uległej awansom jej wuja. Czy cały czas go okłamywała, czy to, co przez moment się między nimi wytworzyło, było jedynie rolą? Czy mogła być aż tak cyniczna, aż tak podła? Nie potrafił w to uwierzyć. Nie chciał w to uwierzyć!

Odwrócił się po raz ostatni i zajął ponownie przez dziurkę.

Wicehrabia gładził łydkę dziewczyny, klęczał przed nią i całował jej dłoń. Nie oponowała. W zasadzie prawie się nie poruszała, jedynie lekko zginała i prostowała palce. Niechybnie oddawała się doznaniom, jakie niósł za sobą dotyk wicehrabiego. Klemens skrzywił się na tę myśl i już miał odejść, kiedy jego wzrok padł na imbryk stojący na stole.

To ten sam, o którym rozmawiali niedawno z wicehrabim. Specjalnie skonstruowany w taki sposób, że wewnątrz posiadał dwie odrębne komory na różne płyny, a na uchu dwie dziurki. Gdy zatykało się górną dziurkę, płyn leciał tylko z komory dolnej, gdy zatykało dolną, z górnej. Jeśli chciało się nalać dwa płyny jednocześnie, wystarczyło nie zatykać żadnego z otworów. Czyżby wicehrabia wykorzystał to sprytne ustrojstwo po to, by podać Izabeli jakiś narkotyk?

Nie czekał, aż jego umysł przeanalizuje dokładnie dane. Wpadł do salonu i zamknął za sobą z trzaskiem drzwi, by dać do zrozumienia obecnej tam parze, że mają świadka.

Wicehrabia zerwał się na nogi, przysłonił sobą Izabelę i rzucił ostro:

– Przeszkadza nam pan, baronie.

– Właśnie widzę.

– Taktownym byłoby wyjście stąd i zachowanie dyskrecji.

– Być może. Tylko czy panna Wieczorek jest tego samego zdania?

- Jest - odpowiedział za nią jej wuj i sięgnął dyskretnie (jak mu się zapewne wydawało) do pochwy na nóż przytwierdzonej z tyłu spodni pod surdudem.

- Może sama mi o tym powie?!

- Niby czemu miałaby z panem rozmawiać? Nic was przecież nie łączy, a z pańskim bratem zerwała wszelkie kontakty.

- Być może. Nie zwalnia mnie to jednak z bycia dżentelmenem. Sam pan prosił, bym miał na nią oko.

- Teraz to ja mam na nią oko, baronie - odpowiedział wicehrabia z zaciśniętymi zębami i w tym momencie wy dobył nóż.

Klemens potrafił działać błyskawicznie. Schylił się i wyjął z cholewki buta podobny sztylet.

- Chce się pan ze mną zmierzyć? - zapytał twardo.

- Jeśli nie potrafi pan pojąć, że Izabela skończyła z poszukiwaniami męża i zrozumiała, że to mnie zawsze pragnęła... - Mówiąc to, Giełczyński przesunął się w jego stronę tak, że Klemens mógł dostrzec większy fragment sukienki Izabeli. Dziewczyna nie ruszała się.

- Niech pan nie robi ze mnie idioty! Coś jej jest?

- Nic. Jest w szoku, że nakrył nas pan w tak intymnej sytuacji.

- To po co ten nóż?

- Wie pan, że jestem porywcy. - Wicehrabia starał się grać na zwłokę. W bezpośrednim pojedynku z baronem nie miał wielkich szans. Choć ostatnio przecież i jego krwi skosztował, więc nie było to do końca przesądzone. Jeżeli eliksir ma działanie nie tylko odmładzające...

- Wiem, ale nie wyjdę stąd, póki się nie upewnię, że nic jej nie zagraża.

- Jej?! - zapytał z wyrzutem wicehrabia.

Klemens zauważył, że to go wyprowadziło z równowagi, więc brnął dalej.

- Jej! Izabeli.

- Od kiedy zwraca się pan do niej w ten sposób?

- Od kiedy spędziliśmy noc w chacie rybackiej. Chyba nie sądził pan, że siedzieliśmy tam beczynnie?

Wicehrabia nie wytrzymał i rzucił się na niego z nożem. Teraz Klemens mógł dostrzec, że Izabela leżała półprzytomna na sofie, patrząc nieobecny wzrokiem przed siebie. Z pewnością nie była w pełni świadoma, co się z nią działo. W Klemensa wstąpił taki gniew, że miał ochotę rozerwać wicehrabiego na strzępy.

W ostatniej chwili baron uskoczył i ostrze noża prześlizgnęło się tuż obok jego ramienia.

Wicehrabia nie poprzestał na tym i zaatakował ponownie. Klemens próbował zasłaniać się i odparowywać cięcia, ale furia, jaka ogarnęła przeciwnika, dodała mu nadludzkiej siły. Wykorzystał więc cały swój spryt, by uniknąć jego ciosów i przejść do innego pomieszczenia. Wiedział, że zaraz przyjadą jego bracia i wesprą go w tej nierównej walce.

Jak na zawołanie w drzwiach pojawili się kolejno Maurycy i Anthony i obaj, nie czekając na sygnał, rzucili się na wicehrabiego. Ten jednak walczył jak lew i zdawał się nie przejmować trzema młodymi przeciwnikami. Przewidywał wszystkie ich ciosy i poruszał się z taką szybkością, że ledwo nadążali za nim wzrokiem. Coraz tylko któryś obrywał, a to w głowę, a to w korpus, albo przyjmował cięcie (na szczęście niezbyt głębokie). W końcu wicehrabia

zaczynał tracić siły, a oni go okrążyli i zaatakowali jednocześnie, co przyniosło zamierzony efekt. Używali wszystkiego, co znajdowało się w zasięgu rąk.

– Co się tu dzieje? Na Boga! – krzyknęła hrabina Modlińska, która weszła w sam środek walki, ciągnąc za sobą przyjaciółkę.

– Niech się mama odsunie! – zawołał Maurycy, ale ta dekoncentracja kosztowała go przyjęcie cięcia w lewy bark, ostrze wbiło się niemal po rękęjęść i w ten sposób wicehrabia stracił jednocześnie jednego z przeciwników i narzędzie obrony.

Nie poddał się jednak i rzucił się w stronę Klemensa.

Ten pchnął go z impetem, ale wicehrabia był zbyt mocny, by poddać się jego zabiegom. Zaparł się i odparował atak. Skąd miał w sobie tyle siły? Nieprawdopodobne. Popchnął Klemensa, a ten z impetem wpadł na regał ze słoikami z kolekcją ziół i herbat Gielczyńskiego. Część słoików spadła i rozbiła się z trzaskiem o posadzkę.

Huk rozbijanego szkła przywołał woźnicę i forysia, którzy rzucili się na pomoc chlebobdawcom. Hrabina Modlińska odciągnęła najmłodszego syna i starała się zabezpieczyć jego ranę. Jej przyjaciółka pobiegła do panny Wieczorek, aby ją ocucić i okryć obnażone (na szczęście jeszcze w pończochach) nogi i dekolt. Od razu domyśliła się, co przed chwilą zaszło. Gdyby nie podjęli decyzji o przyjeździe, najpewniej wicehrabia zgwałciłby tę biedną dziewczynę.

Mężczyźni nadal przepychali się, okładając niemal na oślep, ale w końcu udało się zapędzić wicehrabiego w kąt pokoju i unieruchomić, a następnie związać, tak by nie mógł się uwolnić.

– A cóż to się tam świeci pomiędzy suszonymi liśćmi? – zapytała hrabina Modlińska, kiedy sytuacja stała się częściowo opanowana.

– Czy to nie kolczyki panny Fleming? – rzuciła pytaniem w przestrzeń jej przyjaciółka i podeszła do rozbitych słoików, zostawiając Izabelę pod opieką hrabiny. Madame Moreau zaczęła ostrożnie przegrzebywać rozsypane zioła i szkła. – Najwidoczniej to tu wicehrabia ukrywał wszystkie skradzione kosztowności. Bardzo sprytna sztuczka. – Spojrzała na jego groźną minę. Siedział przywiązany do krzesła i nie odzywał się ani słowem. – Dlatego nic nie dało dokładne przeszukanie jego pokoju w pałacyku.

– Nic jej nie jest? – zapytał Klemens, lekceważąc wzmiankę o kosztownościach. Podeszedł do Izabeli.

– Jest czymś odurzona, ale nic jej nie będzie.

– A czy...

– Nie. Nic jej nie zdążył zrobić.

– Zaniosę ją do łóżka, a wy wezwijcie lekarza i jej pokojówkę – nakazał, a potem wziął dziewczynę na ręce i skierował się w stronę schodów na piętro.

Aby nie robić zamieszania i nie psuć uroczystości weselnych nowożeńcom, wezwano tylko część służby wicehrabiego oraz okolicznego medyka, który opatrzył ramię Maurycego i zbadał pannę Wieczorek. Na szczęście zarówno obrażenia młodego mężczyzny, jak i stan Izabeli okazały się niezbyt poważne i już w kilka godzin po zdarzeniu wszyscy zebrali się w jadalni, by przedyskutować dalszy plan działania. Wicehrabię związano w salonie i tam oczekiwali przybycia stróżów prawa.

Kiedy substancje odurzające przestały działać, do towarzystwa dołączyła Izabela.

- A co z tymi kolczykami? Powinniśmy je chyba odesłać do państwa Flemingów? - zapytała madame Moreau.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł. Może Henrietta nie mówiła im o zaginięciu. Możemy wywołać niepotrzebną burzę. Obiecaliśmy jej przecież przed wyjazdem, że zajmiemy się poszukiwaniami dyskretnie - zauważyła hrabina Modlińska.

- To prawda. Obawiam się, że gdybyśmy wysłali kolczyki paczką adresowaną chociażby na babkę, ktoś mógłby przechwycić przesyłkę. Może odwiozę pannie Fleming osobiście te kolczyki? - zaproponował Maurycy. - Potrafię dyskretnie wręczać upominki damom. Ba, nie chcę się chwalić, ale potrafię również dyskretnie odwiedzać damy, jeśli tego sobie życzą.

- Nie wątpię - skwitował Anthony. - Może jednak pojechać z wizytą oficjalnie? A ty powinieneś odpocząć. - Spojrzał na ramię brata.

- Dobrze - odparł Klemens. - Będzie ku temu okazja. Zawiozę Flemingom zaproszenie na wesele, wyjaśnię, że byłem w okolicy, a przy okazji oddam pannie Fleming jej zgubę.

- Wesele? - zapytali chórem.

- Ach - zreflektował się baron. - Wyprzedziłem fakty. - Podeszedł do panny Wieczorek, po czym uklęknął przy jej krześle i zapytał podenerwowanym tonem: - Panno Izabelo, czy zgodzi się pani wyjść za mnie?

- Zastanowię się - odparła, czym wprawiła wszystkich w konsternację.

Klemens omal nie przypłacił tego utratą przytomności. Dopiero w obliczu niebezpieczeństwa uzmysłowił sobie, że jego uprzedzenia i obawy nie mają żadnego znaczenia. Już dawno powinien był starać się o rękę Izabeli.

- Niechże się pani nie wygłupia - ponaglił ją Maurycy. - To zawsze była moja działka.

Rzuciła mu łagodny uśmiech i odpowiedziała spokojnie:

- To poważna decyzja i należy ją dobrze przeanalizować.

- To prawda - szepnął Klemens i zaczął się podnosić.

- Dlatego też - powiedziała najwolniej, jak się dało - po rozważeniu wszystkich za i przeciw mogę jedynie pana przyjąć, baronie Krzyżewski.

Klemens wstał i uściskał ją tak, jakby miał zamiar ją udusić (szczerze powiedziawszy, przemknęło mu to przez głowę). A potem zwyczajnie ją pocałował. On, uznawany przez rodzinę za sztywnego i zasadniczego. Pocałował swoją narzeczoną przy świadkach, z pasją i oddaniem, aż policzki jego matki nabrały rumieńców.

- Nawet ja określiłbym ten pocałunek ledwo mieszczącym się w granicach przyzwoitości - stwierdził Maurycy, co przywołało do porządku oboje, a u pozostałych wywołało nagły wybuch śmiechu.

Po krótkich gratulacjach Klemens ujął delikatnie dłoń Izabeli i przeszedł z nią do gabinetu wicehrabiego.

- Przepraszam, że nie zrobiłem tego jak należy - powiedział skruszony, patrząc jej w oczy, kiedy zamknął za nimi drzwi.

- Nieistotne jak, interesuje mnie raczej, czy szczerze, a nie dlatego, że czuł się pan w obowiązku. - Spojrzała na niego z wyczekiwaniem.

- Ma pani wątpliwości co do mojej uczciwości?

- Może. Pamiętam pana ostatnią rozmowę z moim wujem.

- I wie pani, że musiałem odwrócić w ten sposób jego uwagę. Sądziłem, że się pani w końcu domyśli...

- Niedomówienia i domysły nie powinny iść w parze z uczuciami. A te określał pan jako naturalne, żeby nie powiedzieć chłodne – wypomniała mu. – W dodatku chciał mnie pan przełożyć przez kolano...

- Byłem skończonym głupcem – przyznał.

- I?

- I bardzo mi z tego powodu przykro.

- Doprawdy? – powiedziała, unosząc jedną brew.

- Doprawdy – odrzekł, ale po chwili dodał: – Choć prawdę powiedziawszy, nie jest mi wcale przykro i nadal mnie świerzbą palce.

- Słucham? – Przystąpiła o krok i uniosła dumnie podbródek, mierząc go groźnie wzrokiem.

- Ale nie oświadczyłem się tylko dlatego, że tak należało postąpić, Izabelo. – Przynurzył się do niej tak, że czuła jego oddech na swoim czole. – Nie wiem, co pani ze mną zrobiła, ale nie potrafię znieść myśli, że mógłbym przeżyć choćby jeszcze jeden dzień bez pani. Nawet jeśli miałbym ponownie narazić się na wyciąganie śrutu z siedzenia.

- Tak? – zapytała, a kąciki jej ust zaczęły się unosić.

- Chciałbym się przy pani zestarzeć.

- W pana przypadku to całkiem niedługo, baronie – nie zdołała powstrzymać się od kąśliwej uwagi.

- Choć może to sobie raz jeszcze przemyśle – zażartował. – Ale pani też nie będzie miała ze mną łatwo.

- Obiecuje pan?

Nie odpowiedział. Chwycił ją w pasie i obdarzył leniwym, głębokim pocałunkiem. Nie oponowała. Przeciwnie, przygłębła do niego całym ciałem i oddała się mu bez reszty.

- Czy to znaczy, że się pani zgadza? – zapytał po kilku minutach. – Bez świadków i presji – dodał.

- Odpowiedziałam przed chwilą, ale jeśli pan nie zrozumiał, baronie, to chętnie powtórzę. Obawiam się tylko, że mogą wszcząć poszukiwania, jeśli zaraz tam nie wrócimy. – Kiwnęła głową w stronę salonu.

Uniół jedną brew i spojrzał na nią z uśmiechem.

- Uwielbiam panią, Izabelo. – Schwycił ją ponownie i uściskał. – Ale jako że wolę się upewnić co do pani odpowiedzi, nie omieszkać spytać ponownie. Może dziś w nocy w moim dawnym pokoju? Bo nie zostawię tu pani samej – zapewnił. – I naprawdę przepraszam, że pozwoliłem, by wicehrabia...

- Nie mógł pan wszystkiego przewidzieć. – Dotknęła z czułością jego policzka.

- Ale mogłem już dawno prosić panią o rękę. – Poglądził jej dłoń.

- Mógł pan, ale może wtedy nie byłam na to gotowa.

- Ale teraz pani jest? – upewnił się.

- Jestem – odparła, po czym wyciągnęła szpilkę z jego fularu, wygięła ją w kółko i nałożyła sobie na palec. – I też czuję się winna temu, że pozwoliłam panu myśleć, że mi na nim nie

zależy.

Objął ją raz jeszcze i pocałował w czoło. Wtuliła się w niego i odprężyła. Poczuli się tak, jakby po latach wędrówki wróciła wreszcie do domu.

Nie był to odpowiedni moment na głębsze wyznania, ale oboje wiedzieli, że i te wkrótce nastąpią. Wystarczy, że wyzbyli się obaw i wątpliwości.

Oderwali się od siebie niespiesznie i powrócili do salonu, przerywając pozostałym rozmowę. Izabela zajęła miejsce na sofie, a Klemens przysiadł obok niej i dyskretnie muskał jej ramię.

– I dasz radę przeprowadzić to tak, żeby nikt nie zauważył? – zapytał Klemensa Maurycy. – Mówię o wizycie u Flemingów – doprecyzował.

– Nie wiem.

– W takim razie to ja się tym zajmę – oznajmił Anthony. – Ty masz ważniejsze sprawy na głowie.

– A ty poradzisz z tym sobie lepiej? – zakpił Maurycy.

– Najwyżej oddam kolczyki jej babce – westchnął Anthony, widząc, że bracia niezbyt wierzą w jego umiejętności.

– To dobry plan – poparła go Izabela. – Niech pan rusza czym prędzej, żeby nie naraził własnych zamiarów związanych z wyjazdem do Anglii. To doprawdy szlachetne z pana strony.

Anthony zerknął na nią z wdzięcznością. Jeszcze czuł urazę za to, że zwodziła go przez kilka tygodni, kiedy to naprawdę interesował ją Klemens, ale nie mógł się za to gniewać w nieskończoność. Był zły, owszem, i pewnie szybko nie zaufa kobiecie, jednak będą rodziną i wypadałoby, by ich stosunki były przynajmniej poprawne.

– Dziękuję za dobre słowo. – Ukłonił się. – Zaraz wyruszę. Wezmę twojego konia – zwrócił się do Klemensa. Wstał, obrócił się i odmaszerował niczym żołnierz.

– Przejdzie mu – zapewnił Maurycy. – Nie pierwszy i nie ostatni dostał kosza. Może to go oduchy bycia takim... słodkim.

– Mimo wszystko nie czuję się z tym dobrze – powiedziała Izabela.

– Ja także, ale nie za wiele mogę na to poradzić – dodał Klemens i wtedy przypomniał sobie o liście Gniewomira Guzowskiego. – Gdzie jest wejście do piwnicy?

– Racja! – wykrzyknęła Izabela. – Wuj od miesiąca zamykał się tam i eksperymentował z ziołami. To dlatego jest ostatnio taki żywoty.

Ponieważ nie znaleziono klucza do kłódki, a wicehrabia nie miał zamiaru im pomóc, drzwi wyważono. Można się łatwo domyślić, co tam znaleziono. Widoku tego jednak nie warto opisywać i po tym, jak weszli tam synowie hrabiny Modlińskiej w towarzystwie woźnicy i jednego ze służących wicehrabiego, postanowiono, że nikt inny tam nie będzie zaglądał. Sprowadzono jedynie medyka i po kilku godzinach wyniesiono zaginionego konkurenta panny Wieczorek.

Gniewomir Guzowski znajdował się pod długotrwałym wpływem narkotyków, a jego ciało było skrajnie wychudzone. Żył jednak i zdaniem medyka powinien po odpowiedniej kuracji dojść do siebie. Jego obecność w piwnicy przesądziła jednak o losie wicehrabiego, bo stanowiła niepodważalny dowód na jego przewiny, nie tylko w stosunku do podopiecznej i obrabowanych osób, ale też napadniętych młodych mężczyzn, z których jednego uwięził na wiele tygodni.

## 30.

Gdy Anthony zawijał ostrożnie kolczyki panny Fleming w haftowaną jedwabną chusteczkę, zauważył, że są bardzo podobne do pierścienia, który mu ukradł wicehrabia. Położył je obok siebie na stole i przyjrzał się uważnie wzorom. Wyglądały, jakby do siebie pasowały, jakby zostały zrobione przez jednego człowieka i stanowiły komplet. Może to przeznaczenie?, pomyślał.

Dotarł do dworku Flemingów jeszcze tego samego wieczoru. Nie spodziewał się ciepłego przyjęcia, ale to, które mu zaserwował pan domu, było znacznie gorsze niż wszystkie jego obawy. Niby przyjęto go na kolację i traktowano jak zwykłego gościa, ale dało się wyczuć mieszaninę tak odpychających uczuć, że co rusz na jego grzbiecie pojawiały się nieprzyjemne ciarki.

Pan Fleming ostentacyjnie zerkał na zegarek, przypominał, że niezapowiedziane wizyty zgodnie z zachodnią modą są nietaktem. Pani Fleming udawała, że nie słyszy uwag męża i zadawała Anthony'emu całe mnóstwo ciekawskich pytań, na które nie znał odpowiedzi, seniorka rodu uciekała wzrokiem, jakby szukała wymówki, jak czmychnąć do swego pokoju, a panny Fleming w ogóle nie zawołano na kolację. Dopiero kiedy Anthony zapytał o nią po raz trzeci, pani domu łaskawie kazała służącej po nią pójść.

Dziewczyna wyglądała, jakby przed chwilą płakała, a kiedy usiadła przy stole, zabrała z niego kilka kromek chleba i ukryła w kieszeni sukni.

Było to co najmniej dziwne.

Starał się nie patrzeć w jej stronę, bo zauważył, że nie podobało się to jej rodzicom, ale kiedy przechodzili do salonu, dyskretnie podał jej pakunek z kolczykami i ich dłonie zetknęły się na dłuższą chwilę. Coś intymnego było w tym dotyku. Sam nie potrafił określić co, ale kiedy stamtąd wracał, przed oczami miał tylko jej profil.

\*

W czasie, gdy Anthony przedzierał się przez ośnieżone ścieżki wiodące do dworu Flemingów i z powrotem, jego bliscy wraz ze służbą przeszukali dokładnie dwór wicehrabiego Giełczyńskiego (hrabina z przyjaciółką zajęły się gabinetem i sypialnią, jej synowie piwnicą, resztę sprawdzała służba). Odnaleźli nie tylko pozostałą skradzioną biżuterię, ale też poźółkle zwoje z jakimiś zapiskami. Izabela przypomniała sobie o celtyckich manuskryptach, które znalazła kiedyś kuzynka jej szwagra, a które wykorzystywane były do eksperymentów na siódemce dzieci w celu przywrócenia sił witalnych czy czegoś w tym rodzaju. Wicehrabia nie napadał nieletnich, a skupiał się na młodych mężczyznach, jednak liczba ich zgadzała się z zapiskami (mężczyzna znaleziony na łódce, stajenny, dziedzic Guzowski, Ignacy Firlejow i trzech synowie hrabiny Modlińskiej), a fakt, że każdemu upuszczono krew lub odcięto fragment ciała, świadczył, że mogło być coś na rzeczy. Zwłaszcza w połączeniu z krwawymi wizytami w kuchni i eksperymentami w piwnicy.



Zwoje postanowiono odesłać rzeczonyj kuzynce, skradzione kosztowności ich właścicielom, a wicehrabiego do prowadzonego przez bonifratrów przytułku dla obłąkanych w Warszawie<sup>16</sup>. Był to ponoć nowoczesny szpital psychiatryczny, w którym nie stosowano kar cielesnych, a chorzy traktowani byli „z łagodnością”. W dodatku hrabina знаła jednego z lekarzy tam pracujących i zapewniała, że zajmie się on wicehrabią jak należy.

Po ustaleniu najistotniejszych szczegółów hrabina, jej synowie i przyjaciółka stwierdzili, że zancują we dworze, a nazajutrz razem z panną Wieczorek udadzą się do portu w Łomży, skąd niewielki statek ma zabrać Anthony'ego Narwią do Warszawy i dalej Wisłą do portu w Gdańsku, gdzie przesiądzie się na statek do Anglii.

Anthony'emu udało się zdążyć przed wypłynięciem statku. Klemens odciągnął go na chwilę od reszty rodziny.

- Udało ci się załatwić to dyskretnie?

- Tak, ale zauważyłem coś bardzo dziwnego.

- Co takiego?

- Wydaje mi się, że panna Fleming ma jakieś kłopoty.

- Może z powodu tych kolczyków?

- Może. Nie miałem okazji spytać. Wyglądała jednak na bardzo strapioną, a do tego ukradkiem zabierała jedzenie ze stołu.

- To rzeczywiście dziwne.

- Chciałbym móc to sprawdzić, ale nie zdążę przed wypłynięciem.

- Ty i te twoje bohaterskie zapędy – westchnął Klemens. – Czy ona na pewno potrzebuje pomocy?

- Wydaje mi się, że tak. Sprawdziłbyś to?

- Ja?

- Możesz przecież pojechać tam z zaproszeniami.

- Rzeczywiście mogę, jeśli ci na tym zależy.

- Zależy – przyznał. – I powiem więcej. – Wyprostował się. – Jak tylko wrócę, pojedę tam osobiście.

- To może potrwać. Miałaś płynąć na kilka lat.

- Miałem.

- Czyżbyś zmienił zdanie?

- Może. W zasadzie wcale nie muszę tam zostawać na tak długo. Mam wielu kuzynów, którzy świetnie poradzą sobie z interesami w Anglii.

Anthony pożegnał się ze wszystkimi i obiecał, że wróci do Królestwa przed latem. Już miał podchodzić do swoich sióstr, kiedy jego uwagę przykuła starszka dźwigająca wielki kufer, drobnej budowy i w przydużym płaszczu. Coś w jej sposobie poruszania wydało mu się dziwnie znajome. Potrząsnął głową, wracając do pożegnania z dziewczętami, ale po kilku minutach spojrzął za siebie, sprawdzając, jak wiekowa pasażerka poradziła sobie z wniesieniem kufra na pokład.

Zawiał wiatr, a kapelusz zsunął jej się z głowy, co w porę zauważyła i uratowała go przed wpadnięciem do wody. Nie zauważyła jednak długiego, kręconego loka, który załśnił w słońcu niczym wypolerowany ametyst pomiędzy siwymi kosmykami.

Do licha, pomyślał Anthony. Zapowiada się całkiem ciekawa podróż...

\*

W pierwszy dzień świąt wielkanocnych odbył się skromny (jeśli można określić tym mianem uroczystość na ponad sto osób) ślub barona Krzyżewskiego i panny Wieczorek.

Więść o tym wydarzeniu rozniosła się lotem błyskawicy po całej dolinie biebzańskiej i przyćmiła skandal wywołany zamknięciem wicehrabiego Giełczyńskiego w domu dla obłąkanych, gdzie następnego dnia mieli wyruszyć nowożeńcy. Funkcjonował bowiem coroczny zwyczaj zwiedzania szpitala w drugi dzień świąt. Nie był to być może najlepszy sposób spędzenia pierwszych dni małżeństwa, ale Izabela i Klemens chcieli upewnić się, że wicehrabia jest pod dobrą opieką i na pewno stamtąd nie ucieknie.

Izabela przystrojona w piękną suknię stała u boku świeżo poślubionego małżonka i nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Planowała wyjść za mąż, by po prostu wydostać się spod kurateli wuja, i wybrać takiego mężczyznę, przy którym jej życie będzie przynajmniej znośne. Nie przypuszczała, że poślubi kogoś, kogo pokocha, polubi i kogo będzie tak bardzo pragnąć.

A w ostatnich tygodniach nie mieli żadnej możliwości, by pobyć ze sobą sam na sam...

- Gotowa? - zapytał Klemens, kiedy wzniesiono kolejny toast, a większość gości nie zwracała już na nich uwagi.

- Na co? - W tym momencie przypomniała sobie, przez jakiz to kolejny obyczaj będą musieli przebrnąć.

- Żeby stąd czmychnąć, kochanie. - Puścił do niej oko i złapał mocno za rękę.

- Z tobą? Zawsze - szepnęła i podążyła za mężem, zgrabnie lawirując między tańczącymi parami.

Już po kilku kwadransach patrzyła, jak Klemens zamyka na klucz drzwi do swojej sypialni (teraz już ich wspólnej) i lubieżnym wzrokiem prześlizguje się po jej sukni.

- Pomożesz mi z tym zapięciem czy będziesz tak stał i się gapił? - zapytała zawadiacko, unosząc brew.

- Moja mała skandalistka - szepnęła z czułością. - Kocham cię, Izabelo - dodał poważnie. - Cały należę do ciebie. Od dawna.

- A ja zamierzam to wykorzystać, kochany. - Uśmiechnęła się i zarzuciła mu ramiona na szyję. - I to jeszcze jak - dodała.

W odpowiedzi podszedł do niej, pochylił się, przygryzł płatek jej ucha i szarpnął za haftki stanika sukni.

- A ty?

- Co ja? - zapytała filuternie.

- Chyba cię przełożę przez kolano - jęknął. - Musisz się nade mną pastwić?

- Jeśli to jedyny sposób, by dostać klapsa od własnego męża - powiedziała przeciągle, ale po chwili dodała szybko: - Kocham cię, ty hołdujący sztywnym konwenansom...

Nie dał jej dokończyć, zamykając jej usta gorącym pocałunkiem, a potem chwycił ją na ręce i zaniósł do łóżka, nie po to bynajmniej, by się z nią kochać w sposób nudny czy przewidywalny...

---

16 U zbiegu ulic Bonifraterskiej i Konwiktorskiej w Warszawie istniał przytułek dla obłąkanych, który w latach dwudziestych XIX wieku przekształcił się w szpital psychiatryczny.